



NOWELE

BOLESŁAW PRUS



NOWELE

DAR
RADY POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Zakład Filologii Polskiej



810

Nakładem { Rady Polonii Amerykańskiej
Polish War Relief of U.S.A.

ANTEK

Antek urodził się we wsi, nad Wisłą.

Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośnięte sosnowym lasem, a od południa wzgórza garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głógiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy, albo wybierać gniazda.

Kiedyś stanął na środku wsi, zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie zrana wstaje czerwone słońce. Ale było to tylko złudzenie.

Za wsią bowiem ciągnęła się między wzgórzami dolina, przecięta rzeczułką i przykryta zieloną łąką.

Tam pasano bydłątką i tam cienkonogie bociany chodziły polować na żaby, kukające wieczorami.

Od zachodu wieś miała tamę, za tamą Wisłę, a za Wisłą znowu wzgórza wapienne, nagie.

Każdy chłopski dom, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, z pomiędzy których widać było komin, sadzą uczerniony i pożarną drabinę. Drabiny te zaprowadzono od niedawna, a ludzie myśleli, że one lepiej chronić będą chaty od ognia, niż dawniej bocianie gniazda. To też gdy płonął jaki budynek, dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.

— Widać, że na tego gospodarza był dopust Boski — mówili między sobą. — Spa-

lił się, choć miał przecie nową drabinę i choć zapłacił śtraf za starą, co to były u niej połamane szczeble.

W takiej wsi urodził się Antek. Położyli go w niemalowanej kołysce, która została po zmarłym bracie, i sypiał w niej przez dwa lata. Potem przyszła mu na świat siostra, Rozalia, więc musiał jej miejsca ustąpić, a sam jako osoba dorosła, przenieść się na ławę.

Przez ten rok kołysał siostrę, a przez cały następny — rozglądał się po świecie. Raz wpadł w rzekę, drugi raz dostał batem od przejezdnego furmana za to, że go o mało konie nie stratowały, a trzeci raz psy tak go pogryzły, że dwa tygodnie leżał na piecu. Doświadczył więc niemało. Za to, w czwartym roku życia ojciec podarował mu swoją sukienną kamizelkę z mosiężnym guzikiem, a matka—kazała mu siostrę nosić.

Gdy miał pięć lat, użyto go już—do pasania świń. Ale Antek niebardzo się za nimi oglądał. Wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennem wzgórzem, raz po raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wyłaziło to z lewej strony, jakby z pod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tem pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie samo czarne i wysokie.

Tymczasem świnię, swoim obyczajem, wlaży w kartofle. Matka, spostrzegłszy to, zawinęła się wedle sukiennej kamizelki Antkowej tak, że chłopiec prawie tchu nie mógł złapać. Ale, że nie miał w sercu zawziętości, bo było z niego dziecko dobre, więc wykrzyczawszy się i wydrapawszy — kamizelkę, zapytał matki:

— Mautulu! a co to takie czarne chodzi za Wisłą?

Matka spojrzała w kierunku Antkowego palca, przysłoniła oczy ręką i odparła:

— Tam za Wisłą? Cóż to nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruję.

— Aha, wiatrak! A co on, matulu, za jeden?

— At głupiś — odparła matka i uciekła do swojej roboty.

Gdzie ona miała czas i rozum do udzielania objaśnień o wiatrakach!

Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go i w nocy, przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu, co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził, i popłynął na Wisłę.

Popłynął, wdrapał się na wapienną górę, akurat w tem miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tedy nie chodzić, i zobaczył wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakoby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery, tęgie skrzydła, ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic—co to i na co to? Ale wnet objaśnili mu rzecz pastusi, więc dowiedział się o wszystkim. Naprzód o tem, że na skrzydła dmucha wiatr i kręci niemi jak liśćmi. Dalej o tem, że w wiatraku miele się zboże na mąkę, i nareszcie o tem, że przy wiatraku siedzi młynarz, który żonę bije, a taki jest mądry, że wie, jakim sposobem ze śpichrzów wyprowadza się szczury.

Po takiej lekcji pogładowej, Antek wrócił do domu tą samą drogą, co pierwiej. Dali mu

tam przewoźnicy parę razy w łeb, za swoją krwawą pracę, dała mu i matka coś na sukienną kamizelkę, ale to nic: Antek był kontent, bo zaspokoił ciekawość. Więc choć położył się spać o głodzie, marzył całą noc, to o wiatraku, który miele zboże, to o młynarzu, który bije żonę i szczury wyprowadza ze śpichrzów.

Drobny ten wypadek stanowczo wpłynął na całe życie chłopca. Od tej pory—od wschodu do zachodu słońca—strugał on patyki i układał je na krzyż. Potem wystrugał sobie kolumnę: Próbował, obciosywał ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się tak, jak tamten za Wisłą.

Cóż to była za radość! Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!

Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, a bo też strugał niemi dziwne rzeczy. Robił wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy. Aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan.

Przez ten czas urodził mu się jeszcze jeden brat, Wojtek, siostra podrosła, a ojca drzewo przytłukło—w lesie.

W chacie była z Rozalią wielka wygoda. Dziewczyna zimą zamiatała izbę, nosiła wodę, a nawet potrafiła krupnik ugotować. Latem posyłano ją do bydła z Antkiem, bo chłopak, zajęty struganiem, nigdy się nie dopilnował. Co go nie nabili, nie naprosili, nie napłakali się nad nim! Chłopak krzyczał, obiecywał, płakał nawet razem z matką, ale robił swoje, a bydło wciąż w szkodę wchodziło.

Dopiero gdy siostra razem z nim pasła, było lepiej; on strugał patyki, a ona pilnowała krów.

Nieraz matka, widząc że dziewczucha choć młodsza, ma więcej rozumu i chęci, aniżeli Antek, załamywała z żalu ręce i lamentowała przed starym kumem, Andrzejem:

— Co ja pocznę, nieszczęsna, z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nic nie robi, ani bydła dogładnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego, mój Andrzeju, nie będzie chyba gospodarz, ani nawet parobek, tylko darmozjad, na śmiech ludziom i obrazę Boską!

Andrzej, który za młodu praktykował flisactwo i dużo świata widział, tak pocieszał strapioną wdowę:

— Jużci gospodarzem on nie będzie, to darmo, bo on na to nie ma nawet dobrego rozumu. Jegoby zatem trza naprzód do szkoły, a potem do majstra. Nauczy się z książki, nauczy się rzemiosła, i jeżeli nie zgałanieje, będzie żył.

Na to wdowa odpowiedziała, wciąż łamiąc ręce:

— Oj kumie, co wy też gadacie? A czy to nie wstyd gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek robotę robić?

Andrzej puścił dym z drewnianej fajeczki i rzekł:

— Jużsi, że wstyd, ale rady na to niema nijakiej.

Potem, zwracając się do Antka, siedzącego na podłodze przy ławie, zapytał:

— Gospodarzem, czy u majstra?

A Antek na to:

— Ja będę stawiał wiatraki, co zboże miela.

I odpowiadał tak zawsze, choć nad nim kiwano głowami, a jak czasem to i miotła.

Miał już dziesięć lat, kiedy pewnego razu, ośmioletnia wówczas siostra jego, Roza lia, strasznie zaniemogła. Jak się położyła, to się jej na drugi dzień dobudzić było trudno. Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy.

Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczaja się: dała jej więc parę szturchańców. A gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napoiła wódką z piołunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódce wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa, przetrząsnąwszy szmaty, jakie tylko były w skrzyni i w komorze, wybrała sześć groszy i wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę, jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale—i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

— Napalcie kumo, w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu, jak się patrzy, i wygarnęła węgle, czekając dalszych rozkazów.

— No, teraz — rzekła znachorka—położyć dziewczuchę na sosnowej desce i wsadzając ją w piec, na trzy Zdrowaśki. Ozdrowieje wnet, jakby kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalię na sosnowej desce (Antek patrzył na to z rogu izby) i wsadzono ją, nogami naprzód, do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocnęła się.

— Matulu, co wy ze mną robicie? — zawołała.

— Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie.

Już ją wsunęły baby do połowy; dziewczyna poczęła się rzucać, jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękami za szyję i wniebogłosy krzyczała:

— A dyć wy mnie spalicie, matulu!...

Już ją całkiem wsunięto, piec założono deską, i baby poczęły odmawiać trzy Zdrowaśki...

— Zdrowaś Panno Maryo, łaski pełna...

— Matulu! matulu moja!... — jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. — O matulu!...

— Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnice.

— Matulu! — zawołał z płaczem — a dyć ją tam na śmierć zaboli!...

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, ażeby nie przeszkadzał odmawiać Zdrowasiek. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy Zdrowaśki odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup, ze skórą czerwona, gdzieniegdzie obłazła.

— Jezu! — krzyknęła matka, ujrzawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal po dziecku, że ledwie pomogła znachorce przenieść zwłoki na tapczan. Potem uklękła na środku izby i, bijąc głowę w klepisko, wołała:

— O! Grzegorzowa!... A cóż wyście najlepszego zrobili!....

— Et!... cichobyście lepiej byli. Wy może myślicie, że dziewczusko od gorąca tak zczerniało? To tak z niej choroba wylazła, ino, że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. To wszystko przecie z mocy Boskiej....

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalii. Umarła dziewczucha—to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok we wsi umiera, a przecie zawsze ich pełno!

Na trzeci dzień włożono Rozalię w świeżo zheblowaną trumienkę, z czarnym krzyżem, trumnę ustawiono w gnojownicach i powieziono dwoma wołami za wieś, tam, gdzie nad zapadłemi mogiłami czuwają spróchniałe krzyże i białokore brzozy. Na nierównej drodze trumienka skrzywiła się trochę na bok, a Antek, trzymający się fałdów spódnicy matczynej, idąc za wozem, myślał:

— Musi tam być źle Rozalce, kiedy się tak poprawia i na bok przewraca!....

Potem—pokropił ksiądz trumnę święconą wodą, czterech parobków spuściło ją na szalach do grobu, przywaliło ziemią—i tyle wszystkiego.

Wzgórza z lasem szumiącym i te, na których krzaki rosły, zostały tam, gdzie były. Pastusi, jak dawniej, grali na fujarkach w dolinie, i życie szło, wciąż szło swoją koleją, choć we wsi nie stało jednej dziewczuchy.

Przez tydzień mówiono o niej, potem zapomniano i opuszczono świeży grób, na którym tylko wiatr wzdychał i świergotały polne koniki.

A jeszcze potem spadł śnieg i nawet koniki wystraszył.

W zimie gospodarskie dzieci chodziły do szkoły. A że z Antka nie spodziewała się matka żadnej pomocy w gospodarstwie, raczej zawadę, więc poradziwszy się kuma Andrzeja, postanowiła oddać chłopca na naukę.

— A czy mnie w szkole nauczą wiatraki budować? — pytał Antek.

— Oho! nauczą cię nawet w kancelaryi pisać, byleś ino był chętny.

Wzięła tedy wdowa czterdzieści groszy w węzełek, chłopca w garść, i ze strachem, poszła do nauczyciela. Wszedłszy do izby, zastała go, jak sobie łątał stary kozuch. Pokłoniła mu się do nóg, doręczyła przyniesione pieniądze i rzekła:

— Kłaniam się też, panu profesorowi i ślicznie proszę, żeby mi wielmożny pan oto wisusa wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował, jak rodzony ojciec...

Wielmożny pan, któremu słoma wyglądała z dziurawych butów, wziął Antka pod brodę, popatrzał mu w oczy i poklepał.

— Ładny chłopak — rzekł. — A co ty umiesz?

— Jużci prawda, że ładny, — pochwyciła zadowolona matka—ale musi, że chyba nic nie umie.

— Jakże więc wy jesteście jego matką i nie wiecie, co on umie i czego się nauczył?— spytał nauczyciel.

— A skądbym ja miała wiedzieć co on umie? Przecie ja baba, to mi do tych rzeczy nic. A co uczył się on, niby mój Antek, to wiem, że uczył się bydło paść, drwa szczypać, wodę ze studni ciągnąć i chyba już nic więcej.

W taki sposób zainstalowano chłopca do szkoły. Ale że matce żal było wydanych czterdziestu groszy, więc, dla uspokojenia się, zebrała pod domem kilku sąsiadów i radziła się ich, czy to dobrze, że Antek będzie chodził do szkoły i że taki wydatek na niego poniosła.

— Te!... — odezwał się jeden z gospodarzy — niby to nauczycielowi z gminy się płaci, więc na upartego moglibyście mu nic nie dawać. Ale zawsze on się upomina, a takich, co nie płacą mu osobno, gorzej uczy.

— A dobry też z niego profesor?

— No! niczego!... On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy — jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do nego dopiero trzeci rok i już zna całe abecadło — z góry na dół i z dołu do góry.

— E! cóż to znaczy abecadło — odezwał się drugi gospodarz.

— Jużci że znaczy — rzekł pierwszy. — Nibyście to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: Żebym ja choć umiał abecadło, to bym z takiej gminy miał dochodu więcej, niż tysiąc rubli, tyle co pisarz!

W parę dni potem. Antek poszedł pierwszy raz do szkoły. Wydała mu się taka prawie porządna, jak ta izba w karczmie, co w niej szynkwas stoi, a ławki były w niej jedna za drugą, jak w kościele. Tylko, że piec pękł i drzwi się nie domykały, więc trochę ziębiło. Dzieci miały czerwone twarze i ręce trzymały w rękawach; nauczyciel chodził w kożuchu i w baraniej czapce. A po kątach szkoły siedział biały mróz i wytrzeszczał na wszystko iskrzące ślepie.

Usadzono Antka między tymi, którzy nieznali jeszcze liter, i zaczęła się lekcja.

Antek, upomniany przez matkę ślubował sobie, że musi się odznaczyć.

Nauczyciel wziął kredę w skostniałe palce i na zdezelowanej tablicy napisał jakiś znak.

— Patrzcie dzieci! — mówił. — Tę literę spamiętać łatwo, bo wygląda tak, jakby kto kozaka tańczył, i czyta się A. Cicho tam osły!... Powtórzcie: a... a... a...

— A!... a!... a!... — zawołali chórem uczniowie pierwszego oddziału.

Nad ich piskiem górował głos Antka. Ale nauczyciel nie zauważył go jeszcze.

Chłopca trochę to ubodło; ambicja jego była podrażniona.

Nauczyciel wyrysował drugi znak.

— Tę literę — mówił — zapamiętać jeszcze łatwiej, bo wygląda jak precel. Wdzieliście precel?

— Wojtek widział, ale my to chyba nie... — odezwał się jeden.

— No, to pamiętajcie sobie, że precel jest podobny do tej litery, która nazywa się B. Wołajcie: be! be!

Chór zawołał: be! be! — ale Antek tym razem rzeczywiście się odznaczył. Zwinął obie ręce w trąbkę i beknął, jak roczne cielę.

Śmiech wybuchnął w szkole, a nauczyciel aż zatrząsł się ze złości.

— He! — krzyknął do Antka. — Toś ty taki zuch? Ze szkoły robisz cielętnik? — Dajcie go tu na rozgrzewkę!

Chłopiec ze zdziwienia aż osłupiał, ale nim się upamiętał, już go dwaj najsilniejsi ze

szkoły chwycili pod ramiona, wyciągnęli nad środek i położyli.

Jeszcze Antek niedobrze zrozumiał o co chodzi, gdy nagle uczuł kilka tęgich razów i usłyszał przestrozę:

— A nie becz, hultaju! a nie becz!

Puścili go. Chłopiec otrząsnął się, jak pies wydobyty z zimnej wody, i poszedł na miejsce.

Nauczyciel wyrysował trzecią i czwartą literę, dzieci nazywały je chórem, a potem nastąpił egzamin.

Pierwszy odpowiadał Antek.

— Jak się ta litera nazywa? — pytał nauczyciel.

— A ta druga?

Antek milczał.

— Ta druga nazywa się be. Powtórz ośle.

— Powtórz, ośle, be!

— Albo ja głupi! — mruknął chłopiec, dobrze pamiętając, że w szkole beczeć nie wolno.

— Co, hultaju jakiś, jesteś hardy? Na rozgrzewkę go!...

I znowu ci sami co pierwszej koledzy pochwycili go, położyli, a nauczyciel udzielił mu taką samą liczbę prętów, ale już z upomnieniem:

— Nie bądź hardy! nie bądź hardy!

W kwadrans później zaczęła się nauka oddziału wyższego, a niższy poszedł na rekreację, do kuchni profesora. Tam, jedni pod dyktando gospodyni skrobali kartofle, drudzy nosili wodę, inni pokarm dla krowy. — i na tem zajęciu upłynął im czas do południa.

Kiedy Antek wrócił do domu, matka zapytała go?

— A co? uczyłeś się?

— Uczyłem.

— A dostałeś?

— O! i jeszcze jak! Dwa razy.

— Za naukę?

— Nie, ino na rozgrzewkę.

— Bo widzisz to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę! — pocieszyła go matka.

Antek zamyślił się frasobliwie.

— Ha, trudno, — rzekł w duchu. — Bije bo bije, ale przynajmniej pokaże, jak się wiatraki stawiają.

Od tej pory dzieci najniższego oddziału uczyły się wciąż czterech pierwszych liter, a potem szły do kuchni i na podwórze pomagać profesorskiej gospodynie. O wiatrakach mowy nie było.

Jednego dnia na dworze mróz był lżejszy, profesorowi także jakoś serce odtajało, więc chciał wytłumaczyć najmłodszym swoim wychowañcom, pożytek pisma.

— Patrzcie, dzieci — mówił, pisząc na tablicy wyraz dom: — jaka to mądra rzecz pisanie! Te trzy znaczki takie małe i tak niewiele miejsca zajmują, a jednak oznaczają—dom. Jak tylko na ten wyraz popatrzysz, to razaz widzisz przed oczyma cały budynek, drzwi okna, sień, izby, piece, ławy, obrazy na ścianach, krótko mówiąc: widzisz dom, ze wszystkim, co się w nim znajduje.

Antek przecierał oczy, wychylał się, oglądał napisany na tablicy wyraz, ale domu żadnym sposobem zobaczyć nie mógł. Wreszcie trącił swego sąsiada i spytał:

— Widzisz ty tę chałupę, co o niej profesor gadają?

— Nie widzę — odparł sąsiad.

— Musi to chyba być łgarstwo! — zakonkludował Antek.

Ostatnie zdanie usłyszał nauczyciel i krzyknął.:

— Jakie łgarstwo? Co łgarstwo?

— A to, że na tablicy jest dom. Przecie tam jest ino trochę kredy, ale domu nie widno—odparł naiwnie Antek.

Nauczyciel porwał go za ucho i wyciągnął na środek szkoły.

— Na rozgrzewkę go! — zawołał, i znowu powtórzyła się, z najdrobniejszymi szczegółami, dobrze już chłopakowi znana ceremonia.

Gdy Antek wrócił do domu czerwony, splakany i jakoś nie mogący znaleźć miejsca, matka znowu go zapytała:

— Dostałeś?

— A może matula myśla, że nie? — stęknął chłopiec.

— Za naukę?

— Nie za naukę, ino na rozgrzewkę!

Matka machnęła ręką.

— Ha! — rzekła po namyśle — musisz jeszcze pamiętać, to ci tam kiedy dadzą i za naukę.

A potem, dokładając drew do ognia na kominie, mruczała sama do siebie:

— Tak to zawsze wdowie i sierocie na tej ziemi doczesnej! Żebym ja profesorowi mogła dać z pół rubla, a nie czterdzieści groszy, toby mi chłopca od razu wziął. A tak baraszkuje sobie z nim i tyle.

A Antek, słysząc to, myślał:

— No, no! jeżeli on tak baraszkuje ze mną, to co dopiero będzie, jak mnie uczyć zacznie!

Na szczęście, czy nieszczęście, obawy chłopca nie miały się nigdy ziścić.

Jednego dnia, było to już we dwa miesiące po wstąpieniu Antka do szkoły, przyszedł do jego matki nauczyciel i po zwykłych przywitaniach zapytał:

— Jakże, moja kobieto, będzie z waszym chłopakiem? Daliście za niego czterdzieści groszy, ale na początku, i już trzeci miesiąc idzie, a ja szeląga więcej nie widzę! To się tak przecie nie godzi; płąćcie choć i po czterdzieści groszy, ale co miesiąc.

A wdowa nato:

— Skądże ja wezmę, kiedy nie mam! Co jaki grosz zarobię, to wszystko idzie do gminy. Nawet dzieciskom szmaty niema za co kupić.

Nauczyciel wstał z ławy, nałożył czapkę w izbie i odparł:

— Jeżeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka, jak moja, to nie dla biedaków.

Zabrał się i wyszedł, a wdowa, patrząc za nim, myślała:

— Jużci prawda. Jak świat światem, to ino pańskie dzieci chodziły do nauki. A gdzie zaś prosty człowiek mógłby na to wystarczyć!...

Zawołała znowu kuma Andrzeja na radę, i poczęli oboje egzaminować chłopca.

— Cóżes się ty, wisusie, nauczył przez te dwa miesiące? — pytał go Andrzej.—Przecie matka wydali na cię czterdzieści groszy...

— Jeszcze jak! — wręcała wdowa.

— Com się tam miał nauczyć! — odparł chłopiec... — Kartofle skrobią się tak w szkole, jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, że parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwał na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach...

— No, a nauki toś nic nie połapał?

— Kto tam co połapie! — mówił Antek. — Jak nas uczy po chłopsku—to źle. Napisze się na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom. A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumie! Jest tam kilku starszych co po szkolnemu pieśni śpiewają, ale młodszy to dobrze jak się trochę kląć nauczy....

— Ino kiedy spróbuj gadać tak paskudnie, to ja ci dam! — wtręcała matka.

— No, a do gospodarstwa nigdy, chłopaku, nie nabierzesz ochoty? — spytał Andrzej.

Antek pocałował go w rękę i rzekł:

— Poślijcie mnie już tam, gdzie uczą budować wiatraki.

Starzy, jak na komendę, wzruszyli ramionami.

Nieszczęsny wiatrak, po drugiej stronie Wisły mielący zboże, tak ugrząsł w duszy chłopca, że go już stamtąd żadna siła wydobyć nie mogła.

Po długiej naradzie postanowiono czekać. I czekano.

Upływał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, nareszcie chłopak doszedł do dwunastu lat, ale w gospodarstwie wciąż niewielkie oddawał usługi. Strugał swoje patyki, a nawet rzeźbił cudackie figury. I dopiero

gdy mu się kozik zepsuł, a matka na nowy nie dawała pieniędzy, wynajmował się do roboty. Jednemu nocą koni na łące pilnował, zatopiony w siwej mgle wieczornej i zapatrzony na gwiazdy; innemu woły prowadził przy orce; czasem poszedł do lasu po jagody lub grzyby i sprzedawał szynkarzowi Mordce za kilka groszy cały kosz.

W chacie im się nie wiodło. Gospodarstwo bez chłopca, to jak ciało bez duszy; a wiadomo, że ojciec Antka już od kilku lat wypoczywał na tem wzgórzu, gdzie przez żywopłot, czerwonymi jagodami okryty, spoglądają na wioskę smutne krzyże.

Wdowa do obrządzenia roli najmowała parobka, resztę pieniędzy musiała odnosić do gminy, a dopiero za to, co zostało, karmić siebie i chłopców.

Jadali też codzień barszcz z chleba i kartofle, czasem kaszę i kluski, rzadziej groch, a mięso—chyba tylko na Wielkanoc. Niekiedy i tego w chacie nie stało, a wówczas wdowa, nie potrzebując pilnować komina, łatała synom sukmanki. Mały Wojtek płakał, a Antek z nudów, w porze obiadowej, łapał muchy i po takiej uczcie znowu szedł na dwór do strugania swoich, drabin, płotów, wiatraków i Świętych. Bo także wystrugiwał i Świętych, co prawda, na początek bez twarzy i rąk.

Nareszcie kum Andrzej, wierny przyjaciel osieroconej rodziny, wyrobił Antkowi miejsce u kowala, w drugiej wsi. Jednej niedzieli poszli tam z wdową i chłopcem. Kowal przyjął ich niezgorzej. Wypróbował chłopca w ręku i krzyżu, a widząc, że na swój wiek jest wcale mocny, przyjął go do terminu, bez zapłaty, i tylko na sześć lat. Straszno i smu-

tno było chłopcu patrzeć, jak płacząca matka i stary Andrzej, pożegnawszy jego i kowala, skryli się już za sadami, idąc z powrotem do domu. Było mu jeszcze smutniej, kiedy spał pierwszą noc pod cudzym dachem, w stodółce, między nieznanymi sobie chłopakami kowala, którzy zjedli jego kolację i jeszcze dali mu do snu parę kułaków, na zadatek dobrej przyjaźni.

Ale kiedy na drugi dzie!, równo ze świtem, poszli gromadą do kuźni, gdy rozniecili ognisko. Antek począł dąć pękatym miechem, a inni śpiewając z majstrem: "Kiedy ranne wstają zorze", poczęli kuć młotami rozpalone żelazo, — w chłocu zbudził się jakby nowy duch. Dźwięk metalu, rytmiczny huk, pieśń, której aż las odpowiadał echem — wszystko to upoiło chłopca... Zdaje się, że w sercu jego aniołowie niebiescy naciągnęli kilka strun, nieznanym innym chłopskim dzieciom, i że struny te odezwały się dopiero dziś przy sapaniu miecha, tętnieniu młotów i pryskających z żelaza iskrach.

Ach! jakiby z niego był dziarski kowal, a może i co więcej... Bo chłopak, choć nowa robota podobała mu się okrutnie, wciąż myślał o swoich wiatrakach.

Kowal, dzisiejszy opiekun Antka, był człowiek nijaki. Kuł żelazo i piłował je ani źle, ani dobrze. Czasami walił chłopców aż puchli, a najwięcej dbał o to, ażeby zbyt prędko nie wyuczyli się kunsztu. Bo taki młodzik, wyszedłszy z terminu, mógłby pod boki swemu rodzonemu majstrowi kuźnię założyć i zmusić go do staranniejszej roboty!...

A trzeba wiedzieć, że majster miał jeszcze jeden obyczaj.

Na drugim końcu wsi mieszkał wielki przyjaciel kowala—sołtys, który w zwykłe dni prawie nie odchodził od pracy, ale gdy mu co kapnęło z urzędu, rzucał gospodarstwo i szedł do karczmy mimo kuźni. Bywało tego raz, albo i dwa razy na tydzień.

Idzie sobie tedy sołtys, z zapracowanym na urzędzie groszem, pod sosnową wiechę, i niechcący zbacza do kuźni.

— Pochwalony! — woła do kowala, stojąc za progiem.

— Pochwalony! — odpowiada kowal.— A jak tam w polu?

— Niczego — mówi sołtys. — A jak u was, w kuźni?

— Niczego — mówi kowal. — Chwała Bogu, żeście choć, aby raz wyleźli z chałupy.

— A tak — odpowiada sołtys.—Takem ci się zgadał w kancelarji, że muszę choć odrobinię zeby popłókać. Może pójdziecie i wy od tego kurzu?

— Ma się rozumieć, że pójdę, przecie zdrowie jest najpierwsze — odpowiedział kowal, i nie zdejmując fartucha, szedł razem z sołtysem do karczmy.

A kiedy już raz wyszedł, mogli chłopcy na pewno gasić ognisko. Żeby robota była najpilniejsza, żeby się walił świat, ani majster, ani sołtys przed wieczorem nie wyszli z karczmy, chyba, że sołtysowi narzuciła się jaka urzędowa czynność.

Dopiero późno w nocy wracali do domu.

Zwykle sołtys wiódł kowala pod rękę, a ten dźwigał butelkę “płókania” na jutro. Na drugi dzień sołtys był zupełnie trzeźwy i gospodarował, aż do nowego zarobku na urzędzie, ale kowal wciąż zaglądał do przyniesio-

nej butelki, dopóki się dno nie pokazało, i tym sposobem od jednego zamachu wypoczywał przez dwa dni.

Już półtora roku nadymał Antek miechy w kuźni, nie robiąc zdaje się nic więcej, i półtora roku majster z sołtysem regularnie płótkali zęby pod sosnową wiechą. Aż raz zdarzył się wypadek...

Kiedy sołtys z kowalem siedzieli w karczmie, nagle po pierwszym półkwatku dano znać, że ktoś tam powiesił się — i gwałtem wyciągnięto sołtysa z za stołu. Kowal, nie mając odpowiedniego towarzystwa, musiał zaprzestać płókania, ale kupił niezbędną butelkę i powoli wracał z nią ku domowi.

Tymczasem do kuźni przyszedł chłop z koniem do okucia.

Ujrzawszy go, terminatorowie zawołali:

— Niema majstra, dziś robi z sołtysem płókanie!

— A z was to żaden nie potrafi szkapy okuć? — spytał markotnie gospodarz.

— Kto tam potrafi! — odparł najstarszy terminator.

— Ja wam okuję! — odezwał się nagle Antek.

Tonący chwytą się brzytwy, więc i chłop zgodził się na propozycję Antka, choć niewiele mu ufał, a jeszcze inni terminatorowie wyśmiewali go i wymyślali.

— Widzisz go, niedorostka! — mówił najstarszy. — Jak żyje, nie trzymał młota w garści, tylko dymał i węgli dokładał, a dziś porywa się na kucie koni!...

Widać jednak, że Antek miewał młot w garści, bo zawinawszy się, w niedługim nawet czasie odkuł kilka gwoździ i podkowę.

Wprawdzie podkowa była za wielka i niezbyt foremna, ale swoją drogą terminatorowie potwierdali gęby.

Właśnie, przyszedł na tę chwilę i majster. Opowiedziano mu co się stało, pokazano podkowę i gwoździe.

Kowal obejrzał i aż przetarł krwią nabiegłe oczy.

— A ty gdzieś się tego nauczył, złodzieju? — zapytał Antka.

— A w kuźni — odparł chłopiec, zadowolony z komplementu. — Jak pan majster poszedł na płókanie, a oni rozbiegli się, to ja wykuwałem różne rzeczy z ołowiu, albo i z żelaza.

Majster tak był zmieszany, że nawet zapomniał zbić Antka za psucie materiałów i narzędzi. Aż poszedł na radę do żony, skutkiem czego chłopca wydalonono z kuźni i przeznaczono do gospodarstwa.

— Za mądryś ty, kochanku! — mówił mu kowal. — Nauczyłbyś się fachu we trzy lata i późniejbyś uciekł. A przecież matka oddała mi cię na sześć lat—do służby.

Pół roku jeszcze był Antek u kowala. Kopał w ogrodzie, pełł, rąbał drzewo, kołysał dzieci, ale już nie przestąpił progu kuźni. Pod tym względem wszyscy go rzetelnie pilnowali; i majster, i majstrowa, i chłopcy. Nawet własna matka Antkowa i kum Andrzej, choć wiedzieli o dekrete kowalskim, nic przeciw niemu nie mówili. Według umowy i obyczaju chłopiec dopiero po sześciu latach miał prawo jak tako fuszerować kowalstwo. A że był dziwnie bystry i nie uczony przez nikogo nauczył się kowalstwa sam, w ciągu roku, więc tem gorzej dla niego!

Swoją drogą Antkowi uprzykrzył się taki tryb życia.

— Mam ja tu kopać i drwa rąbać, więc wolę to samo robić u matki!

Tak sobie myślał przez tydzień, przez miesiąc. Wahał si. Ale w końcu — uciekł od kowala i wrócił do domu.

Te jednak dwa lata wyszły mu na dobre. Chłopak wyrósł, zmężniał, poznał trochę więcej ludzi, aniżeli w swojej dolinie, a nade wszystko poznał więcej rzemieślniczych narzędzi.

Teraz, siedząc w domu, pomagał czasem przy gospodarstwie, ale przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już prócz kozika miał dłótka, pilnik i świderka, i władał nimi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów począł nawet kupować Mordko szynkarz. Na co?... Antek o tem nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niezgorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tembardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Alboż kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek?...

Tymczasem chłopiec podrastał, a dziewczuchy i kobiety wiejskie coraz milej na niego spoglądały i coraz częściej mówiły między sobą:

— Ładny bestja, bo ładny!

Rzeczywiście Antek był ładny. Był dobrze zbudowany, w sobie zręczny i pro-

sto się trzymał, nie tak jak chłopci, którym ramiona zwieszają się, a nogi ledwie posuwają się od ciężkiej pracy. Twarz także miał nie taką, jak inni, ale rysy bardzo regularne, cerę świeżą, wyraz rozumny. Miał też jasne kędzierzawe włosy, ciemnawe brwi i ciemnoszafirowe oczy, marzące.

Mężczyźni dziwili się jego sile i sarkali na to, że próżnował. Ale kobiety wołały mu patrzeć w oczy.

— Jak on bestja spoglądnie na człowieka, — mówiła jedna z bab — to aż cię mrowie przechodzi. Taki jeszcze młodziak, a już patrzy na cię, jak dorosły szlachcic!...

— Bo to prawda! — zaprzeczyła druga. — On patrzy zwyczajnie jak niedorostek, ino ma taką słodkość w ślipiach, że aż cię rozbieira. Ja się na tem znam!...

— Chyba ja się lepiej znam — odparła pierwsza. — Przeciem służyła we dworze...

A gdy się kobiety spierały tak o patrzenie Antkowe, on tymczasem na nie nie patrzył wcale. U niego więcej jeszcze znaczył dobry pilnik, aniżeli najładniejsza kobieta.

W tym czasie wójt, stary wdowiec, który już córkę z pierwszego małżeństwa wydał za mąż i miał jeszcze w domu kilkoro małych dzieci z drugiego małżeństwa, ożenił się trzeci raz. A jako zwykle łysi miewają szczęście, więc wynalazł sobie za Wisłą żonkę młodą, piękną i bogatą.

Kiedy para ta stanęła przed ołtarzem, ludzie poczęli się śmiać; a i sam ksiądz trochę pokiwał głową, że tak nie pasowali do siebie.

Wójt trząsł się jak dziad, który ze szpitala wyjdzie, i dlatego tylko był mało siwy,

że miał głowę łysą, jak dynia. Wójtowa była jak iskra. Czysta Cyganka, z wiśniowemi ustami, nieco odchylonemi, i z oczyma czarnemi, w których niby ogień paliła się jej młodość.

Po weselu, dom wójta, zwykle cichy, bardzo się ożywił, bo raz w raz przybywali goście. To strażnik, który częstsze miewał niż zwykle interesa do gminy; to pisarz, który, znać, nie dosyć nacieszywszy się wójtem w kancelarji, jeszcze go w domu odwiedzał; to znów strzelcy rządowi, których dotychczas we wsi niebardzo kiedy widywano. Nawet sam profesor, odebrawszy miesięczną pensję, cisnął w kąt stary kozuch i ubrał się—jak magnat, tak, że niejeden wiejski człowiek począł go tytułować: wielmożnym dziedzicem.

I wszyscy owi strażnicy, strzelcy, pisarze i nauczyciele ciągnęli do wójtowej, jak szczury do młyna. Ledwie jeden wszedł do izby, już drugi wystawał za płotem, trzeci sunął z końca wsi, a czwarty kręcił się koło wójta. Jejmość rada była wszystkim, śmiała się, karmiła, poila gości. Ale też czasem wytargała którego za włosy, a nawet i wybiła, bo humor u niej łatwo się zmieniał.

Nareszcie, po półrocznem weselu, zaczęło być trochę spokojniej. Jedni goście znużili się, drugich wójtowa przepędziła, i tylko podstarzały profesor, sam lichy jedząc i morząc głodem swoją gospodynię, za każdą pensję miesięczną kupował sobie jakiś figlas do ubrania i siadywał u wójtowej na progu (bo go z izby wyganiano), albo kłął i wzdychał pomiędzy opłotkami.

Jednej niedzieli poszedł Antek na sumę, jak zwykle, z matką i bratem. W kościele

było już ciasno, ale dla nich znalazło się jeszcze nieco miejsca. Matka uknęła między kobietami na prawo, Antek z Wojtkiem między chłopami na lewo, i każdy modlił się jak umiał. Naprzód do Świętego w wielkim ołtarzu, potem do Świętego, co stoi wyżej nad tamtym, potem do Świętych w ołtarzach bocznych. Modlił się za ojca, którego przytłukło drzewo, i za siostrę, z której za prędko choroba w piecu wyszła, i za to, ażeby Pan Bóg miłosierny i jego Święci ze wszystkich ołtarzów dali mu szczęście w życiu, jeżeli taka będzie ich wola.

Wtem, gdy Antek już czwarty raz z kolei powtarza swoje pacierze, uczuł nagle, że ktoś udeptał go w nog i ciężko oparł mu się na ramieniu. Podniósł głowę. Przeciskając się pomiędzy ciżbą ludu, stała nad nim wójtowa, na twarzy smagła, zaczerwieniona, zadyszana z pośpiechu. Ubierała się jak chłopka, a z pod chustki, spadającej z ramion, widać było koszulę z cienutkiego płótna i sznury paciorków z bursztynów i koralów.

I popatrzali sobie w oczy. Ona wciąż nie zdejmowała mu ręki z ramion, a on... klęczał, patrzył na nią, jak na cudowne zjawisko nie śmiejąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła.

Między ludźmi poczęto szeptać.

— Usuńcie się, kumie, pani wójtowa idą...

Kumowie usunęli się, i wójtowa poszła dalej, aż przed wielki ołtarz. W drodze niby potknęła się i znów spojrzała na Antka, a chłopca aż gorąco oblało od jej oczu. Potem usiadła na ławce i modliła się z książki, a czasami podnosząc głowę i spoglądając na

kościół. A kiedy na Podniesienie zrobiło się cicho, jakby makiem zasiał, i pobożni upadli na twarze, ona złożyła książkę i znowu odwróciła się do Antka, topiąc w nim ogniste źrenice. Na jej cygańską twarz i sznur paciorków spłynął z okna snop światła, i wydała się chłopcu jako święta, wobec której ludzie milkną i rzucają się w proch.

Po sumie, ludzie tłumem poszli do domów. Wójtową otoczyli pisarz, nauczyciel i gorzelnik z trzeciej wsi, i już Antek nie mógł jej zobaczyć.

W chacie postawiła matka chłopakom doskonały krupnik, zabieleny mlekiem, i wielkie pierogi z kaszą. Ale Antek, choć lubił to, jadł ledwie jednym zębem. Potem zabrał się, poleciał w góry, i położywszy się na najwyższym szczycie, patrzył stamtąd na wójtową chatę. Ale widział tylko słomiany dach i mały niebieski dymek, wydobywający się powoli z obielonego komina. Więc zrobiło mu się tak czegoś tęskno, że schował twarz w starą sukmanę i zapłakał.

Pierwszy raz w życiu uczuł wielką swoją nędzę. Chata ich była najuboższą we wsi, a pole najgorsze. Matka, choć przecie gospodyni, pracować musiała jak komornica i odziewała się prawie w łachmany. Na niego patrzano we wsi, jak na straceńca, który niewiadomo po co innym chleb zjada. A co go się nie nabili, co go się nawet psy nie nagryzły!...

Jakże daleko było mu do profesora, gorzelnika, a choćby i do pisarza, którzy, ile razy chcieli, mogli wejść do wójtowskiej chaty i gadać z wójtową! Jemu zaś nie o wiele chodziło. Pragnął tylko, żeby jeszcze choć

raz jeden, jedyny i ostatni raz w życiu, oparła mu kiedy wójtowa na ramieniu rękę i spojrzała w oczy tak, jak w kościele. Bo w jej spojrzeniu mignęło mu coś dziwnego, coś jak błyskawica, przy której na krótką chwilę odsłaniają się niebieskie głębokoci, pełne tajemnic. Gdyby je kto dobrze obejrzał, wiedziałby wszystko, co jest na tym świecie, i byłby bogaty, jak król.

Antek w kościele nie przypatrzył się dobrze temu, co mignęło w oczach wójtowej. Był nieprzygotowany, olnśiony i szczęśliwą sposobność stracił. Ale gdyby ona tak jeszcze kiedy na niego chciała spojrzeć!...

Marzyło mu się, że zobaczył przelatujące szczęście i strasznie do niego zatęsknił. Zbudziło się drzemiące serce i wśród boleści poczęło się—jakby przeciągać. Teraz świat wydał mu się całkiem odmienny. Dolina była za szczupła, góry za niskie, a niebo—bodaj czy się nie opuściło, bo zamiast porywać ku sobie, zaczęło go przygniatać. Chłopiec zeszedł z góry pijany, nie wiedząc jakim sposobem znalazł się nad brzegiem Wisły, i patrząc w rzeczne wiry, czuł, że go coś pociąga ku nim.

Miłość, której nawet nazwać nie umiał, spadła nań jak burza, rozniecając w duszy strach, żal, zdziwienie i—albo on wiedział co jeszcze?

Odtąd co niedziela chodził do kościoła na sumę i ze drżeniem serca czekał na wójtową, myśląc, że jak wtedy położy mu rękę na ramieniu i spojrzy w oczy. Ale wypadki nie powtarzają się, a zresztą uwagę wójtowej pochłaniał teraz gorzelnik, chłop młody i

zdrowy, który aż z trzeciej wsi przyjeżdżał... na nabożeństwo.

Wówczas Antek wpadł na osobliwy pomysł. Postanowił zrobić piękny krzyżyk i ofiarować wójtowej. Wtedy ona chyba spojrzy na niego i może uleczy z tej tęsknicy, która mu wypijała życie.

Za ich wsią, na rozstajnych drogach, znajdował się dziwny krzyż. Od podstawy owijały go powoje. Nieco wyżej była drabinka, włócznia i cierniowa korona, a u szczytu, przy lewem ramieniu, wisiała jedna ręka Chrystusa, bo resztę figury ktoś ukradł—pewnie na czary. Ten to krzyż wziął Antek jako model.

Strugał więc, przerabiał i nanowo zaczynał swój krzyżyk, starając się, ażeby był piękny i wójtowej godny.

Tymczasem na wieś spadło nieszczęście. Wisła wylała, przerwała tamę i zniszczyła przybrzeżne pola. Ludzie wiele stracili, ale najwięcej Antkowa matka. W chacie jej pokazał się nawet głód. Trzeba było iść na zarobek; chodziła więc i sama nieboga, i Wojtusia oddała na pastucha. Ale wszystko to nie wystarczało. Antek, nie chcący jąć się pracy gospodarskiej, był dla niej prawdziwym ciężarem.

Widząc to, stary Andrzej począł nalegać na chłopca, ażeby poszedł w świat.

— Jesteś przecie chłopak bystry, silny, zręczny do rzemiosła, więc udaj się między miejskich ludzi. Tam nauczysz się czego i jeszcze matce będziesz pomocny, a tu ostatni kęs chleba odejmujesz jej od gęby.

Antek aż pobladł na myśl, że przyjdzie mu opuścić wieś, bez zobaczenia się choć raz

z wójtową. Rozumiał jednak, że inaczej być nie może, i tylko prosił, żeby mu zostawili kilka dni.

Przez ten czas z podwojoną gorliwością rzeźbił swój krzyżyk i wyrzeźbił bardzo ładny, z powojem u dołu, z narzędziami męki i z ręką Pańską przy lewem ramieniu. Ale gdy skończył robotę, żadną miarą nie miał odwagi pójść do wójtowskiego mieszkania i swój dar ofiarować woójtowej.

Przez ten czas matka połatała mu odzienie, pożyczyła od Mordki rubla na drogę, wystarała się o chleb i ser do kobiałki, wypłakała się. Ale Antek wciąż marudził, z dnia na dzień odwlekając swoje wyjście.

Zniecierpliwiło to Andrzeja, który jednej soboty wywołał chłopca z chaty i rzekł mu surowo:

— No, a kiedyż ty, chłopaku, opamiętasz się. Czy chcesz, żeby przez ciebie matka z głodu i z pracy zmarła? Przecie ona swojemi staremi rękami nie wykarmi siebie i takiego jak ty draba, co próżnuje po całych dniach!...

Antek schylił mu się do nóg.

— Poszedłbym już, Andrzeju, ale kiedy mi strasznie żal porzucić swoich!

Nie powiedział jednak, kogo mu żal najwięcej.

— Oho! — zawołał Andrzej. — A cóżeś ty dziecko przy piersi, że nie możesz się obejść bez matki? Dobry z ciebie chłopak, ani słowa, ale masz w sobie takiego niechcieja, co by cię tu do siwych włosów trzymał matce na karku. Dlatego ja ci powiem; jutro święta niedziela, wszyscy będziemy wolni i odprowadzimy cię. Więc po nabożeństwie zjesz obiad

i pójdiesz. Dłużej tu z założonemi rękami niema co siedzieć. Ty najlepiej wiesz, że mówię prawdę.

Antek, upokorzony, wrócił do chaty i powiedział, że jutro pójdzie w świat szukać roboty i nauki. Biedna kobieta, połykając łzy, poczęła szykować go do drogi. Dała mu starą kobiałkę, jedyną w chacie, i torbę parcianą. W kobiałkę włożyła trochę jadła, a w torbę pilniki, młotek, dłódka i inne narzędzia, któremi Antek od tylu lat wyrabiał swoje zabawki.

Nadeszła noc. Antek legł na twardej ławie, ale zasnąć nie mógł. Uniósł głowę, patrzył na dogasające w kominie węgle, słuchał dalekiego szczekania psów, albo świerkania świerszcza w chacie, który nad nim tak wołał, jak wołają polne koniki nad opuszczonym grobej małej jego siostry, Rozalii.

W tem usłyszał jakiś szmer w rogu izby. To bezsenna matka jego pocichu szlochała...

Słońce było wysoko, kiedy się obudził.

Antek ukrył głowę pod sukmanę.

Matka już wstała i drżącemi rękami ustawiała garnuszki przy ogniu.

Potem wszyscy razem usiedli za stół, do śniadania, i trochę podjadłszy, poszli do kościoła.

Antek miał na piersiach pod sukmaną swój krzyżyk. Co chwila przyciskał go, oglądając się niespokojnie, czy gdzie wójtowej nie widać, i myśląc z trwogą, jak też on swój dar doręczy?

W kościele nie było wójtowej. Chłopak, klęcząc na środku, machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił?... nie rozumiał. Gra organów, śpiew ludu, dźwięk dzwonków i

własne cierpienie w duszy jego zlały się w jedną wielką zawieruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w tej chwili, kiedy on ma opuścić wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał.

Ale na świecie było spokojnie, tylko w nim tak kipiał żal.

Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek ocknął się, spojrzał. Jak wówczas, tak i dziś było Podniesienie, i jak wówczas, w ławce przy wielkim ołtarzu, siedziała wójtowa. Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zacząłgał się na kolanach aż do owej ławki i znalazł się u nóg wójtowej. Sięgnął za pazuchę i wy dobył krzyżyk. Ale odbiegła go wszelkia śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc, zamiast oddać krzyżyk tej, dla której rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoją pracę na gwoździu, wbitym w ścianę obok ławki. W tej chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a razem z nim swoją tajemną miłość i niepewną przyszłość.

Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo jak wtedy. Ale on nic nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami.

Po sumie, matka, z dziećmi wróciła do chaty. Ledwie zjedli kartoflanke i trochę klusków, ukazał się w izbie kum Andrzej i po przywitaniu rzekł:

— No, chłopcze! zabieraj się! Komu w drogę, temu czas.

Antek podpassał sukmanę rzemykiem, przywiesił torbę z narzędziami przez jedno ramię, a kobiałkę przez drugie. Gdy już wszy-

scy gotowi byli do drogi, chłopiec ukląkł, przeżegnał się i ucałował klepisko chaty, jak podłogę kościelną. Potem matka wzięła go za jedną rękę, brat Wojtuś za drugą, i jak pana młodego do ślubu, wiedli go oboje najukochańsi na próg świata.

Stary Andrzej włókł się za nimi.

— Masz tu rubla, Antku — mówiła matka, wciskając chłopcu w rękę gałganek, pełen miedzianych pieniędzy. — Nie kupuj za to dziecko statków do krajan, ino schowaj se ten grosz na złe czasy, kiedy ci się jeść zachce. A jeżeli kiedy zarobisz taki pieniądz, to daj go na mszę świętą, ażeby ci Bóg błogosławił.

I szli tak wolno, wawozem pod górę, aż im wieś z oczu znikła; tylko z karczmy dolaływało ciche granie skrzypków i dudnienie bębna z dzwonkami. Wreszcie i to ucichło; znaleźli się na wyżynie.

— No, wróćwa się już! — rzekł Andrzej. — A ty, chłopaku, idź wciąż drogą i pytaj się o miasto. Bo tobie nie na wsi mieszkać, ino w mieście, gdzie ludzie chętniejsi są do młotka, niż do roli.

Wdowa na to odezwała się z płaczem:

— Kumie Andrzeju, odprowadźmyż go choć do figury świętej, gdzieby pobłogosławić go można.

A potem biadała:

— Czy kto słyszał, żeby rodzona matka dziecko swoje wiodła na stracenie? Wychozili, prawda, od nas chłopacy do wojska, ale to był mus. Nigdy przecie nie widziano, żeby kto z własnej woli opuszczał wieś, gdzie się urodził i gdzie go przyjąć powinna święta ziemia! Oj! doloż ty moja, dolo! że ja już trzecią

osobę z chaty wyprowadzam, a sama jeszcze żyję na świecie!... A schowałeś, synusiu, pieniądze?

— Schowałem, matulu.

Doszli i do figury i poczęli się żegnać.

— Kumie Andrzeju, — mówiła wdowa, łkając — wyście tyle świata widzieli, wyście z bractwa, pobłogosławcież tego sierotę... a dobrze, żeby się nim Pan Bóg opiekował.

Andrzej popatrzył w ziemię, przypomniał sobie modlitwę za podróżnych, zdjął czapkę i położył ją pod figurą. Potem wzniosł ręce ku niebu, a gdy wdowa i obaj jej synowie ukłękli, począł mówić:

— O Boże Święty, Ojczy nasz, któryś naród swój wyprowadził z ziemi Egipskiej i z domu niewoli, który każdemu stworzeniu, co się rucha, dajesz pokarm, który ptaki powietrzne do ich starodawnych gniazd powracasz, Ciebie prosimy, bądź miłościw temu podróżnemu, ubogiemu i strapionemu! Opiekuj się nad nim Boże nasz święty, w złych przygodach pocieszaj, w chorobie uzdrów, w głodzie nakarm i w nieszczęściu ratuj. Bądź mu, Panie, miłościw, pośród obcych, jakoś był Tobiaszowi i Józefowi. Bądź mu Ojcem i Matką. Za przewodników daj mu aniołów Swoich, a gdy spełni, co sobie zamierzył— do naszej wsi i do jego domu szczęśliwie go powróć.

Tak się modlił chłop, w świątyni, gdzie polne zioła pachnęły, śpiewały ptaki, gdzie pod nimi błyszczała w ogromnych skrętach Wisła, a nad nimi stary krzyż szeroko otwierał ramiona.

Antek upadł do nóg matce, potem Andrzejowi, ucałował brata i — poszedł drogą.

Ledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, aż wdowa zawołała za nim:

— Antku!...

— Co, matulu?...

— A jak ci tam będzie źle u obcych, wracaj do nas... Niech cię Bóg błogosławi!

— Zostańcie z Bogiem!—odparł chłopak.

Znowu uszedł kawałek drogi, i znowu zawołała za nim smutna matka:

— Antku!... Antku!...

— Co matulu? — spytał chłopiec.

Głos jego już słabiej dolatywał.

— A nie zapomnij o nas, synusiu! Niech cię Bóg błogosławi!

— Zostańcie z Bogiem!

I szedł, szedł, szedł, jak ów chłopak, co wybrał się po cyrograf, wystawiony na własną duszę. Wreszcie za wzzgórkim znikł. Na polu rozlegał się jęk zbolalej matki.

Ku wieczorowi niebo zaciągnęło się chmurami, i spadł drobny deszcz. Ale że chmury nie były gęste, więc przedarły się przez nie blaski zachodzącego słońca. Zdawało się, że nad szarem polem i nad grzązką gliniastą drogą unosi się złote sklepienie, powleczone żałobną krepą.

Po tem polu szarem i cichem, bez drzew, po drodze grzązkiej, posuwał się zwolna strudzony chłopiec, w siwej sukmance, z kobiałką i torbą na plecach.

Zdawało się, że wśród głębokiego milczenia krople deszczu nucą tęskną melodię znanej pieśni:

Przez dolinę, przez pole,

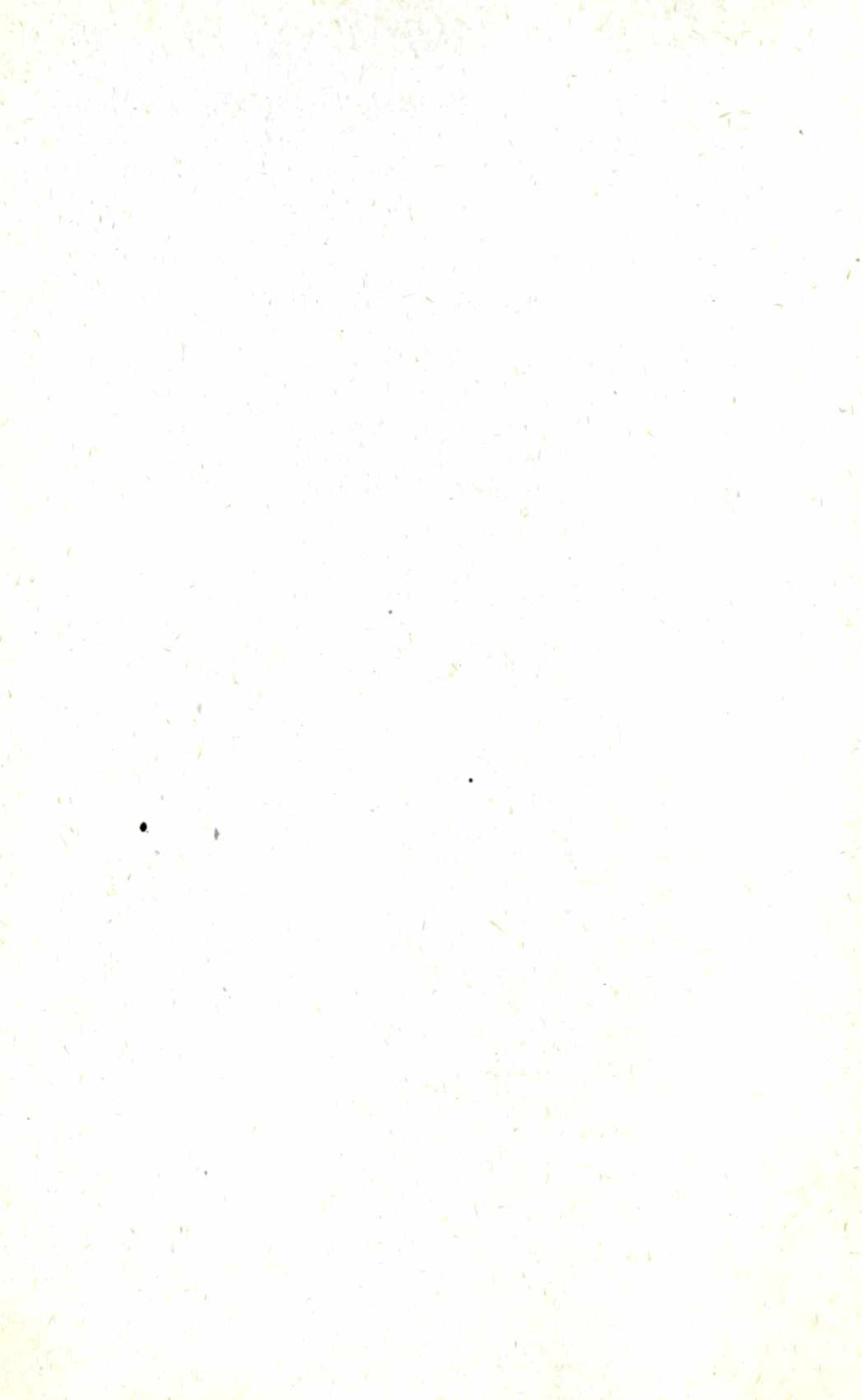
Idzie sobie pacholę.

Idzie sobie i śpiewa,

Wiatr mu z deszczem przygrywa!

Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odbłask nieba, które przegląda się w powierzchni spokojnych wód; w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie nieświadomą miłość.

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już za ciasno, więc wyszedł w świat, oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom.



CIE N I E

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch — wielka armia nocy, o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze wiatłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczoru, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, porowach, w kątach domów, w załamkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wedrzeć się na niezajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armia zmroków gęstemi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapełnia korytarze domów, sienie i źle oświecone schody; z pod szaf i stołów wypełza naśrodek pokojów i obsiada firanki przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchem milczeniu szturmuje ściany i dachy, i zaczajona na

szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka, i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności, sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

Takiej chwili, na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie, i roznieciwszy wesołe światło, znika, jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, postawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi możesz porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty wogóle posiadasz jaki dom, w którymby cię znaleźć można? imię, którem można by ciebie zawołać? potrzeby i uczucia, któreby cię robiły takim, jak my, człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujętą, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika, jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem

do wskazanego domu i zapytałem stróża:

— Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

— U nas.

— A gdzie?

— W tamtej komórcie.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okna, ale tylko zobaczył tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było.

— Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

— Kto go tam wie! — odparł stróż, wzruszając ramionami. — Sam go nawet dobrze nie znam, — dodał, — bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

— W pół roku, przyszedłem drugi raz.

— A dziś niema w domu latarnika?

— Oho! — rzekł stróż — niema i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł.

Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów, pojechałem na cmentarz.

— Pokażcie mi, grabażu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

— Latarnika?... powtórzył. — Kto go tam wie! — Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

— Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

— Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

— Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

— Takich zwieźli szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego

grobu. I został tem po śmierci, czem była za życia: istotą widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytą jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna; gdzie na skrzepowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść, — po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trzdzi się nieoceniony, a potem znika, jak cień...

CO TO JEST BLAGA?

Było już około 10-ej wieczorem. Poważny pan Ezechiel kilkakrotnie spojrzął na zegarek, szpakowata pani Weronika kończyła robotę włóczkowej chusteczki, a pulchna mężatka, pani Balbina, bez ceremonii ziewała. Tak widoczne oznaki nudów zdolne były zakłopotać najmniej uprzejmego gospodarza; to też nie dziw, że znani z gościnności państwo Sylwestrowie wili się jak dwie muchy w ukropie, zapewne rozmyślając nad sposobami ubawienia swoich gości.

Nagle, w chwili gdy brwi zmartwionego pana Sylwestra dosięgły najwyższego położenia na czole, a koralowe usteczka pani Balbiny robiły się coraz podobniejsze do bramy zajezdnego domu, jedno pytanie rzucone jak bomba przez eleganckiego Fabiana, spłoszyło anioła ciszy:

— Bardzo byłbym wdzięczny — mówił pan Fabian — temu, ktoby mi dokładnie objaśnił, co znaczy tak powszechnie dziś używany wyraz blaga?...

— Nic łatwiejszego — mruknął poważny Ezechiel.

— Najzupełniej zgadzam się z panem! — potwierdził gościnny Sylwester.

— A... ach!... — ziewnęła ponętna Balbina.

— Dobranoc państwu!... — szepnęła Mania, córeczka państwa Sylwestrów, rozkoszny 14-to-letni cherubinek, który miał wielką ochotę posłuchać objaśnienia wyrazu: bla-

ga, lecz na dany przez troskliwą mamę znak, musiał opuścić rozbudzone towarzystwo i odejść do swego pokoju.

— Owe wyprzedaże zupełne, pożyczki premiowe, koncerty dobroczynne, — mówił pan Ezechiel — owe wyrzekania na ucisk klas ubogich przez kapitalistów, wszystko to blaga!...

— Mój panie, — odezwała się pani Weronika — po co mamy tak daleko szukać, kiedy w najbliższych znajomych nam kółkach jest tyle blagi, że ta wystarczy do doskonałego objaśnienia wyrazu...

— No, żegnam państwa! — przerwała pani Balbina, nie mająca zwyczaju robić sobie z nikim ceremonii. — Uważam, że pani Weronika znalazła już swój ulubiony temat, nie chcę więc jej przeszkadzać.

— Ależ pani!... Ależ droga pani!... — zawołali jednocześnie gościnni państwo Sylwestrowie, zrywając się z krzeseł, zapewne dla zatrzymania tak przyjemnej osoby.

— Słowo daję, że nie mogę czekać dłużej... Mąż będzie niespokojny, a przytem głowa trochę mnie boli. — tłómaczyła się pani Balbina, całując damy i łaskawie podając rączki mężczyznom.

— Może pani dobrodziejka pozwoli sobie służyć? — spytał szanowny Ezechiel.

— O dziękuję! bardzo dziękuję! mam tylko parę kroków do domu. Adieu!...

I w kilkanaście sekund znikła.

— Zawsze do męża i zawsze przy mężu!... co za doskonała kobieta! — zaczął gospodarz z dwuznacznym uśmiechem.

— Ach, Boże! — zawołała z gniewem pani Weronika. — Oto jest dopiero przy-

kład blagi... Niby to kocha męża, a ma tuziny kochanków...

— Jest na pozór bardzo rozsądna i taktowna, a przecież robi szalone wydatki i zaciąga długi — dodał Ezechiel.

— Pod pretekstem szczerości prawi ludziom impertynencye — uzupełnił Sylwester.

— Tak, istotnie... — pochwycił miły Fabian. — Pani Balbina bardzo szczęśliwie przyczyniła się do objaśnienia rzuconej kwestyi!... Lecz o Boże! — zawołał nagle — jest już kwadrans po 10-ej, a ja mam odwieźć z teatru moją siostrę, panią baronową X., pozwolicie więc państwo, że pożegniam...

— Jaka szkoda! — westchnęła Weronika.

— Nie godzi się, panie Fabianie, przerywać rozmowy, której pan jesteś duszą — rzekła z najśłodszym uśmiechem gospodyni.

— No, trudno!... Jeżeli pan Fabian ma odprowadzić panią baronową, to nie powinniśmy go zatrzymywać — zakonkludował gospodarz.

Gdy po czułym pożegnaniu gość zniknął, pan Ezechiel rzekł z bardzo uroczystą miną:

— Nie rozumiem, dalibóg! jakim czołem ten młodzieniec dopytuje się o znaczenie wyrazu blaga, będąc sam tak doskonałym blagierem!...

— Jaki pan Ezechiel złośliwy! — szepnęła pani domu.

— To nie złośliwość, moje dziecko, — wstrącił gospodarz, — lecz sprawiedliwość. Nikt istotnie nie dorównał panu Fabianowi w sztuce udawania, a i teraz nawet nie je-

stem pewny, czy zamiast do siostry nie poszedł... no, gdzieindziej.

— Naprzykład za panią Balbiną! — odezwała się Weronika.

— Ależ droga pani!... — protestuje gospodyni domu.

— Mniejsza już o panią Balbinę, — mówi Ezechiel — bo swoją drogą i bez niej Fabianek jest blagierem. Ja sam znam parę wypadków, w których, doprawdy, chłopiec ten przeszedł samego siebie...

— Ta... ta jego pycha arystokratyczna jest pierwszą blagą — przerywa Weronika. — Wiadomo przecież, że ojciec jego był lokajem...

— Lokajem?... A cóż znaczy siostra baronowa?

— Znaczy to, że wyszła za fabrykowanego barona, który przed kilkunastu laty trzodą handlował.

— Ależ majątek samego Fabiana?...

— Gdzie on ma majątek! — odzywa się pan Ezechiel. — Pieczeniarsuje przy wielkich panach, pożyczka niby to dla nich pieniądze u lichwiarzy, a przy tej sposobności i o sobie nie zapomina. Oto wszystko!

— Bójcie się państwo Boga, czy to być może?! — pyta bolejącym głosem pani Sylwestrowa. — Zdawał się taki przyzwoity chłopiec!...

— Droga Klociu! — upomina ją mąż — droga Klociu, nie dziw się tak znowu gwałtownie, bo ci nieraz opowiadałem o Fabianie...

— Ależ kochany Ksawciu!...

— Ależ kochana Klociu!...

Zapalającą się kłótnię małżeńską przerwał nagły dźwięk dzwonka, gdy zaś gospodarz otworzył drzwi wchodowe, zebrani ujrzeli w przedpokoju służącego pana Ezechiela.

— Co się stało? — zawołał pan Sylwester ze źle udawanem zdziwieniem.

— A bo proszę pana, jakiś pan był u nas trzy razy i powiedział, że się chce gwałtem z panem widzieć jeszcze dziś...

— Dziwna rzecz!... Z prawdziwą przykrością będę musiał państwa pożegnać...

— O to nic!... byle tylko nie trafił się jakiś wypadek... Dobranoc!... — chórem odpowiadali obecni.

— No, to chyba i ja pójdę spać — rzekła pani Weronika, składając robotę. — Mój Boże! jak świat teraz przewrotny! Ten na przykład stary grzesznik Ezechiel wszystkich obmawia, a sam podobno najgorszy... Acha!...

— Cóż on znowu zrobił? — pyta gospodyni.

— Niby ty nie wiesz, droga Klociu! — odpowiada mąż z przekąsem.

— Sknera, lichwiarz, kochana pani! — objaśnia Weronika. — Nie jednego już zgubił, a ten jegomość, co przysyłał po niego w nocy, to niezawodnie tradowany dłużnik, albo potrzebujący pieniędzy głupiec... Dobranoc państwu.

— Wielki Boeż! — dziwi się Sylwestrowa.

— Tak! tak! moja pani... Dobranoc.

Po wzajemnych uściskach stara dama zniknęła.

— Moja Klociu — zaczął pan domu — jesteś nieznośna z tem ciąglem powątpiewaniem i dziwieniem się...

— A ty z twojem obgadywaniem na wspólkę z Weroniką, która jest tak fałszywa cała, jak jej zęby i włosy...

— Ależ Klociu, co gadasz?... Wprawdzie Weronika ma swoje dziwactwa...

— Dziwactwa?... Więc to dziwactwo obgadywać wszystkich za oczy, a łasić się w oczy?... Nieznośna kobieta i basta! — zawołała żona i weszła do następnego pokoju.

Mąż pobiegł za nią.

— Moja droga, nie pojmuję, — mówi z gniewem — skąd ci dziś przyszły morały do głowy? Wiem przecież, jaka zwykle jesteś!

— A ja nie pojmuję ciebie! — zawołała żona. — Bronisz dziś Weroniki, a wiem przecie, co na nią zwykle gadasz...

— Bezrozumna kobieto! nie mogłem inaczej gadać, ponieważ Weronika podsłuchiwała za oknem.

— No to i ja nie mogłam chwalić plotek i plotkarki, ponieważ Mania przez cały czas naszej rozmowy podsłuchiwała za drzwiami...

— Przecież Mania spać poszła?...

— Mania zawsze tak robi, ile razy chce słyszeć coś, czego by przy niej nie mówiono.

— Doskonałe wychowanie!... — bąknął mąż.

— Dosyć!... — odparła żona.

I już... miało wybuchnąć nieporozumienie familijne. Szczęściem małżonkowie spojrzeli na siebie i... ucichli oboje.

KAMIZELKA

Niektórzy ludzie mają pociąg do zbierania osobliwości, kosztowniejszych, lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiórek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazjum na lekcjach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowymi, jest...

Zdaje się, że niema nic więcej, oprócz pewnej, bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Przód spłowiały, a tył przetarty. Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze w niej są ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzążka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości, jest pokłuty zębami sprzążki.

Patrząc na to, odrazu domyślasz się, że właściciel odzienia zapewne codziennie chudnął i wreszcie dosięgnął tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędną, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebnym zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

Wyznaję, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szaf na zbiory jeszcze nie mam a nie chciałbym znowu trzymać chorej kamizelczyny między własnymi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej,

gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł się u mnie, ale w mieszkaniu blizkich sąsiadów. Z okna mogłem codzień spoglądać do wnętrza ich pokoiku.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, ile wiem, na kuferku za szafą. Szafa była ciemno wiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zwoździ, zostało ich tylko dwoje: pani i pan, bo służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i codzień gotowali obiady.

W październiku została już tylko—pani, sama jedna. To jest nie zupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada, sprzedano z licytacji niepotrzebne rzeczy, a przy pani, ze wszystkich pamiątek po mężu, została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada, pewnego dnia, pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzyzny i sprzedała mu swój parasol za dwa złote i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzyła w swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu, i — znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierz kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol i, owinąwszy w kamizelkę ręce czerwone z zima, mruczał:

— Handel, panowie, handel!...

Zawołałem go.

— Pan dobrodziej ma co do sprzedania?

— zapytał, wchodząc.

— Nie, chcę od ciebie coś kupić.

— Pewnie wielmożny pan chce parasol?

— odparł żydek.

Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsnął śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

— A fajny mebel!... — mówił. — Na taki śnieg, to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!...

— Co chcesz za kamizelkę?—spytałem.

— Jaką kamizelkę?... — odparł zdziwiony, myśląc zapewne o swojej własnej.

Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

— Za te kamizelki?... Pan dobrodziej pyta się o te kamizelki?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

— Co wielmożnego pana po take kamizelki?!...

Żydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Da wielmożny pan... rubelka! — odparł, roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, ażeby okazać wszystkie jego zalety.

— Dam ci pół rubla.

— Pół rubla?... tak ubjór?... To nie może być!— mówił handlarz.

— Ani grosza więcej.

— Niech wielmożny pan żartuje zdrów!
... — rzekł, klepiąc mnie po ramieniu. —
Pan sam wi, co taka rzecz jest warta. To
przecie nie jest ubjór na małe dziecko, to jest
na dorosłe osoby...

— No, jeżeli nie możesz oddać za pół
rubla, to ju żidź. Ja więcej nie dam.

— Ino niech się pan nie gniewa! — przer-
wał, mięknać. — Na moje sumienie, za pół
rubelka nie mogę, ale — ja zdaje się na pański
rozum... Niec hpan sam powie; co to jest
wart, a ja się zgodzę!... Ja wolę dołożyć,
byle to się stało, co pan chce.

— Kamizelka jest warta piędziesiąt gro-
szy, a ja ci daję pół rubla.

— Pół rubla?... Niech będzie już pół
ru-bla!... — westchnął, wpychając mi kami-
zelkę w ręce. — Niech będzie moja strata, byle
ja z gęby nie robił... ten wiatr!...

I wskazał ręką okna, za którymi kłębił
się tuman śniegu.

Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz, wi-
docznie coś przypomniawszy sobie, wyrwał mi
jeszcze raz kamizelkę i począł szybko rewido-
wać jej kieszonki.

— Czego ty tam szukasz?

— Możem co zostawił w kieszeni, nie pa-
miętam! — odparł najnaturalniejszym to-
nem, a zwracając mi nabytek, dodał: — Niech
jaśnie pan dołoży choć z dziesiątkę!

— No, bywaj zdrów! — rzekłem, otwie-
rajac drzwi.

— Upadam do nóg!... Mam jeszcze w
domu bardzo porządne futro...

I jeszcze z za progu wytknąwszy głowę,
zapytał:

— A może wielmożny pan każe przynieść serki owczych?...

W parę minut znowu wołał na podwórzu: "Handel! handel!..." — a gdym stanął w oknie, ukłonił mi się z przyjacielskim uśmiechem.

Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie zmierzchnęło się. Położyłem kamizelkę na stole i począłem marzyć to o pani, która wyszła za bramę niewiadomo dokąd, to o mieszkaniu, stojącym pustką obok mego, to znowu o właścicielu kamizelki, nad którym coraz gęstsza warstwa śniegu narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu, słyszałem, jak w pogodny dzień wrześniowy rozmawiali z sobą. W maju pani raz nawet—nuciła jakąś piosenkę, on śmiał się, czytając "Kuriera Świątecznego." A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcje, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem, jak podróżnik na Tatry. Za to musiał dużo pracować, po całych dniach. Widywałem go nawet o północy, przy lampie; zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego, przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

— No, już dość będzie, połóż się spać.

— A ty kiedy pójdziesz spać?...

— Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściągów...

— No, to i ja napiszę parę wierszy...

Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje. I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

— Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar, wibijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydki, wogóle spokojni. Ile pamiętam, pani, była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedziela, około południa, wychodzili na spacer, trzymając się pod ręce, i wracali do domu późnym wieczorem. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz, spotkałem ich przy bramie, oddzielającej ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przy tem spokojne fizyognomie mieszczan, którzy zwykli jadać przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

Wogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom jak się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności, dostał jednocześnie tak silnego krwotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona, utliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżową, a sama pobięła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego, i to wypadkiem, na ulicy.

Doktór, spojrzawszy na nią, przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne przede wszystkim ją uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy niebyło, więc podał jej rękę, i idąc, tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

— Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie kaszlał...

— O, tylko czasami! — szepnęła pani, zatrzymując się dla nabrania tchu.

— Czasami to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

— Tak... to katar! — powtórzyła pani, już głośno.

— Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

— Owszem!... — odparła pani, znowu stając.

Trochę się nogi pod nią chwiały.

— Tak, lae zapewne już dawno!... — pochwycił lekarz.

— O, bardzo... bardzo dawno!... — potwierdziła z pośpiechem. — Jeszcze tamtej zimy.

— Półtora roku temu.

— Nie.. Ale jeszcze przed nowym rokiem... O, już dawno!

— A!... Jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonięte... — mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słyszeć? — i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu, stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słyszeć, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wybadał i także powiedział, że to nic.

— Ja zaraz mówiłem, że to nic! — odezwał się chory.

— O, nic!... — powtórzyła pani, ścisnąc jego spotniałe ręce. — Wiem przecie, że krwotok może być z żołądka, albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz... Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu?...

— Tak! tak!... Ruch jest wogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni położyć. Czy może wyjechać na wieś?

— Nie może... — szepnęła pani ze smutkiem.

— No, to nic! Więc zostanie w Warszawie. Ja będę go odwiedzał, a tymczasem niech soby poleży i odpocznie. Gdyby się zaś krwotok powtórzył... — dodał lekarz.

— To co, panie? — spytała żona, blednąc jak воск.

— No, to nic. Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

— Tam... w nosie? — mówiła pani składając przed doktorem ręce.

— Tak... w nosie! Rozumie się. Niech pani uspokoi się, a resztę zdać na Boga. Dobranoc.

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, którą przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

— No, i cóż to tak wielkiego! — rzekła, trochę śmiejąc się, a trochę popłakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po rękę.

— Cóż tak wielkiego! — powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. — Ile to krwi na wojnie z człowieka upływa, a jednak jest potem zdrów!...

— Już tylko nic nie mów—prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tem mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny, nie potrzebował brać urlopu, a mógł wrócić, kiedyby mu się podobało i— jeśliby znalazł miejsce. Ponieważ, gdy siedział w mieszkaniu, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcji na tydzień i za ich pomocą opędziła domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynce, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Za to już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej do szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. W końcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

— Ale swoją drogą niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspokaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktór obiecał, a pani wróciła do domu, jakby spłakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest

zanadto o niego troskiwa, że on mimo to umrze, a w końcu zapytał:

— Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdrętwiała.

— Co ty mówisz? — rzekła. — Skąd ci takie myśli?...

Chory wpadł w gniew.

— Oo, chodźże tu do mnie, o tu!... — mówił gwałtownie, schwytając ją za rękę. — Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdawało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptałby tajemnicę, gdyby ją posiadał.

Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie, wytrzymując te dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zasły.

— Doktor mówił, — odparła, — że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drzeć i śmiać się, a potem machając ręką, rzekł:

— No, widzisz, jakim ja nerwowym!... Koniecznie ubrdało mi się, że doktor zwątpił o mnie.. Ale... przekonałaś mnie... Już jestem spokojny!

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń.

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecie najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest zły.

Bo i z jakiej racji miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale—to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia, pokazywała się krew—z nosa. No,

miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko—taki stan nerwowy.

Wogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzepartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz — sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół.

Pewnego dnia, kładąc kamizelkę, uczuł że jest jakoś bardzo luźna.

— Czybym aż tak schudł?...—szepnął.

— No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć — odparła żona. — Ale przecież nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrzał na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu bardzo chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach wrzeźnia nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

— To głupstwo! — mówił chory. — Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, to każdy jest nie swój. To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszość.

Chory codzień wstawał z łóżka i ubierał się, chociaż bez pomocy żony nie mógł wciągnąć

nać na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej, wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

— Dziwić się tu, — mówił nieraz, patrząc w lustro, — dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

— No, twarz zawsze łatwo się zmienia — wtrąciła żona.

— Prawda, tylko że ja i w sobie chudnę...

— Czy ci się nie zdaje? — spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości.

Zamyślił się.

— Ha! może i masz rację... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

— Dajże pokój! — przerwała pani — przecież nie utyleś...

— Kto wie? Bo, jak uważam po kamizelce, to...

— W takim razie powinnyby ci wracać siły.

— Oho! chciałabyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie zaraz nabiorę sił...

— A co ty tam robisz za szafą?... — spytał nagle.

— Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty.

— Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer.

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie żonę i mówił:

— No... patrzajże. Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, — o tu. A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcji, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł, bardzo wzruszony:

— Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. Ażeby ciebie uspokoić, codzień sam ściągałem pasek i dlatego—kamizelka była ciasna. Tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się, myśląc, że się wyda sekret, gdy wtem dziś... Wiesz, co ci powiem?... Ja dziś daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągać pasek, musiałem go trochę rozluźnić!... Było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej... No, teraz i ja wierzę, że będę zdrow... Ja sam!... Niech doktor myli co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek który bez ściągania pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale, jak w fotelu, oparł się w objęciach żony.

— No, no!... szeptał — ktoby się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!... No... no!...

I przesiedzieli tuląc się jedno do drugiego, cały wieczór.

Chory był wzruszony, jak nigdy.

— Mój Boże! szeptał, całując żonę po rękę—a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy, dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrow. Bo to przy chorym wszysecy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka—ta już nie skłamię!...

* * *

Dziś, patrząc na starą kamizelkę widzę, że nad jej ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan — codzień posuwał sprzążkę, ażeby uspokoić żonę, a pani codzień—skracala pasek, ażeby mężowi dodać otuchy.

“Czy znowu zejdą się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?...” myślałem, patrząc na niebo

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg, taki gęsty i zimny, że nawet w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za temi chmurami niema słońca?...

KATARYNKA

Na ulicy Miodowej, codzień, około południa można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasińskich ku ulicy Senatorskiej. Latem, nosił on wykuintne, ciemno-granatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące jak zwierciadła—i—nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny — dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się zwolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika: jak stoi barometr i termometr? Potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej —i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potrącony, uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegał ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale że robił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to—pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową i nieraz myślał, że się na niej wiele

rzeczy zmieniło. To samo ulica Miodowa pomyslećby mogła o nim.

Gdy był jeszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekłyby przed nim żadna szwaczka, wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy, zakręcone ostro do góry: Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał — za kobietami. Co prawda, miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyzny, będąc zajęty, jeżeli nie praktyką, to—schadzkami. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józią i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie, z sześciu pokojów złożone, urządził w niem na własny koszt posadzkę, sprawił obicia, piękne meble—i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... nie czekając na oświadczyzny mecenasa, wyszła za doktora.

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien nie brakło. Ekwipował jed-

nak się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerję sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemie i sięga w tył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tem bardziej, że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze, niż zwykle towarzystwo, jedna z młodych pań, rozejrzawszy się po salonach, zawołała:

— Co za obrazy... A jakie gładkie posadzki!... Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

— Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki — odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

— I i i!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe, spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne, były jakby wiorstowemi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się, nie unosił ale — smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki, nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się naprzód z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerji całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

— Wiecie państwo, że to jest wcale ładne.

Należał do tych niewielu, którzy najpierwej poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

— Czekaście, może się jeszcze wyrobi! — mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występkach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny — zapalał się, jak był cichy — krzyczał, a jak był łagodny — wpadał w gniew, na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się:

— Muzyka — mówił wzburzony — stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcję maszyny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie! Zresztą — dodawał — katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny żart — i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie odkrywwszy sprawcę, wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi o rzecz tak małą na pozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższyć wszystkim komorne, a najpierw panu Tomaszowi. Mecenasa z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że: katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń, pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię?...

— Kazimierz, proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bra-

mę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiedział wzruszony stróż.

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek.

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze—od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasa ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzki, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli.

Całe zaś dni, jeśli nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy, albo przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu naprzeciw okna, i zapaliwszy cygaro, zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek, dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długo czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który, spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokój krawiec; lecz że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wy-

mówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócała się ze swoją służką.

Ale od św. Jana, staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłóliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie, z małą może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt ofbity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka, za pomocą dwu drutów, wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecko to śpiewało, lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiet. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała na powrót bukiet, włożyła go w szklanę wody, i usiadłszy w swoim oknie, rzekła:

— Prawda, mamu, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia, mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrział na drugą stronę podwórza, i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na rękę, położyła się prawie na wznak w swoim oknie — i szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia; niby radość, a niby żal...

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle.

W tej chwili doświadczył klócia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidomą od wielu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

— Mamo, czy to jest noc?...

— Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała; spać się jej chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

— Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora im bardziej odzyskiwała siły, tem mocniej niepokoiła się swoim kalectwem...

— Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?

— Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

— Kiedy przejdzie?

— Niezadługo.

— Może jutro, proszę mamy?

— Za kilka dni, moja dziecino.

— A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem; sama się ubierała i rozbierała, powoli i ostrożnie.

Jednego razu mówiła:

— Prawda, mam, że ja mam niebieską sukienkę?...

— Nie, dziecko, masz popielatą.

— Mama ją widzi?

— Widzę, moje kochanie.

— Tak jak i w dzień?

— Tak.

— Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

— Prawda, mam, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?... Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnymi łapami?... Prawda, mam, że ja widziałam siebie w lustrze?... Niema tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

— Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie, mówiła dziewczynka, przykładając lustro do twarzy. Nic nie widzę! — rzekła. — Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

— Widzę cię, moja ptaszyno.

— Jakim sposobem?... — zawołała dziewczynka załóżnie. — Przecie jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic... A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszem zajęciem kaleki było dotykać rękami drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziew-

czynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku, wysłanem watą.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kącie swoją córkę, już ubraną i bawiącą się lalką.

— Co ty robisz, dziecino? — zawołała. Dlaczego nie śpisz?...

— Bo już przecie jest dzień, proszę mamy — odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką, błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawiała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy—doróżka, a kiedy—kary, wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. Z niepojętą bystrością pochwytывała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącej.

— Niema Janowej — rzekła kaleka, siedząc jak zwykle w kąciku. — Poszła po wodę.

— A skąd wiesz o tem? — zapytała zdziwiona matka.

— Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę, z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie z za parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu, i to ją nieco uspokajało. Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej—podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygłuszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działo się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej, niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic; tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie

psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Nie dość na tem. Na strychu częściej niż w pokoju świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie pogasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwym nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie słyszała ptaków ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny, ani druciarze, ani śmierciarki. Nie puszczano bab śpiewających pieśni pobożne, ani dziada, który grał na klarneckie, ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho...

— Biedne dziecko! — szeptał nieraz pan Tomasz, przypatrując się smutnemu maleństwu.

— Gdybym mógł dla niej co zrobić—myślał, widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i codzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle oddał mu do przejrzania papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądzie, ale jako doświadczony praktyk, umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tembardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonie, tylko zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny, Kazimierz, zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień—do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?...

Ale mecenas pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kóka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzał.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty, na szafirowem tle pokojowego obicia, przypominały "studja z natury". Matka ociemniałej i jej współpracownica, robiąca pończochy na maszynie, podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca,

który ma zwyczaj od rana do wieczoru drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X. w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a roku 1875—synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X. był warjatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X. oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nieulegające wątpliwości świadectwa, że X. i w roku 1872 i w 1875, działał jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie: kiedy naprawdę X. był warjatem? a następnie: o pogodzenie trzech poważnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do opjęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samem oknem pana Tomasza, odezwała się—katarynka!...

Gdyby zmarły X. wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomódz mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia, jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnemi tonami fletowemi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! jakby na większą szykanę, katarynka była popsuta, grała fałszywie ordyna-

ryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, niekiedy się w niej odzywająca, ryczała jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że, przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X., jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacjom.

Ale nie, to nie były halucynacje. To była rzeczywista katarynka, z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka zbudziły się instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył jak tygrys do okna i postanowił—zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: “Ty... próżniaku jakiś!...” — gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniała się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy, jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym, dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknem zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksję!

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk, i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj, —krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża—posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady:

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię...

— Paweł, jaśnie panie

— Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dzie się zotych na miesiąc, ale wiesz za co?

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek!—wtrącił śpiesznie lokaj.

— Nie — rzekł pan Tomasz.—Za to, ażebyś przez jakiś czas codzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

— Co pan mówi?... — zawołał służący, które nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze —powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana!... — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

—No, idźcie do roboty—dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło.

Pan Tomasz uśmiechnął się, i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa, wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniejsze, co już okrutnie drażniło mecenas, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł, mrucząc:

— Biedne dziecko! — Powinieniem był zająć się niem oddawna.

LOKATOR PODDASZA

Uczony Reb Lajzer Skowronek poprawił aksamitną krymkę na siwiejącej już głowie, wytrząsnął na ziemię i schował w tylną kieszeń prunelowego chałata porcelanową fajkę i, stojąc na środku brudnej sieni, głęboko rozmyślał nad tem: za którą też wyjrzeć ma bramę?...

Jeżeli wyjrzy za zieloną, na ulicę, może zobaczyć tam rzeźnika, pędzącego woły, starą babę z konewką, chlebem lub butelką w ręku, a w każdym razie brunatny drewniany dom, którego parter zajmuje blacharz i waciarz, a facjatkę... Pan Lajzer skrzywił się, odwrócił i postąpił parę kroków ku bramie żółtej.

W tej stronie wszystko należy do niego. Ten stróż, pokornie stojący z czapką w ręku, i to kwadratowe podwórze z wielką szopą na środku, i te poduszki czerwone, pierzyny w niebieskie kratki, suszące się na słońcu, i ta, o dach szopy oparta, drabina, gdzie na trzeciem szczeblu od ziemi dokonuje cudów zręczności pejzaty Dawidek, najmędrszy ze Skowronków, jacy egzystowali na świecie, — wszystko to należy do niego

Czy tylko to?... A tenże za szopą dom drewniany, mający ośm okien na górze i pięć na dole?... A tenże drugi, na prawo, z trojgiem drzwi i dachem blaszanym?... A ten chodnik, po którym mały Josek ciągnie na sznurze przewrócony do góry nogami stołek?... A ta na lewo zbutwiała parterowa rudera, pod którą na stosie desek gnijących igra tro-

je brudnych i odartych dzieci ,a goj bednarz z hałasem pobija wielką beczkę?

Smutne rudera. Żadna deska w jej ścianach nie przystaje do drugiej, żadne drzwi nie domykają się, żadnego okna otworzyć nie można, żeby się nie rozleciało. Zczerniały, mchem porośły dach tworzy tak zawikłaną powierzchnię wichrowatą, że najznakomitszy geometra nie podjąłby się jej badać, a przykrywa takich biedaków... ach... takich biedaków, że miłosierny Reb Lajzer już piąty miesiąc ociąga się z wymówieniem im komornego.

Żółtawe oko Skowronka zatrzymało się na ostatniem oknie facjarki, skąd przez wybite szyby od godziny już buchają kłęby pary. Tak wielka ilość pary zdradza wielki ogień, a zbyt wielki ogień...

— Ach... ach... — mruknął uczony Żyd—oni mi jeszcze domy spalą...

I zwolna postąpił ku bednarzowi.

— Niech będzie pochwalony, Marcinie...

— Na wieki wieków, — odparł bednarz, składając narzędzia i dotykając ręką czapki.

— Co u tego Jakóba taki ogień w izbie?

— To ona... gotuje wodę do prania.

— Ny... ny... A jak tam z nim?

Bednarz machnął ręką.

Wun tak czasem wygląda jak pijany—ciągnął Żyd.

— Gdzie zaś on tam pijany! Zwyczajnie, spadł z ruśtowania i z onych czasów zrobił się taki jakiś... że to... eee.... — objął bednarz.

— Ny... ny.... ja to zara pomiarkowałem Wun raz u mnie drwa rąbał, ale na-

wet godziny nie porąbał i ustał. Że jemu we śpitalu nic nie pomogli?

— Co to mieli pomódz, nawet mu nogi nie zgoili...

— Franek... Franek... chodź ino tu— odezwał się głos z facjarki, a rozmawiający ujrzeli w wybitym oknie owiniętą w żółtą chustkę głowę kobiety.

Najstarsze z obdartych dzieci, które na widok gospodarza kryły się między gnijącymi belkami, pobiegło na schody.

— To jego dzieci — spytał Lajzer.

— A jego — odparł Marcin. — Troje na dole, a dwoje chorych w izbie.

— A wa! — mruknął Żyd, i pochyliwszy głowę począł przysłuchiwać się rozmowie na górze.

— Gdzie wczorajsze kartofle, co były w rynce... co?... — pytał gniewnie głos kobiety.

— Abo ja wiem... matusiu, — odpowiedział z pewnem wahaniem głos dziecinny.

Łziesz, boś sam zjadł w nocy; Józia cię widziała... Ja ci dam...

Jak Boga kocham, matusiu... żeby mi ręce i nogi połamało... żeby mnie cholera... — pisał chłopak przy akompaniamencie uderzeń.

— A masz!... a masz!... — krzyczała kobieta — To będziesz łgał, będziesz kradł... będziesz się przysięgał?... A masz!...

Każdemu wyrazowi towarzyszył trzask mokrej ścierki, upadającej na różne części ciała chudego i brudnego chłopca, który zanosząc się od płaczu, mówi:

— A co ja temu winien, że mi matusia jeść nie daje, co?... A bom to jadł kolację?

abom jadł śniadanie... co?... I jeszcze mnie matusia biją za to... U... hu.. hu!...

Zrobił się straszny wrzask, w którym oprócz bijącej matki i bitego pacjenta, wzięło udział dwoje dzieci na górze i dwoje na dole. Zniecierpliwiło to Żyda, który po chwili namysłu wszedł do sieni, z sieni na brudne i ruchome schody, i sapiąc ze zmęczenia, stanął na progu izby pełnej pary, zaduchu i woni mydlin

— Jakóbową, pani Jakóbową!.. co u was zawsze takie krzyki? — zaczął przybyły.

— Ooo... to pan gospodarz?... — zdziwiła się lichy ubrana kobieta, a potem płacząc dodała: — A cóż ja pocznę nieszczęśliwa z tymi bachorami, kiedy nic się przed nimi nie uchowa i niczem ich nie nakarmi? Ten roboty nie ma, dzieci pięcioro, wszyscy wołają jeść, a ty choć sobie ręce do łokcia poździeraj, choć się sama rozedrzej...

— Ja wam co powiem, moja Jakóbową — przerwał oburzony Lajzer. — Że wy biedni, to jest prawda, ale że wy mi wiele nieporządku w domu zrobicie i nie płacicie, to także prawda. Zawsze u was pranie, wylewanie, suszenie, ze świecą po strychu chodzenie, zawsze krzyk, a zapłaty niema, a pięć rubli winniście.. Wy mi głowę rozkrzyczycie, wy mi domy spalicie, wy... wy się wyprowadzić musicie.. Ju ja i was, i waszych pieniędzy widzieć nie chcę...

— A panie gospodarzu! — zawołała kobieta — nichże pan tego nierobi, niech pan jeszcze będzie cierpliwy...

— Co to cierpliwy?... Ja już jestem pięć miesięcy cierpliwy...

— Może się też Pan Bóg nad nami zlituje i staremu da jaką robotę, to się jeszcze wypłacimy...

— Robotę... robotę... — mruknął Żyd. Abo wy dbacie o co?... Abo wy nie wygnaliście od siebie jednej lokatorki?...

— To jest prawda, pani gospodarzu, ale widzi pan gospodarz, ona to była takie nic dobrego, że panu i nam wstyd robiła... Niech się pan Lajzer zmiłuje... — mówiła dalej, składając ręce. — Niech się pan zmiłuje przynajmniej nad tym drobiagziem...

Gospodarz spojrział po izbie, gdzie wszyscy jej mieszkańcy znajdowali się w komplecie. Troje chudych, z nadmiernie wielkimi brzuchami dzieci, kryło się między balią, a stołem, zarzuconym mokrą bielizną. Czwarte, okryte jakimś czarnym łachmanem, leżało na łóżku, piąte w drewnianej pace na słomie, a ich nędzny ojciec z rozczochranym włosiem, najeżonemi wąsami, z bojaźnią w oku stał oparty o komin, obok ciekącej konewki, na której siedział przed chwilą.

Poważną twarz Żyda przebiegł dreszcz wzruszenia.

— Co tamtemu? — spytał już łagodniej, wskazując pakę.

— Coś kaszle, panie gospodarzu — odparła matka.

— A temu co? — ciągnął wskazując łóżko.

— To dziewczyna, oparzyła się niechcąc ukropem.

— A wa!... — syknął gospodarz, i zwracając się do Jakóba, dodał:

— A jak z wami, Jakóbie?

Biedak wstrząsnął głową, skurczonemi palcami podrapał komin, lecz milczał

— No... odpowiedzże panu gospodarzowi—wtrąciła żona.

Jakób poruszył ustami, wlepił niespokojnie swoje okrągłe, zapadłe oczy w twarz gospodarza, lecz znowu milczał.

— Zostańcie z Bogiem — szepnął Żyd i nagle opuścił izbę.

— Niech Pan Bóg prowadzi! — odpowiedziała kobieta, wychylając się przez poręcz za schodzącym gospodarzem, którego w sieni zatrzymał bednarz pytaniem:

— A cóż, panie Lajzer?...

— Niech go Bóg ratuje, to bardzo biedny człowiek... — odparł Żyd i poszedł dalej.

* * *

— No, Bogu dziękować, — mówiła pani Jakóbową, znęcając się nad jakimś podejrzanym szmatem, który gwałtownie i rytmicznie targała prawą ręką, przycisnąwszy go lewą do dna napełnionej wodą balii.— No, Bogu dziękować, szczęśliwieśmy dzień zaczęli. Woda gorąca je, mydło je, roboty mamy na jakie pół rubla, i gospodarz ustatkował się na jaki miesiąc. Franek... nie grzeb patykiem w kominie, bo jeszcze co zmalujesz. Za parę dni u sklepiciarki umyję podłogę, to nam może znowu zaczniesz borygować, a może i przyśle swego siostrzanka, co to je u felczera, żeby Józi poradził... Maniusiu, weź się do kartofli... Franuś, a biegaj do sklepiku i wyproś bułeczkę chleba, to się odda pojutrze... Moszkowa gadała, że ten siostrzanek to zdatniejszy od innego doktora, więc możeby on i tobie, stary, co poradził...

— Oj matusiu... tak mnie kole.... — szepnął chłopak w pace i zakaszał.

— Niech kole, to i ty jego kol!... co ja tobie poradzę? — odparła kobieta. — Posłuhaj, stary, — zwróciła się do osłupiałego męża — ot widzisz, przecie to i twoje dzieci, pomóż-że im. Oj, bodajem ja była pierwiej oślepla, niżem wyszła za ciebie!...

W tej chwili zatrzeszczały i zadudniły schody, a na progu izdebki ukazała się jakaś kobieta, jeszcze młoda, lecz wynędzniała i ubogo ubrana.

— Moja złocista pani Jakóbowo, — zawołała przybyła — a oddajcież co prędzej statki, bo mi stara chyba łeb ukręci...

— Statki?... — spytała przerażona praczka. — Statki?... a jakże ja dokończę?..

— Cóż ja na to poradzę, moiście wy... Pókim mogła, póty wam w sekrecie pożyczła, ale jak się wydało, stara ani słyszeć o was nie chce... woła, że pójdzie do cyrkułu, wyzywa od złodziei i powiada, że jak jej w moment nie oddacie balii i sagana, to wam policjantów naśle z całej Warszawy...

Praczka schwyciła rękami za krawędź balii.

— Nie dam balii.. nie dam sagana... nic nie dam—Ja tu nigdzie statku nie dostanę, a w domu niema co jeść i robota pilna...

Przybyła załamała ręce.

— Bójcie się Boga, co wy gadacie?... To za moje dobre serce chcecie, żeby i mnie i was do cyrkułu powiedli... kumo...

Dzikie uniesienie biednej matki we łzy się rozplynęło. Cóż miała robić? jak mogła nie oddać rzeczy, które nie były jej własnością?... To też nie dziw, że po kilkuminuto-

wych prośbach i zaklęciach, sama wreszcie wydobyła mokrą bieliznę z balii i sama pomogła wylać z naczyń do rynsztoka wodę gorącą, dla której przechowania nawet Marcin, poczciwy bednarz, nie mógł jej statku wynaleźć...

Drobny ten na pozór wypadek obezwładnił biedną kobietę, która, siadłszy na jedynym stołku w izbie i ukrywszy twarz w fartuch, zaniosła się od płaczu.

— Ot tobie, stary, żona, ot tobie dzieci, — wołała, szlochając. — Chciało ci się żenić, masz teraz... Wszystko wali się na moją biedną głowę, a jakąż ja radę dam, kiedy z izby ostatni żeleźniaczek i balijka między Żydy już poszły...

We drzwiach stanął smutny i zadyszany Franek.

— Matusiu, — rzekł we sklepiu nie chcą dać chleba i jeszcze mówią, żeby matusia za dawniejszy zapłaciła...

— Ale... A skądże ja zapłacę, kiedym ostatni grosz na mydło wydała?

— Matusiu... — szepnęło chore dziecko z łóżka, — matusiu... chyba my już dziś nic nie będziemy jedli?...

I uroniwszy te słowa, biedactwo utkwiło bojaźliwe spojrzenie w zapłakanej twarzy matki.

Od palącego duszę wzroku dziewczyny, Jakóbową odwróciła oczy w inną stronę, a tam zobaczyła pożółkłą twarz kaszlącego chłopca, który ze swojej paki wytknął najeżoną głowę; spojrzawszy ku drzwiom, spotkała trzy pary lękliwie pytających o chleb żre-nig; zwróciła się wreszcie ku kominowi, lecz i tam znowu dostrzegła oczy, okrągłe, za-

padłe oczy swego męża, utkwione w nią z jakimś bezsilnym wyrazem.

Wówczas w sercu tej kobiety żal i rozpacz przemieniły się we wściekłość; łzy jej oschły, a przed chiwłą uboga praczka zamieniła się teraz w wilczycę, która wietrzy niebezpieczeństwo i postanawia bronić szczeniąt.

— Słuchaj-no stary, — syknęła przez zaciśnięte zęby do męża, kładając mu na ramieniu ciężką, spracowaną i jeszcze wilgotną rękę — Słuchaj i rusz-no się, bo w domu niema nic...

Stary milczał; żona wstrząsnęła nim.

— Słuchaj, stary, radź co teraz, boś ty chłop, a mnie już wszystko z rąk ucieka... Idź między ludzi dostań robotę, albo użebraj co, byle chleb był w domu, boja tu z dziećskami nie wytrzymam...

Stary znowu milczał i błędnem okiem patrzył przed siebie; żona pochyliła się nad nim jeszcze bardziej i głucho szepnęła:

— Idź już... powiadam ci: idź... Zrobisz, czy nie zrobisz, to idź, byleś mi z oczu zszedł, bo albo twoja, albo moja śmierć...

Nędzarz ocknął się; czy zrozumiał co, trudno zgadnąć, lecz pewnem jest, że czuł wszystko. Czuł wilgoć w mieszkaniu, czuł głód, ból okaleczalej nogi, zawrót swojej biednej, rozbitej głowy, a nadewszystko to, że niema już dla niego miejsca na rodzinnym barłogu.

Gdy wstał z konewki, żona wcisnęła mu czapkę na głowę i z lekka popchnęła ku drzwiom. Nie obejrzał się nawet, lecz schodząc na dół, usłyszał głos syna, mówiącego:

— No, nie becz, Mańka... Tatuś poszedł

na miasto i chleba nam przyniesie, ba, jeszcze i wędzonki, jak dawniej.

* * *

Wyszedszy z domu, nędzarz zatrzymał się przed bramą zdziwiony. Dziwiła go jasność dnia i ciepło słoneczne; dziwiły go wesołe twarze przechodniów, którzy mówiąc nie narzekali, ani wołali o chleb; dziwił go obszar ulicy, na której mógł odetchnąć, nie czując woni mydlin, i poruszyć się, nie czując na sobie wzroku zrozpaczonej żony i zgłodniałych dzieci. Gasnący umysł rozjaśnił się nieco, i Jakób przypomniał sobie, że powinien gdzieś iść i szukać chleba.

Iść, lecz dokąd?... ulica ciągnęła się w obie strony. Na lewo bruk był bardzo nierówny, na prawo chodnik; Jakób miał nogę skaleczoną, więc poszedł na prawo. Mógłże pomyśleć, że ów niewyraźny, instyktowny pociąg do gładkiej drogi, jest jednym z szarpnięć straszliwej maszyny przeznaczenia, której niemiłosiernie tryby w tym dniu jeszcze zdruzgotać go miały?...

Na skřęćie ulicy zetknął się z jakimś stróżem w niebieskiej bluzie, nader pilnie zamięatającym schody nędznego szynku.

— I i i... hy! — zawołał stróż — ban-dzie pogoda, kiej pan Jakób wylazł Jak się macie?...

— Bóg zapłać, panie Walenty, — mruknął Jakób, zapewne pierwszy raz od dni kilku.

— Coście wy się tak już z tydzień nie pokazywali?... Gadają ludzie, że u was w chałupie bida, hę?...

— Jużci, że bida, — odparł Jakób. — Roboty nie mam...

— Roboty... kto ją ta ma? Tak samo jak pieniędzy; tylko Żydy i wielkie panowie mają... No, chodźta do cukierni.

Z temi słowy wprowadził Jakóba do szynku, gdzie oprócz właściciela Żydka z bardzo chytrą miną, siedział a raczej drzemał wsparty o dużą kufę jakiś jegomość w pomiętym kapeluszu i wypłowiałym surducie, którego barwy najjaśniejsze przy kołnierzu, na plecach przechodziły w kolor musztardowy, a około kieszeni w ciemno-tabaczkowy.

— A wa... nas pan Jakób... — wykrzyknął Żyd. — Taki gość... chyba węglem w kominie zapisać?... Co sze to z panem Jakóbem rabiało?...

— Niechno Jankiel spagatówki tu postawi, ino prandko — zakomenderował Walenty.

— Pan Jakób jesce robi u mulaze?...

— Aha! robi... Zleciał na łeb z rustowania i tera ameryture dostał... No, prandzy wódki... — odparł Walenty.

— A pyniedzy?... — spytał Żydek, zakładając ręce w tył i chwiejąc się na rozkraczonych nogach.

— Jakie pieniądze?... a bez pieniędzy to nie łaska? Ja funduję... — huknął Walenty.

— Pan Walenty funduje?... Ny, to z tegie chlebie, to z tegie mąkie... No, nic nie będzie z tegie... — zakonkludował Jankiel.

— A... a... panu Walentemu... — ocknął się wypłowiały jegomość z pod kufy. A... moje... u...szanowanie... Cóż to za obdartu z panem Walenty przyszedł?... niechże mam honor poznać...

—To mój kamrat—odparł stróż—Pan Jakób co był u mulazy, ale rozbiął się i tera roboty suko...

— Ha, ha... roboty w szynku? Głupstwo robota, w całej Europie nie znajdzie roboty, tylko wódkę, jeżeli ma pieniądze... Jankielu, mój szczupaczku, a daj-no mi tam kieliszczynę...

— Znowu na burg?... — spytał Żyd płaczliwie. — Już mi pan Ignac tyle od rana winien i jeszcze chce?...

— Com ci od rana winien, ty psi flaku? Ja?... tobie??? winien?...

— Może nie?... Pan Ignac z samego rana zjad obazanek, potem wódki wypiuł, potem znowu wypiuł, i znowu zjad, i znowu wypiuł ze dwa razy, i znowu chce pić?

— Panie Ignacy, zaczął Walenty—ja sobie myślę, możeby pan Jakóbowi jaką prośbę wystafirował do państwa, zeby choć trochę cłękowi dopomódz...

— Prośbę... temu obdartusowi?... — dziwił się pan Ignacy, widocznie bardzo pobłażliwy na usterki swojej garderoby. — To się na diabła nie zdało... Mnie zapytajcie, co prośby znaczą, mnie.. bom ja sam chodził z listem gdzie było napisano... Wódki, psia wiaro...

— Nima wódki... — odparł Żyd.

— W liście moim — ciągnął pan Ignacy — stało wyranie napisano, jako ja, Ignacy, od urodzenia głuchoniemy, a przytem zbankretowany majster, poleca msię wzglę... względem Jaśnie Wielmożnych i Wielmożnych państwa... I co myślicie?... Może mylicie, że oni wspomagają kogo?... Sto diabłów tam... Oni tylko umieją wyzywać od

pijaków... Mnie... mnie... samego nazwali pijakiem... Wódki, bydlęcy ogonie... bo cię zabiję, spalę, zaskarżę... hup!...

W tej chwili wpadła do szynku jakaś zaperzona kobiecina z okrzykiem:

— Ty znowu w szynku, nicponiu, znowu?... A ja ci tu...

— Magdziu... Magdusiu... — zaczął zdetonowany Walenty. — Ja nic... Ja tylko z Jakóbem...

— Z Jakóbem?... — wrzsnęła żona. — I ty się nie wstydzisz chodzić z Jakóbem, co jest gorszy od dziada, bo i sam niema co jeść, i jeszcze dzieciom chleb odbiera?...

To powiedziawszy, schwyciła męża za kołnierz.

— Waluś... nie daj się, mój cynaderku — zachęcał go pan Ignacy.

— Jeszcze i ty, pijaku, i ty?... Ja wam obu sprawię!

I po tej groźbie zepchnęła męża i pana Ignacego ze schodów na ulicę, rozdając między obu z wielką wprawą po parę kopnięć nogą, od której na surducie pana Ignacego bardzo wyraźny ślad pozostał. Jakób wyszedł za nimi.

— Fiuuu... jaka jędza! — zwrócił się do biedaka Ignacy, gdyż już małżeństwo znikło im z oczu. — Prawdziwa łaska Boża, żem jej w mojej ręce nie dostał... Fiuuu...

Tak pogwizdując i zataczając się, schwycił pod rękę Jakóba i pociągnął go za sobą.

— A jak ci tam, moja miętóweczko? — zaczął.

— Jakób, — odpowiedział oszołomiony biedak.

— Otóż widzisz, mój Ja... Jasiu, powiem ci tyle, żeś głupi, kiedy szukasz roboty... Robota to nie dla takich, jak ty, robota to głupstwo i wszystko głupstwo...

Przy tych słowach blada i napuchła twarz pijaka okazywała wielkie zmartwienie.

— Powiadam ci... — prawił dalej, jak ci tam?...

— Jakób

— Powiadam ci, mój Jaqusiu, wszystko głupstwo. I to słońce... a psik! Ja zawsze kicham, ile razy spojrzę na słońce... Głupstwo słońce, i ziemia, i domy, i bogactwa... Taki, powiadam ci, człowiek z edukacją jak ja, utrzymać się nie może, a dopiero ty?... O zaślepienie ludzkie! Ale... jakże ci tam, bo ciągle zapominam?...

— Jakób.

— Otóż, powiadam ci, mój Jędrusiu, ja, z moją szlachetnością w sercu, żebym miał dzieciom chleb odbierać i być niepotrzebny na tym świecie, powiadam ci, poszedłszym na most i... i słowo honoru... Hult w wodę... żeby nikomu nie zawadzać, mój Józiu... A może ci świata żal?—dodał pan Ignacy, patrząc błędnymi oczyma w twarz Jakóba. — Jęd... Jędrusiu turrkaweczko moja, nie bądź głupi... — Wszystko, co tu widzisz dokoła, to marność... to czczość... Plunąć nie warto, powiadam ci...

Nagle urwał i stanął z podniesionym do góry palcem, jakby pragnął powstrzymać grom wzgardy, zbyt pośpiesznie rzucony na otaczającą go rzeczywistość, jakby uznał, że miejsce, na którym znajdują się obecnie, nie usprawiedliwia bynajmniej, może słusznego, lecz w każdym razie zbyt gwałtownego wstrę-

tu do świata. Tu wodociąg, tam szynk, w suterynie flaczaniar, a obok niej jeden stragan z pietruszką, drugi z pieczywem, trzeci z wędlinami, przy którym w kociołkach, mających formę wanienek, gotowały się kiszki i kiełbasy... Pan Ignacy uczuł, że na widok ten mięknie mu serce, zaczął więc znowu, ale już z innego tonu:

— Wiesz co, mój Fran.. Jakże bo ci tam?...

— Jakób — odpowiedział nieszczęśliwy towarzysz.

— Aha! Otóż wiesz, mój Jasieczku, że... że dalibóg miałbym wielką ochotę zafundować ci co... Możebyśmy też tak... kiszeczki z bułeczką?... Aż mi pachnie, powiadam ci....

— Jeżeliście łaskawi...

— A możebyśmy, słuchaj, pierwszej wódeczki, a potem flaczków?... Widzisz... kishkę jeść pod straganem, to strasznie ordynarr....

— Ii... co tam, — odparł Jakób.

— A gdyby też, posłuchaj-no mnie, na-przód wódeczki, a potem kiełbaski, he?... Hum! Widzisz... mój Piotrusiu, ja funduję... tylko ja, nikt więcej... No, ale daj pyska, daj dzióbka... niech cię...

To powiedziawszy, pochylił się na prawo i ucałował kołnierz, potem na lewo i zawadził nosem o ucho Jakóba.

— Ale widzisz, pożycz mi pół rubelka, nie więcej, niech cię Bóg broni... bo... ja nie wziąłem z sobą...

— Albo ja mam... skądbym ja wziął?
— odpowiedział smutnie Jakób.

— Nie masz?... Fiu. A chciało ci się prośbę pisać?... Fiu... A chce ci się z porządnymi ludźmi pod rękę chodzić?... Dla Boga! i ten bezecny Walek zaznajamia mnie z takim hołyszem?... Bywaj zdrów, Jacusiu. Muszę wstąpić do cukierni... może jest kto znajomy... Adiu...

Z temi słowy pan Ignacy wbiegł do nowego szynku i padł na ławę, pozostawiając Jakóba na ulicy, zwróconego twarzą ku Wiśle, do której stą było zaledwie kilkaset kroków.

* * *

Jakim sposobem trafił, kiedy zasnął i jak długo spał Jakób, trudno zgadnąć; dość, że około zachodu obudził się pod szychtami, wprawdzie rozgorączkowany, lecz spokojniejszy i przytomniejszy, niż zwykle.

Spał na śmieciach, które rozgrzebywało kilka kur i prosię, tuż koło niego i nie zważając na niego, jak na rzecz martwą. Lecz Jakób był na to obojętny. O kilka kroków od siebie widział on starą i poplamioną lecz jeszcze dość całą czapkę, z której mógłby zrobić bardzo miły podarunek dla swego syna, nie podniósł jej jednak, tak jakby nie podniósł w tej chwili i woru ze złotem.

Poniżej swego ohydneho posłania dostrzegł on dwóch chłopców, widocznie nie znających się z sobą, z których mniejszy rzucał kamienie na wodę, wyższy zaś zdawał się rozmyślać nad sposobem zawarcia z nim znajomości. Jakób uczuł dziwną sympatję dla tych wyrostków, chętnieby nawet porozmawiał z nimi, tylko, że nie mógł jakoś zebrać się na wypowiedzenie pierwszego słowa; milczał więc i słuchał:

— Hej! tam!... — zawołał nagle wyższy—a nie przestajesz rzucać, he?...

— No, abo co? — odparł niższy.

— Bo to, że w mordę dostaniesz, jak będziesz rzucał...

— O, a za co?...

— Za to, że niewolno rzucać na wodę kamieni. Nie wiesz czy co?...

Kiedy Jakób napróżno usiłował przypomnieć sobie tak dziwny zakaz, mały chłopiec przystąpił do wyższego, który znowu zaczął:

— Widisz ty, cybulusie, tego łobuza na górze?... — i to mówiąc, wskazał Jakóba.

— Możeby w niego z parę razy?... — spytał nieśmiało młodszy.

— Pal go! — zawołał starszy.

Po tej komendzie, kilka kamieni świsnęło nad Jakóbem jeden padł około głowy, drugi trafił w chorą nogę. Jakób syknął z bólu i usiadł na śmieciach, co widząc, chłopcy uciekli...

— Czego oni chcą ode mnie?... com ja im winien?... — mruknął nędzarz.

Lecz, nim zdołał odpowiedzieć na to pytanie, usłyszał za sobą gruby głos:

— Oho, znowu jesteś, ptaszku?... Nie widzieli go tu...

Jakób obejrzał się: za nim stał silny i wysoki człowiek, wyglądający na stróża.

— Jeszcze ci się chce co upolować?— ciągnął przybyły. — Niedawnoś pokradł deski i dziś znowu przychodzisz, kanalio—

— Ja nie kradnę desek — szepnął Jakób.

— Nie kradniesz ty, tylko twój brat za ciebie... Znamy się lisku... Won stąd!

Biedak podniósł się:

— Czego wy chcecie ode mnie, człowieku...

— Won stąd! — krzyknął jeszcze głośniej przybyły, i schwyciwszy Jakóba za ramię, gwałtownie wypchnął go na drogę.

Nędzarz teraz dopiero uczuł, że go noga boli straszliwie, że go głowa pali, i język mu z pragnienia wysycha. Chciał jeść, chciał pić, chciał spocząć gdzie, ale miejsca nie było.

Na skrócie pustej i niebrukowanej ulicy, za stosem belek dostrzegł rudego dziada, w starym wojskowym płaszczu i z płócienną torbą na ramieniu. Dziad, siedząc, układał coś na kolanach i mruczał:

— Krajanka chleba... za duszę Piotra i Agaty. Suchy chleb... Trzy ogórki, żeby Pan Bóg dał deszcz... Może i da? Szóstka za dusze zmarłe... Wieczny odpoczynek...

Jakób zrobił parę kroków naprzód.

— Litościwa osobo, zmiłuj się nad biednym sierotą... — zaczyna dziad, raczej skutkiem przyzwyczajenia, niż nadziei, aby prośba jego przydać się na co mogła.

Jakób stanął.

— I i i... dziadku, — rzekł — jeszczeby mnie się co od was należało...

— Wam?... ode mnie?... — zawołał dziad zdumiony.

— A ino?... Wyście dziś jedli, a ja nic.

— No, patrzaj, nie jedliście?... a to jedzcie!... kto wam broni?—mruknął dziad, szybko chowając zapasy.

— A kiej nie mam co jeść...

— To sobie zaróbcie. On myśli, że teraz dziady to takie wielkie panowie, jak dawniej.

— Pewnie, że chciałbym zarobić, ale nie mam gdzie.

— O ho... nie mam gdzie! To się powieście.

— I powroza nie mam.

— To go ukradnijcie! — zakończył dziad z gniewem. — Ja tam ani wasz brat, ani swat, żebyście mi głowę zawracali.

Wszystkie cierpienia fizyczne i moralne odżyły w biednym Jakóbie; zdawało mu się, że go ze wszech stron otaczają jakieś sieci niewidzialne, jakieś narzędzia męki, przed którymi chciał uciec. Chciał uciec przed swoją nogą krwawiącą się i opuchłą, przed swoją głową, w którą tysiące młotów kuły, przed spojrzeniami głodnych dzieci, które jak ostre gwoździe wbijały się mu w serce, przed wyrzutami żony, które jak roztopiony ołów upadały na niego, słowem—przed wszystkim... przed wszystkim...

Z tej strasznej zadumy ocucił go brzęk szkła i krzyki.

— Giewałt... lufcik zbił... łapaj... trzymaj...

To on zbił lufcik, to jego łapać kazano! Jakób rozejrzał się: był już niedaleko swojej ulicy, w padł więc na nią, zmieszał się z tłumem przechodniów i znikł w bramie.

Na podwórzu zaczepił go bednarz Marcin:

— Nie macie się czego kwapić do domu: Mańka zgdzieś zginęła na ulicy, i wasza wyszła za nią z chłopcem, a resztę dzieci zamknęła w izbie.

Jakób, nie odpowiedziawszy nic, wbiegł na schody, a ze schodów do komórki pod strych, gdzie były sznury, na których wieszano bieliznę i garstka grochowin, na których zwykle sypiał. Tu zziajany, rozgorącz-

kowany, sparł się o jedną z belek i w najwyższym niepokoju począł wyglądać przez dymnik, oczekując na coś...

Czekał niedługo, w kilka minut bowiem ukazał się na podwórzu jakiś Żyd w towarzystwie kobiety.

— Marcinie! — zawołała do bednarza kobieta — a gdzie to Jakób siedzi?

— A na co go wam?...

— Jakto na co?... — wtrącił Żyd.— Na to, żeby za szybę zapłacił, co ją zbił...

— I toście wy, Katarzyno, pokazali drogę do Jakóba? — spytał bednarz kobiety.

— Przecie to nie darmo — objaśnił Żyd.—Wuna ode mnie wódki dostanie...

— Widać, żebyście wy, Katarzyno, rodzzonego ojca za kieliszek wódki sprzedali,—mruknął pogardliwie bednarz.

— Nu, co tu dużo gadać — przerwał Żyd: — pokazujcie, Katarzyno, boja nie mam czasu.

Zawstydzona kobieta milczała, spoglądając ukradkiem na dymnik, gdzie w półcieniu dostrzegła wynędzniałą twarz Jakóba.

— Nu, gdziei to jest, Katarzyno?... nalegał Żyd.

W tej chwili ręce Jakóba podniosły się nad głową.

— Dajcie mi tam spokój—odparła kobieta.

Głowa w dymniku poruszyła się gwałtownie, twarz przebiegły konwulsyjne dreszcze.

— Wynoś się Żydu — huknął Marcin.— Co się będziesz w cudzym domu rozbijał...

Twarz wyglądającego ze strychu Jakóba zrobiła się blado siną.

— Za co wynoś... co to wynoś?... giewał! — wrzeszczał rozgniewany Żydek, i na podwórzu rozpoczął się hałas, który dopiero przybycie Lajzera Skowronka uciszyło.

Stary gospodarz uspokoił poszkodowanego i kazał mu iść do domu.

— Niech panu Bóg wynagrodzi — rzekł bednarz, uchylając czapki. — Już na tych biednych ludzi tak się wszystko wali, że aż strach... Teraz oto dziecko im zginęło.

— I dziecko się znajdzie, — odparł gospodarz — i jeszcze dobrze będzie. Ja dziś gadałem o nich z zakonnicą, a zakonnica powiedziała, że starego zabierają do szpitala i dzieci do ochrone i Jakóbowe dadzą robotę... Będzie gut.

— Jakóbie! — zawołał bednarz, podnosząc głowę: — a zejdzta ino na dół! Nagle urwał i niespokojnie dodał: — Co jemu jest?...

— Co jemu jest? — powtórzył wybladły gospodarz, patrząc w dymnik.

W tej chwili w bramie domu ukazała się praczka, niosąc na rękę znalezioną, śpiącą ze zmęczenia dziewczynę; obok niej biegł najstarszy chłopiec z potężnym kęsem chleba, nad którego zmniejszeniem nader usilnie pracował.

Zobaczywszy sędziwego Żyda, Jakóbową zaczęła mu dziękować; ten jednak machnął niecierpliwie ręką i poszedł na górę, a za nim bednarz i praczka z dziećmi, w towarzystwie kilkorga podwórzowych gapiów

Przed drzwiami komórki gospodarz zatrzymał się i rzekł:

— Wejdźcie wy naprzód, panie Marcinie...

Lecz i Marcin nie wszedł, spojrział tylko w głąb komórki przez szczelinę między deskami i cofnął się przerażony.

Nie wiedząc o co chodzi, Jakóbową pierwszą stanęła we drzwiach, a za nią gapie.

— O Matko moja Boska! — zawołała nagle kobieta—a cóżeś ty zrobił najlepszego Jakóbie!...

— Dajcie znać do policji—dodał ktoś.— Jakób się powiesił.

— Oderznijcie go, może jeszcze ciepły...

— Nie dotykajcie się, bo za to kryminał!

Powstał zgiełk i bieganina; najsprzeczniesze zdania krążyły między gromadą, która w kilka minut zapełniła korytarzyk i schody.

— A wa... a wa-... — lamentował gospodarz, drżąc na całym ciele. — Taki strach, taki grzech, taka kompromitacja... Za co on to zrobił?... Ja komornego nie brałem, ja jego dzieciom dopomagałem, ja za nim do zakonnicy poszedłem, a on się powiesił... Nu, róbże tu ludziom dobrze, to oni ci tak zapłacą...

— Nie gniewajcie się, panie Lajzer, — wtrącił niemniej zmieszany bednarz—bo on nie przez złość tak zrobił, ino przez to, że miał źle w głowie... Jemu i sam Pan Bóg daruje...

Tak narzekali i litowali się dobrzy ludzie, a tymczasem przywiązany do krokwi dachu wisiał trup Jakóba. Biedna głowa jego opadła ku ziemi, lecz na zsiniałej twarzy, zamiast obłędu, trwogi i boleści, rozlewał się majestatyczny spokój śmierci.

MICHAŁKO

Roboty przy kolei skończono. Podradczyk wypłacił komu co się należało, oszukał kogo można, i ludzie poczęli się rozchodzić, gromadami, każdy do swojej wsi.

Koło karczmy, która stała przy planicie, do południa było gwarno. Jeden obwarzankami napełniał kobiałkę, drugi kupował wódkę do domu, inny—upijał się na miejscu. Potem porobili zawiniątka z grubych płacht, i zawiesiwszy je przez ramiona, odeszli, wołając:

— Bywaj zdrów, “durny Michałku!...”

A on stał.

Został na szarem polu i nie patrzył nawet za swoimi, tylko na błyszczące szyny, które biegły aż tam, het! niewiadomo dokąd. Wiatr rozrzucał mu ciemne włosy, rozwiewał białą parciankę i z daleka przynosił—ostatnią zwrotkę odchodzących.

Wkrótce za krzakami jałowcu skryły się płachty, parcianki i okrągłe czapki. W końcu i pieśń umilkła, a on wciąż stał z założonymi rękoma, bo—nie miał dokąd iść. Jak ten zając, który w tej oto chwili przeskakuje szyny, tak on, chłopski sierota, gniazdo miał w polu, a spiżarnie—gdzie Bóg da.

Za piaszczystym wzgórzem rozległo się gwizdanie, zakłębił się dym, i zaturkotało. Nadjechał pociąg roboczy i zatrzymał się przed niewykończoną stacją. Otyły maszynista i jego młodziutki pomocnik zeskokczyli z lokomotywy i pobiegli do karczmy. To samo

zrobili brekowi. Został tylko inżynier, który przypatrywał się, zamyślony, pustej okolicy i przysłuchiwał szmerowi pary w kotle.

Chłop znał inżyniera, więc uklonił mu się nisko, do ziemi.

— A to ty, “durny Michałku!” Cóż tutaj robisz? — zapytał inżynier.

— Nic, panie! — odparł chłop.

— Dlaczego nie wracasz do wsi?

— Nie mam po co, panie.

Inżynier zaczął nucić, a potem rzekł:

— Jedź do Warszawy. Tam zawsze znajdziesz robotę.

— Kiedy nie wiem, gdzie to.

— Siadaj na wagon, to się dowiesz.

“Durny Michałko” skoczył na wagon, jak kot, i usiadł na stosie kamieni.

— A pieniędzy trochę masz? — spytał inżynier.

— Mam panie rubla i czterdzieści groszy i złoty dziesiątkami...

Inżynier począł znowu nucić i oglądać się po okolicy, a w lokomotywie wciąż warczało. Wreszcie z karczmy wybiegła obsługa pociągu, z butelkami i węzełkami. Maszynista i jego pomocnik siedli na lokomotywę—i ruszono.

O jaką milę drogi stąd, na zakręcie, ukazały się dymy i wieś uboga, zbudowana między błotami. Na jej widok Michałko ożywił się. Zaczął się śmiać, wołać (choćby go nie usłyszano z takiej odległości), machać czapką... Aż jadący na wysokim koźle brekowi ofuknął go:

— A ty się czego wychylasz? Jeszcze zlecisz, i diabli cię wezmą...

— Bo to nasza wieś, panie, o tam o!...

— No, więc kiedy wasza, to siedź spokojnie — odparł brekowy.

Michałko usiadł spokojnie, jak mu kazano. Tylko, że go coś bardzo nudziło w sercu, więc zaczął mówić pacierz. Ach! jakżeby on wrócił do swojej wsi, z gliny i słomy ulepionej, tam — między błota... Ale nie miał po co. Choć go nazywali "durnym", tyle przecie rozumiał, że na świecie mniej przy-miera się głodu i łatwiej o nocleg, aniżeli we wsi. O! na świecie chleb jest bielszy, na mięso można choć popatrzeć, domów więcej i ludzie nie tacy mizerni, jak u nich.

Wymijali stację za stacją zatrzymując się tu dłużej, tam krócej. O zachodzie słońca kazał inżynier dać chłopu jeść, a on za to — do nóg mu się uklonił.

Wjechali w nową całkiem okolicę. Nie było tu rozlewających się bagien, ale wzgórzyste pola, kręte i szybko płynące rzeczki. Znikły kurne chaty i stodoły plecione z wici, a ukazały się piękne dwory i murowane budynki, lepsze, niż u nich kościoły — albo karczmy.

Nocą stanęli pod miastem, zbudowanym na górze. Zdawało się, że domy włączają jeden na drugi, a w każdym tyle światła, co gwiazd na niebie. Na stu pogrzebach nie zobańczyłby tylu świec, co w tem mieście...

Grało coś bardzo pięknie, ludzie chodzili tłumem, śmiejąc się i rehocząc, choć już była taka noc wielka, że we wsi słyszałbyś tylko wołanie upiora i ujadanie strwożonych psów.

Michałko nie zasnął. Inżynier kazał mu dać funt kiełbasy i bułkę chleba, a potem — przepędzili go na inny wagon, który wiózł

piasek. Było tu miękko, jak w puchu. Ale chłop nie kładł się, tylko siedział w kuczki, jadł kiełbasę z chlebem, aż mu oczy wyłaziły na wierzch, i myślał:

— Nie bój się, jakie to są dziwne rzeczy na świecie!...

Po kilkugodzinnym postoju, nad ranem, pociąg ruszył, i jechali truchtem. Na jednej stacji, wśród lasu, zatrzymali się dłużej, a brekowsy powiedział chłopu, że inżynier pewnie wróci nazad, bo przyszła po niego depesza.

Istotnie inżynier zawołał do siebie chłopą.

— Ja muszę jechać napowrót—rzekł. A ty sam czy puścisz się do Warszawy?

— Bo ja wiem! — szepnął chłop.

— No, przecie nie zginiesz między ludźmi?

— Komu ja, panie, zginę, kiedy nie mam nikogo?...

Rzeczywiście, komu on miał zginąć!

— A więc jedź — mówił inżynier. — Tam, zaraz przy stacji, budują nowe domy. Będiesz nosił cegłę i nie umrzesz z głodu, byleś się nie rozpił. Potem może ci być lepiej. Na wszelki wypadek masz rubla.

Chłop wziął rubla, uścisnął inżynierowi kolana i usiadł na swój wagon z piaskiem.

Wnet ruszyli.

W drodze zapytał brekowego:

— Daleko stąd, panie, do naszej stacji?

— Chyba ze czterdzieści mil. Czy ja wiem!

— A piechotą, panie, długoby szedł?...

— Moe ze trzy tygodnie. Wreszcie nie wiem.

Niezmierny strach ogarnął chłopą. Po co on puścił się nieszczęśliwy tak daleko, że aż trzy tygodnie iść potrzeba do domu!...

W ich wsi opowiadano nieraz o parobku, co go wichur porwał i prędey, niż przeżegnać się można, zaniósł i cisnął o dwie mile—już trupa. Czy z nim nie stało się to samo? Czy ta maszyna, ziejąca ogniem, której boją się starzy ludzie, nie jest gorsza od wichru?... A gdzie go ona wyrzuci!

Na tę myśl schwycił się krawędzi wagonu i zamknął oczy. Teraz uczuł, jak go niesie, jak strasznie huczy, jak go wiatr bije po twarzy i śmieje się: hu! hu! hu!... hi! hi!...

Porwałaż go dopiero burza, porwała!... Tyle że nie od matki, ani od ojca, ani od własnej chaty, tylko z pola sierotę.

Rozumiał, że jest z nim coś niedobrze, ale—cóż na to poradzić? źle mu jest, gorzej mu pewnie będzie, lecz, że już było źle, gorzej i najgorzej, więc otworzył oczy i puścił się wagonu. Taka wola Boska. Od tego on przecie biedny chłop, żeby dźwigał nędzę na karku, a w sercu obawę i żal...

Lokomotywa przeraźliwie zagwizdała. Michałko spojrział przed siebie i zobaczył z daleko jakby las domów zasnutych płachtą dymu.

— Czy to pali się gdzie? — zapytał brekowego.

— To Warszawa!...

Chłopa znowu ścisnęło za piersi. Jak on tam ośmieli się wejść w ten dym?

Stacja. Michałko wysiadł. Pocałował brekowego w rękę, i rozejrzawszy się, poszedł zwolna do sklepu, gdzie na szyldach wymalowane były kufle z czerwonym piwem i zie-

lona wódka we flaszkach. Nie ciągnęła go tam pijatyka, lecz co innego.

Za szynkiem widać było murujący się dom, a przed sklepem stali mularze. Więc przypomniał sobie radę inżyniera i poszedł zapytać o robotę.

Mularze, chwaty chłopcy, powaleni wapnem i cegłą, sami go zaczepili.

— A cóżeś ty za jeden? A skądeś to? Jak twojej matce na imię?... Kto ci taką czapkę uszył?

Jeden ciągnął go za rękaw, drugi mu czapkę wbił na oczy. Parę razy obrócili go w kółko, tak, że nie wiedział już, skąd przyszedł.

— Skądeś to, chłopaku?...

— Z Wilczołyków, panie! — odparł Michałko.

Ale, że mówił śpiewającym głosem i miał minę bardzo zakłopotaną, więc mularze zaczęli się chórem śmiać.

On stał między nimi i, choć go trochę poniewierali, śmiał się także.

— To ci dopiero wesoły naród, nie bój się! — myślał.

Ten jego śmiech i uczciwa mina przejeżdżały mu ludzi. Uspokoili się, zaczęli go wypytywać. A gdy powiedział, że szuka roboty, kazali mu iść za sobą.

— Głupi bestia, ale zdaje się, że dobry chłopak—mówił jeden z majstrów.

— Trza go wziąć—dodał drugi.

— A wkupisz się ty? — pytał Michałka czeladnik.

— Kiedy nie wiem jak?

— Postawisz garniec wódki — dodał drugi.

— Albo dostniesz basarunek! — wtrącił trzeci ze śmiechem.

Po namyśle chłop odparł:

— Jużci wolę dostać, niż dawać...

Mularzom się i to podobało. Wsunęli mu znowu parę razy czapkę na noczy, ale ani upominali się o wódkę, ani mu nie sprawili basarunku.

Tak, zabawiając się, zaszli na miejsce i wzięli się do roboty. Majstrowie wleźli na wysokie rusztowania, a dziewczuchy i wyrostki zaczęli cegłę nosić. Michałkowi, jako nowotnemu, kazano przerabiać gracą wapno z piaskiem.

Tym sposobem zaciągnął się do mularki.

Na drugi dzień dali mu do pomocy dziewczuchę, tak ubogą, jak on. Za całe odzienie miała starą chustkę, dziurawą spódnicę i koszulinę — pożał się Boże! Nie była wcale ładna. Miała śniadą i chudą twarz, nos krótki, zadarty i niskie czoło. Ale Michałko nie był wybredny. Ledwie stanęła przy nim z gracą, zaraz nabrał do niej ciekawości, jak zwyczajnie chłop do dziewczuchy. A kiedy spojrzała na niego z pod wypłowiałej chustki, uczuł, że mu jakoś ciepło we środku. Nawet ośmielił się tak, że do niej zagadał:

— Skądęście to? Zdalekaście od Warszawy? Dawno robicie z mularzami?

O takie ją tam rzeczy wypytywał, mówiąc: wy. Ale że ona zaczęła mu mówić: ty, więc i on jej — ty.

— Nie męcz się, — mówił — już ja zrobię i za ciebie, i za siebie.

I robił sprawiedliwie, aż się z niego potlał strumieniami; a dziewczyna tylko suwała gracą po wierzchu wapna tam i napowrót.

Od tej pory chodzili dwójką przez cały dzień zawsze razem i zawsze sami. Niekiedy łączył się z nimi jeden czeladnik. Dziewusze nawybyślał, z chłopą nakpił i tyle. Wieczorem zaś Michałko zostawał spać w murującym się domu, bo nie miał gdzie, a jego towarzyska szła w miasto, razem z innymi i z owym czeladnikiem, który jej wciąż wymyślał, a czasem i dał w kark.

— Czegoś nie lubi dziewczuchy — mówił sobie Michałko. — Ale trudna rada! Od tego przecie jest czeladnik, żeby nas poszturgiwał.

Za to on starał się jej wynagradzać krzywdę, jak umiał. Robił wciąż za siebie i za nią. Na śniadanie dzielił się z nią chlebem, a na obiad kupował jej barszczu za pięć groszy, bo dziewczucha prawie nigdy nie miała pieniędzy.

Gdy przeznaczyli ich do noszenia cegieł na górę, chłop nie mógł już wyręczać swojej przyjaciółki, bo jej pilnowali majstrowie.

Ale po giętkich rusztowaniach chodził za nią krok w krok, a jak się bał, ażeby nie potknęła się, i żeby cegły jej nie przywalały!

Widząc taką troskliwość chłopą, ów zły czeladnik drwił sobie i pokazywał go innym. Inni się także śmieli i krzyczeli na Michałka z góry:

— Na, głupi, na!...

Raz w południe odwołał czeladnik dziewczkę na bok, czegoś od niej chciał, nawet poturbował ją mocniej, niż zwykle. Po tej rozmowie, spłakana, przyszła do Michałka, pytając: czy nie ma pożyczyć jej dwudziestu groszy?

Czegóżby on dla niej nie miał! Więc prędko rozwiązał węzełek, gdzie były pienią-

dze, przywiezione jeszcze ze stacji, i dał jej żadaną sumę.

Dziewucha odniosła dwanaście groszy czeladnikowi, i od tej pory nie był prawie dnia, ażeby jej chłop nie pożyczał na wieczne oddanie. A kiedy zapytał raz nieśmiało:

— Na co ty dajesz pieniądze temu piekielnikowi?

— A bo już tak! — odparła.

Jednego dnia czeladnik pokłócił się z pisarzem i rzucił robotę. Nie dosyć, że sam rzucił, ale jeszcze kazał dziewczynie, jakby jakiej słudze, zrobić to samo—i iść za nim.

Dziewczyna zawahała się. Lecz gdy pisarz pogroził, że jeżeli nie dotrzyma do wieczora, to nie zapłaci jej za cały tydzień, wzięła się znowu do cegieł. Prostemu człowiekowi miły jest przecie grosz, jeszcze zapracowany tak krwawo.

Czeladnik wpadł w złość.

— Idziesz, psaia wiaro, — krzyczał — czy nie idziesz?

— Jakże pójdę, kiedy mi nie chcą zapłacić? Dobrzeby było za tego rubla spódniczyne sobie przynajmniej kupić!...

— No! — wrzasnął czeladnik — to terazże mi się na oczy nie pokazuj, progu nie przestap, bo cię na śmierć zabiję!...

I poszedł ku miastu.

Wieczorem, jak zwykle, mularze rozbiegli się. W nowym domu został na nocleg Michałko i — dziewczucha.

— Nie idziesz? — spytał ją chłop, zdziwiony.

— Dokądże pójdę, kiedy powiedział, że mnie wygna!... Teraz dopiero Michałko zaczął się czegoś domyślać.

— Toś ty z nim siedziała? — rzekł z odzieniem żalu w głosie.

— A jużci — szepnęła zawstydzona.

— I jemuś wszystek swaój zarobek oddawała, choć cię bijał?...

— Pocóżeś ty tak paskudnie robiła?...

— Bom go lubiła — odparła cicho dziewczka, kryjąc się między słupy rusztowań.

Chłopu stało się tak, jakby go kto nożem kolnął. Niedarmo ludzie śmieli się z niego!...

Michałko przysunął się do dziewczki.

— Ale teraz nie będziesz go lubić? — zapytał.

— Nie! — odparła i zaczęła rzewnie płakać.

— Ino mnie będziesz lubić?

— Tak.

— Ja cię nie będę rozbijał, ani twoich pieniędzy zabierał.

— Jużci prawda!

— Ze mną będzie ci ładniej...

Dziewucha nie odpowiadała nic, tylko płakała jeszcze mocniej i trzęsła się.

Noc była chłodna i wilgotna.

— Zimno ci? — spytał chłop.

— Zimno.

Posadził ją na kupie cegieł, szlochającą. Zdjął parciankę i otulił dziewczuchę, a sam został w jednej koszuli.

— Nie płacz!... nie płacz! — mówił.

— Tylko jedną noc przesiedzisz tak. Masz przecie rubla, to jutro wynajmiemy za niego stancję a spódniczyne ja sam kupię ci za swoje. Ino nie płacz...

Ale dziewczucha nie zważała na to, co mówił Michałko. Podniosła głowę i słuchała.

Zdawało jej się, że z ulicy dolatuje odgłos znajomych kroków.

Stąpanie zbliżało się. Jednocześnie ktoś zaczął gwizdać i wołać:

— Chodź do domu... Ty!... Gdzie tam jesteś?

— Tu jestem! — zawołała dziewczucha, zrywając się.

Wybiegła na ulicę, gdzie stał czeladnik.

— Tu jestem! — powtórzyła.

— A pieniądze masz? — spytał czeladnik.

— Mam! O tu... Naści! — rzekła, podając mu rubla.

Czeladnik schował rubla do kieszeni. Potem schwycił dziewczkę za włosy i zaczął ją bić, mówiąc:

— A na drugi raz słuchaj mię, bo cię na próg nie puszcę... Rublem się nie wykupisz... A słuchaj!... a słuchaj! — powtarzał, okładając ją pięściami.

— O dla Boga!... — wołała dziewczka.

— A słuchaj!... A słuchaj, co ci każe...

Nagle puścił dziewczuchę, czując, że go ujęła za kark potężna ręka. Z trudnością odwrócił głowę i zobaczył roziskrzane oczy Michałka.

Czeladnik był chwata Mazur, więc grzebnął Michałka pięścią w łeb, aż mu w uszach zadzwoniło. Ale chłop nie popuścił mu karku. Owszem, ścisnął jeszcze lepiej.

— A uduś mnie, ty złodziejski portrecie... to zobaczysz! — stęknął chrapliwym głosem czeladnik.

— To jej nie bij! — rzekł chłop.

— Nie będę — mruknął i wysadził język.

Michałek otworzył garść, a czeladnik aż się zatoczył. Złapał kilka razy powietrza, a potem przemówił:

— Kiedy nie chce, żebym ją bił, to niech ze mną nie chodzi. Lubi mnie, to i wszem, ale ja biję, bo mam taki obyczaj!... Co mi po dziewczce, żeby jej walić nie można? Niech idzie na złamanie karku!

— To pójdzie... Wielka rzecz! — odparł chłop.

Ale dziewczucha złapała go za rękę.

— Daj ty już spokój — mówiła do Michałka, drżąc i ściskając go. — Nie mieszaj się między nas...

Chłop oniemiał.

— A ty chodź do domu — rzekła do czeladnika, biorąc go pod ramię. — Co cię tam ma kto poniewierać na ulicy...

Czeladnik wyrwał się jej i rzekł ze śmiechem.

— Idź sobie do niego! On cię nie będzie bił... On ci przecie pieniądze dawał...

— Iii!... daj mi tam spokój... — ofuknęła dziewczucha i poszła naprzód.

— Widzisz, z babą trzeba jak z psem!... — rzekł czeladnik, wskazując dziewczuchę. — Wal ją, a ona za tobą w ogień pójdzie...

I zniknął. Tylko w ciszy nocnej rozległ się jego uśmiech złośliwy.

Chłop stał, spoglądał za nimi, przysłuchiwał się. Następnie wrócił między rusztowania i patrzył na to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała dziewczucha.

W głowie czuł zamęt, a piersiami nie mógł tchu złapać. Ledwie co powiedziała mu, że tylko jego będzie lubiła — i zaraz odeszła. Dopiero co — on był tak szczęśliwy, tak było

tu dobrze z żyjącą istotą, jeszcze z dziewczuchą, a teraz — jak pusto i smutno!

Dlaczego ona odeszła?... Jużci dlatego, że taka jej wola, tak jej się podobało!... Cóż on na to poradzi, chociaż jest dobry i silny?... Instynktownie szanował jej przywiązanie do czeladnika, nie gniewał się, że daną mu obietnicę złamała, nie myślał narzucać gwałtem swoich uczuć. Ale pomimo to tak mu było żal jej, tak było żal...

Wyżartemi przez wapno rękami otarł oczy i podniósł swoją parciankę rzuconą na stosie cegieł i jeszcze jakby ciepłą. Wyszedł znowu na ulicę, powstał tam.

Nic nie widać, tylko wśród mgły połyskuja czerwone ogniki latarni.

Wrócił między chłodne mury i legł na ziemi. Ale zamiast spać, wzdychał ciężko, samotny, tęskniący do swojej dziewczuchy.

Do swojej, bo ona przecież sama powiedziała mu, że tylko jego będzie lubiła.

Nazajutrz wziął się chłop, jak zwykle, do roboty.

Ale szła mu niesporo. Był znużony, a i ten budynek jakoś mu obmierzł. Gdzie stąpił, czego się dotknął, na co spojrzał, wszystko przypominało mu dziewczuchę i gorzki zawód. Ludzie także kpili z niego i wołali:

— A co, głupi Michałku, prawda, że drogie dziewczki w Warszawie?

Drogie, bo drogie! Chłop wydał na swoją wszystkie oszczędności, przymierał z głodu, nic sobie nie sprawił, nie miał z niej żadnej pociechy, i jeszcze go tak brzydko opuściła.

Źle mu tu było, wstyd. Więc gdy usłyszał, że w Warszawie lepiej płacą pomocnikom mularskim, wybrał się tam, pierwszy raz.

Szedł za jednym czeladnikiem, który obiecał zaprowadzić go na ulicę, gdzie najczęściej stawiają domów.

Wybrali się wczesnym rankiem i tęgi kawał czasu sunęli się do Wisły. Chłop kiedy zobaczył most, aż gębę otworzył. Na tę chwilę i dziewczucha wywietrzała mu z głowy.

Przy budce strażniczej zawahał się.

— Co ci to? — sptał ów czeladnik.

— Nie wiem, panie, czy mnie tędy puszczą? — odparł Michałko.

— Głupiś! — zgromił go czeladnik. — Jakby cię kto zaczepił, to mu powiedz, że idziesz ze mną!

— Jużci prawda — pomyślał chłop i dziwił się, że mu taka odpowiedź pierwszej nie przysła do głowy.

Potem dziwił się łazienkom i berlinkom, że nie tonęły na wodzie, choć wielkie, a potem nie mógł dać wiary, że cały most był z czystego żelaza.

— Musi w tem być jakieś złodziejstwo — mówił do siebie. — Tyle żelaza, to chyba na świecie niema!...

Tak sobie szli, czeladnik i Michałko, jeden za drugim, przez most, przez Nowy Zjazd, przez ulice. Koło Zamku chłop zdjął czapkę i przeżegnał się, myśląc, że to kościół. Przed Bernardynami mało go omnibus nie rozjechał. Przed figurą Matki Boskiej, obok Dobroczynności, chciał uklęknąć i mówić pacierz, tak, że ledwie odciągnął go czeladnik.

Na ulicach hałas, powozów szeregi, ludzi tłum. Michałko, jednym ustępował z drogi, na innych wpadał i aż bladł ze strachu, żeby go nie wyprali. W końcu, w głowie mu się na szczęt zamąciło — i zgubił czeladnika.

— Panie!... panie!... — począł krzy-
 czeć zrozpaczony i pędem biegł przez ulicę.

Ktoś go zatrzymał, mówiąc:

— Cicho ty sobaka!... Tu krzyczeć nie
 wolno!

— A bo mi mój pan zgniał!

— Jaki pan?

— Czeladnik mularski.

— O to pan!... A gdzież tobie potrzeba?

— Tam, gdzie dom murują...

— Jaki dom?

— Taki... z cegły — odparł chłop.

— Ot głupi!... No, to i tutaj dom mu-
 rują... I tam! tu!

— Kiedy nie widzę...

Wzięto go za ramię i zaczęto pokazywać.

— O patrz! Tu jeden dom budują...
 Tu drugi...

— Aha! ha! — rzekł Michałko i poszedł
 do tego drugiego, bo nie trzeba było przebie-
 gać przez ulicę.

Dobrawszy się na miejsce, zapytał o cze-
 ladnika. Tu go jednak nie znalazł, więc wska-
 zano mu inny dom. Ale i tam o czeladniku
 Nastazym nie słyszano; musiał przeto chłop
 iść dalej.

Tym sposobem obiegł kilka ulic i obej-
 rzał kilkanaście rozpoczętych budowli, pyta-
 jąc w duchu; gdzie mieszkają ci ludzie, co im
 dopiero teraz domy murują?

Stopniowo oddalał się od środka miasta.
 Gwar uliczny słabnął, przechodnie ukazywali
 się rzadziej, powozów prawie nie było. Za to
 liczba rusztowań, stosów cegieł i czerwonych
 murów powiększyła się.

Chłop stracił już nadzieję znalezienia
 czeladnika i pomyślał o wyszukaniu roboty.

Wstąpił do pierwszej fabryki przy drodze, stanął między robotnikami i patrzył. Czasami wmieszał się do rozmowy, albo komu usłużył. Jednemu pomógł układać cegłę, drugiemu podał szaflik, a tym, którzy gracowali wapno, powiedział, że nie tak się robi, tylko tak. I zaraz pokazał, aż ochlapał majstra od stóp do głowy.

—Co się tu kręcisz, kundlu jakiś?—zapytał go pisarz.

— Roboty szukam, panie.

Tu niema dla ciebie roboty.

— Niema teraz, to może znajdzie się potem. A państwu przecie nie ubędzie, jak któremu pomogę.

Pisarz, sprytna sztuka, zmiarkował, że chłop nie musi pachnąć groszem. Wyjął swoją książeczkę, ołówek, zaczął przekreślać rachować — i w końcu przyjął Michałka.

Ludzie mówili, że zarabiał na nim dwadzieścia groszy dziennie—extra.

W tej fabryce był chłop do jesieni. Z głodu nie umarł, za nocleg nie zapłacił, ale też nawet butów sobie nie kupił. Tyle tylko, że upił się parę razy przy świętej niedzieli, jak wieprzak. Chciał nawet awanturę zrobić w szynku, ale mu czasu zabrakło, bo go wyrzucili za drzwi.

Dom rósł jak rzeżucha. Jeszcze oficyn nie wykończyli mularze, a już front dachem obity, otynkowany, oszklony, i nawet ludzie zaczęli się sprowadzać.

W końcu września rozpadały się deszcze. Robotę przerwano i pomocników odprawiono. W ich liczbie był Michałko.

Pisarz z tygodnia na tydzień urywał mu coś z płacy, mówiąc, że razem odda. Gdy zaś

przyszedł obrachunek ostateczny, chłop choć niepiśmienny, zmiarkował że go chyba pisarz oszwabił. Dał mu trzy ruble, a należało się z pięć, albo i ze sześć.

Michało wziął trzy ruble, zdjął czapkę i zaczął skrobać się w głowę, przestępując z nogi na nogę. Ale pisarz był tak zajęty swoją książeczką, że ledwie w dziesięć pacierzy spostrzegł chłopca i spytał go surowo:

— No, czego jeszcze chcesz?

— Musi, panie, mnie się więcej należy — rzekł chłop z pokorą.

Pisarz zaczerwienił się. Wlazł na Michała, potrącił go piersiami i powiedział:

— A pasport ty masz?... Coś ty za jeden?...

Michałowi zamknęło gębę; pisarz mówił dalej:

— Ty może myślisz, chamski gnacie, że ja cię nakręciłem?...

— A ino...

— Więc chodź ze mną na policję, a ja ci tam dokumetnie pokażę, żeś ty złodziej i bieżyświat...

Pasport i policja zaniepokoiły Michała. Rzekł zatem:

— Niech tam moja krzywda będzie panu pisarzowi na zdrowie!

I opuścił fabrykę.

A że widać i pisarza nie bardzo ciągnęło do policji, choć go tam znali, więc skończyło się na strachu.

Chłop znalazł się teraz, jak w szczerem polu. Minął swoją ulicę, wszedł na drugą i trzecią, wszędzie wstępując, gdzie zobaczył czerwone ściany i parę słupów wbitych w ziemię. Ale roboty były już ukończone, albo

kończyły się, a gdy pytał: czy go tu nie przyjmą? — nawet nie odpowiadano.

Przełaził tak jeden dzień i drugi, omijając stójkowych, żeby go nie zaczepili o pasport. Garkuchni z ciepłą strawą nie mógł znaleźć, więc żył kiszkami ze krwi i słoniny, chlebem, śledziem, a popijał wódką.

Wydał już rubla, nie używszy nic dobrego. Sypiał pod parkanami i tęsknił do towarzystwa ludzkiego, bo nie miał do kogo gęby otworzyć.

Przyszła mu myśl, że możeby lepiej wrócić do domu? Więc pytał przechodniów: gdzie tu do kolei? Idąc za ich wskazówkami, trafił na kolej, ale — nie na swoją.

Zobaczył jakąś stację wielką, ludną i pełno domów wkoło niej, a szyn ani śladu.

Zmieszał się bardzo i zląkł, nie wiedząc, co się stało? Aż mu dopiero jakaś litościwa dusza wytłómaczyła, że są jeszcze inne koleje, ale — za Wisłą.

Teraz przypomniał sobie, że szedł tu przez most. Więc przenocowawszy gdzieś w rowie, pytał się nazajutrz o drogę do mostu. Odpowiedzieli mu dokładnie: gdzie trzeba iść prosto, gdzie na lewo, a gdzie na prawo i gdzie skręcić. Zapamiętał sobie wszystko, ale jak zaczął iść i skręcać, tak trafił do Wisły, a mostu nie znalazł.

Wrócił tedy ku miastu. Na nieszczęście deszcz zaczął padać. Ludzie chowali się pod parasole, a kto parasola nie miał, uciekał. Michałko nie śmiał na taką ulewę zaczepiać przechodniów i pytać o drogę.

W czasie największej nawałnicy stanął pod murem skulony, zziębnięty w swojej

przemokłej parciance, i pocieszał się tem, że deszcz choć umyje mu bosc nogi.

I gdy tak stał poblady, a z długich włosów woda spływała mu na koszulę, zatrzymał się przed nim jakiś pan.

— A co to, ubogi? — zapytał pan.

— Ni.

Pan zrobił parę kroków naprzód i znowu wrócił z pytaniem:

— Ale jeść ci się chce?

— Ni.

— I nie zimno ci?

— Ni.

— Osieł jakiś! — mruknął pan.

A potem dodał:

— Ale dziesiątkębyś wziął?

— Jakby pan dali, tobym wziął.

Pan dał mu złotówkę i odszedł, mrucząc.

Potem znowu zatrzymał się, patrząc na chłopca, jakby wahał się, ale nareszcie poszedł naprawdę.

Michałko trzymał w garści złotówkę i mówił do siebie zdziwiony:

— Nie bój się, jakie to tu są dobre panowie!...

Wtem przyszło mu na myśl, że taki dobry pan możeby mu pokazał drogę do mostu?... Ale — już było za późno.

Noc nadeszła, zapalono latarnie, i deszcz się wzmógł. Chłop szukał ulic, gdzie było najciemniej. Skręcił raz i drugi. Spostrzegł nowe budowle i nagle poznał ulicę, na której przed kilku dniami parcował.

Oto tu bruk się kończy. Tu parkan. Tam skład węgla, a tam—jego dom. W kilku oknach pal się światła, a przez otwartą bramę widać niewykończone oficyny.

— Hej! hej a gdzie to? — krzyknął za nim, od schodów, człowiek odziany w tęgi kożuch.

Musiąło już być chłodno na dworze.

Michałko odwrócił się.

— To ja — rzekł. Idę spać do piwnicy.

Człowiek w kżouchu oburzył się.

— A cóż to dziadowski hotel, żebyście noclegi odprawiali?

— Ja tu przecie robiłem całe lato — odparł zafrasowany chłop.

W sieni ukazała się stróżowa, niespokojna o męża.

— Co się tu dzieje?... Kto to?... Może włodziej? — pytała.

— I, nie! Tylko ten oto gada, że robił przy fabryce, więc mu się tu nocleg należy... Durnowaty!...

Michałkowi zaświeciły oczy. Roześmiał się i pobiegł do stróża.

— To wy z naszej wsi? — zawołał przejęty radością.

— A bo co? — spytał stróż.

— A bo tak na mnie wołacie, jak w naszej wsi... Ja przecie "durny Michałko!...

Stróżowa zachychotała, a jej mąż wzruszył ramionami.

— Żeś ty durny, to widać — rzekł. — Ale ja nie ze wsi, ino z miasta... Z Łapów! — dodał takim tonem, że aż zesmutniały chłop westchnął:

— Oj oj! To pewnie musi być takie miasto wielkie, jak Warszawa?

— Takie, nie takie — odparł stróż — ale zawsze miasto porządne.

Po chwili milczenia rzekł:

— A ty swoją drogą wynoś się, bo tu sypiać nie wolno.

Chłopu ręce opadły. Żałośnie spojrział na stróża i spytał:

— Gdzie ja pójdę, kiedy tak leje?

Trafność tej uwagi uderzyła stróża. Jużci prawda; dokąd on pójdzie, kiedy tak leje?

— Ha! — odparł — to i zostań, kiedy tak leje. Ino niech ci się w nocy nie zechce kraść. A jutro, zmykaj skoro świt, żeby cię gospodarz nie wypatrzył. Bo to bystry pan!

Michałko podziękował, poszedł do oficyn i poomacku wlaźł do znajomej piwnicy.

Roztarł skostniałe z zimna ręce, wykręcił zmocznoą parciankę i legł na okruchach cegieł i na wiórach, które sobie dawniej znosił w to miejsce.

Gorąco mu nie było, owszem—nawet, trochę chłodno i mokro. Ale on od dziecka przywykł do nędzy, więc na obecne niewygody wcale nie zważał. Gorzej go nudziła myśl: co począć? Czy szukać roboty w Warszawie, czy wracać do domu? — Jeżeli szukać roboty, to gdzie i jakiej? A jeżeli wracać do domu, to którądy i po co?

Głodu nie obawiał się. Miał przecie dwa ruble, a zresztą — alboż głód dla niego nowina?...

— Ha! wola Boska — szepnął.

Przestał kłopotać się jutrem i cieszył się dniem dzisiejszym. Na dworze deszcz lał ciurkiem. Jakby to źle było spać dziś w rowie, a jak porządnie jest tutaj!

I zasnął, zwyczajnie jak strudzony chłop, który gdy mu się co przyśni, to mówi, że go nawiedzały dusze.

A jutro... Będzie co Bóg da!

Zrana wypogodziło się, nawet błysnęło słońce. Michałko jeszcze raz podziękował stróżowi za nocleg i wyszedł. Był zupełnie rzeźki, choć mu się od wczorajszego deszczu lepiły włosy, a parcianka stężała jak skóra.

Chwilę postął przed bramą, namyślając się, dokąd iść w lewo, czy w prawo? Na rogu zobaczył otwarty szynk, więc wstąpił na śniadanie. Wypił duży kielich wódki, i weselszy, powlókł się w tę stronę, gdzie było widać rusztowania.

“Czy szukać roboty? Czy wracać do domu?” — myślał.

Wtem, gdzieś niedaleko, rozległ się huk, podobny do krótkiego grzmotu; potem drugi, głośniejszy.

Chłop spojrzał.

O paręset kroków, na prawo, widać było szczyty rusztowań, a nad nimi jakby czerwony dym...

Stało się coś niezwykłego. Michałka ogarnęła ciekawość. Popędził w tamtą stronę, poślizgując się i brnąc w kałużach.

Na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie kilka domów, kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękami niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkim unosił się czerwony pył cegły.

Chłop przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga — w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a duże belki, przeznaczone do dźwiga-

nia sufitów opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry.

W oknach sąsiednich domów ukazały się zaleknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?

— Jesteśmy!...

— A pomocnicy?...

— Jesteśwa!...

— Jędrzeja niema!... — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku...

— Trzeba go szukać!... — rzekł majster ochrypłym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Usuń się pan! — ostrzegli go. — Ta ściana ledwo wisi.

— Jędrzeju!... — Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednym miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi. Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał, i chwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu bel-

ka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość, a skamienieli z trwogi robotnicy patrzali mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach. Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy. Patrzył na ludzi stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko przerażony może więcej, niż inni.

Strach, co się w nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód...

Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i — musi ratować człowieka, który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: "pójdę!" on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru, niż inni.

— Nie pójdę!... — szeptał, i — podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie!... Co on robi?...

— Cicho!

— Boże miłosierny zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę! idę!... — rzekł Michałko, i — wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi, i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się!... — krzyknęli robotnicy, rozbiegając się.

Ale Michałko nie słyszał, nie myślał nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słyszać byo jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniejsze i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający ranego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... jedzie!... Ino mu tam jeden but ostał!...

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!...

Michałko powlókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry narów w tej Warszawie! Nie bój się!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet z daleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował.

Nowy tłum, już takich, którzy byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gortęsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop nie bardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy. — Co to, niema policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?...

— Oj! na złe idzie!... — pomyślał chłop i zląkł się żeby go za taki występki nie wsadzono do kozy.

I, nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę...

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pośród gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki, — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy, i — nie znaleźli Michałka.

NA WAKACJACH

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka wiorst od siebie, i widywaliśmy się prawie codzień. Był to przystojny blondyn, którego łagodne oczy mogły rozmarzyć niejedną kobietę. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

— Wiesz, — odezwał się — miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się: było rzeczą prawie niepodobną, ażeby "głupi wypadek" mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mieliśmy — mówił dalej — zrana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

— A tyś może skoczył w ogień?... — przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami, i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopca, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Say'a, ale na widok kłębow czarnego dymu i płomyków, wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mnie filisterska ciekawość i po-

wlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób; dwie baby, lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Floryana zażegnawała pożar; i chłopca, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

— “Oto masz system budowania!... — pomyślałem. — Dom płonie, jakby go prochem nabito...”

Istotnie w ciągu kilku minut cały dach stał w płomieniu; dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakietę musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osøkami, siekierami i wodą; jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni leli wodę z konewek w taki sposób, że nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wywrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag, wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął: “Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!” — “Gdzie?...”—spytano — “W chałupie śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę a jeszcze wyciągniesz żywego...”

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się jak rozpalone druty.

“Jeżeli nikt nie idzie, — pomyślałem — więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale — jakież piekelne gorąco!...”

— “No, rusz-że się który! — wołały baby. — O wy psie dusze, nie warciśta nazywać się chłopami!...” — “To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra! — ofuknął ktoś z tłumu. — Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe, jak kurczę, i tak już nie żyje...”

“Ładnie! — pomyślałem — nikt nie, idzie, a ja jeszcze się waham! Chociaż — szepnęła mi rozwaga — jakie лихо ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecki?...”

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

“Ale trzeba w końcu wedrzeć się tam — myślałem — każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się, jak robak.” — “Lecz jeżeli już nie żyje?... — odpowiedziało zastanowienie: — w takim razie szkoda nawet surduta...”

Zdaleka odezwał się straszny krzyk kobiety: “Ratujcie dziecko!” — Trzymajcie ją!... — zawołano w odpowiedzi. — Skoczy w ogień i zginie...”

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk: “Puszczajcie!... to moje dziecko!... — “Cięgnij ją wpół!...” — odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tłą włosy i — cofnąłem się rozgniewany: “Co za głupi sentymentalizm! — pomyślałem — dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszdyło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!...”

Wtem potrafiła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nieumyte nogi.

“Co ty robisz, warjatko? — krzyknąłem — tam już jest trup, nie dziecko...” — “Ja—gna! chodzi tu!... — zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

“Ja—gna!” — powtórzył lamentujący głos.

“Zara!... — zara!...” — odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w rękę chłopca, który, obudziwszy się, wrzeszczał wniebogłosy.

— Więc dziecko żyje? — spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna.. czy to jego siostra?

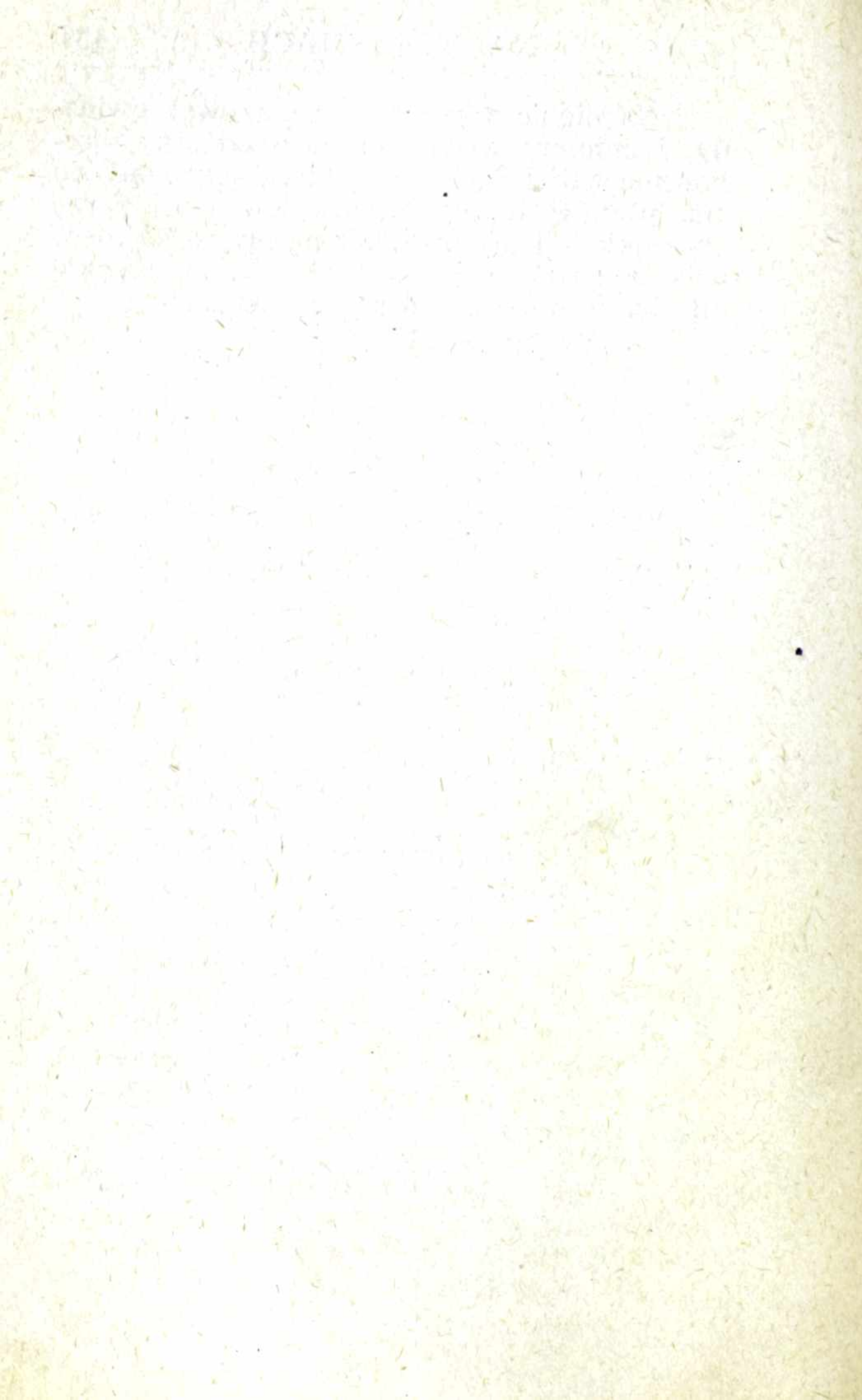
— Gdzież tam! — odparł: — zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic się jej nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu, widziałem ją, skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl jej dziki zapach i mój rozsądny takt wobec cudzego nie-szczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu... My już tacy!... — dodał i począł szpic-różgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy, i chłodny wiatr przyniósł od stawu rehotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepcą krzaki:

— Wy już tacy!...



OMYŁKA

Dom mojej matki stał na brzegu miasteczka, przy ulicy obwodowej, wzdłuż której mieściły się budynki gospodarskie, sad i ogród warzywny. Za domem ciągnęły się nasze grunty zawarte między drogą boczną a pocztowym gościńcem. Ze strychu, gdzie znajdował się pokój brata, w zwykłym czasie napełniony rupieciami, można było widzieć sklepiki i starą kapliczkę Św. Jana, z drugiej — nasze pola, potem olszynę, dalej głębokie wąwozy zarosłe krzakami, wreszcie — samotną chatę, o której ludzie wspominali z niechęcią, a niekiedy z przekleństwem.

[Miałem wówczas lat siedem i chowałem się przy matce. Była to kobieta wysoka i silna. Pamiętam jej twarz rumianą i energiczną, kaftan podpasany rzemieniem i pukające buty. Mówiła głośno i stanowczo, a pracowała od rana do nocy... O świcie była już na dziedzińcu i oglądała krowy, konie, kury — czy nie dzieje się im jaka krzywda i czy dostały jeść. Po śniadaniu szła w pole, zbaczając do chorych, których w miasteczku nigdy nie brakło. Gdy wracała do domu, czekali na nią różni interesanci; jeden chciał kupić bydłatko, drugi pożyczyć zboża lub pieniędzy; ta radziła się o kaszlące dziecko, a tamta przyniosła na sprzedaż garstkę lnu. Prawie nie mogę wyobrazić sobie matki samotnej; zawsze kręcili się przy niej ludzie, jak gołębie przy gołębniku, prosząc o coś lub

za coś dziękując. Ona w całej okolicy wszystkich znała, wszystkim pomagała i radziła. Rzecz, zdaje się, niegodna wiary, a przecie tak było, że nawet ksiądz proboszcz i pan burmistrz przychodzili zasięgać jej zdania. Ona rozmawiała z nimi, robiąc pończochę, a następnie, jak gdyby nic, biegła doić krowy. Umiała też w razie potrzeby zaprządz konie do wozu i wyjechać po snopy, a nawet—drew narąbać. Wieczorami szyła bieliznę, albo łątała odzienie; w nocy, gdy psy mocniej ujadły, zrywała się z łóżka „, ledwie odziana w gruby szlafrok, obchodziła budynki. Raz wystraszyła złodzieja.

Chłopi, panowie, dzieci, chorzy, zwierzęta, drzewa, nawet kamień przy wrotach—wszystko ją obchodziło. Tylko o chacie, stojącej za naszymi polami, nie wspomniała nigdy. Jej mieszkańcy snadź byli bardzo zdrowi i szczęśliwi, gdyż mama wcale nie zaglądała do nich.

Ojciec mój od kilku lat nie żył; pamiętam go tyle, że codziennie ofiarowałem Bogu pacierz za jego duszę. Raz, kiedy byłem bardzo senny i poszedłem spać bez pacierza, pokazała mi się w nocy dusza ojca na ścianie. Była jasno-biała, niewielka, z formy podobna do duszy w żelazku. Złakłem się nadzwyczajnie i do rana przeleżałem z głową schowaną pod kołdrę. Nazajutrz powiedzieli mi, że to blask księżyca padał na ścianę — przez serce wycięte w okiennicy. Od tej jednakże pory nigdy nie zapomniałem modlić się za ojca.

Miałem też brata o kilkanaście lat starszego ode mnie. Przypominam go sobie jak przez mgłę, ponieważ widziałem go zaledwie parę razy w życiu. Wiem, że nosił czarny

mundur ze złotymi guzikami i szafirowym kołnierzem i że sposobił się na doktora.

Nieraz, zdjęty ciekawością, wychodziłem na strych, ażeby przez najwyższy dymnik zobaczyć stolicę, gdzie uczył się brat, a przy najmniej miasto, do którego mama jeździła po kilka razy na rok. Nieraz śledziłem pocztową bryczkę, szybko jadącą w tamtą stronę. Bryczka i wiszący nad nią obłok kurzu ginęły w lesie, który wypełniał szczelinę między niebem a ziemią, a przede mną wdali stała tylko chata samotników, skulona i czająca się. Niekiedy słoneczne światło padało w jej okienko; wówczas nie mogłem oprzeć się złudzeniu, że widzę głowę dużego kota, który patrzy na mnie, jakby chcąc się rzucić. Ogarniał mnie strach, i kryłem się za ramę dymnika, ciesząc się że teraz nie zobaczy mnie potwór. Wnet jednak ciekawość przemagała obawę, znowu wyglądałem i zapytywałem się w duchu: kto w chacie mieszka?... Czy to nie jest chałupka na kurzej nóżce, o której tyle słyszałem od przadek, i czy w niej nie siedzi czarownica, zamieniająca ludzi w zwierzęta?...

Dzień za dniem upływał bardzo szybko. Ledwie wstał, już trzeba było się kłaść! ledwie się położył, już trzeba było wstawać. Każdego prawie dnia chciałem coś zrobić; a gdy nadszedł wieczór, przypominałem sobie, że nic nie zrobiłem. Czas uciekał jak podróżni, na których niekiedy patrzałem przez okno; mignęły konie, furman i, nim poznałem kto jedzie, już było widać tył bryczki. Mogę powiedzieć, że całe dzieciństwo, spłynęło mi w jeden dzień.

Było jeszcze ciemno w pokoju, kiedy stara moja niańka weszła z brzemieniem

drzew i, cicho położywszy je na podłodze, zaczęła układać polana w kominku. Matka siedziała już na łóżku, szepcząc pacierz.

— “Zdrowaś Panno Mario, łaski pełna...” A jak tam na dworze, Łukaszowa?

— Niczego — odpowiedziała niańka.

— “Pan z Tobą, błogosławionaś Ty...”
A Walek już wyjechał!

— Już musi jest za wrotami.

W okamgnieniu matka była ubrana, i zdjawszy ze ściany pęk kluczków z jelenim różkiem, wyszła z alkierza. Z komina padły na pokój czerwone blaski, drzewo zatrzeszczało, ode drzwi pociągał rzeźwy chłód, a za oknami świergotały roje ptaków. Spojrzałem na klęczącą przed kominem Łukaszową. Stara kobieta, w czepku z falbanami, podobną była do sowy; zwróciła ku mnie twarz koloru drzewa i okrągłe oczy, i śmiejąc się, rzekła:

— Już ci się chce zbytów!...

Udawałem, że śpię, lecz nagle ogarnęła mnie taka radość, nie wiem nawet z jakiego powodu, że zerwałem się z łóżka i jednym skokiem usiadłem na karku niańce.

— A cóż to za zgryzota z tym chłopczyskiem! — irytowała się baba spychając mnie na podłogę. — Idź zaraz do łóżka, ty sowizdrzale, bo się zaziębisz... Antoś! mówię ci: idź, pókim dobra, bo pani zawołałam!

Byłem znowu w łóżku. Wtedy niańka wzięła przed komin moją koszulę dzienną, aby ją wygrzać, a ja tymczasem zdjąłem nocną.

— Uuu!... ty bezwstydniku paskudny! — gniewała się — żeby też taki duży, chłopiec goło chodził... Nie ma to w oczach ambicji za grosz... No..., czegoż się znowu u-

bierasza w nocną koszulę, kiej ci chcę włożyć dzienną?... Antoś, uszatkuj ty się!...

Potem brała moje majtki; były one zeszyte razem z kaftanikiem. Ażeby się ubrać w nie, należało przez tylne wejście włożyć jedną nogę, potem drugą, a następnie wsuwać ręce w ciasne rękawy.

— Antoś! stójże spokojnie... — upominała nianka, zapinając mi na plecach cztery guziki. — Teraz se siadź, trza cię obuć. Antoś! trzymaj nogę prosto, bo ci pończochy nie włożę... O widisz, znowu pękł trzewik i zerwany sznurek. Moje nieszczęście z tym chłopczyskiem!... Antoś! nie kręć się, bo pani zawołam. Stójże, włożę ci sukienkę. A gdzie pasik? Patrzajcie go, pasik w łóżku!... Jak będziesz taki dokuczny, to cię złapię kiedy i zaniosę do starego za olszynę. On ci da!...

— Oj! oj! a co on mi robi? — odpowiedziałem zuchwale.

— Nie bój się, nie takim on robił, co ich pogubił do śmierci. Niech Bóg broni każdego grzesznego...

— Ten stary?

— Jużci on.

— Ten, co mieszka w chałupce?

— Jużci tak.

— Za naszymi polami?

— A ino.

— On sam mieszka? — pytałem z ciekawionym.

— Któżby z nim mieszkał? Od takiego to i złodziej ucieka.

— Cóż on za jeden?

— A lichy go wie, chorobę! — Zdrajca i tyle. Tfu! w imię Ojca i Syna... — mru-

czała baba ,spluwając. — Ma kogo spotkać nieszczęście, lepiej niech jego spotka. Mów pacierz, dziecko; już śniadanie gotowe.

Ukląłem i, mówiąc pacierz, spluwałem za siebie, jak Łukaszowa, bo mi wciąż na myśl przychodził niedobry człowiek, z którym nawet złodzieje nie chcą mieszkać.

Poszedłem do spiżarni ucałować ręce matki, a tymczasem Łukaszowa zaniósła mi do jadalnego pokoju sitny chleb i talerz żurku, zatartego czosnkiem i zasypanego kaszą hreczaną. Zjadłem go z pośpiechem i zaraz wybiegłem na dziedziniec wystrugać pałasz z gonta. Nimem wyszukał deseczkę, nimem wyostrzył nóż i zatamował krew ze skaleczonego palca, patrzę, — a tu wlecze się pan Dobrzański.

“To nieprawda, ażeby już była jedenaśta!” — pomyślałem rozgniewany i uciekłem schować się za stajnię. Lecz nim ochłonałem z prędkiego biegu, już słyszę niańkę, jak woła wniebogłosy:

— Antoś!... Antoś... pan nauczyciel przyszedł.

— Nie pójdę! — krzyknąłem, pokazując w tamtym kierunku język.

W tem odezwała się mama:

— Antoś!... do nauki...

Boże, jaki byłem zły w tej chwili! No, ale co robić? Wyszedłem z po za stajni i wlokłem się do domu, pragnąc, ażeby mi się droga wyciągnęła, jak stąd do stolicy. I dziwna rzecz droga istotnie trochę się wydłużyła.

Zajrzałem przez okno do pokoju jadalnego, myśląc, iż może stało się coś takiego że pan Dobrzański zniknął. Gdzie tam! Siedzi przy stole, jak straszydło, w swoim sur-

ducie, z wysoką czupryną, z kołnierzykami do skroni, z szyją długą jak biczysko, okręcone w czarną chustkę. Już wydobywa mosiężne okulary i zaciska je na nosie. Z prawej strony na stole czerwona chustka, z lewej—brzozowa tabakierka z rzemyskiem... Boże, że też niema sposobu na takiego człowieka!... Przychodzi rano i po południu, jak zmora, a ja nic zrobić nie mogę przez niego!

Wszedłem do pokoju, i niedbale pocałowawszy w rękę pana Dobrzańskiego, zacząłem wyciągać z szuflady książki i kajety. Szło to bardzo powoli, lecz nareszcie—skończyło się. Usiadłem do lekcji.

Dziś już nie wyobrażam sobie, jakim sposobem wytrzymałem dwie godziny strasznej męki, nazywającej się lekcją. Byłem jak ptak, przywiązany nitką za nogę. Ilem ja razy chciał zerwać się, wyskoczyć za okno i uciekać, gdzie oczy poniosą!... Kręciłem się, jakbym siedział na szczotce do czesania lnu, a niekiedy z rozpaczy tak machałem nogami, że m uderzał w dno stołu. Wtedy siwy surdut pana Dobrzańskiego, a później jego głowa, osadzona na wysokiej szyi, zwracały się w moją stronę. Czerwieniłem się i cichłem, czując nad sobą okrągłe okulary i niebieskie oczy, patrzące przez wierzch szkieleł, —i już byłem od świętej pamięci spokojny, kiedy pan Dobrzański zaczynał:

—A to co za hałasy? Nie wiesz, że jesteś na lekcji i powinieneś zachowywać się jak w kościele? Mówiłem ci to już nieraz.

Potem brał tabakierkę z brzozowej kory, strzelał w nią palcami, ciągnął za rzemyk, zdejmował wieko, zażywał tabaki, i znowu strzeliwszy z palców, kończył:

— Ośle jakiś!...

Zdaje mi się, że największą dla mnie męką stanowiły długie przerwy w upomnieniach pana Dobrzańskiego. Zgóry wiedziałem co powie, dziesięć razy powtórzyłem sobie, to samo w myśli, a — on — dopiero zaczynał, przerywał i znowu mówił dalej. Ciągnęło się to bez końca.

Nareszcie pan Dobrzański brał długi kajet, liniował go kantówką i w pierwszym wierszu zgóry wypisywał mi jako wzór do kaligrafii:

“...Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...”

Temperował pióro, układał mi ręce i kajet na stole i posuwał kałamarz.

Potem obowiązany byłem ten sam wiersz przepisać sześć razy, głośno go powtarzając. Pan Dobrzański drzemał sobie teraz w fotelu, a ja śpiewającym głosem mówiłem:

— “...Ojczyzno moja, ty jesteś...”

— “Jak zdrowie!” — wrzasnąłem głośno. Pan Dobrzański ocknął się.

— Dziękuję! — odparł poważnie.

Zdawało mu się, że kichnął — więc ułarł nos w czerwoną chustkę i znowu zażył tabaki.

Powtarzało się to prawie codzień i stanowiło dla mnie jedyną rozrywkę przy lekcjach, tembardziej, iż kaligrafia wypadła zawsze na końcu.

Zaraz po nauce jedliśmy razem obiad. Niekiedy gospodyni spóźniała się, więc po kaligrafii następowało jeszcze — powtarzanie na wyrywki.

— Kto cię stworzył? — pytał pan Dobrzański.

— Bóg Ojciec.

— Do... brze. A ile jest części świata?

— Siedm. Poniedziałek, Wtorek...

— źle, ośle!... Pytam o części świata.

— Pięć pięć!... Europa, Azja, Afryka, Ameryka, Ocenia...

— Do... brze. A sześć razy dziewięć...

— Sześć razy siedm..., sześć razy ośm..., sześć razy dziewięć — piędziesiąt i cztery.

— Do... brze. A kogo najbardziej powinienes kochać na tym świecie?

— Boga, ojczyznę, mamę i brata, pana nauczyciela, a potem wszystkich ludzi.

— Do... brze — odparł pan Dobrzański. Chcąc uwolnić się od dalszych badań na wrywki, raz zapytałem go:

— A Łukaszową trzeba kochać?

— Mo...żna, — odparł pan Dobrzański po namyśle.

— A Walka?

Nauczyciel spojrzał przez wierzch okularów.

— Sam przecie mówiłeś, ośle jakiś, że — trzeba kochać wszystkich ludzi... Wszystkich.

Zwiesił głowę na piersi i po chwili rzekł głucho.

— Wszystkich, wyjąwszy tych, którzy zdradzają.

— A kto nas zdradził?

Pan Dobrzański jakby zaczerwienił się, wziął do ręki tabakierkę, lecz nagle postawił ją i odparł:

— Poznasz ich, gdy podrośniesz.

Snadź była to rzecz straszna, której mi nie wyjaśnił; zresztą, choć nic nie wiedziałem, czułem głęboki smutek na samą myśl

o człowieku, którego nikt nie powinien kochać. Biedak ten mieszkał niedaleko nas, jego domek widywałem codzień, lecz mimo to, gdybym go kiedy spotkał na drodze, nie mógłbym zdjąć przed nim czapki i powiedzieć: "Dzień dobry panu, a dlaczego pan tak dawno nie był u nas?..."

Jego u nas nikt nie wyglądał.

Gdy zegar wykukał pierwszą, wchodziła niańka do naszego pokoju ze stosem talerzy. Książki i kajety w okamgnieniu znikały ze stołu, a ich miejsce zajmował czerwony obrus w białe kwiaty i trzy nakrycia. Po chwili ukazała się mama, a za nią waza barszczu z uszkami i salaterka grochu.

Pan Dobrzański przywitał się z matką, a gdy zupa już była rozlana, powstał i odmówił modlitwę: "Pobłogosław, Boże, nas i te dary, które z Twojej świętej szczodrobliwości pożywać mamy. Amen."

Potem siadaliśmy i jedli, milcząc. Nim wnieśli drugą potrawę, mama zapytała:

— Cóż, panie Dobrzański, jak się dziś Antoś sprawował?

Nauczyciel pokiwał głową, popatrzał na mnie apatycznym wzrokiem i odparł:

— Tak, jak to on.

— A co słyszeć na świecie?

Pan Dobrzański poprawił stojącego czuba włosów i rzekł nieco ożywiony:

— Mówią na pocztce, że Francuz zaczyna się ruszać.

— Czegóż on chce?

— Jakto czego, mościa dobrodziejko?...

— zawołał stary głosem pełnym energii. — Cóż to pani nie wie? Wojny chce...

— A nam co z tego?

Pan Dobrzański rzucił się na fotelu.

— Och, nie gadałabyś pani takich rzeczy przy dziecku! Co nam z tego? Nam wszystko z tego, i basta...

— Zobaczymy, zobaczymy — odpowiedziała mama.

— Rozumie się, zobaczymy!... — powtórzył stary z uniesieniem. — Tu niezadługo ludzie przestaną w Boga wierzyć! — dodał.

Oczy mu błyszczały, a na zwiędłą twarz wystąpił silny rumieniec. Wziął w rękę nóż i począł dzwonić w talerz.

— Dałby Bóg, — rzekła znowu matka — żeby się wróciły dobre czasy.

— Niechnoby nie dał! — mruknął starzec, zaciskając nóż w pięści.

— Co pan mówi, panie Dobrzański?... Nauczyciel z gniewem ujął się ręką pod boki:

— A pani co mówi?...

Może byliby się pokłócili. Szczęściem, niańka wniosła duży półmisek pachnącej kiełbasy i drugi — tartych kartofli ze słoniną.

Nastąpiła cisza i przetrwała do końca obiadu, na którego zaokrąglenie mama i pan Dobrzański wypili po szklance piwa.

Niańka sprzątnęła półmiski. Powstaliśmy z krzeseł, a nauczyciel mówił:

“Dziękujemy Ci, Boże, za posiłek nam udzielony; bądź błogosławion w darach i we wszystkich dziełach Twoich. Amen!”

Szybko pocałowałem w rękę mamę i pana Dobrzańskiego i wybiegłem na podwórko. W chwilę potem, u kryty za płotem, widziałem, jak nauczyciel w wysokiej rogatej

czapce dreptał ku swemu domowi, opierając się na zakrzywionym kiju.

W dni świąteczne, osobliwie podczas długich wieczorów, było u nas bardzo wesoło. Przychodził ksiądz proboszcz z siostrą, niziutki i okrągły pan burmistrz z żoną i trzema córkami, staruszka pani majorowa z dwiema wnuczkami, pan pocztmajster, kasyer, sekretarz magistratu i sekretarz z poczty. Starsi siadali do kart, młodzi grali w loteryjkę, w cenzurowanego, w ślepą babkę, a wszystko z ogromnym krzykiem. Znuudzili się tem jednak bardzo prędko, więc najładniejsza panna, burmistrzówna, poprosiła pana kasyera, ażeby im zagrał do tańca.

— Dajcież mi państwo spokój! — bronił się kasyer, — nie wizałem nawet gitary z domu.

— To pošlemy po nią! — wołały panny.

— Gitara jest już w kuchni! — odezwał się nieproszony.

Wszyscy w śmiech, pan kasyer chciał mnie pociągnąć za ucho, ale dwie panny schwyciły go za ręce, a tymczasem pan sekretarz wybiegł z pokoju i za chwilę przyniósł gitarę — w zielonej koszulce.

Kasyer wciąż się bronił.

— Moi państwo, — mówił — na gitarze nie gra się do tańca, to za poważny instrument...

Ale swoją drogą już próbował dźwięku strun i kręcił kołeczki.

Było pięć panien, a nas, kawalerów, tylko trzech; więc choć sprowadziliśmy do pomocy jeszcze pana pocztmajstra, niemało każdy miał roboty. Czasem moja matka, znalazłszy chwilę wolną od zajęcia przy ko-

lacyi, wyręczała pana kasyera w graniu, a on tańczył. Trwało to jednak niedługo, ponieważ panny mówiły, że mama grywa same stare polki i walce.

Na kolacyę podawano herbatę, zrazy z kaszą, czasami gęś pieczoną. Ogólne jednak zadowolenie dosięgało szczytu wówczas, gdy wnieśli krupnik. Była to gorąca wódka z miodem, zaprawiona goździkami i cynamonem. Dostawałem i ja tego specyału pół kieliszka, a gdym wypił, robił się ze mnie inny człowiek. Raz zdawało mi się, że już jestem zupełnie dorosły. Zacząłem mówić ty panu sekretarzowi magistratu, później oświadczyłem się po cichu starszej wnuczce pani majorowej, a nareszcie — zacząłem chodzić na rękę tak ładnie, że zarumieniony pan burmistrz powiedział, iż jestem chłopiec nadzwyczajnych zdolności.

— To będzie wielki człowiek!... — wołał, uderzając ręką w stół.

Alem reszty już nie dosłyszałem bo mama w tej chwili kazała mi iść spać.

Była to dla mnie wielka zgryzota, gdyż po kolacyi, na zakończenie wieczoru, pan kasyer śpiewał przy gitarze.

Pamiętam go, jak dziś. Był to człowiek dość młody. Miał trochę niższe kołnierzyki aniżeli pan Dobrzański, ale za to wyższą czuprynę. Chodził w ciemno-zielonym surducie z krótkim stanem, w niebieskich spodniach ze strzemiączkami i z fartuszkiem i w aksamitnej kamizelce w ponsowe kwiaty. Na szyi nie nosił chustki, tylko halsztuch.

Stawiano mu krzesło na środku pokoju. Siadłszy na niem, zakładał nogę na nogę, dostrajał gitarę, odchrząknął i zaczynał:

Idę na szczyty Kaukazu,
Może tam zginę odrazu,
Już cię nie będę oglądał.

— Za pozwoleniem! — przerwał pan burmistrz. — Wyjrzyjno, panie sekretarzu, czy kto nie podsłuchuje pod oknem.

Pan sekretarz zapewnił, że nikt nie podsłuchuje, a pan kasjer po przegrywce śpiewał dalej:

Może pójdę do niewoli,
Między ludzkie ludożerce, —
Któż mnie pocieszy w niedoli,
Jeśli nie ty, lube serce?...

W tej chwili średnia panna burmistrzówna trąciła starszą.

— To do ciebie, Jadziu, — szepnęła.

— Moja Meciui! — zgromiła ją siostra, rumieniając się.

Gdy pan kasjer skończył jedną pieśń, proszono go o drugą. Następowwała całkiem nowa przygrywka i wiersz:

Wiatrem i śniegiem pędzony,
Gdzie lecisz ptaszyno mały?
Może zabłądzisz w te strony,
Które mnie dziecięciem znały?
Ach, powiedz mojej rodzinie,
Czy ich to nieszczęście smuci?
Uważaj, czy łza popłynie,
Gdy szepniesz: "Syn już nie wróci!..."

— "Gdy szepniesz: Syn, już nie wróci..." — powtórzyła pani majorowa drżącym głosem. — Ślicznie! ślicznie! — wołała staruszka.

Po tej pieśni panny zgiełkliwie domagały się, ażeby śpiewał: "Lecą liście z drzewa..."

Pan kasjer uderzył kilka nowych tonów na gitarze, znowu odchrząknął i śpiewał nieco niższym głosem:

Lecą liście z drzewa, (ciszej); co tam rosły wolne,

Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne:

Nie było, nie było (ciszej): Matko, szczęścia w tobie,

Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie.

W pokoju było cicho, jak w kościele, tylko pani majorowa szlochała. Nagle pan burmistrz schwycił się za głowę.

— Za pozwoleniem! Wyjrzyj-no, panie sekretarzu, na dziedziniec, czy czasem ten... nie podsłuchuje pod oknem...

Sekretarz wybiegł, a obecni coś szeptali między sobą. Na dziedzińcu nie było nikogo.

— No, — rzekł, skończywszy, pan kasjer — teraz zaśpiewam państwu coś bardzo zakazanego.

— Bój się Boga, człowieku! — przerwał mu pan burmistrz — nie gub zacnej kobiety, która nas tak gościnnie przyjmuje...

I wskazał swoją matkę.

Matka niedbale skinęła ręką.

— Ach! — odparła — niech robią, co chcą. Tyle naszego, że czasem piosenki wysłuchamy.

— Dobrze, że pani nic nie robią, — mówił burmistrz — ale tu jest ksiądz proboszcz, urzędnik stanu cywilnego...

— Ja się tylko Boga boję — mruknął ksiądz.

— No, więc — ja jestem! burmistrz... a jeżeli mi się stanie co złego, kto będzie opiekował się moimi dziećmi?...

— Niema strachu — rzekł proboszcz... — Nigdy zresztą nie widziałem, ażeby ten tam... podsłuchiwał pod oknami.

— Nie potrzebuje chodzić pod oknami, bo jego dom stąd o trzy kroki—upierał się zmartwiony burmistrz.

— O wiorstę i dwieście sążni od poczty — wtrącił poczmajster.

— Więc przynajmniej nie drzyj się pan, śpiewaj cicho — zwkrócił się burmistrz do kasjera.

— Cóż znowu tatko mówi! — oburzyła się najstarsza córka. — Jak można taki piękny śpiew nazywać darcie się?...

— Już to pan prezydent kroi na naczelnika powiatu — wtrącił ironicznie pan kasjer. — Niema strachu, niema! Jeżeli kto, to ja powinienbym najpierw paść ofiarą...

— I padniesz, padniesz!... — odparł burmistrz. — To największy w mieście rewolucjonista — szepnął do księdza.

Pan kasjer, zadowolony publicznem uznaniem jego rewolucyjności, wyprężył nogi tak, że wydawały się jeszcze cieńsze, niż zwykle. Utopił wzrok w starszej pannie burmistrzównie i śpiewał półgłosem:

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.
Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy...

— Prześliczne! — zawołały panny chórem, patrząc na wywrócone oczy pana kasjera.

— Co to jest? — spytał niespokojnie pan burmistrz.

— Mickiewicz! — odpowiedział pan kasjer.

— Mic-kie-wicz?... Przepraszam państwa, ale — wychodzę! Ja, — mówił pan burmistrz, bijąc się w piersi — ja zbyt wiele chcę zrobić dla kraju, ażebym miał ginąć za wiersze.

— Cóż pan widzisz złego w tej piosence? — zapytał niecierpliwie proboszcz.

— Co?... jegomość tak dobrze wie, o tem, jak ja! — odparł pan burmistrz. — A nuta? Nuta, panie, jest taka, że gdyby mi ją zagrała kiedy kapela wojskowa, pierwszy, panie, wyszedłbym na rynek w czerwonej konfederatce. Taki niechby mnie zastrzelili, porąbali, roztratowali...

— Czyś zwariował Franiu! — krzyknęła pani burmistrzowa.

— Taki jestem! — wołał zaperzony prezydent. — W razie, czego Boże nie dopuść, wojny, wszystkie tutejsze zuchy włożą w kąt ale ja pokażę co umiem!

— Franiu! tobie się w głowie przewraca — mitygowała go żona.

— Jestem zupełnie przytomny, — rzucał się pan burmistrz — ale chcę żeby tu wszyscy wiedzieli do czego dojdzie jeżeli mnie podrażnicie! Jestem jak bomba, co dopóki leży spokojnie, można ją nogą kopać, ale rzucić iskrę... Chryste, ratuj!...

Mówiąc tak podniesionym głosem, pan burmistrz kręcił się jak bąk między krzesła-

mi. Ile sobie jednak przypominam, jego niebezpieczne męstwo nie robiło wrażenia. Ksiądz proboszcz machał koło ucha ręką, a pan kasjer niedbale brząkał na gitarze, w takt wykrzykników pana burmistrza. Tylko moja matka życzliwie kiwała głową, a spłakana pani majorowa wśród powodzi jego słów zdawała się zasypiać.

— No, moi państwo, — odezwał się pan pocztmajster — czas do domu. Już dziesiąta.

— Czy być może — zdziwił się pan kasjer, któremu, ile razy śpiewał, czas wydawał się za krótki.

Jakby w odpowiedzi, zegar wykukał dziesiątą. Panie były przestraszone tak późną godziną, i wszyscy zabrali się do wyjścia.

Gdy niańka, ułożywszy mnie do łóżka, zagasiła świecę, zobaczyłem po raz drugi jakby na jawie, całe wieczorne zebranie; ruchliwą figurkę pana burmistrza i żółte wstążki u czepka pani majorowej, i pana pocztmajstra, i pana sekretarza, i wszystkie panny. Goście kręcili się gorączkowo, rozprawiali, śpiewali, pan burmistrz straszył ich swoją odwagą, pan kasjer grał na gitarze, zupełnie jak w rzeczywistości... Ta tylko była różnica, iż między zgromadzonymi widziałem jakiś cień, niby owego człowieka, którego napróżno pan sekretarz szukał za oknem. Chciałem go wskazać matce, ale nie mogłem podnieść ręki. Cień tymczasem snuł się po pokoju, cichy, nieujęty i dla nikogo, oprócz mnie niewidzialny.

Potem wszystko znikło, a gdym otworzył oczy, zobaczyłem przed kominem Łukaszową, która, śmiejąc się do mnie bezzęb-
nemi ustami, mówiła:

— Oho! już ci się chce zbytków...

To był ranek. Anim się spostrzegł, że już przespał noc po zabawie.

* * *

W połowie marca przypadały moje urodziny, od których zacząłem ósmy rok. Na kilka dni przedtem pan Stachurski, szewc brał mi miarę na pierwsze buty. I właśnie kiedym zdjął trzewik dla poddania się tej operacji, zajechała przed nasz dom pocztowa bryczka, i wysiał z niej jakiś młody mężczyzna z listem do mamy od brata.

Nazwiska jego nie wiem do dziś dnia, ale na imię mu było Leon. Był to chłopiec może dwudziestoletni, śliczny jak obraz, wesoły i nadzwyczaj lgnący do ludzi. Mamę od razu pocałował w obie ręce i tyle nagadał jej wiadomości o bracie, że go prosiła, ażeby u nas zamieszkał na kilka dni. Jednocześnie, nim pan Stachurski zdążył mi wziąć miarę na buty, młodzieniec zaprzyjaźnił się z nim tak serdecznie, że nawet obiecał go odwiedzić w warsztacie. Potem sprowadził się do pokoiku na górę, i w ciągu kilka minut chyba oczarował Łukaszową, która za nim wniosła walizkę, bo niania całe popołudnie mówiła tylko o nim. Panu Dobrzańskiemu, który przyszedł na lekcję, dał jakieś niesłychane cygaro, mnie na poczekaniu wystrugał wiatrak, a mamie powiedział sekret gotowania w domu piwa.

Po obiedzie wyszedł na miasteczko i wrócił późno wieczorem. To samo robił przez cały czas swego pobytu. Widywaliśmy go rzadko i krótko, lecz mimo to, tyle wszystkim robił usług, żeśmy przepadali za nim. Tylko mama miała mu trochę za złe, że wdaje się za

pan-brat z panem Stachurskim szewcem, panem Grochowskim stolarzem i panem Władzińskim wędliniarzem. Ale pan Dobrzański wytłómaczył jej, że jeżeli ów młodzian przyjechał tu na zwiady: czy nie da się założyć w mieście sklep z korzeniami?...—to musi sobie skarbić przyjaźń nawet ludzi prostych.

Zdziwienie mamy jednak bardziej wzrosło, gdy zeszli się do nas na wieczór goście w dzień moich urodzin; okazało się bowiem, że pan Leon zna wszystkich. Już pan burmistrz obiecał go protegować, gdyby sklep założył, a pan pocztmajster miał mu nawet wynająć parę pokoików w swoim domu. Z sekretarzem magistratu i sekretarzem poczty pan Leon tykał się obie wnuczki pani majorowej rumieniły się, gdy do nich mówił, a tylko z panem kasjerem jakoś krzywo patrzali na siebie.

Tańców u nas tego dnia nie było, ale pan kasjer miał gitarę, i jak zwykle, śpiewał przy niej. Któraś z panien zapytała pana Leona, czy on śpiewać umie. Grzeczny młodzieniec natychmiast wziął do rąk instrument, ale zaśpiewał na tak smutną nutę, że pan burmistrz uciekł przy pierwszych słowach i już się nie pokazał, wszystkie panie popłakały się a pan kasjer pobladł ze złości.

Na drugi dzień rano pan Leon wyjechał, mówiąc mamie, że musi być jeszcze w innych miasteczkach w celu wyszukania najlepszego punktu na swój sklep.

W końcu kwietnia, jakoś w sobotę, zajechał do nas pan Leon po raz drugi. Mamie przywiózł list od brata i książkę kucharską, panu Dobrzańskiemu paczkę tabaki, a mnie —śliczny pałasz blaszany. Opowiadał, że

pewno w tych czasach skończy interes ze sklepem, lecz że musi dokładniej rozejrzeć się w miejscowości. Potem wybiegł na miasto przywitać się ze znajomymi i wrócił do domu w nocy.

Nazajutrz, w niedzielę, poszliśmy na sumę. Siedziałem z matką przed wielkim ołtarzem, obok państwa burmistrzów i pani majorowej, a o kilka kroków od nas stał kasjer, modląc się z książki.

Nabożeństwo ju się skończyło, i mieliśmy wychodzić, gdy nagle ze środka kościoła wysunęli się na przód zebranego ludu pan Stachurski szewc, pan Grochowski stolarz i pan Władziński wędliniarz, a razem z nimi ich czeladzie i chłopcy, tudzież sekretarz z poczty i sekretarz magistratu. Gdy zaś ksiądz proboszcz udzielił błogosławieństwa, pan Stachurski dał organiście jakiś znak. Zrobiło się cicho i...

Nie pamiętam co się stało dalej, ponieważ mama wyniosła mnie z kościoła do mieszkania księdza proboszcza. Zastaliśmy tam pana kasjera, który biegał po pokojach, targając sobie włosy i przysięgając, że on temu nie winien. Prosił też mamę, ażeby, w razie czego, świadczyła, jako on pierwszy wybiegł z kościoła.

W domu czekał na nas pan Leon. Gdy mu mama opowiedziała o tem, co zaszło w kościele, był bardzo zdziwiony. Odparł jednak, że podobne wypadki trafiają się wszędzie, same z siebie, a potem dodał, że zaraz po obiedzie musi jechać. Pragnął bowiem wstąpić do kilku innych miasteczek, celem dokładniejszego zbadania, w którym z nich jego sklep może mieć najwięcej widoków.

Niezwykłe zachowanie się pana kasjera na plebanii na jakiś czas zachwiało jego reputację, tembardziej, że niepospolity ten człowiek od owego dnia zarzucił swoją amarantową czapkę i wrócił do urzędowego fraka z żółtymi guzikami. Szczęściem, trwało to niedługo. Pan burmistrz bowiem, skombinowawszy w umyśle wiele szczegółów, zawnioskował, że wypadek w kościele był — dziełem kasjera, który jest tem niebezpieczniejszy dla ogólnego spokoju, że wybornie udaje niewiniątko. Sąd ten znalazł wiarę w miasteczku, gdyż pan kasjer zaczął znowu robić poważne miny, a panowie Stachurski, Grochowski Władziński odzywali się o nim lekceważąco w miejscach publicznych. Było widoczne, że agitator, ten chcąc zabezpieczyć się od podejrzeń, wydał podwładnym swoim stosowną instrukcję.

Zresztą fakt, na który sam patrzałem, świetnie usprawiedliwił opinię ogółu.

Pewnego dnia prosiła mama pana Dobrzańskiego, ażeby poszedł ze mną do miasteczka i kupił papieru, paczkę piór i ołówek. Idąc tam, zauważyliśmy na rynku tłum terminatorów, Żydków i starszych mieszczan, żywo rozprawiających. Nieopodał od nich, tuż przy magistracie, stał pan kasjer.

Załatwiwszy sprawunek, mieliśmy wracać do domu, gdy nagle rozległa się wrzawa na rynku. Wybiegłem przed sklep i zobaczyłem starego, wysokiego człowieka, który wychodził z piekarni z chlebem pod pachą. Tłum wyrostków zabiegł mu drogę i, krzycząc, począł rzucać bryłami. Przez chwilę napadnięty stał bez ruchu; gdy go jednak uderzyło parę kamieni i spadła mu czapka, upuścił

chleb na ziemię i począł uciekać. Widok jego białej jak mleko głowy i sztywnych ruchów bolesne zrobił na mnie wrażenie. Przyszły mi na myśli owe męczące sny, w których wyobrażałem sobie, że mnie także ktoś goni i że nie mogę uciekać.

W tej chwili usłyszałem za sobą głuchy okrzyk. To pan Dobrzański wyszedł ze sklepu i żółty, z szeroko otwartymi oczyma patrzył w stronę ściganego.

Krzyk ucichnął, zdyszany tłum wrócił na rynek, a pan Dobrzański jeszcze stał, patrząc przed siebie martwemi oczyma. Teraz spostrzegł go pan kasjer i począł iść ku nam. Z jego twarzy biło takie zadowolenie, że na ten widok zapomniałem o krzywdzonym człowieku.

— Dzień dobry, panie Dobrzański!... Udało nam się, nie prawda? — rzekł cicho pan kasjer.

Nauczyciel milczał.

— To ja zrobiłem, — rzekł kasjer, stukając się palcem w wykrochmaloną koszulę— ja!... Tak należy karać zdrajców!

— To pan zrobiłeś?... — odezwał się głucho mój nauczyciel.

— Ja!... Będą teraz wiedzieli, — dodał — kto tu znaczy...

Stary podniósł z ziemi papier i laskę, i zabierając się do powrotu, rzekł szczególnym tonem:

— O, toś pan dużo zwojował!...

— Nie może być inaczej.

Odprowadziwszy mnie przed nasz dom, pan Dobrzański oddał mi papier i wrócił do siebie. Gdym opowiedział matce co się stało, pokiwała smutnie głową i rzekła:

— Straszne to nieszczęście; niech Bóg wszystkich od niego zachowa!...

Dopiero Łukaszowa wyjaśniła mnie, że to tak wyszczuto złego człowieka, który mieszka w chacie za naszymi polami.

Zauważyłem, że od tej pory mój nauczyciel zrobił się posępniejszy i bardziej roztargniony przy lekcjach i że często z goryczą odzywał się do matki o panu kasjerze. Raz nawet, gdy wobec pana Dobrzańskiego pan burmistrz wychwalał kasjera, nazywając go polityczną głową i niebezpiecznym agitator, stary nauczyciel, uderzywszy pięścią w stół, krzyknął z gniewem:

— A ja panu mówię, że to głupiec!...

— Kto? — zapytał zdumiony pan burmistrz.

— Ten pański kasjer.

— Ten wielki patryjota?

— Wielki cymbał

— Poruszył całe miasto!... — mówił zaperzony pan burmistrz.

— Dyrektor kocich muzyk — odparł pan Dobrzański.

— On nam wszystkim może narobić nieszczęścia — ciągnął pan burmistrz.

— Powiedz mu pan prezydent, niech nie robi, bo inaczej kijem go wygrzmocę, ja stary! — rzekł, trzęsąc się z gniewu, nauczyciel.

Pan burmistrz oniemiał i pilnie patrzył na moją matkę; czy ona nie zechce ująć się za kasjerem? Ale matka kiwała głową, zapewne z żalu nad zaślepieniem nauczyciela, który nie umiał ocenić nadzwyczajnego patrioty.

Anim spostrzegł, jak w duszy zarysował mi się niejasny obraz człowieka z chaty za

polami. Niechętnie wzmianki Łukaszowej, obawy pana burmistrza, czy kto nie podsłuchuje pod oknem, gonitwa na rynku, a nade wszystko dziwne zachowanie się pana Dobrzańskiego i milczenie mojej matki, wszystko to nasuwało mi tysiące pytań. Kim jest i co robi ten człowiek, z którym postępują jak z niebezpiecznym zwierzęciem? Jeżeli wolno chłopcom rzucać za nim kamieniami, więc musi to być zły człowiek, a więc dlaczego starsi nie oddali go do więzienia?

Im częściej myślałem o nim, tem silniej ważyły się we mnie dwa uczucia—strachu i ciekawości, sprawiając mi wielką mękę. To też, ile razy miałem trochę wolnego czasu, przypasawszy swój pałasz, wykradałem się w kierunku odludnej chaty. Co prawda, z początku nawet nie marzyłem, aby dojść do niej zbyt blisko; nie mniej coś mnie ciągnęło w tamtą stronę. Przełaziłem płoty naszego ogrodu, docierałem do olszyny, później przechodziłem bagno, wreszcie błądziłem już po krzakach, przylegających do chaty. Niekiedy spostrzegłszy, jak blisko jestem złego człowieka, a jak daleko od domu, drętwiałem z przerażenia — i uciekałem w stronę miasteczka, do ludzi. Stopniowo jednak oswoiłem się z nową miejscowością i czułem coraz większą ciekawość obejrzenia chaty.

Z każdym dniem poznawałem ją lepiej. Stała ona w dzikiej okolicy, o paręset kroków od bocznej drogi, kręto biegnącej przez pola. Otaczały ją krzaki gęste i wysokie, pełne ptaków i gniazd, tudzież głębokie i zarosłe wąwozy, o ścianach stromych i poszarpanych. Częstokroć nad głową zaszumiało mi stado kuropatw, albo z pod nóg wyrywał się

zając. W wilgotnych zakłęśłościach spotykałem węże, a w ścianach wąwozów ciemne otwory jam lisich. Krążąc w pewnej odległości od chaty obszedłem ją nakoło. W jednym miejscu uderzył mnie cichy, lecz ciągły szelest, z bijącym sercem podkradłem się bliżej i ujrzałem strumień wody, prędko biegnący po łożysku z wapiennych kamyków.

Bąłem się, ałem postąpił jeszcze kilkadziesiąt kroków, ściany wąwozu zniżały się w tem miejscu, wreszcie znikły. Dotarłem do małego zagłębienia, skąd wypływał strumień, kipiący jak woda w garnku. Rosła tu dziewanna, wyższa ode mnie. Ścisnąłem palasz mocno, postanowiwszy uciekać za najmniejszym szmerem, i — zanurzyłem się między badyle. Po małej chwili dziewanna zmałała; podniosłem głowę i zobaczyłem chatę. Stała na opoczystym wzgórku, oblana ciepłymi potokami słońca; przed nią leżało mnóstwo zaczętych i dokończonych koszów, między którymi przechadzał się kulawy bocian. Ze ścian oddawna opadło wapno, szczeliny między deskami były zamazane kruszącą się gliną, okienka w niektórych miejscach, zamiast szyb, zasłonięte były pęcherzem.

Na zczerniałych ze starości drzwiach bieleł się jakiś wyraz, napisany dużeli^{terami} i nieco zatarty. Wpatrzyłem się uważniej i przeczytałem: "Szpieg".

W tej chwili bocian, spostrzegłszy mnie, opuścił ku ziemi skrzydła i gniewnie zasyczał. Rzuciłem się bez pamięci w tył i po kilkominutowym biegu znalazłem się wśród dobrze znanych krzaków. Niebawem wróciłem do domu, nie chwaląc się przed nikim,

gdziem był i com widział. Zaprzestałem nawet chodzić w tamtą stronę.

* * *

Upłynęło półtora roku, i nadeszła zima, krótsza niż zwykle, lecz ciężka. W listopadzie chwyciły tęgie mrozy, a w grudniu spadły tak duże śniegi, że dokoła naszego domu utworzył się biały wał. Walek niekiedy do południa pracował nad rozkopywaniem drogi.

Pewnego dnia zerwała się straszna zawieraja. Pan Dobrzański ani zrana, ani po południu nie był na lekcji, i od nas nikt nie chodził do miasteczka. Wicher jęczał we wszystkich kątach domu, miałki śnieg zasypywał ogień w kuchni, powietrze było pełne białych tumanów. Około czwartej spadła na ziemię ciemność, wyło jeszcze żałośniej, śnieg bił w okna jeszcze gwałtowniej. Czasami wszystko milkło, ginęły tumany w powietrzu, rozsuwały się obłoki na niebie, a wtedy można było widzieć, że śnieg zasypał już płoty.

W jednej z takich chwil wyglądałem przez okno, wychodzące na ulicę, i nagle—zobaczyłem za szybą jakiś przedmiot. Wyteżyłem wzrok. Na ławce, tuż pod oknem, siedział człowiek ze zwieszoną głową. Był ubielony śniegiem, który na wierzchu czapki i na ramionach skupiał się w małe stożki.

Serce ścisnęło mi się na ten widok. Pobiegłem do kuchni i dałem znać mamie, że pod naszą ścianą śnieg zasypuje podróżnego. Matka z początku nie wierzyła mi, lecz wyrzawszy oknem, wysłała czempredzej Walka, ażeby sprowadził biedaka do kuchni.

— Może on już zmarł?... — pytałem niespokojnie, trzymając się fałdów matczynej sukni.

Po kilku minutach w sieni rozległy się stapania i szelest, jakby się kto otrzepywał. Do kuchni wszedł Walek z podróżnym.

Był to ogromny człowiek, w krótkim łatanym kożuszkę i wysokich butach. Gdy zdjął czapkę, ukazały się włosy białe, jak mleko. Zwolna postąpił na środek kuchni i stał, milcząc.

Gospodyni rzuciła na komin łuczyw.o Płomień buchnął silniej i oświecił twarz podróżnego. W tej chwili matka moja cofnęła się ku drzwiom jadalnego pokoju, a stara Łukaszowa, pilniej przypatrując się gościowi, mruknęła z gniewem:

— Brakowało go tu!... Jeszcze na nas nieszczęście sprowadzi — przekłety...

Teraz i ja go poznałem. To był on: postrach i przedmiot nienawiści całego miasteczka, człowiek z samotnej chaty.

Przybysz spostrzegł, co się koło niego dzieje, i odezwał się cichym głosem do matki:

— Niech się pani nie gniewa, żem usiadł pod domem. Ale burza tak mnie zmęczyła, żem nie mógł iść dalej. Skostniałem z zimna.

Było coś żalosego w usprawiedliwianiu się człowieka, że w podobnym czasie usiadł pod domem.

Matka patrzała, jakby rozmyślając. Nagle rzekła do kucharki głosem dziwnie twar-dym:

— Niech Katarzyna da panu gorącego mleka.

Gość wciąż stał i patrzył na matkę niebieskiemi, łagodnemi oczyma.

— Prędey! — z gniewem powtórzyła matka, widząc, że nie spełniają jej rozkazu.

Mleko stało już ugotowane na kominie. Kucharka zdjęła z pułki stary garnczek i z taką niechęcią nalala, że wychlapało się na podłogę.

— Podajcie tam, Łukaszowa — rzekła do niańki.

— Bo ja chcę! — odparła niańka. — Niech poda Walek...

— Bo ja głupi! — mruknął parobek.

— Podaj Walek! — odezwała się moja mama.

— Taki to z ciebie i chłop, co się boisz — wstydziła go niańka.

Chłop powoli wziął do rąk garnczek, i postawiwszy go na ławce, rzekł do przybyłego:

— Namcie ta...

Śnieg wciąż bił w okna, a na kominie, pod wpływem zawiei, chwilami przygasał ogień.

Stary człowiek zatoczył się ku ławce i począł pić gorące mleko. Matka ze mną cofnęła się do jadalnego pokoju, a za nami Łukaszowa, szepcząc:

— Cóż on tu chce nocować?... Przecie chyba pani nie wypędzi dla niego nawet psa z budy na taki czas, a ludzie pod jednym dachem spać z nim nie będą. Taki człowiek — dodała po pauzie niańka — na kogo spojrz, to mu nieszczęście sprowadzi. Nawet drzewo usycha, kiedy on dotknie go ręką. Bóg go przeklą, a ludzie rady na to nie znajdą ni-jakiej...

Matka, skrzyżowawszy ręce, chodziła po pokoju, wzburzona. Z kuchni dolatywało trzeszczenie palącego się drzewa i mlaskanie ust starego człowieka, który dmuchał w garnczek i chciwie pił.

W tem z ulicy do pokoju wpadł jakiś blask, i jednocześnie usłyszeliśmy głośnie wołanie:

— Ho! ho! bywajcie!...

— To mój chłopiec — odezwał się stary człowiek w kuchni.

Walek wybiegł na dziedziniec i po krótkiej rozmowie sprowadził nowego gościa. Przybysz trzymał w ręku zapaloną latarnię i od stóp do głowy był zaśniewany. Gdy się otrząsnął nieludzkim ruchem, spostrzegłem, że miał włosy podobne do kudłów, które mu zasłaniały czoło i część twarzy, i że za odzież służyły mu straszne łachmany. Nigdy nie widziałem takiego zbioru szmat, owiązanych powrozami w pasie i na nogach.

— Gadałem, że was zasypało — rzekł obdarty chłopiec do starca i zaśmiał się grubym głosem.

— Nie znasz ty go. Walek, co on za jeden?... — szepnęła kucharka, ze wstrętem patrząc na nowego gościa.

— Co nie mam znać? Wszyscy wiedzą, że łapał psy w mieście — odparł półgłosem nasz parobek.

Stary człowiek począł w miejscu dreptać nogami, widocznie gotując się do odejścia. Potem, złożywszy ręce na piersiach, schylił głowę i rzekł:

— Pokornie dziękuję...

Przez chwilę czekał na odpowiedź, potem drugi raz schylił głowę i dodał stłumionym głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Nikt nie odpowiedział.

Stojąc za progiem, jeszcze raz obejrzał się i — zniknął w ciemnej sieni, a za nim jego chłopiec.

W kuchni było tak cicho, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech, ażeby odchodzący nie usłyszał ludzkiego głosu.

Gdy blask latarni wpadł przez okno pokoju, matka weszła do kuchni, i wskazując garnczek, z którego pił stary gość, rzekła do Walka:

— Wyrzuc to!

Chłop ostrożnie wyniósł garnczek na podwórze i cisnął nim tak, że skorupy zadźwięczały aż pod oborą.

Na ulicy jeszcze majaczyło chwiejąc się, rudawe światło latarni. Mnie płacz ścisnął za gardło, a wicher na dworze tak jęczał, tak zawodził, tak dobijał się do naszych okien, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz — rozlewał się w żalosnem wyciu. "Co się to dzieje, Boże!..." — myślałem, nie mogąc opędzić się przed widmem starca, którego łagodne oczy patrzyły na mnie z wyrzutem. Zdało mi się, że widzę, go, jak wsunawszy ręce w rękawy, przez pole, na którym znikła droga, idzie niepewnym krokiem, wygnany na śnieżyce. A ten jego towarzysz w łachmanach!...

W kilka godzin później, gdym zmówił pacierz i Zdrowaś Maria na intencję podróżnych, których zaskoczyła burza, zapytałem matki:

— Prawda, mamó, że jeżeli podróżnych spotka zawieja, a oni modlą się, wtedy Bóg zsyła anioła, który im pokazuje drogę?

—Prawda, moje dziecko.

— Anioł idzie przed końmi, i one same trafiają do domu, bez furmana?

— Tak, moje dziecko.

— A gdyby ten stary człowiek zgubił drogę i modlił się, czy jemu Pan Bóg już nie zesłałby anioła?

— Bóg jest miłosierny, moje dziecko, i nad najlichszym stworzeniem rozciąga swoją opiekę.

Położyłem się spokojniejszy i już bez trwogi przysłuchiwałem się zgiełkowi burzy. Zdawało mi się, że Bóg tej nocy nie śpi, lecz, schylony nad zawiejką, co czas jakiś odgarnia kłęby śnieżycy, patrząc, czy gdzie w polu nie błąka się podróżny, aby mu zesłać anioła. Byłem nawet pewny, że kiedy niekiedy nad szumem wichru, skrzypieniem drzew i klekotem wstrząsanych okienic, słyszę potężny głos, mówiący:

— Wstawaj, anioł!...

Potem na chwilę robiła się cisza.

— Nic nie będzie staremu człowiekowi — rzekłem do siebie i twardo usnąłem.

* * *

Nowy rok zaczął się bardzo dobrze. Pan Dobrzański pierwszy raz dał mi cenzurę, na pięknym papierze, ozdobionym girlandą, gdzie wypisał wszystkie stopnie celujące, sprawowanie wzorowe i promocję do klasy wstępnej. Za to mama kazała mi zrobić sanki.

Były to malutkie saneczki, ale jakąż wielką miałem z nich uciechę! Zaraz za budynkami znajdował się pagórek. Na jego szczycie stawiałem sanki, siadałem na nie i — jazda w dół... W połowie wzgórza tylko wiatr świstał mi koło uszu, a potem jecha-

łem już tak prędko, że pędem wydostawałem się aż na otwarte pole. Za pierwszym razem poszło mi dobrze, za drugim... nie wiem co się stało, lecz, zacząwszy jechać na sankach, nagle uczułem, że jadę na głowie, znowu na sankach, znowu na głowie, i tak aż na dół, gdzie dopiero puściłem sanki, które uciekły w pole, a ja po pas ugrzązłem w śniegu. Wogóle, w początkach, sanki równie często jeździły na mnie, jak ja na nich; lecz później nauczyłem się niemi tak doskonale kierować, że nieraz prosił mamy, ażeby ze mną siadła, to ją przewiozę. Ale mama nie miała czasu.

Pewnego dnia, gdym się ślizgał, przyszła na wzgórze niańka. Schwyciwszy ją za kark, chciałem gwałtem babinę wpakować na sanki i zjechać na dół. Ale Łukaszowa odepchnęła mnie niecierpliwie i rzekła:

— O, zawsze ci te zbytki w głowie! Ustatkowałbyś się choć dzisiaj...

— Albo co? — spytałem zdziwiony jej tonem.

— Dali znać, że jest wojna — odparła niańka.

— Wojna?... — powtórzyłem za nią — wojna?...

Zarzuciłem sanki na plecy i poszedłem do domu. Wyraz, dopiero co usłyszany, zawsze oznaczał dla mnie coś bardzo odległego i dawnego. Lecz w tej chwili nabrał jakiejś nowej treści, której zgoła nie pojmowałem.

Przechodząc około stodoły, zauważyłem, że parobcy nie młóćą żyta, lecz rozmawiają o wojnie. Utkwiło mi nawet w pamięci zdanie Walka:

— Komu Pan Jezus miłosierny nazna-
czył śmierć, umrze i tak, a komu—życie, te-
mu i wojna nie da rady.

W kuchni kucharka wzdychając, tłóma-
czyła dziewczkom, że dla niej wojna nie nowina,
bo już od kilku lat widuje na niebie krwiste
słupy i ogniste różgi.

— Znam ja się na tem! — mówiła go-
spodyni. — Służyłam za dziewczkę u gumien-
nego u Macieja, co to w dwunastym roku cho-
dził niby Maciej... Mówię wam, nieraz stało
drugiego wojska jak lasu, a przyszedł Fran-
cuz, ino się zamajtnął i już niema tamtych.
Leżeli, gadał Maciej, jak snopy, kiedy się
wóz wywróci.

— Jezu! Jezu! — szepnęła jedna z dzie-
wcząt.

— I już się nie podnieśli, kiedy tak le-
żeli? — spytała Łukaszowa.

— Jakże się mieli podnosić, kiedy byli
poprzetręcani? — odparła kucharka.

Niańka westchnęła.

— Dużo ludzi zmarniało bez te wojny!
— rzekła:

— A tera musi zepsuje się najwięcej —
zakonkludowała kucharka. — Maciej powia-
dał, że jak Francuz idzie sam, to jest cała
bieda, ale jak idzie z naszymi, to są dwie
biedy.

W saloniku byli goście. Przez uchylone
drzwi sypialni zobaczyłem pana Dobrzańskie-
go, pana burmistrza i księdza proboszcza.
Byli zajęci gwałtowną rozprawą, i właśnie
zagniewany pan burmistrz wołał:

— Głupstwo jest porywać się z takimi
siłami... Gdybyśmy mieli choć ze sto tysię-

cy wojska, sam poszedłbym pierwszy... Ale tak...

— No, Francuzi znajdą, więcej—wtrącił proboszcz.

— Znajdą dla siebie, nie dla nas...

Pan Dobrzański śmiał się.

— Ja wiedziałem, — rzekł, trzęsąc ręką — że pan prezydent jesteś czerwony—przy krupniku. Ale w razie wojny, będziesz miał tylko czerwony kołnierz...

— Co mi pan tu pleciesz? — wrzasnął prezydent, uderzając w stół obiema rękami. — Chyba zwariowałiby Francuzi, gdyby nam chcieli pomagać...

— Pan jużś zwariował... — uśmiechnął się nauczyciel.

Przez chwilę patrzali na siebie jak dwa koguty. Burmistrz był ponsowy, nauczyciel z trudnością chwytał oddech.

— Za pozwoleniem! — wtrącił proboszcz stając między nimi. — Panie Dobrzański, uspokój się... Panie prezydencie, a co mówi rok pięćdziesiąty-dziewiąty i Włochy?...

— Włochy leżą przy Francji — odparł burmistrz; — znam przecie geografję.

— A my leżymy na sercu Francji! — krzyknął nauczyciel.

— A pan przy żołądku Francji — mruknął burmistrz.

Nauczyciel rzucił się naprzód.

— Co mi ten... tu... jakiś... burmistrzyna puszcza finfy pod nos?

— Niech ksiądz proboszcz powie temu bakałarzynie... — sapał, cofając się, prezydent.

— Jarmarki otrębywać na gościńcu, nie zaś gadać o polityce!... — wołał nauczyciel.

Prezydent rozkrzyżował ręce:

— Jak Boga kocham, tak wyzwę abecadlarza na pojedynek! — krzyknął.

— Dobrze! — pochwycił nauczyciel — przypomnę sobie fechtunek na burmistrzowskiej skórze...

W tej chwili ksiądz proboszcz i dotychczas milcząca mama moja pochwycili ich.

— A panie prezydencie!

— A, panie Dobrzański!...

— Zarąbię!... — rzucał się nauczyciel.

— Zobaczymy!... — groził burmistrz.

— W takiej chwili niezgoda!... panowie!... — błagała ich mama.

— Niema zgody z awanturnikami!... — mówił burmistrz, szukając czapki.

— Takich wymieciemy najpierwej!... — odpowiedział nauczyciel, zabierając się do wyjścia.

— A wy, stare dzieciaki! — huknął proboszcz, podnosząc pięści. — Warchoły!... Sejmikowicze!... Jeżeli w każdym domu naszego kraju jest choćby jeden taki jak wy, to was nietylko Francuz, ale Pan Bóg nie ocali, bo się sami pomordujecie.

Przeciwnicy zaczęli spoglądać na siebie bokiem.

— Nie moja wina, że pan Dobrzański nie panuje nad sobą — ofuknął burmistrz.

— Z prezydentem zawsze tak kończą się dysputy — odparł nauczyciel. — Zamiast chłodno badać sytuację, unosi się...

Dla otarcia potu z czoła wydobył kraciatą chustkę, a potem machinalnie tabakierkę.

— Każdy pogląd ma w sobie coś prawdy i coś fałszu, i dlatego ludzie spierają się — mówił proboszcz. — Ale niesłychana rzecz,

ażeby w takich czasach różnica zdań prowadziła do nienawiści i zemsty...

— Ja mściwy nie jestem, mnie wszyscy z tego znają — rzekł burmistrz.

— A ja w takiej chwili nie chcę niezgody — odparł nauczyciel i zażył tabaki.

— No, więc podajcie sobie, panowie ręce, i — razem!... — Złe czy dobre — razem!...

— Moi drodzy! — wtrąciła matka, gwałtem zbliżając dłoń burmistrza do tabakierki nauczyciela.

— Niech i tak będzie! — mruknął nauczyciel, i podawszy burmistrzowi jeden palec, poczęstował go tabaką.

— Każdy zostanie przy swoim zdaniu — dodał burmistrz i dla ceremonii posypał sobie tabaką górną wargę.

— A Francuzi przyjdą! — bąknął pod nosem nauczyciel.

— Na guwernerów — dodał burmistrz.

Wychyliłem się przez drzwi tak, że mama mnie zobaczyła. Szybko wbiegła do sypialni, i popychając mnie ku drzwiom, szepnęła:

— Czego tu stoisz?... idź mi zaraz na drugą stronę!

— Ja pójdę na wojnę! — mruknąłem, stąpając wielkimi krokami.

Zapomniałem już o sankach i ślizgawce, lecz, wydobywszy z za szafy mój pałasz, zacząłem przynieść z kuchni osetkę i zacząłem go ostrzyć. Opanował mnie taki wojowniczy nastrój, że gdy Łukaszowa ośmieliła się żartować z mego uzbrojenia, palnąłem starowinę żelazem po ręce, aż jej wyskoczył siniak.

Zrobił się krzyk, wbiegła mama... W rezultacie musiałem niańkę przeprosić i długi czas klęczeć pod piecem.

Przez kilka dni kipiało w miasteczku. Przyjezdni opowiadali o wojskach, które gdzieś daleko od nas chodzą po kraju; panie szyły bieliznę, starsi panowie radzili, a młodzi znikali. Podział się gdzieś sekretarz z poczty z dwoma synami pana Stachurskiego szewca; później sekretarz magistratu z siostrzeńcem pana Władzińskiego, wędliniarza; nareszcie znikł sam pan Grochowski, stolarz, ze swoim czeladnikiem. Chałupkę, w której miał warsztat zamknęli sąsiedzi i stała pustką przez parę lat, aż w niej zamieszkał nowy dziedzic. Pan Grochowski i jego czeladnik już nie wrócili.

Gdy mama, rozmawiając z panem Dobrzańskim, utyskiwała, że tyle młodzieży marnuje się na zimnie i słocie, nauczyciel wzdychał, ale wnet odpowiadał z uśmiechem:

— To tylko do wiosny... — Na wiosnę Francuz przyjdzie... Byle wytrwać!...

I na ściennym kalendarzu rachował, ile jeszcze dni do porównania wiosennego, ile do Wielkiej Nocy, a ile do maja.

— W maju sami się nie poznamy! — mówił.

Co do mnie, wybierałem się za innymi. Wystrugałem sobie łuk pukawę i wyostrzyłem pałasz tak, że wióry krajał. Miałem pełną głowę wojny, i tylko wypadek wstrzymał mnie od opuszczenia domu.

Raz śniło mi się, że widzę długie szeregi żołnierzy w niebieskich frakach, białych spodniach i szkopkach na głowie. Każdy miał w lewej ręce karabin, za plecami pałasz, ce-

glaste rumieńce na twarzy białej jak kreda i szeroko rozwarte oczy. Wszyscy byli osadzeni na deszczułkach, spojonych na krzyż, jak nożyczki. Ktoś nieustannie zamykał i otwierał deszczułki, a żołnierze szykowali się w kolumnę, albo w szereg, sztywni, nieruchomi na swoich kołeczkach, strasznie patrzący przed siebie.

Domyśliłem się, że będzie bitwa. Lecz, że oprócz mnie nie było nikogo na placu, więc schwyciłem swój pałasz, machnąłem, i całe wojsko upadło na ziemię, obalone. Jeszcze parę razy z wielką trudnością sformowali szereg i kolumnę, potem skrzypiące deszczułki przestały się poruszać—i leżał żołnierz obok żołnierza, z wywróconemi oczyma, z włosami zaczesanemi na skronie, błyszczący farbą, którą był pomalowany.

Wtedy przypomniałem sobie opowiadanie naszej kucharki, że dotychczas tylko Francuz robił podobne spustoszenia, i obudziłem się pełen wielkiej odwagi.

O zwykłej porze, niańka, napaliwszy w piecu, zaczęła mnie ubierać. Gdy mi wsiągała buty, rzekłem grubym głosem:

— Trzeba mi na noc buty wysmarować łojem, bo jutro wychodę.

— Gdzież ty chcesz iść?

— Na wojnę.

Cóżbyś tam robił?

— Już ja będę wiedział co robić.

Baba popatrzała mi w oczy.

— W imię Ojca i Syna!... — zawołała.

— Świat się kończy, czy co, że i ten fafel gada o wojnie?

Nie powiem, ażebym się rozgniewał; czułem jednak, że teraz nie wypada mi być ła-

godnym. Właśnie niańka wzuwała mi drugi but, gdy ja, wyrwawszy nogę, kopnąłem ją w kolano i w niedociągniętym bucie wyskoczyłem mna środek pokoju, wołając:...

— Właśnie że pójdę do stu diabłów!... A jak mi jeszcze co powiecie, to wam w łeb strzelę...

Nagle staruszka objęła mnie rękami, i stała się rzecz, której wcale nie przewidywałem. Nogi moje znalazły się tak prędko w górze, że mi but spadł, brzuch i piersi oparły się na kolanach staruszki, a przed oczyma zamiast drzwi, zobaczyłem podłogę. Zarazem uczułem, że niańka jedną ręką opasuje mi tułów, drugą zaczyna odpinać guziki barchanowych majtek.

Wiłem się i rzucałem, ale na próżno. — Wówczas zacząłem prosić.

— No, wojuże, wyrwij się, kiedyś taki chwyt!... — wołała niańka, trzęsąc się ze zmęczenia. — A ty rozpustniku, ty wisielcze!

W domu i tak pełno zgryzoty, a jeszcze ten nicpoń odgraża się...

Zapłakałem ze wstydu, a wtedy baba postawiła mnie na podłodze, i ocierając łzy, mówiła już łagodniej:

— Oto widzisz, jakby ci było na wojnie. Złapaliby cię, i nimbyś nogą grzebnał, dostałbyś z piędziesiąt nahajów. Już i jabym ci wtedy nie pomogła, nawet pani...

Ostatnia uwaga zrobiła na mnie wrażenie.

— Cóż to na wojnie biją się nahajkami? — spytałem zachmurzony.

Doznałem przykrego zdziwienia, jak gdybym nagle usiadł w miejscu, z którego usunięte krzesło. Rzucić się z moim pałaszem

na cały szereg wojska potrafiłbym, ale nahajki przerażały mnie. W głębi duszy nie wierzyłem, aby to mogła być prawda; swoją drogą, ile razy pomyślałem, o wojnie, przywidywało mi się iż ktoś chwyta mnie wpół i przewraca do góry nogami tak prędko, że nawet nie mam czasu sięgnąć po pałasz.

Ten osobliwy pogląd na sztukę wojenną ochłodził mój heroizm. Nie wyrzekłem się wojny, ale postanowiłem iść nie prędiej, aż tyle urosnę, że mnie lada kto nie wywróci. Zrobiłem na piecu kreskę, jak mogłem dosięgnąć ręką i mierzyłem się po kilka razy dziennie, patrząc czy daleko do upragnionej wysokości?... I dziwna rzecz, kiedym był wesoły, tom podrastał, a gdym był smutny, tom tak malał, że prawie traciłem nadzieję dosięgnięcia miary przed przybyciem Francuzów.

— Ha! myślałem — to i tak pójdę. Wlażę w środek, i niech mnie nie dają...

Zajęty takimi planami, nie zważałem na mamę, w której usposobieniu zaszły pewne zmiany. Prawie od dnia, kiedy usłyszałem o wojnie, matka źle sypiała, pobladła. Jej energiczny głos przycichnął, coraz mniej biegała po domu, a częściej siadała na fotelu, zmęczona i zaplótłszy palce o palce, marzyła o czemś.

Listy do brata zwykle mama wysyłała przez okazję; w tych czasach zaczęła pisywać przez pocztę. Codzień wypytywała się o bryftrygiera; gdy nie nadchodził, wysyłała na pocztę parobka, nakazując mu, ażeby dowiedział się, czy niema listu.

Czasem przebywał list, ale nie zmniejszał niepokoju mamy. Odpowiadała natych-

miast i znowu czekała, wysyłała na pocztę. Zresztą o bracie nie mówiła nic.

Jakoś przed Wielkanocą siedzieliśmy raz przy obiedzie: mama, pan Dobrzański i ja. Pamiętam, że dzień był pościły, bo dali zupę piwną. Właśnie na drugą potrawę niańka przyniosła talerz pierogów z powidłami, oblanych masłem i posypanych tartą bułką, kiedy ukazał się posłaniec z poczty i oddał mamie list.

Zaczęła go czytać tak długo, iż przyszło mi na myśl, że pierogi wystygną. Machinalnie wziąłem do ręki widelec, który upadł na talerz z takim hałasem, aż mnie przeszło gorąco.

Zalękniony, rzuciłem okiem na pana Dobrzańskiego, ale ten siedział bez ruchu, ze spuszczoną głową. Spojrzałem na mamę i zdziwiłem się.

Mama była strasznie zmieniona. Zdawało się, że w jednej chwili twarz jej przybrała piaskową barwę, a oczy wgłęb zapadły. Oparła głowę na jednej ręce, a w drugiej, daleko odsuniętej, trzymała list. Usta jej były zaciśnięte i blade.

Siedzieliśmy tak wszyscy troje, milcząc, aż wreszcie na pierogach masło zakrzepło. Nagle mama rzuciła list na stół.

— Pan wie, — rzekła do nauczyciela — że Władek poszedł?

Pan Dobrzański poprawił się na krześle, spojrzał na list, ale nie odpowiedział.

Matka zaczęła mówić głosem trochę drżącym, lecz uśmiechając się chwilami:

— No, nie wiedziałam, że do tego prowadzi rozum uniwersytecki!... Wydaliśmy na niego dziesięć tysięcy, a ja, po śmierci

męża, pracowałam jak sługa, byle tylko jego popchnąć wzyej. Już nawet nie pamiętam, jak wyglądają całe trzewiki, a pomimo to, mam długi. Gdybym dziś umarła, młodszy zostałby chyba pastuchem. A on, głowa domu, tymczasem poszedł na wojnę!... Nie tylko nie pytał się, ale nawet nie radził matki. Może dlatego, że wygląda na prostą babę!... Sam zadysponował moimi pieniędzmi, swoją przyszłością i losem tego oto smarkacza, który jednej klasy nie będzie miał za co ukończyć... Cóż pan na to, panie Dobrzański?

Nie pierwszy on i nie ostatni — szepnął nauczyciel.

— Dla mnie pierwszy i ostatni... — odparła matka podniesionym głosem. — Komu nóż wbijają w serce, ten nie pyta, czy innych spotkało to samo, ale woła, że boli!... Co mnie obchodzą inni?... Inni nie wyrastali pod moim okiem, jak nie opłakiwałam ich, kiedy szli do szkół, nie myślałam, że po całych latach tęsknoty zobaczę ich choć na starość, ażeby się już nie rozłączać...

Oparła głowę na rękę.

— Myślałam, że wróci i tu osiadzie. — Chciałam go ożenić, oddać cały dom, sama mieszkać na górze. Oni przyjmowaliby gości, a ja w moim starym kaftanie, z kluczami, biegłabym za gospodarstwem. Chciałam go tylko widywać choć przy obiedzie, jeżeliby nie miał gości — oto wszystko... Czym kiedy narzekała, że tylko raz na miesiąc pisuje, a parę lat nie przyjeżdża?... A on tak mi zapłacił...

Zasłoniła oczy, nie mogąc powstrzymać łez.

— On nawet nie wie, com ja przy nim wycierpiała — mówiła, szlochając. — Urodził się najpierwszy, a był taki duży, że mało nie zmarła... Chorowałam dwa miesiące... A jak ssał!... Rany mi porobił na piersiach. Czasem z bólu ćmiło mi się w oczach, łzy... płynęły jak groch... Ale kiedy przyszła mamka, żal mi go było oddać. Bałam się, że może mnie będzie mniej kochał... No — i zgadłam!... Człowiek, kiedy wyjeżdża z karczmy gdzie popasał, to jeszcze rzuci łaskawem okiem na szynkarza i powie mu dobre słowo... A on wyrzekł się matki, jak nic... I pomyśleć tu, że go już może nie zobaczę...

Stary nauczyciel zwrócił na matkę szkłem zaszłe oczy.

— Widzi pani, — rzekł — to już takie czasy... Czasy!...

Odetchnął zadyszany i mówił dalej:

— Znowu zaczerwieniła mi się blizna na piersiach i noga strasznie boli, jak zwykle na wilgoć... Dziś więcej niż kiedy nad tem cierpię... Ale co ja tu baję. Oto?... chciałem powiedzieć, że kiedy pani tak desperujesz po Władku, to sprowadzimy go napowrót.

Matka rzuciła się na krześle.

— Skąd?... A gdzie jest?...

— Poszukamy; znajdziemy.

— Nie zechce wrócić.

— Wróci. On nie myślał, że pani tak będzie rozpaczała.

Matka zamyśliła się, a nauczyciel mówił:

— Napiszę do znajomych, dowiem się o jego adres, i — niech najgorsze czasy przesiedzi w domu.

Nauczyciel wstał od stołu, oglądając się za czapkę. Matka także podniosła się i przełotnie spojrzała w okno.

— Dokąd pan idziesz? — spytała.

— Napiszę list — odparł.

W tej chwili, za oknem, poślizgując się na śniegu, albo grzęznąc w błocie, zwolna włókł się stary człowiek, którego nazywano zdrajcą. Pan Dobrzański nie widział go, ale matka spostrzegła. Drgnęły jej usta, i na twarz wystąpił rumieniec.

— Cóż to, wahasz się pani? — spytał zdziwiony nauczyciel.

— Nie.

— Zatem — rezkł — powiem mu tak: matka pod błogosławieństwem nakazuje ci, ażebyś natychmiast wrócił.

— Nie.

— Więc nie pisać?...

— Owszem.

— Więc cóż pisać?... — rzucił się nauczyciel.

— Napisz pan, — szepnęła, łkając — że matka posyła mu swoje błogosławieństwo, o którym zapomniał...

I opuściła pokój.

Nauczyciel stał jak automat, bezmyślnie patrząc na drzwi. A gdy niańka zebrała talerze, głośno przeżegnał się i zaczął zwykłą modlitwę poobiednią:

“Dziękujemy Ci, Panie Boże, za Twe dary...”

Nagle przerwał, machnął ręką i wyszedł. Widać nie skończył modlitwy dlatego, że na obiad jedliśmy tylko zupę, a pierogi z powidłami zostały.

Tego samego wieczoru zebrali się u nas państwo burmistrzostwo z córkami i pani majorowa z wnuczkami, ażeby mamę rozerwać. Panie miały miny jak na pogrzebie. Potem przyszedł pan Dobrzański, podano herbatę i zaczęto rozmawiać. Panny utyskiwały, że niezadługo zabraknie kawalerów, jeżeli wszyscy pójdą na wojnę, a pan prezydent rzekł:

— To jeszcze nic, bo tacy, co z wojny wracają, najskorsi są do małżeństwa. Ale będzie gorzej, jak z połowa ich wyginie... Co może zwojować garstka przeciw masie!...

— Przypomnij pan sobie Leonidasa, albo Wilhelma Tella — wtrącił pochmurnie nauczyciel.

Burmistrz przymrużył oczy.

— Wilhelm... Wilhelm?... — powtarzał, napróżno usiłując przypomnieć sobie dwu wymienionych panów.

Pan Dobrzański wzruszył ramionami.

— No, — rzekł — nie męcz pan sobie pamięci. A co do tego, że jest ich gartska, to nie może być inaczej, jeżeli wychodzą jednostki, a setki siedzą w domu. Czy na przykład nie wstyd żeby taki basalyk, jak wasz kasjer, wygrzewał się tu u wszystkich pieców, kiedy inni giną?...

— Ma rację — wtrąciła majorowa. — Mój Boże! taki czerstwy mężczyzna...

— Dajcie pokój kasjerowi — odezwał się pan burmistrz. — On pójdzie, on nie wytrzyma, ale jako człowiek punktualny, musi pierwszej odrobić buirowe zaległości.

Lecz było już za późno, bo panny narażały się w kącie i, ilem zmiarkował, coś przeciw kasjerowi wymyśliły.

Od tej pory pan kasjer stał się prawdziwym męczennikiem. Każda panna, którą spotkał zapytywała go:

— Pan jeszcze tutaj?

A prócz tego co kilka dni posyłały mu zajęczą skórę albo kądziel.

Po każdym takim prezencie pan kasjer przybiegał do nas, siadał naprzeciw lustra, i, poprawiając wysoki kołnierzyk, narzekał przed mamą:

— Głupie te panny i fałszywe, — mówił. — Niby to chcą, żebym wyszedł, a każda aż piszczy, ażebym się z nią ożenił. Płaczą, że brakuje kawalerów, a i tego chcą się pozbyć, który został. No, ale im pokażę! — dodał z wetschnieniem. — Już obstałowałem długie buty...

Istotnie w kilka dni zaczął pan kasjer składać wizyty w butach, które sięgały mu wyżej kolan. Napomykał przytem, że może wypadnie mu opuścić miasto, i prosił każdej z panien na osobności, ażeby czasami pomodliła się na jego grobie. Następnie opowiadał mamie, że każda miała łzy w oczach, co sparaliżowało jego wojownicze zamiary.

Więc został. A panny znowu poczęły dziwić się, że jeszcze jest tutaj, i nadsyłać mu kądziel i zajęcze skórki przez rozmaitych posłańców. Doszło do tego, że pan kasjer pobił raz Żydka, który mu odnosił starannie zawiniętą kamizelkę, myśląc, że Żyd należy do spisku, i że mu chce doręczyć jaki kompromitujący upominek. Nareszcie, pokłóciwszy się ze wszystkimi pannami, kasjer sprowadził sobie podróżną torbę, wziął urlop na 28 dni i wyjechał. W końcu zaś tygodnia moja mama, pan burmistrz i pani majorowa ode-

brali bezimienne listy, donoszące, że zginął w bitwie.

Pan burmistrz przybiegł do nas mocno zirytowany.

— Wyobraź sobie pani—zginął!... — mówił do mamy — zginął... taki punktualny urzędnik! Oto są skutki babskich agitacji! Gnębiły go, nękały, aż poszedł i wtej chwili dostał w łeb... Trzebaby może sprawić nabożeństwo żałobne, czy kiego diabła?...

— Nie godzi się tak mówić — zaproponowała moja matka. — Bohaterem, co prawda, nie był on nigdy, ale kiedy go już Bóg powołał, trzeba zmówić wieczny odpoczynek, a nie sądzić diabłami.

Pan burmistrz słuchał, ale krzywił się i patrzył na list, donoszący o śmierci.

— Widzisz, pani dobrodziejko, to prawda. Jest tu napisane, że zginął, że bił się walecznie, że nawet cały oddział nosi po nim w sercu żałobę, ale... kiedy ten list tak wygląda, jakby on go sam pisał zmienionym charakterem... Ha, możemy zresztą odprawić nabożeństwo. Nie przyda się jemu, to drugiemu, a zawsze naprawi chłopcu reputację!...

Ale ksiądz proboszcz, odczytawszy list, radził nie śpieszyć się z egzekwiami, co mocno oburzyło panny, z których dziś każda opłakiwała pana kasjera na własny rachunek i przed mamą nazywała go swoim rycerzem. Wszczęły się nawet spory o nieboszczyka, których wcale nie można było rozstrzygnąć, ponieważ każda z panien miała po nim takie same pamiątki: wiersze patryotyczne na welinowym papierze, zeschłe kwiaty i pęczek włosów.

Tymczasem we trzy tygodnie ukazał się pan kasjer. W pierwszej chwili myślano, że jest przynajmniej ranny; władał jednak wszystkimi członkami i nawet utył. Gdy go zaś spytano: co znaczyła wiadomość o jego zgonie? — zaczął opisywać tak straszne bitwy, w których brał udział, że pan burmistrz o mało nie uznał go za nieboszczyka po raz drugi. Ciężkie przejścia nie zostawiły jednak śladów. Opatrzność, czuwająca nad mężnymi, strzegła nietylko jego osoby, lecz nawet jego podróżnej torby, wysokich butów i całej zresztą garderoby, od której wir politycznych wydarzeń ledwie zdołał mu oderwać kilka guzików. Wiem o tem, bo dla przyszcicia ich pożyczał pan kasjer od mamy igły i nici.

Pan Dobrzański, wysłuchawszy opisu, wszystkich walk i tego, co pan kasjer dokażywał na prawem skrzydle, na lewem skrzydle, jako strzelec i jako kawalerzysta, zakonkludował krótko:

— On tak widział bitwy, jak ja Chiny.

Nawet pan burmistrz miał niejaki wątpliwości nie co do męstwa i czynów, lecz co do miejsca i czasu. Z jego bowiem opisów wypadało, że nie jadł i nie spał, tylko walczył, niekiedy odrazu w kilku punktach.

Pan kasjer, dowiedziawszy się o tem, zaprosił do naszego domu księdza proboszcza, pana burmistrza i pana pocztmajstra. Gdy zasiedli w saloniku, a proboszcz podłożył sobie rękę pod ucho, ażeby lepiej słyszeć, rzekł:

— Doszło do mojej wiadomości, że są ludzie, którzy powątpiewają o moich zasługach...

— Ależ!... — przerwał zarumieniony pan burmistrz, kręcąc się na fotelu.

— Owszem, — pochwycił kasjer — powątpiewają; wiem, że powątpiewają... Otóż ja, chcąc oczyścić się z podobnych zarzutów, przedstawię panom — dowody...

Wydobył z kieszeni scyzoryk, otworzył go, rozpiął żakiet, potem kamizelkę i zaczął dolny jej brzeg odpruwać.

— Aha!... — szepnął do proboszcza pocztmajster: — stan służby...

I podniósł brwi bardzo wysoko.

— Nie! — dumnie odpowiedział kasjer, prując dalej.

— Pewnie lista bitew, w których się odznaczył — dodał burmistrz i niespokojnie uderzył się w udo.

— Wcale nie! — odparł już niecierpliwie pan kasjer i — położył na stole papierek, mało co większy od bibułki do zwijania papierosów.

— Aha!... Nominacja na... na pomocnika... na pomocnika naczelnika parafii... A co, mówiłem! — wykrzyknął.

— Teraz panowie chyba wiecie, kim jestem? — zapytał kasjer.

Ale ponieważ do saloniku w tej chwili wszedł pan Dobrzański, więc kasjer, spojrzawszy na niego z góry, pocałował mamę w rękę i wyszedł do miasta.

— Zawsze twierdziłem, — rzekł pan burmistrz — że on będzie wielkim człowiekiem! No, panie Dobrzański, zgadnij, czym jest nasz kasjer?...

Nauczyciel oparł się na kiju i rzekł, bystro patrząc w oczy panu burmistrzowi:

— Był i jest chłystkiem...

Pan burmistrz rzucił się na kanapie.

— Ale w tej chwili czytaliśmy jego nominację... — zawołał.

— Na osła dardanelskiego! — odparł gniewnie nauczyciel.

— Mógłbyś się pan nareszcie do niego przekonać... — wtrącił pocztmajster i machinalnie uderzył pięścią w stół, jakby przybijając stempel.

— Nie mam przekonania do dyrektorów kocich muzyk!... — krzyknął nauczyciel. — Nie lubię błaznów, a jego szczególnie, choćby miał nominację, wypisaną na własnej skórze.

Od tej pory pan kasjer pokazywał swój dokument paniom i pannom, a nawet mnie. Przed mamą skarżył się na ciężar władzy, a do mnie raz powiedział:

— Szczęśliwe dziecko! nie znasz, co to jest odpowiedzialność i troska o wszystkich.

— Wielkich trosk to chyba pan nie ma — zauważyła mama. — Nic pan nie robi z nikim się nie widuje...

Pan kasjer, jak zwykle, usiadł naprzeciw lustra.

— Bah! — rzekł z westchnieniem, podgarniając palcami włosy. — Co to jest, proszę pani, wciąż myśleć, że tam są głodni, tam źle odziani, tam nieuzbrojeni. Że tu mogą wywieźć, tu spalić, tu pozabijać!... Bać się o wszystko i o wszystkich, słowo honoru — to nad człowieka!...

— Więc pocóż się pan tak boi? — spytała zdziwiona mama.

— Ja się nie boję! — skoczył pan kasjer na krzesło — ale troszczyć się o innych to mój obowiązek... Któż mnie zastąpi?...

Z panem Dobrzańskim wcale nie rozmawiali.

Tymczasem ndaesza wiosna, a mnie poczęła ogarniać nieokreślona tęsknota i ciekawość. Czy wstawałem, czy kładłem się spać, zawsze zdawało mi się, że usłyszę, a może zobaczę coś niezwyčajnego. Co to miało być? — nie wiem, lecz jestem pewny, że przeczucia te podsycala we mnie sama natura, jakaś dziwna w tym roku. Jednego dnia nagle znikły śniegi i ze wszystkich wzgórz zaczęły płynąć potoki wody, jakby ktoś przed nadchodzącymi świętami mył ziemię. Potem zerwał się wiatr i przez kilka dni z największym pośpiechem zbierał wilgoć aż do sucha. Słońce wstawało coraz wcześnie, chcąc także zobaczyć: co będzie? Widziałem, że codzień wyżej wznosi się nad ziemię i ogarnia szersze widnokregi, a ku wieczorowi ociaga się z zachodem. Raz nawet, schowawszy się za horyzont, wychyliło się powtórnie, jak zbudzony człowiek, który podniósł głowę i pyta: a co tam?...

Wnet zazieleniły się pola, a z niektórych drzew, pierwiej niż liście, wyskoczyły kwiaty i patrzyły zdumione, szemrząc: "Tu coś miało być?... czy jeszcze nie było?... Zdawało mi się niekiedy, że wiatr, płynący z za lasu, coś im szepce, a one chwieją gałęzmi i ze zdziwieniem szeleszczą: "Aj! aj! aj!"

Nieraz uważałem, że nauczyciel, idąc do nas na lekcję, stawał na ulicy i oglądał się za siebie. Poco?... Czasami mama biegła do okna i popatrzawszy chwilę, wracała, jakby ją zawód spotkał. Nawet służba folwarczna bez powodu gromadziła się na dziedzińcu i milcząc śledziła horyzont.

Raz zobaczyłem coś nowego w pokoju.

— Aha!... — krzyknąłem — jest!...

Lecz była to tylko pierwsza mucha w tym roku, półsenna i wygłodzona.

Przyleciały skowronki i, pinowo wzbijając się nad polami, ogłaszały coś w swoim zdrobniałym języku, a potem nagle padały na ziemię, jak kamień, świergocząc zalkęknione: "Już! już!" Przyleciały bociany, i zasiadłszy opowiadały niesłychane historie, z niedowierzaniem kiwając głowami. Przeciągały obłoki, czasem pokłębione i śpieszące się kędyś, niekiedy poszarpane i jakby uciekające.

— Skąd one? dokąd one? o czym rozповідаją bociany? czego lękają się skowronki? — pytałem i paliła mnie ciekawość ujżenia nieznanych rzeczy.

Nawet w domu nie miałem spokojności. Czasem wróbel siadał na gałęzi i pilnie przypatrywał się salonikowi; to znowu słońce wysyłało na zwiady pęk światła, który ostrożnie zaglądał za piec, pod stolik, za kanapę, i wreszcie — cofał się drżący aby za kilka dni powtórzyć swoje śledztwo.

— Czego oni chcą od nas? — czy to u nas ma coś być? — pytałem zatrwożony.

A w tem zegar stanął. Gdy pobiegłem zobaczyć co mu jest, spostrzegłem obok na stoliku książkę do nabożeństwa, otwartą na słowach suplikacji: "Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami..."

Od tej pory wszystko mnie przerażało. Czekałem na coś nieznanego, a gdy raz nianka krzyknęła głośniejsze:

— Już idzie!... idzie!...

Zerwałem się od lekcji i wpadłem do kuchni, pytając:

— Co idzie?...

— Wacek z miasta — odpowiedziała. — Ale cóżeś tak pobladł?...

— Nic, nic...

I wróciłem przekonany, że — już coś idzie tutaj, na co wszyscy oczekiwali.

Któregoś dnia, w pierwszej połowie maja, zrobił się u nas ruch. Po południu przyszedł kasjer.

— Boję się, — mówił wzruszonym głosem do mamy — boję się, żeby u nas nie było jakiego głupstwa. Jedni z tej strony drudzy z tamtej, a my—we środku... Może być źle...

I otrząsnął się, jak na mrozie.

— Cóż tam panu? — odparła mama. — Pan już jesteś oswojony, ale my... A jednak... przyjmujemy wszystko co Bóg da.

— Nie myśli pani wyjechać? — spytał nagle. — Bo ja w razie czego...

— Dokąd?... Zostają inni, zostaniemy i my. Co nas ma spotkać, niech spotka na miejscu. Niewiadomo, czy uciekając przed imaginacją, nie trafilibyśmy na nieszczęście.

Pan kasjer pobladł.

— To prawda, to prawda — rzekł. — Ha, więc i ja zostanę.

Pożegnał mamę, lecz wrócił się ode drzwi.

— Jednakże, dzisiaj możnaby jeszcze znaleźć wolną drogę... Kto wie, czy nie wyjadę...

Nagle — machnął zaciśniętą pięścią i tonem wielkiej energii dodał:

— Zresztą — pal diabli!... Zostanę. Raz kozie śmierć!...

Ale na ganku znowu widać opuściła go energia, i z miną bardzo zafrasowaną oglądał się na wszystkie strony.

Dziwna rzecz, te wątpliwości, kasjera obudziły we mnie złowrogie przeczucia, jak gdyby od jego pozostania w mieście zależało czyjeś życie. Byłem ^{bałk}zmieszany, że pomimo nieśmiałości zapytałem matki:

— Moja złota mamó, co to będzie?...

Nadspodziewanie, matka zamiast ofuknąć, pogłaskała mnie i odpowiedziała spokojnie:

— Nic nie będzie, moje dziecko, nic. Weź się do książki i nie rób takich wielkich oczu, bo będą śmiać się z ciebie, jak z pana kasjera.

Słowa te odrazu mnie uspokoiły. Rozejrzałem się. W kuchni, jak zwykle, krzątają się około obiadu, na dziedzińcu chłopiec rąbie drzewo, ogród kipi śpiewem ptaków, a z nieba leją się potoki wiosennego światła.

“Co tu nabijać sobie głowę jakimiś strachami?” — pomyślałem, i zamiast do książki — wziąłem się do robienia wózka.

W duszę zaczęło mi napływać majowe ciepło szelest drzew, zapach kwiatów... Chwilami odkładałem na bok wózek, ażeby przypatrzeć się mrówce, zwolna przechodzącej z trawy na trawę, albo, schwyciwszy rękami za gałąź, huśtałem się i wywracałem koziółki, śmiałem się, sam nie wiem z czego. Czułem tylko, że jak tym oto ptakom, tak i mnie serce napęlnia radość, i że mi jest dobrze na świecie. Zdaje mi się, że była to najszczęśliwsza chwila w mojem dzieciństwie. Spadła bez powodu, trwała krótko i nieznacznie odeszła.

Dzień upłynął spokojnie. Około dziesiątej w wieczór, jak zwykle, rozebrała mnie niańka — i twardo zasnąłem. Wkrótce ockną-

łem się, ale niezupełnie; poczucie rzeczywistości mieszało się z marzeniem. Wiedziałem, że jest noc i że leżę na łóżku, lecz marzyłem, że w poduszce jest jakby czworokątne okienko, przez które patrzę na inny świat. To znowu zdawało mi się, że pływam w nieokreślonej przestrzeni, a jednocześnie słyszę, że ktoś stąpa po pokoju. Chciałem otworzyć oczy, ale zarazem mówiłem sobie: jeszcze chwilę, otworzę później... Nagle zatrząsałem się od stóp do głowy i usiadłem na łóżku. Jakiś głos cicho, ale wyranie szeptał prawie nad moim uchem:

— Już idą...

— Kto tu jest? — zapytałem strwożony. Żadnej odpowiedzi.

Zeskoczyłem na podłogę i poomacku doszedłem do łóżka mamy. Ale mamy nie było.

Wróciłem na swoją pościel, i owinąwszy się kołdrą słuchałem. Z ulicy dochodził jakiś ciągły szmer, podobny do rzęśistego deszczu. Przetarłem oczy; szmer nie ustał, ale zrobił się podobny do stąpania wielu ludzi po piasku. Czasami coś szcęknęło, czasami koń parsknął, to znowu coś ciężko toczyło się i na mgnienie oka ustawało. Potem rozległo się szarpnięcie — i znów słyszeć przytłumione toczenie się, parskanie, niekiedy szczęk, na tle jednostajnego szmeru, jakby ludzkich nóg, które szły, i szły bez końca.

Trwało to dłużej, niż kwadrans, a gdy zegar wykukał drugą godzinę, szelest osłabnął, zagłuszony cichym turkotem wozów. Teraz dopiero usłyszałem na ulicy głos z ludzkiej piersi; ktoś przeciągle ziewnął. a... a... a!...

Potem i turkot przycichnął, po raz drugi odezwał się szmer jednostajny i toczenie się chwilami przerywane — i zwolna wszystko umilkło. A wtedy zauważyłem, że pod ścianą domu na dziedzińcu ktoś mówi jęklwym głosem: "Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami..."

Nie mogłem wytrzymać. Wstałem z łóżka i z wyciągniętymi rękami, potykając się w ciemności o sprzęty, wyszedłem z pokoju do sieni, mówiąc przyciszonym głosem:

— Mamo!... gdzie mama?...

Uderzyłem ręką o drzwi, wychodzące na podwórze, ale drzwi były zamknięte. Już chciałem wołać, ażeby kto przyszedł, gdy w tem padło na mnie z góry skąpe światło. Przypomniałem sobie pokój na strychu i wdrapałem się tam po schodach, które za każdym krokiem żałośnie skrzypiały.

Stałem przy oknie. Owiał mnie świeży oddech nocy, i pierwszy niepojęty strach zaczął stopniowo zmniejszać się, przechodząc w ciekawość.

— Nic niema — mówiłem w duchu. — Zwyczajni jacyś ludzie idą i jadą...

I wyteżyłem wzrok, kierując się odległym szmerem, który jeszcze dolatywał kiedyś niekiedy. Noc nie była ciemną, ani pochmurną; był to raczej szary zmrok, nad którym unosiło się czarne niebo, słabe i iskrzące gwiazdy, a nisko nad horyzontem, pasek księżyca w ostatniej kwadrze, wąziutki i ponury. Przy tem świetle zobaczyłem coś, o czem nie marzyłem nawet we śnie. Na bocznej drodze, w lewo od naszego domu, sunęła między polami — olbrzymia zmija!... Głową już sięgała samotnej chaty, a ogon jeszcze krył

się w olszynie. Wypełniała całą szerokość drogi, czołgając się powoli, w ogromnych skrętach. Od olszyny zginała się na prawo, od jaru wielkim łukiem zwracała się w lewo, około chaty znowu w prawo. Miejscami zapadała w doliny, miejscami pełzała po wzgórzach. Blask księżyca, skośnie padający na ziemię, oświeślał to niezmierne cielsko, najeżone iglicami, których końce migotały w sposób nad wszelki wyraz dziwny. Niekiedy zdawało się, że to fale potoku, który niepojętym zrządzeniem wspina się sam na wzgórze, a czasem wyglądało jak iskierki ciemnego ognia, gdyby ogień mógł być ciemnym.

Przypadkiem spojrzałem na gościniec, który biegł na prawo do miasta, i tam, już niedaleko lasu, zobaczyłem — takiego samego potwora. Tylko ten zdawał się być jeszcze dłuższy, jeszcze grubszy i lśnił się jeszcze posępniejszym blaskiem.

Na podwórzu rozległ się szelest kroków; poznałem niańkę.

— Co to jest, Łukaszowa, tam na gościńcu?

— Wojsko!... — odparła chrypliwym szeptem.

— Wojsko?... — powtórzyłem. — Wojsko!... — i zeszedłem na dół.

Mama już wróciła do pokoju i zapaliła świecę. Myślałem, że mię wykrzyczy za to, żeś wyszedł z łóżka i w jednej koszuli wlażem na strych. Ale nie robiła mi żadnych wymówek.

Sam nie wiedząc dlaczego, zacząłem się ubierać, a następnie już, wciągnawszy but na nogę, położyłem się i zasnąłem. Musia-

łem przez sen krzyczeć, bo mama zbudziła mnie, oglądała mi usta i dotykała głowy.

Około dziewiątej zrana (właśnie kończyłem jeść kaszę z mlekiem), przybiegł do nas pan kasjer. Był nieuczesany i już w progu zawołał:

— Nie zgadnie pani, co zdarzyło mi się dziś w nocy!... Mały figiel, i jużbyście mnie nigdy nie zobaczyli... Ale... Dzień dobry pani!... Jestem tak wzruszony, że nawet zapomniałem przywitać się.

Pocałował mamę w rękę, mnie pogłaskał i usiadł na krześle.

— Cóż się stało? — zapytała mama, ze dziwieniem patrząc na niego.

— Nadzwyczajny wypadek, jaki tylko mnie mógł spotkać! — odparł kasjer.

I nagle dodał, wysilając się na słodką minę:

— Czy nie dostałbym u pani szklanki wody?...

— Może herbaty?...

— Z największą chęcią...

— A może z arakiem?...

— Pani taka łaskawa... Stokrotne dzięki!...

Wnet przyniesiono herbatę, cukier i arak. Pan kasjer upił trochę herbaty, dolał araku, znowu upił i znowu dolał, potem— jeszcze raz dolał i zaczął:

— Słyszała pani, że dziś w nocy przechodziło wojsko?...

Mama skinęła głową.

— Masa wojska... masa!... Piechota, kawalerja... armaty!... — dodał ciszej. — Armaty takie wielkie, że ledwie konie mogły uciągnąć...

W tej chwili przyszło mi na myśl owo ciężkie toczenie się, które słyszałem w nocy.

— Masa wojska i masa armat — mówił kasjer, popijając każde zdanie herbatą.

— Ja — prawił — już spałem. Śniła mi się — wtrącił niedbale — bitwa, w której odznaczyłem się najwięcej, gdy w tem — budzę się i słyszę, że idzie wojsko!... Zrywam się, nie tracę przytomności, ale mówię w duchu: "Już po mnie..." Wiadomo pani, — dodał ciszej — jaką tu odgrywam rolę, a gdyby mnie schwytano...

Ostatni wyraz wypowiedział bolejącym tonem. Odgadłem, że bardzoby się żałował.

— Naturalnie pierwsza rzecz zniszczyć ślady. Sięgam do portmonetki, gdzie schowałem swoją nominację, pociemku wyszukuję ją i — połykam!... No, teraz myślę, niczego mi nie dowiodą, i spokojnie zasypiam. Uważa pani: zasypiam najspokojniej w świecie... Brm!...

Pan kasjer otrząsnął się i znowu dolał araku.

— Tymczasem, — tu zniżył głos, — niech sobie pani wyobrazi, wstaję rano, chcę słudze dać pieniądze na bułki, otwieram portmonetkę i — w pierwszej przegrodzie, wie pani co znajduję?... Moją nominację!... O tę samą!...

Istotnie trzymał w ręku niebieski papier.

— Struchlałem, — prawił — pot mnie oblał. Boże, gdyby tak w nocy zrobili rewizję!... Ale czy wie pani, co połknąłem zamiast nieszczęśliwego dokumentu?...

Spoglądał kolejno na mamę i na mnie.

— Połknąłem... papierek trzyrublowy! Połknąłem ostatnie trzy ruble, które mi były bardzo potrzebne, a zostawiłem nominację, która mogła mnie zgubić!... Trzeba było tylko rewizji, nic więcej. Niebezpieczeństwo stało za oknem, otarło się o mnie... Przez pół godziny byłem nad grobem!...

Myślałem, że pan kasjer zemdleje z żalu nad swoim możliwym nieszczęściem, i nie wiem dlaczego żałowałem, że nie połknął swojej nominacji.

— Także zdarzenie! — odezwała się mama.

— Więc i pani mówi o tem tak spokojnie? — zdziwił się kasjer.

— Nic przecież nie stało się panu.

— Ale mogło... mogło się stać! — zawołał.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz potrząsnął głową. Następnie zaprowadził mamę do pieca i szepnął kilka wyrazów. Zdaje się, że mówił o połkniętych trzech rublach i że nawet w tym interesie wyszedł z mamą do drugiego pokoju na poufniejszą rozmowę.

W południe ukazał się pan Dobrzański. Mama wybiegła do niego.

— Słyszał pan.. dziś w nocy... — zapytała.

Kiwnął głową.

— Dużo wojska... dużo!... — mówiła matka. — Szli z trzech stron...

Nauczyciel uśmiechnął się...

— Wszystko dobrze!... — odpowiedział.

Wesołość jego wpłynęła na mamę.

— No, Antoś, a my siadajmy do roboty. Powiedz deklamację.

Zacząłem:

— W noc księżycową, na cecorskiem błoni,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski odważny i smutny.
Niebieskie oczy serce mu zraniły
I swą srogością...

W tej chwili w pokoju drgnęły szyby.

— “Niebieskie oczy — powtórzył nauczyciel — serce mu zraniły i swą srogością spokoju zbawiły.” Czemu nie kończysz?

Szyby drgnęły dwa razy raz po raz.

— Na co się gapisz? — spytał nauczyciel.

Widocznie nic nie zauważył.

— Ktoś chodzi po strychu — odparłem, zmieszany nie pytaniami nauczyciela, lecz tym odgłosem, jakiego jeszcze nie słyszałem.

— Chodzi po strychu? — powtórzył nauczyciel, podnosząc głowę.

Szyby znowu zadrżały.

— Nie, to nie na strychu, — rzekłem — to coś zrzucają...

— Co? gdzie?... Tobie się marzy?...

— Przecież okna drżą...

Nauczyciel zerwał się z krzesła przerażony.

— Co ty mówisz, dziecko? — zawołał, chwytając mnie za rękę. — Gdzie okna drżą?

— Drżą, panie...

— Ty kłamiesz...

— Nie, panie, ja słyszę...

Wziął mnie za drugą rękę.

— Przyznaj się, — mówił — nie umiesz deklamacji i straszysz starego nauczyciela... To szkaradnie!

Patrzałem zdumiony, myśląc, że stracił rozum. Cóż tak nadzwyczajnego, że trochę trzęsą się szyby?

W tej chwili weszła mama.

— Panie Dobrzański, — rzekła niespokojnie — jest coś złego...

Teraz ściany drgnęły, a szyby zadzwieczały.

Nauczyciel cofnął się.

— Bitwa — rzekł głucho.

I usiadł na mojem krześle, opierając ręce na kolanach.

Na podwórzu zrobił się hałas. Wybiegliśmy. Nasz parobek i dziewczyny rozmawiali z jakimś Żydkiem, który jechał biedą z za miasta. Pokazał batem w kierunku samotnej chaty, wołając:

— Tam! tam!...

I znowu popędził konika chudego i okrytego pianą.

— Tam tam!... — powtórzył parobek, pokazując las, na krawędzi horyzontu.

— Jezu! Jezu!... — lamentowała niańka.

Wymknąłem się po schodach na górkę i spojrzałem. Nic nie widać. Na skraju nieba kilka białych obłoków, niżej — błękitny las, wygon, po którym chodzą kaesztanowate i czarne krowy, nad olszyną bociany wracające do gniazda, i — nic więcej. Słońce świeci jak zwykle, dzień spokojny, czasem powieje ciepły wiatr od południa, a w powietrzu — cisza. Nawet ptaki nie świergoczą...

Ściany znowu drgnęły. Znowu cisza i znowu kilka drgnień. Wyjrzałem w stronę miasteczka. Z domów powychodzili ludzie, i stojąc przed sieniami, słuchali.

— Więc to jest bitwa? — pomyślałem.
— Phy! i jabym tak potrafił.

Nie schodziłem jednak, licząc na to, że może pan Dobrzański zapomni o mnie, i u-

piecze mi się lekcja. Ale nadspodziewanie nauczyciel zawołał mnie na dół.

— No, — rzekł, usiłując zapanować nad sobą — każdy robi, co do niego należy. A my wróćmy do naszego.

Siadł, kazał mi znowu zacząć deklamację, ale zmienił zamiar i zaczął liniować kajet. Chciał wypisać pierwszy wiersz, ale nie mógł utrzymać pióra w ręku, więc zadał mi przepisywanie z książki.

Gdym wziął się do roboty, on zaczął chodzić po pokoju. Co chwila zbliżał się do okna i słuchał, a czasami mruczał:

— To aryergarda... Wymknęli się. Nawet już nic nie słychać...

— Prawda, że nic nie słychać? — zapytał mnie.

Pomyślałem, że nauczyciel jest głuchy. Nietylko bowiem drżenia okien powtarzały się co chwila, ale w dodatku towarzyszył im jakiś odgłos wyraniejszy, jakby gdzieś bardzo daleko zrzucano belki z wozu.

Nareszcie odgłosy stały się już tak mocne, że i pan Dobrzański usłyszał je. Wzjął kij i czapkę i rzekł do mnie:

— Nie będzie lekcji, możesz pochować książki.

Na podwórzu stała mama, pan pocztmajster i kasjer. Pocztmajster trzymał w ręku długą lunetę, a kasjer zdawał się być bardzo kontent.

— Teraz mogą wszyscy przekonać się, — mówił kasjer, niespokojnie drepcząc na miejscu — że mam diabelnie zimną krew. Nic a nic mnie to nie obchodzi. Ja taki zawsze w niebezpieczeństwach...

— Panu chyba nie grozi żadne — odparła mama chłodno.

— Kto wie? ... Nam wszystkim może grozić... Przy ostatnich wyrazach zakrztusił się i umilkł.

— Stąd nic nie widać—mówił pan pocztmajster, przykładając do oka lunetę. — Muszę wejść na górkę...

— Ja pana zaprowadzę! — zawołałem.

Weszliśmy tam i pan pocztmajster spojrział przez lunetę. Lecz wnet odjął ją, wytarł chustką szkła z obu stron i znowu patrzył.

— Widzi pan co? — spytałem zaciekawiony.

— Widzę... Pszenicę... Las, a za lasem... Nic — i stąd nic nie widać.

— Z dzwonnicy pewnieby pan zobaczył.

— Masz rację, kochanku!—wykrzyknął pan pocztmajster. — Z dzwonnicy... wyborna myśl!...

I zbiegł ze schodów.

Na dole mówił kasjer do mamy:

— Słowo pani daję, mam tak swobodną myśl, że mógłbym tańczyć. Mnie to nawet zajmuje, a nawet powiedziałbym, że trochę bawi. Dziś dopiero przekonałem się, że niebezpieczeństwo — to mój żywioł... Bum! bum!... cóż to za muzyka!...

W tej chwili wbiegła na podwórze pani pocztmajstrowa.

— Ach, co za nieszczęście! — mówiła do mamy, całując ją dwukrotnie. — Straszny dzień!... Ja i prezydentowa pakujemy rzeczy, a majorowa kazała nakryć się poduszkami. Słyszysz pani wystrzały?... Umarłabym, gdyby do nas wpadła kula!...

— Ale gdzie mój mąż? — spytała nagle.

— Czy pani da wiare, że chciał tam podjechać i przypatrywać się?... On nie ma serca. Musiałam aż zakląć go na nasze szczęście małżeńskie, a nawet powiedziałam, że pojedzie, ale — po moim trupie... Więc został, ale cóż z tego? Wziął lunetę i patrzył!... Umarłabym, gdybym spojrzała w lunetę... Co za huk!... Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że w tej chwili giną ludzie... Jakie nieszczęście, że to tak daleko...

— Giną ludzie?... — powtórzyłem, i mróz mnie przeszedł.

Dotychczas nie pomyślałem nawet, że te, stłumione odgłosy mogą oznaczać śmierć.

Raz widziałem topielca. Był to chłopiec, mało co większy ode mnie, a jednak przez kilka dni obraz jego zasłaniał mi cały świat. W tej chwili przypomniałem go sobie. I zdawało mi się, że widzę dwu, trzech... dziesięciu, stu takich chłopców, w rozpiętych koszulach, w wypłowiałych sukmanach, z nabrzmiałymi twarzami.

Powietrze napełniły nowe odgłosy. Dał się słyszeć nieustanny szmer, jakby groch sypano na blachę, i niekiedy rozlegały się urywane, gniewne, jakby szczekanie olbrzymich psów: hau!... hau!... hau!... Przed oczyma coraz częściej przesuwwały mi się obrazy martwych chłopców. Więc ukląknę przy oknie i pełen smutku zacząłem mówić pacierz.

Na podwórzu znowu usłyszałem rozmowę. Był to pan burmistrz, pan Dobrzański i mama.

— Fatalny dzień — mówił pan burmistrz — ale jakoś nie upadamy na duchu.

— Wolałabym go nie doczekać — odpowiedziała mama. — Chodzę jak błędna, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Zdaje mi się, że kilka tych godzin to całe lata, i że nigdy się nie skończą.

— Tak i mnie — mruknął nauczyciel. — Zestarzał się człowiek, skoro słysząc armaty trwoży się, jak baba... Tfy!...

— Dziwna rzecz — odezwał się burmistrz, nadstawiając ucha: — bitwa zbliża się...

— To źle! — rzekł nauczyciel.

Przybiegł kasjer, wołając:

— No, ja panie prezydencie wyjeżdżam z paniami... Tu może być awantura... — Pocztmajster mówi, że zbliżają się...

To pan jedź — odparł gniewnie burmistrz; — ja nie ruszę się z miasta...

— Ależ pan musi jechać z nami... Jedzie pani, panny...

— Żona i dzieci zostaną ze mną. Nie po to jestem burmistrzem, żebym w takiej chwili uciekał.

— Panie prezydencie...

— Nie zawracaj mi pan głowy! Panu wolno dbać o swoją skórę, boś wielki człowiek, ale ja...

Wyjrzałem. Pan burmistrz był czerwony i wywijał pięściami, aż mu czapka zsunęła się na bakier. Za to pan kasjer był bardzo mizerny, i zdawało mi się, że ma nogi cieńsze, niż zwykle.

Odgłosy wciąż zbliżały się, ale już byłem z niemi oswojony. Ogarnęło mnie uczucie, że trwają od początku świata i że tak być powinno. Około drugiej uczułem głód; a że dziś obiadu nie gotowano, więc niańka

osoliła trochę gorącej wody, wrzuciła w nią masła i nadrobiła chleba. Jedząc taką zupę, myślałem, że jest to dzień gorszy od wielkiego piątku, bo wtedy na obiad dają choć grzane piwo i śledzie z kartoflami, nie wodziankę.

Podniosłem do ust łyżkę, kiedy nagle zatrzęsł się dom od huku bez porównania gwałtowniejszego, niż dotychczas; zdawało się, że występują jakieś nowe potęgi. Aż pochyliłem się na stół, a przerażona niańka, krzyząc, zaczęła biegać po pokoju. Byłem pewny, że już za naszym ogrodem rozlegają się te częste i ogromne wystrzały.

Niańka zupełnie straciła przytomność. Wydobyła z komody kilka srebrnych łyżek i zawinęła je w fartuch, a potem mnie zaczęła ciągnąć za rękę, wołając:

— Chodź do lochu, bo tu śmierć!... Zabijają ciebie i mnie... — zabijają wszystkich... słyszysz!...

Wyrwałem się jej, a starowina wybiegła z pokoju, modląc się głośno.

Łoskot był tak straszny, jak gdyby waliło się miasto. Gorąco uderzyło mi do głowy, a potem uczułem spokój, jakbym skamieniał. Bez obawy spojrzałem w kierunku łąk i nie zobaczyłem nic.

W tej chwili przybiegła do nas zapłakana pani Stachurska, z krzykiem dopytując się o mamę:

— Niechno pani pójdzie na miasto! — wołała. — Wszyscy powariowali... wszyscy, przez nich zginiemy!...

Chciałem i ja iść, ale mama kazała mi zostać w domu, a sama wyszła ku rynkowi.

W domu nie było nikogo. Parobek z najmłodszą dziewczką wleźli na stodołę, aby pa-

trzeć, a kucharka z niańką ukryły się w lodowni.

— Bywaj!... Pali się!... — krzyczano na ulicy.

Nie pamiętam, jak i kiedy znalazłem się znowu na górze. Od strony lasu szeroką falą płynęło ku nam gęste trzaskanie, co chwila przerywane wielkimi łoskotami. Zdawało się, że przy najpogodniejszym dniu biją pioruny. Padł jeden, potem dwa, znowu jeden — trzy — pauza — i znowu dwa...

Z po za lasu wznosił się słup dymu. Stał wysoko nad drzewami i począł rozciągać się na prawo i na lewo, podobny do grzyba na czarnej nodze, w rudym kapeluszu. Z ugoru pędem uciekało bydło; na niektórych podwórzach psy zaczęły wyć i szczekać. Od kościoła rozległ się głos dzwonu, przyśpieszony, urywany, jak na pożar, kiedy serce uderza tylko w jedną krawędź. Dzwonił kilka chwil bez przerwy, nagle ustał, i jeszcze odezwał się parę razy jak gdyby ktoś przeszkadzał dzwonnikowi i gwałtem odrywał go od sznura.

Spojrzałem ku miastu. Na wiele dachach siedzieli ludzie, z domów wynoszono pościel i skrzynie. Na rynku Żydzi skupili się około Magistratu, garstka kobiet klęczała przed figurą św. Jana, a na środku widać było dziwną scenę.

Tłum mieszczan, między nimi pan Stachurski szewc i pan Włodziński wędliniarz, spierali się o coś z panem burmistrzem, panem Dobrzańskim i moją mamą. Widocznie chcieli iść ku gościńcowi, ale tam proboszcz zastąpił im drogę. Kilku siadło na wóz, który ruszył; ale pan Dobrzański uwiesił się na

lejcach i tak skręcił konie, że wóz wywrócił się.

Wtedy piesza gromada posunęła się naprzód. Gwałtem odepchnęli proboszcza, obalili burmistrza i wołając, poczęli biedz gościńcem. Ich krzyk mieszał się z łoskotem i trzaskiem od strony lasu, tworząc jedną burzę, od której zaczęły pękać szyby w oknach.

Nagle przeciągły łoskot ustał. Po chwili jeszcze kilka razy odezwał się huk bliżej i dalej, a potem — cisza, — jak gdyby świat oniemiał...

Gromada biegnących mieszczan stanęła, przysłuchując się. W tem z jednego dachu ktoś krzyknął, nie wiem nawet co, i — cały tłum, przed chwilą tak niepohamowany, począł teraz uciekać. W kilka minut nie było już nikogo, ani w rynku, ani na ulicy, ani na dachach.

Nad wieczorem część nieba zaciągnęła się chmurami i spadł rześisty deszcz. Ponieważ w kilku oknach brakowało szyb, więc mama kazała zamknąć okiennice. Czeladź, zebrawszy się w kuchni, opowiadała o ubiegłych wypadkach, a my z mamą siedzieliśmy na kanapie, w ciemnym pokoju, do którego przez otwory okiennic wpadało purpurowe światło zachodzącego słońca.

Oboje milczeliśmy. Mama była znużoną, przymknąwszy oczy, oparła głowę na krawędzi kanapy; ja wpadłem w jakieś odrętwienie. Przysłuchując się obecnej ciszy, na próżno usiłowałem ożywić sobie w pamięci to, com widział i słyszał tak niedawno.

Chwilami myślałem, że wszystko było przywidzeniem. I znowu zdawało mi się, że czerwone smugi na ścianach to odbłask krwi.

Na ulicy rozległ się tętent i szcęk, jakby kilku konnych przeleciało galopem w stronę miasta. Podniosłem głowę i... znowu usłyszałem ten sam co w nocy szelest ludzkich nóg, ciężko toczące się wozy i uderzania niezliczonych kopyt końskich. Nad tem wszystkim górował szmer głosów, jakby rozmawiały tysiące; czasami zerwał się śmiech, albo gniewny okrzyk.

Huczająca fala stopniowo zbliżała się do miasta. Już dosięga opłotków już mija stodoły, już jest przy naszym domu. W tem, rozległ się donośny głos komendy, wielokrotnie powtórzony przez jakieś echa, i — szmer ucichł... I oto dom znowu zatrząsł się od posad do strychu. Zagwizdały piszczałki, zawarczały bębny, i z tysiąca piersi wybuchła pieśń. Można było pomyśleć, że nieznane siły przyrody, stargawszy wężziła, rwą się i pędzą w szalonych skokach; to znowu, że biadają wszystkie jesienne wichry, albo że z nieba runęła na ziemię burza i toczy się zapieniona i potężna.

Czasami chór milknął, a wtedy słyszeć było ostry głos, zawodzący dyszkantem, i niecierpliwe tętnienie bębna. Wnet zrywał się nowy huragan, walił we drzwi i okna domów, natrząsał się z bólów ludzkich, kopał ziemię i rozbijał o niebo. Zdawało mi się w krwawym zmroku, jaki napełniał pokój, że zawieszane na ścianach drżą święte obrazy i patrzą na mnie zdziwionemi oczyma.

Nie mogłem wytrzymać tych spojrzeń, ani tamtych głosów. Przypadłem do kolan matki, głowę owinałem jej fartuchem, zatkałem uszy i, sam nie wiem dlaczego, zapłakałem z głębi serca, łzami gorzkiemi jak piołun.

Późno wieczorem przyszedł do nas pan Dobrzański. Wyglądał bardzo źle, może przy skąpym blasku łojowej świecy. W ciągu kilku godzin schudła mu twarz, włosy najeżyły się. Z początku milczał, zwiesiwszy głowę na piersi; spostrzegł jednak, że mama jest niezwykle smutna, i zaczął opowiadać nowiny głosem apatycznym i ochrypłym.

Dowiedzieliśmy się, że wojsko od godziny wyszło z miasta, że pani majorowa jest chora, a pan pocztmajster, który przez swoją lunetę, nic nie widział z dzwonnicy, pokłócił się z żoną o to, że nie pozwoliła mu wyjechać i na miejscu przypatrywać się bitwie.

Osobliwe też były dzieje pana kasjera. Pod koniec bitwy, stracił on wszelką przytomność i chciał przebrać się albo za Żyda, albo za kobietę. Gdy zaś pan Stachurski z panem Władzińskim zaczęli dzwonić na trwogę, co przerwał im ksiądz proboszcz z organistą, pan kasjer schował się w magistracie do piwnicy. Dopiero, gdy wszystko ucichło, wyszedł z ukrycia, twierdząc z najlepszą miną, że on tylko na żarty udawał przestraszonego.

Lecz i tym razem niedługo trwał jego dobry humor. Któryś z mieszczan dał znać, że idzie wojsko, a pan kasjer tak się zmieszał, że uciekł z miasta, i niema go do tej pory.

— Gdzie on może być?—spytała mama.

— Widzieli go, że biegł w tę stronę, za ogród pani. Zapewne siedzi w parowie i prześpi w nim całą noc.

— To chory człowiek — rzekła mama, wzruszając ramionami.

Nauczyciel kiwnął ręką.

— To jest osieł i strachopłoch, który chce udawać bohatera. Z obawy przed jedną stroną wyzebrał sobie jakąś nominację, a ta znowu spać mu nie daje. Wyobraża sobie, że jest znakomitością i że tylko jego ścigają; więc chowa się po piwnicach i jarach. Słaba głowa, słabe serce i pycha, to najniebezpieczniejszy rodzaj ludzi — dodał nauczyciel, jakby do siebie.

Ostatnie wyrazy ukłuły mnie. Zdawało mi się, że słyszę w nich groźbę nowych nieszczęść, gorszych aniżeli wszystko, com widział dotychczas.

Było już późno, i pan Dobrzański parę razy chciał pożegnać się z nami. Ale mama zatrzymywała go.

— Zostań pan jeszcze chwilę — mówiła. — W dzień ukrzepiłam się jako tako, ale teraz jestem tak rozstrojona, że wszystko mnie przeraża. Posiedź pan...

I nauczyciel siedział.

Zegar wykukał jedenastą i świeca już się dopalała, kiedy usłyszeliśmy na ganku czyjeś kroki.

— Pewnie kasjer wraca ze spaceru — mruknął pan Dobrzański.

Otworzyły się drzwi i ukazał się — człowiek z pustej chaty.

— Niech będzie pochwalony — rzekł.

Nikt mu nie odpowiedział. Jego przyjście do nas po takim dniu i o takiej porze było czemś nadzwyczajnem.

On długą chwilę patrzył w twarz panu Dobrzańskiemu, który spuścił oczy. Następnie zwrócił się do mamy:

— Przyprowadziłem pani gościa — rzekł łagodnym tonem.

Myślałem, że chyba mój ojciec wstał z grobu i przyszedł z tym człowiekiem-upiorem. Mama chciała coś odpowiedzieć, ale tylko otworzyła usta i patrzała zdumiona.

W ciemnej sieni ktoś stał.

— Gość jest trochę... niezdrów, ale to nic wielkiego — mówił siwy człowiek. — Jest raniony, ale...

— Władek!... — krzyknęła mama, z rozkrzyżowanymi rękami rzucając się do sieni.

— Ja, mammo!... — odpowiedział mój brat.

Gdy wszedł do pokoju, zobaczyłem, że ma głowę i lewą rękę owiniętą w szmaty.

Mama chciała go porwać w objęcia, ale nagle padła na kolana i objęła go za nogi.

— Moje dziecko!... moja dziecina!... — szeptała. — Ty żyjesz?... tyś ranny... O! com ja tu wycierpiała, tęskniąc po tobie... Ty żyjesz!... Teraz już nie puszcę cię z domu, niech się dzieje co chce... Nie cierpię wojny, nienawidzę!... dzisiejszy dzień zabrał mi całe życie.

— Co mama robi?... — mówił brat, na próżno usiłując jedną ręką podnieść ją z ziemi.

Siwy człowiek dotknął ramienia mamy.

— Niech mu pani pozwoli odpocząć — rzekł. — On jest zmęczony.

Mama wyprostowała się, jak sprężyna.

— Prawda, on zmęczony...

Ale znowu pochwyciła zdrową rękę brata i zaczęła ją całować.

— Mammo!... mammo!... — mówił brat, cofając się.

Ale było widać, że nie ma sił.

Wtedy stary człowiek delikatnie odsunął mamę, wziął brata wpół i zaprowadził go na kanapę.

— Niech mu pani da kielich wódki, — rzekł do mamy — bo on tego potrzebuje, a w mojej chacie nie było...

Pan Dobrzański pobiegł do szafy, nalał wódki i podał bratu.

Władek wypił duszkiem.

— Już mi dobrze!... — powiedział. — Już o mnie nie myślcie... Jestem lekarzem i znam się na takich skaleczeniach. Za miesiąc będę zdrów...

— Ale już nie pójdziesz nigdzie!... — zawołała mama.

— Naturalnie — odparł ze słabym uśmiechem, spoglądając na swoją rękę. — Mam, — dodał po chwili, wskazując siwego człowieka — podziękuj mu. Kiedym niedawno jarów upadł ścigany, on mnie podniósł, zaprowadził do swojej chaty i — nie rozumiem nawet jakim sposobem — ocalił. Naraził się na oczywistą śmierć, bo żołnierze stali pode drzwiami i wołali: "On tu musi być!" Chyba cud zrobił, że odeszli...

Wszyscy zwróciliśmy oczy na siwego człowieka, a on odparł:

— Cud nie był trudny. Powiedziałem oficerowi: "Do mnie knit nie przyjdzie ukryć się, bo mnie nazywają szpiegiem..." Oficer mruknął "łajdak!" — i natychmiast cofnął żołnierzy. Bał się widać, aby który z nich nie dotknął mego progu... Taki cud zrobiłem — dodał, potrząsając głową.

— Bóg policzy ci to za dawne winy — głucho odezwał się nauczyciel.

Starzec nagle wyprostował się.

— Winy?... — spytał, bystro patrząc na pana Dobrzańskiego. — Od piętnastu lat dźwigam ciężar jakiejś winy, ale dopiero ty, dawny kamracie, powiesz mi: com ja komu zawinił? Służyliśmy razem, pamiętasz? Odznaczyliśmy się jednakowo... A kiedy wyszliśmy z kraju, cierpiałem nędzę gorszą, niż dziesięciu takich, jak ty... Powiedźże teraz: na jakiej zasadzie — ty — robisz się moim spowiednikiem i obiecujesz mi odpuszczenie win?... Jakich?... Nazwij człowieka z pomiędzy żywych czy umarłych, któryby jedną łzę uрониł z mego powodu?... Nie zważaj na tych świadków — dodał, wskazując matkę i brata. — Owszem, niech dowiedzą się, co myśleć o mnie...

Nauczyciel wystąpił krok naprzód.

— Prawda, — odparł — służyliśmy razem. Byłeś waleczny i zdolny. Ale na emigracji szatan cię opętał...

— No, i cóż zrobił ze mną ten szatan?

— Siałeś niezgodę... osłabiałeś ducha...

— A tak! — wetschnął starzec. — Ja osłabiałem, ale za to wy umacnialiście go. Zaręczaliście, że pomogą Francuzi; ja twierdziłem, że nie pomogą. Czy pomogli?... Wierzyliście w ruch piętnastu milionów chłopów, a ja nie wierzyłem. Gdzież dzisiaj są te miliony?... Dowodziliście, że rękami weźmiecie karabiny, a karabinami armaty, a ja was przekonywałem, że sto karabinów znaczy więcej, niżeli tysiąc gołych rąk. Zakrzyczeliście mnie. A teraz — masz odpowiedź!...

I wskazał krwawe piętna chustki, którą brat miał związane czoło.

Nauczyciel spuścił głowę. Matka przytulona do brata drżała, a mnie zdawało się, że

między dwoma starcami odbywa się jakiś wielki sąd.

— I to nazywa się zdradą! — mówił gość z uśmiechem. — Wypowiadać swoje przekonania jest obowiązkiem obywatelskim, i dopiero wy zrobiliście z tego występki. Powiesz, że niezgadanie się z wolą ogółu psuje karność publiczną; ale czy to wy byliście ogółem? Byliście partją i ja partją, a przecież ja was nie nazywałem zdrajcami.

— Różnica zdań to bagatela, — mruknął nauczyciel. — Chociaż zniechęciła ona do ciebie ludzkie serca.

— Bagatela? — powtórzył gość. — A jednak na tej zasadzie odsunęliście się ode mnie na emigracji, a gdym wrócił do kraju — nazwaliście szpiegiem...

— Nie na tej...

Stary człowiek cofnął się, i zaciskając pięści, wykrzyknął:

— Nie na tej? Więc na jakiej? Jak ty śmiesz teraz jeszcze kopać mnie—nędzarza, którego już zabiliście moralnie?... Wszakże ja ciebie rannego z placu uniosłem... W Paryżu dzieliłem się z tobą chlebem. I tak mi płacisz?...

— Prawda, — rzekł nauczyciel — wspierałeś nas, nawet, hojnie... Ale... skąd miałeś pieniądze?... — dodał prawie szeptem.

Gość nagle ochłonął z uniesienia. Uderzył się w czoło, jakby coś przypominając sobie.

— Żołdu nie brałeś — mówił nauczyciel.

— Mieszkałem zdaleka od wszystkich i nikogo nie przyjmowałem. Czy tak?... — pochwycił stary człowiek, z szyderczym uśmiechem.

— Tak, wystrzegałeś się nas. Ale pomimo to... wiadano, że masz parę mieszkań że w domu nie nocujesz, że nawet przebierasz się za wyrobnika.

Starzec śmiał się gorzko.

— Więc śledziliście mnie?... Nie wiedziałem!... I żaden mnie nie ostrzegł, żaden nie spytał co robię?... nawet ci, którzy korzystali z podejrzanym pieniędzy...

— Wiesz, że przestaliśmy z nich korzystać.

— Wiem. I zaraz awansowaliście mnie na zdrajcę!

Zbliżył się do nauczyciela i poklepał go po ramieniu.

— Ale czy wiesz, skąd ja, nie biorąc waszego żołdu, miałem jednak pieniądze?... Pracowałem, panie Dobrzański, pracowałem ciężko, po nocach... Umiejąc tylko musztrę, aby nie umrzeć z głodu, zostałem — gałganiarzem.

Nauczyciel patrzył na niego z oznakami przerażenia.

— No, i musiałem kryć się przed wami — mówił starzec. — Bo cóżbyście powiedzieli dowiedziawszy się, że wasz kolega i kapitan nocami przetrząsa śmietniki... Nie wierzysz? Wstąp kiedy do mojej chaty, to pokażę ci pamiątki z Paryża: bilety roczne na prawo zbierania gałganów. Mam nawet dowód, że raz znalazłem kolczyk brylantowy, za który dano mi tysiąc franków. Może i teraz powiesz, — sztydził starzec — że słusznie nazywany zdrajcą, bom poniżył rangę? Naturalnie, podniósłbym ją, biorąc żołd i głosując z wami razem za wojnę!...

— Straszna omyłka! — szepnął mój brat.

Nauczyciel był bardzo zmieniony...

— Oburzały mnie twoje zdania, — rzekł — ale... nie ja rozpuszczałem wieści o tobie, przysięgam na Boga!... — dodał, uderzając się w piersi. — Owszem, broniłem cię wobec innych...

Władek wyciągnął rękę do starca.

— Panie, — rzekł, dławiąc się wyrazami — swoją drogą zrobię wszystko, aby ci powetować krzywdę. Ludzie dowiedzą się, że cierpiełeś niesłusznie.

Stary człowiek smutnie pokiwał głową.

— Nie zapomną mi inni nawet ty sam, że jak mówi Dobrzański, osłabiałem ducha... Miałem czas zastanowić się nad mojem położeniem. Rozsądek, przepowiadający klęskę, jest, jak puszczek na cmentarzu, który woła: "Nie wstaniesz!..." Taki głos jest zawsze nienawistny. A im dokładniej spełni się przepowiednia, tem większa niechęć do proroka... Dlatego — dodał po chwili — już nie spodziewam się ludzkiej życzliwości. Przystaną mnie nazywać zdrajcą, a zaczną wołać: "Patrzcie, to ten zły wieszczek, który widział niebezpieczeństwo i nie zaradził!" Świat nie pyta, cośmy mówili? — ale: czyśmy zapobiegli nieszczęściu? Tego już nie umiałem zrobić.

Umilkł, a my odetchnęliśmy, bo każde jego słowo padała nam na duszę, jak kamień.

Nagle pan Dobrzański zbliżył się do staroego człowieka. Objął go rękami za szyję i ze łkaniem oparł głowę na jego piersi. Mama całowała brata, szepcząc: "Moje dziecko!... moje dziecko!..." a ja — już nic więcej nie widziałem, bo oczy zasły mi łzami.

Po chwili odezwał się starzec:

— Czas do domu. Bądźcie zdrowi!

— Chodź do mnie — prosił, ściskając go za rękę, pan Dobrzański.

Starzec uśmiechnął się.

— Oto zrobiłbym ci przysługę!... Jeszcze zaczęliby o tobie mówić to samo, co o mnie... Bądźcie zdrowi — dodał, podając rękę bratu.

— Panie, — rzekła mama — panie... niech cię Bóg błogosławi... Odwiedzaj nas i pamiętaj, żeś znalazł wiernych przyjaciół... Czegokolwiek będziesz potrzebował, odwołaj się do nas. Rano i w wieczów modlić się będziemy za ciebie...

Uklonił się nisko i odpowiedział ode drzwi:

— Jeżeli pozyskałem waszą łaskę, proście Boga, ażeby mi — śmierć zesłał. Oto, czego żądam.

I zwolna wyszedł z pokoju.

Teraz wszyscy zajęli się Władkiem. Niania sprowadziła felczera, który opatrzył mu rany, a do saloniku wniesiono łóżko i kanapkę dla nauczyciela, ten bowiem oświadczył, że będzie pilnował ранnego, dopóki sił nie odzyska.

Noc zeszła niespokojnie. Władek niewiele spał, nauczyciel wcale się nie rozbierał, ja miałem trochę gorączki, a mama po kolei zaglądała to do mnie, to do brata. Dopiero po wschodzie słońca zmorzył nas sen, tak, że wstaliśmy około dziesiątej.

Brat nie miał się źle ale dokuczały mu świeże rany, i mówił, że jest rozbity ze znużenia. Istotnie, z trudnością poprawiał się na łóżku, sykając niekiedy z bólu.

Mama ukradkiem ocierała oczy; pomimo to, dawno nie była tak rzeźwą, jak dzisiaj. Wszystko ją interesowało, zaglądała do każdego kąta, nawet głos jej odzyskał siłę i dźwięczność.

Dzień był pochmurny i zimny. Na polach rozścielała się mgła; co godzina padał deszcz, drobny jak rosa; powietrze było surowe. Zdawało się, że to nie maj, lecz październik.

W sieni usłyszałem wycieranie nóg i głos pana kasjera. Po chwili weszła do saloniku mama.

— Kasjer — szepnęła do brata—chce cię przywitać. Czy można?

— Ale bardzo proszę — odparł Władek. — Nawykłem do liczного towarzystwa i po prostu boję się tego, że dziś widzę tylko parę osób.

— Nie zmęczy cię?

— Przeciwnie, rozweseli...

— Gdy zacznie kłamać — mruknął nauczyciel.

Wszedł pan kasjer z zadartą głową i taką miną, jak gdyby czegoś wielkiego dokażał. Zbliżył się do Władka, i mocno targnąwszy go za rękę, rzekł uroczyście te wyrazy:

— Czołem bohaterowi!

Brat mój, który miał wstręt do pozowania, skrzywił się na taki komplement. Spostrzegła to mama i szybko zwróciła się do kasjera z pytaniem:

— Gdzież to pan był dziś w nocy?

— Pamiętna noc, — westchnął kasjer, rozwalając się w fotelu. — Nie zapomnę jej, choćbym żył milion lat.

Pan Dobrzański wydał głos, środkujący między śmiechem a kaszlaniem. Kasjer spojrzał na niego z pod oka i w znaczący sposób ruszył brwiami.

— Cóż to było? — pochwyciła mama.

— Opowiem państwu, bo to, co mi się trafiło, wygląda na wyjątek z historfji Rinaldiniego. Nadzwyczajne wypadki — i tragiczne... Bardzo tragiczne!...

Poprawił się na fotelu, odchrząknął i mówił:

— Otóż, przekonałem się na swoje własne oczy, że nasz pustelnik, ten z za olszyny, jest rzeczywistym szpiegiem... I to bardzo niebezpiecznym...

Pan Dobrzański podniósł się z krzesła, ale Władek mrugnął na niego.

— Z ukrycia — ciągnął kasjer — widziałem, jak do jego chaty wstępował oficer z kilku żołnierzami i długo z nim rozmawiał. Ale to nic. Widziałem go bowiem drugi raz, jak dobrze po północy, wracał z miasta. Byłem pewny, że znowu chodził porozumiewać się z wojskiem...

— Wojska już nie było — wtrącił gniewnie nauczyciel.

Lecz mama spojrzała, i umilkł.

— Nie jestem obowiązany wiedzieć o tem, czy wojsko było, lub nie—odparł kasjer rozdrażnionym tonem. — Dla mnie wystarcza, żem widział szpiega, który idzie tam, gdzie spodziewa się znaleźć wojsko.

Brat niespokojnie poprawił się na łóżku i słuchał.

— Com przeżył w tych jarach przez całą noc, trudno opisać — mówił kasjer. — Do-

syć, gdy powiem, że za każdym krzakiem widziałem co najmniej dwu nieboszczyków...

— To nerwowe—odezwał się brat, przygryzając usta.

— To jeszcze nic. Widma były, znikły i basta. Ale nad ranem zdarzyła się gorsza rzecz: toczyło mnie kilkunastu zbrojnych... — “Kto panowiecie jesteście?” — pytam. — “Ty widzisz kim jesteśmy — odpowiedział jeden; — ale kto ty jesteś i co tu robisz?...” Naturalnie, powiedziałem, że ukrywam się i pokazałem moją nominację... Co za szczęście, że jej nie połknął! — dodał, patrząc na mamę.

— Ubyłby pomocnik pomocnika naczelnika parafii — mruknął pan Dobrzański.

Jednocześnie zamknął oko i skrzywił się w sposób mało poważny.

Kasjer odwrócił się od niego razem z fotelem.

— Pokazałem moją nominację, — powtórzył — no, i zaczęliśmy gawędę. — “Przeegraliśmy na łeb na szyję!” — mówił jeden ze zbrojnych. — “Jakże nie mieliście przegrać, — odpowiedziałem — jeżeli tu pod miastem siedzi szpieg.” — I powtórzyłem wszystko, com widział i słyszał. Byli rozwścieczeni.

Brat z oznakami wzruszenia usiadł na pościeli. Pan Dobrzański wstał z krzesła i słuchał z szeroko otwartymi oczyma.

— No i cóż?... — spytał Władek.

— A no i cóż... — roześmiał się pan kasjer. — Powiesili...

— Co? — krzyknął nauczyciel.

— Powiesili starego szpiega...

— Jezus Marja!... — jęknęła mama, i schwyciwszy się oburącz za głowę, wybiegła z saloniku.

— Człowieku! — zawołał mój brat — ależ ten starzec nie winny!...

Kasjer zbladł.

— Miałbym się omylić?... — szepnął kasjer. — Ale dlaczegoż on o tem nie powiedział? Dlaczego nic nie chciał mówić?... Dlaczego wreszcie pan Dobrzański, który go podobno znał, nigdy go nie bronił?...

Nauczyciel chrząknął, jakby pchnięty nożem, a w oczach błysnął mu niedobry płomień. Przyskoczył do kasjera i podniósł rękę, chcąc go uderzyć, ale zastanowił się i schwycił go za kołnierz.

— Podły!... — mówił, strasznie patrząc na niego. — Podły!... bij się ze mną, albo... nogami cię zdepczę!...

— Dobrze! — odparł zuchwale kasjer, z wielką siłą wydzierając mu się z rąk. — Dobrze!... będę się z panem bił za takie zniewagi!...

— Tu... w olszynie będziesz się bił... — mruczał nauczyciel i przypadł do brata.

— Władku — zawołał — wstawaj!... Zbierz na kilka minut siły i wyjdź z nami.

Nagle odwrócił się — kasjera nie było w pokoju.

— O, nie uciekniesz! — roześmiał się.

Pochwycił kij i czapkę i wyszedł na ulicę tak silnym krokiem, jak gdyby mu ze trzydzieści lat ubyło.

— Gdzie mama, Antku? — spytał brat. — Idź za mamą... Idź zaraz... — dodał niespokojnie.

Na podwórzu nie było mamy, ale powiedziano mi, że poszła do ogrodu. W ogrodzie także jej nie było, lecz gdy zbiegłem na dół, zobaczyłem, że przez łąkę idzie w stronę jaru. Dopędziłem ją.

— Dobrze, że tu jesteś — rzekła matka, dysząc ze zmęczenia.

Mocno ujęła mnie za rękę, i tak szliśmy oboje w kierunku pustej chaty.

Deszcz padał, mgła zgęstniała jeszcze bardziej. Przy pochmurnym dniu ledwie mogłem rozpoznać wąwozy i krzaki, między którymi niegdyś wymykałem się do pustelni nieszczęśliwego starca. Serce ścisnęło mi się kiedym przypomniał sobie, te słoneczne dni, te roje ptaków i siebie samego, jak z ręką na pałaszu podkradałem się — o, tu...

Usłyszeliśmy szmer znajomego mi potoku, i nagle zatrzymaliśmy się oboje. Ktoś prędko szedł ku nam. Kamyki staczały się ze wzgórza, a tuż za niemi ukazał się ów chłopiec, który służył u starca i odprowadził go wtedy, w czasie zawiei.

Chłopak był ubrany w połataną koszulę i podarte majtki. Nie miał ani butów, ani czapki. Poznał nas zdaleka i wołał:

— To pani idzie?... Pani!...

— Gdzie twój pan? — zapytała mama.

Chłop pokazał ręką wysychające drzewo.

— Oho! — odparł, zacinając się: — poszedł stary... poszedł na dyndus!...

I obtarł czerwone oczy wielkimi, brudnymi pięściami.

— Widzi pani ten stryk?... — dodał, wskazując kawałek powroza, zwieszający się z gałęzi.

Matka ze zgrozą odwróciła oczy i usiadła na kamieniu. Odpocząwszy długą chwilę, spytała:

— Gdzież jest?...

— Stary? — rzekł chłopak. — Stary leży w izbie. Zdjąłem go ładnie, zaniósłem jak się patrzy...

— Dosyć!... — przerwała matka, i poczęła z trudnością wstępować na wzgórze.

Od tej pory, kiedym ją zbliska widział, chata skurczyła się jeszcze bardziej i zapadła w ziemię. Słomiany daszek zgnił, drzwi oberwane trzymały się tylko jednej zawiasy, ściany były pełne szpar.

Mama zatrzymała się u progu. Na twarzy jej ukazał się wyraz takiego żalu i trwogi, że byłem pewny, iż ucieknie, nie zajrzawszy do wnętrza chaty. Wnet jednak przemogła się i weszliśmy.

Na klepisku w sionce połyskiwała kałuża ciemnej wody. Chłopiec stanął przy drzwiach na lewo i otworzył je z ciężkim zgrzytem.

Przy skąpem świetle, które zaglądało tu przez kilka szybek, zobaczyłem nędzną izdebkę z wałącym się piecem. Był w niej pień, ława, stół ze zmurszałych desek i na pozór — nic więcej.

Chłop, milcząc, wskazał ręką w kąt, gdzie na ziemi leżał jakiś długi, szary przedmiot.

Mama uklękła, i zasłoniwszy oczy, zaczęła szeptać pacierz.

Stopniowo mój wzrok oswoił się z brakiem światła w izbie. Wtedy zobaczyłem, że pod ścianą leży człowiek, zakryty czarną płachtą. Twarde jej fałdy ułożyły się w taki sposób, że można było poznać głowę mocno

zgiętą na piersi i trochę wzniesiony łokieć lewej ręki.

Prawa ręka opadła na ziemię, i z pod płachty wysunęły się blade palce z niebieskawymi paznogciami.

— “Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...” — szeptała matka.

— “Wieczne odpoczywanie...” — powtórzyłem.

Potem na klęczkach zbliżyłem się do zwłok i pobożnie ucałowałem rękę, która mi ocaliła brata.

* * *

Teraz za miastem już niema samotnej chaty. Ale potok szemrze jak dawniej, na wzgórzach latem pachną wrzosa, a w wąwozach rozlegają się radosne śpiewy ptaków.

Nad źródłem stoi czarny ze starości krzyż na którym jeszcze można wyczytać... Światłość wiekuista... Resztę mchy zatarły. Gdzieś widać rdzawe osobliwych form piętna, jak gdyby w tem miejscu, przed laty, nawet drzewo krwawymi łzami płakało.

PLEŚŃ ŚWIATA

Zdarzyło mi się być w Nowej Aleksandrii z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem, porośłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje w przyglądaniu się nierugualrnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzał na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

— Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzedz, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną. Co godniejsza uwagi, tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam; uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń, rozrastają się, kolonizują niezajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki. Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma laty nie większa od czterogroszniaka. To malutkie, siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia. Te znowu dwie: żółta i ruda, walczą z sobą. Niegdyś żółta była bardzo rozległą, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzysz na zieloną, jak siwa są-

siadka zapuszcza w nią zagony, ile na zielonem tle widać szarych pasków, punktów i kęp?...

— To coś jak między ludźmi—wtrąciłem.

— No, nie — odparł botanik. — Społeczeństwu tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem, brakuje im dusz i serc, które my, ludzie, posiadamy. Wszystko się tu dzieje naoslep, mechanicznie, bez sympatji i bez antypatji.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i, przy świetle księżyca, przypatrywałem się zmianom, jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

W tem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przede mną w ten sposób, że zasłonił księżyc, i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dokoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę na bok, ujrzałem, jak niby szkolny globus, błyszczący słabem światłem, tak ów kamień obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus zwolna obracał się, ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwyspem Europą; to Afryka, obie Ameryki...

W patrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkanym lądach takie same plamy, szare, siwe, zielone, żółte i rude, jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, napozór nieruchomych, w istocie ruszających się bardzo leniwie; pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny, i to nie w linii pro-

stej, lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rodziłały, ginęły, występowały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywały się na nowych miejscach, przesiakały się nawzajem, lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Glob tymczasem wciąż krążył, i zdawało mi się, że wykonywał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historia ludzkości? — spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze, ale gdzie są sztuki, wiedza? ... Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadomość, miłość nienawiść, pragnienia? ...

— Cha! cha! cha! ... — śmiał się cicho.

— Słowem: gdzie tu są ludzkie dusze i serca? ...

— Cha! cha! cha! ...

Zachowanie się jego oburzyło mnie.

— Kto ty jesteś? ... — zapytałem.

W tej chwili znalazłem się napowrót w ogrodzie, obok kamienia, którego niekształtne plamy kąpały się w blaskach księżyca.

Towarzysz mój znikł, alem go już poznał po szyderstwie i melancholii.

SEN

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student.

Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie, na Pradze, u maszynisty kolei Terespolskiej, i jedną na Podwalu, u sklepiarza, za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na Piwnej, na czwartem piętrze, za cztery ruble której to sumy systematycznie nie płacił; nie dlatego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak filigranowe, że ledwie można je było uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Toricellego. Nie było w nich nic, tak dalece, że w końcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zakłęsłe piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

— Gdybym był Panem Bogiem, inaczejbym świat urządził—mówił niekiedy. -- Wynalazłbym sobie korepetycję za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym codziennie obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak...

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

— Dał bym sto dukatów temu, ktoby mi powiedział: czy ja skończę, medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem, z temi gorączkami z tem pluciem... Zresztą, co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie suche, codziennie opalane; śniadań i kolacji można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przytem, co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcje na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopotcie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz!... oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi osiemdziesiąt-pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla zasług stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

— Bo, proszę pana, tam się już wprowadzili na czwarte piętro...

— Któż?... jakim sposobem?... co to za rozbój?... — zawołał student, sięgając machinalnie do kieszeni, w której u bandytów bywając pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

— Gospodarz powiedział, — mówił stróż — że pan nie płaci pół roku więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynajął dekarzowi. Bieda tam, panie — dodał: — żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyli ode mnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, to, mówił dekarz, że pewnie przyszloby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

— Ha, jeżeli tak, — rzekł to mogę ustąpić. Ale gdyby tu się sprowadził Bloch, albo Kronenberg, pokazałbym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania!

Kiwną głową i wyszedł na ulicę, nie pytając nawet o swoje rzeczy — co było godnem prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny.

Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki, że po całodziennym poście wartoby coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa, dużo znaczy w tych wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął jako smakosz, dwie suche kiełbaski, a jako człowiek praktyczny — kawał razowego chleba, i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, że sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego, i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepiczarka posądzała go tylko o chroniczną goliznę i pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał, nie jest fałszywa.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na

ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem, i sanki, napełnione amatorami poetycznych wzruszeń. W tem, na rogu chodnika, porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łachmanów, i na cały głos poczęła krzyczeć:

— Panie!... panie!... jacy my biedni!

“Oczywiście poczuła zapach suszonej kiełbasy (te głodomory mają pyszny węch)”

— pomyślał medyk i, ażeby uniknąć kompromitacji, dał babie ostatnią dziesiątkę.

— Niechaj Bóg da ci szczęście... — zawołała osoba w łachmanach, która niegdyś snadź była wielką damą.

Tak przynajmniej wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacji, dowodzących subtelного uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć, jak goły z ukroup.

“Kompromitująca baba! — myślał. — Jej chustka i mój mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynostwo.”

Swoją drogą, na tle dźwięczenia dzwonek, stukania sanek o bruk uliczny i turkotu dorożek, zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo, wypowiedziane równie wykwinnym, jak i zakatarzonym głosem:

— Niechaj Bóg da ci szczęście!...

“Szczęście? — myślał, idąc chodnikiem, na którym potracali go przechodnie — Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, ale choć niczego nie brak mi w życiu i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałbym jednak twierdzić, że

kiedykolwiek byłem szczęśliwym. No, wieczorek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc bułek. A poncz, co?... Oryginalny arak Goa od Fuksa, Burgund od Maliniaka, cytryny... Cytryny były zdaje się, prawdziwe... Piłem i jadłem, jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracji, gdzie obiady wydają tylko na porcje... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście; choć po tym ponczu już na drugim piętrze tak mnie rozebrało... Ponczowe uniesienia, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej restauracji, nie są prawdziwym szczęściem. Czegóż bo tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc co to jest szczęście?"

Przed dwunastu laty, kiedy jechał w lekkim płaszczyku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał, iż zmarznie w drodze. Palce i uszy pieky go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznaną dotychczas rozkosz.

Z przyjemnością myślał o tem, jak go paliły uszy, o tem, że dreszcze zostały gdzieś na dworze—i wydał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie

zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył!

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale, dziwna rzecz: żadnej z tych prywacji nie oddałby za wieczorek z ponczem i pannami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczem niepodobna było zastąpić.

— “Więc to ma być szczęście?... — myślał. — Zabawna historia!”

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnemi gałęzmi, drzew i żelaznemi kratami ogrodu widać było tu i owdzie zapalane w oknach światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów, biegnących ku bramom, jakby ich gonila noc i zimno. Po śniegu figlowało kilka psów, a jeden, odznaczający się cienkością talii i podwiniętym ogonem, przypatrywał się im z daleka, wykonywując zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.

Ten widok przypomniał ubogiemu studentowi że i on sam zmarzł diabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kiełbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękami o boki i rozgrzewać uszy.

— Trzeba przyznać, — myślał, czując błogie skutki ćwiczeń — że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

W tem pod ławą usłyszał niepokojące kłapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na

śniegu potargana, kiełbasek już w niej nie było, a nad resztką chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholią patrzył na gonitwę swoich kolegów. I teraz przysiadł na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talia zdawała się być nieco pełniejszą...

— Bodaj cię!... — wrzasnął ubogi student.

Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go w garnitur białych zębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

— Aj—aj!... aj — aj!... aj — aj!... aj — aj!...

Teraz dopiero, patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu nad głową i że, bądź jak bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

— Co ja tu będę czekał na ulicy, aż mnie przemarzego wezmą do cyrkułu? — myślał. — Mam przecież bardzo przyzwoite locum: któryś z naszych musi być dyżurnym w klinice u Dzieciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później już był w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że

jemu da łóżko w osobnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i wsadził mu termometr pod pachę.

— No, przecie nie myślisz kolega, że jestem chory? — zapytał, śmiejąc się, nasz przyjaciel. — Cała rzecz w tem, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać. Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziesto-stopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną lepiej. Był zachwycony szpitalnem łóżkiem, co chwila wyzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tem czem właściwie jest szczęście i... na co jest życie ludzkie?— a już około dziesiątej wieczorem był tak zdrow, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść za miasto, gdzie, podług jego spostrzeżeń, było już słońce i lato. Prawie siłą musieli go zatrzymać w łóżku, dopóki po szamotaniach się nie wpadł w zupełne odtrętwienie, w którem nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczyma, zamkniętemi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean, pokryty złotem i srebrzystymi wyspami, które zalud-

niały postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

“Oczywiście mam gorączkę, — myślał chory — ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?”

Więc patrzył na ów nowy kraj, uśmiechając się sceptycznie, jak człowiek, któremu pokazują niknące obrazy i opowiadają bajki.

Przedewszystkiem uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas kolor zielony, kora brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowały się niepojętą delikatnością i blaskiem. Takie barwy można widzieć tylko na obłokach, albo w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się medykwowi, że każdy przedmiot nie tylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, lecz nadto prześwieca i zarazem sam świeci niepojętem własnem światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozległ się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykluwanie się nowych pączków. Zdało się też, że przy mocniejszym nateżeniu wzroku, myśli w głowach i zmieniające barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjognomii, ogłaszały się delikatnym

szmerem, który środkował między melodją a mową, i albo coś sam od siebie tłómaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innemi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodję, czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały pojedyncze kwiatki i cały las, krople wody i ocean,, ziarna piasku i niezmierne łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym, jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, чуły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od diamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko.

Wszystko tam było piękne; mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogiem i cierpiącym. Jedwabie, aksamity, perły i złoto wśród ogólnego przepychu wydawały się powszedniemi i wyblakłemi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę.

Regularne twarze i posągowe kształty nużyły, jednostajnością; zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała budziły zainteresowanie. Na widok pięknego człowieka ubogi student machnął ręką i myślał:

— Ech! taki on jak miliony innych; widocznie o nic się nie rozbił.

Ale każda ułomność i rana zaciekawiały go i mówił sobie:

— Tego faceta musieli jednak diabelnie przejechać!...

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice, zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

— Szczególna rzecz, — mówił — jak mi to przypomina zdanie: "Błogosławieni maluczcy i ci, którzy cierpią..." Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w bransoletach z diamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, z zazdrością i żalem tłoczące się około starej Żydówki, która siedziała przy beczce śledzi.

Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień diamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka Żydówki, skąd tu i owdzie wylaziła wata, miała kolor i połysk szlachetnego bronzu ozdobionego kłaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne, a nawet (strach powiedzieć!) bez-

duszone. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się iskierka świadomości, ciągle przygasającej i drżącej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej, student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicość. Ażeby nieco orzeźwić obumierającą myśl nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historia śledziarki była bardzo prosta; dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził około jej beczki najwcześniej.

Student spojrzał w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi, rozmaitego wieku, siedzących, stojących, albo leżących, na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem, i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz, obdarowany przez handlarke, nabrał ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inni zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny, uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomędzy zaś cała ta gromada, snuł

się otyły bankier, który zobaczywszy raz, jak litościwa Żydówka obdarowywała biedaka śledziem zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej Żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Taki zaś między nimi panował ruch, że biedne, salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzawszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odzyskiwały niknącą świadomość bytu, po to, niestety, ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś Żydówka w oberwanej watówce, z rękami splecionemi na brzuchu, przy-mrużyła oczy i kiwała głową, uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo miłosierna jej dusza była zasypała wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę.

— Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście — mówił student. — Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczycem jest cierpienie, a największem szczęściem dobre czyny. Mnożą się, bestie, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (dragoński los!), a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemii.

Tym sposobem ja — dodał — mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, coby mi tu psuło humor...

W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

— Aj — aj!... aj — aj!... aj — aj...

Dreszcz go przebiegł, i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu szpilety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał:

— Co, u diabła! (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnem miejscu) to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!... No, jeżeli za tego rodzaju krzywdę mam taki bal, to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

— Wartoby jednak zobaczyć, — mówił po namyśle — jaki jest mój kapitał zasług. Czy podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego złotych nici, które biegy w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod któremi biegał, kamieni, na których siedał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o

jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, nawet o gazety i paradyz w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, który wybierał się z wizytą do pewnej miłej panienki; śledził bieg myśli trzeciego, który grał w szachy, czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okiennicami.

Ale między tysiące złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nielubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo czy cieszył się, czy smucił człowiek nielubiany przez niego, czarna nić zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

— Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... — mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna. A może ma realną wartość przestroga: "Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze?..." I byłoby faktem że przez miłość i nienawiść współzujemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzieloną częścią naszej duszy?...

— Ehe! — zawołał — stare bajki... Muszę mieć tęgą gorączkę, jeżeli nawet na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... Miałyby mnie już na zawsze udręczać, te czarne nici? —

myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że na zawsze, bo co raz stało się faktem, nie może zginąć ani w naturze, ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą je pokryć nawet warstwy, ale zatrzeć — nigdy!...

— Głupia historia! — mruknął ubogi student, i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach nienawiści pełzały mu do serca, jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestię:

Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana; zamiast barwnej, jaśniejącej okolicy, zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dał miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki, mniejsze od ziarna maku, a drugi chwycił iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

— Dzień dobry! — rzekł student— a co to robicie majsterkowie?...

— Ja — odpowiedział ten od miecha — spędzam tu nasiona dusz.

— A ja — dodał drugi — zamykam je w ciała ludzkie.

— Fiu! — gwiądnął student. — Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie

średnicy; jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kiełek?

— Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną, — mruknął drugi olbrzym — prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!...

— Trzeci majster powie acanu, jak się to robi — odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posępniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami, i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiąc-funtowego młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łodyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo wędłami), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec, aż do środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która, wystawiona na powietrze, znowu rosła.

I tak wciąż.

— Za pozwoleniem, — rzekł do straszdyła ubogi student, dotykając palcami czapki, — a co to majsterek robi?

— Pomagam rozwijać się duszom — odpowiedział strach.

— Aż granit skwierczy — rzekł student.

— Ale zato, spojrzysz acan, co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stosy brył granitowych. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łodyżki pokrywały się mnó-

stwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli wionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy — usychał.

A straszydło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

— Któż pan jesteś, panie majster?...
— spyta student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

— Ja jestem Cierpienie — odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. — Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materii...

— Oj!... muszę mieć diabelną gorączkę — myślał student, pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

— Spróbujmy, rozumował trzeźwo, wedle wskazówek anatomii, fizjologii, farmakologii i akuszerji. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc majaczy mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze niema celu. Dowodzi przecież tego w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się niem oganiać nawet przeciw muchom, jak to robią dajmy na to, krowy. Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie przygotowuje du-

sze ludzką do życia wyższego, jak gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrów na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. (Ten zaś Hartmannowski absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył i swoje robaki także stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością.

— Widzę, chwala Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofii.

W tem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na której środku wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów, sięgających aż do stóp ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokimi przepaściami; po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijay się istoty wielkich mrówek, nadzwyczajne podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student od razu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości, i że łażące po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posągu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nie tylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc po omacku, z wielkim trudem i bardzo powoli, tak, że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości, należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linię długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to, rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków — i ci byli najzuchwalsi.

— Mam lunetę, — wołał jeden — tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzewam myśli w naturze.

— Co tam luneta! — odparł drugi. — Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

— A ja nawet życia nie widzę w naturze, — dodał trezci — choć zrobiłem sztuczny mocz, nie różniący się ciężarem kolorem, zapachem, ani smakiem...

— Każdy osieł robi to lepiej i taniej — przerwał mu właściciel lunety.

— Ale ja jeszcze w moim destylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kon-

tur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się zwolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to, ubogi student pomyślał:

— Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, lecz całością nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: "aj — aj!..." — które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życie ludzkie, ani na płaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, lecz na szpitalnem łóżku. Otaczali go koledy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

— Cóż mi się tak przypatrujecie? — zapytał.

— To ty mówisz? — zawołał jeden. — No, więc będziesz żył...

— A stałeś już obczasami w grobie — dodał drugi.

— Chyba na tamtym świecie — odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

— Aż na tamtym?... Cóż tam słychać?... Jakie wiadomości?... — żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

— Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła, wytryskające z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia, i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

SIEROCA DOLA

I. Jaś Wyjeżdża do Krewnych

Mój przyjacielu! Zarzucasz mi, że mam słabość do opisywania kłopotów ludzi uczciwych i radości hultajów; mówisz przytem, że widzę świat w ciemnych barwach. Ale robię to tylko dla oryginalności. W gruncie rzeczy sam nie wierzę w to, co piszę. Świat jest oceanem szczęścia — to wiadomo. Wszyscy, którzy pływają po nim, są bardzo zadowoleni, i — mają słuszność. Że się ten i ów zachłysnął, a ktoś inny utonął — to nie argument.

Z tej wychodząc zasady, postanowiłem zrobić się optymistą. Rzecz nader łatwa: potrzeba tylko, oglądając fakty, przechodzić na drugą stronę.

Ot i w tej chwili: alboż nie jesteśmy szczęśliwi? Zimno wprowadzie na dworze, ale tylko na naszej półkuli. Gdzieindziej klimat jest umiarkowany, a nawet tak gorący, że na wolnem powietrzu mogą piec chleb, naturalnie ci, którzy mają mąkę. Zresztą i zimno nie psuje ludziom humoru. Cieszy się składnik węgla, że będzie robił interesa; cieszy się pajak, że ostatnią w tym roku muchę złapał, a mucha brzęczy tak, jakby była zupełnie kontenta.

Śmierć, na przykład, uważają ludzie za najgorszy wypadek. Jest to przesąd, o czem najlepiej przekonał się pan Wincenty. Był on małym urzędnikiem, pobierał kilkaset rubli

pensji, a śmierci bał się jak ognia. Jednak w chwili stanowczej, nie znać było na nim wielkiego wzruszenia. Machnął ręką, jakby chcąc powiedzieć: "Głupi świat!..." — i umarł. Umarł tak dobrze, jak najznakomitszy aktor, ba!... nawet lepiej bo nie wstał, choć go wywoływali.

Co prawda, nie wywoływała go publiczność, tylko własna żona i trochę syn, Jaś. Ale jego można nie liczyć, bo miał dopiero trzy lata.

Przy tej sposobności, pani Wincentowa poznała całą dobroć ludzkiej natury. Prawie wszyscy koledzy nieboszczyka zeszli się na pogrzeb. Zmarły wprowadzie za każdego odrabiał zaległości, dłużej przesiadywał w biurze, brał papiery do domu. Ale i tego liczyć nie warto. Za to żadnemu z nich nie oddał ostatniej chrześcijańskiej posługi, a oni mu ją przecie oddali!...

W ciągu reszty życia pozostało dla pani Wincentowej tajemnicą; jakim sposobem wróciła z cmentarza do domu? Okoliczność ta była dowodem litości pewnego pana Karola.

— Słowo honoru daję! — mówił do swoich znajomych pan Karol — sam ją odwiozłem i jeszcze cztery złote za dorożkę zapłaciłem. Ale ja się nie lubię chwalić!...

Wróciwszy do domu, pani Wincentowa załamała ręce i szpenęła z rozpaczą:

— Co ja tu pocznę nieszczęśliwa, ja— i... ten biedny sierota!

Mówiąc to, patrzała na Jasia, który zmęczony, spłakany (choć płakał, sam nie wiedząc z jakiego powodu), upadł na kanapkę w żałobnej sukience i twardo zasnął.

Tymczasem, można się było smucić, ale nie wypadało rozpaczać. Rozpacz świadczy o małym zaufaniu do miłosierdzia ludzkiego, no! a ludzie są przecie miłosierni.

Zaraz w kilka dni po nieszczęściu, zjechali do Warszawy krewni zmarłego: pan Piotr i pani Piotrowa.

Pan Piotr, jako mężczyzna i człowiek praktyczny, wziął się do taksowania i sprzedawania ruchomości. Pani Piotrowa zaś, aby nie przeszkadzać mężowi i pofolgować własnym uczuciom, usiadła przy wdowie i poczęła płakać z nią — na wspólną. Popłakawszy, ugotowała kawy na maszynce, napiła się sama, nakarmiła wdowę, sierotę i swego męża pana Piotra, a pote m — popłórkawszy szklanki i łyżeczki, wzięła się znowu do płaczu.

Taki podział zajęć i boleści zbawiennie oddziaływał na wdowę, o czem przekonywamy się ze słów samego pana Piotra.

— Uspokoila się biedna Zuzia!... — rzekł raz do swej małżonki.

— A tak!... A wszystko to zawdzięcza twojej przytomności umysłu — odpowiedziała pani Piotrowa.

— Ale gdzie tam!... Uspokoila się, widząc twoje współczucie—twierdził pan Piotr.

— Powiadam ci, mężuniu, że to twoja praktyczność...

— Dosyc tego! — oburzył się pan Piotr. — Powiedziałem, tyś ją pocieszyła i basta!...

Ponieważ małżonka winna być współmałżonkowi uległa, pani Piotrowa zatem głośno przyznała słusność twórcy swojej rodziny. W duszy jej jednak pozostały pewne wątpliwości, i dla ich usunięcia (gdy mąż

wyszedł), spytała pani Wincentowej, ucałowawszy ją poprzednio:

— Powiedz mi też, kochana Zuziu, które z nas dwojga więcej cię uspokaja?... Prawda, że Piotruś?...

Wdowa w odpowiedzi zalała się łzami.

Stan jej coraz głębsze współczucie począł budzić w krewnych. Przyjechali tu bez żadnego ściśle określonego zamiaru, lecz zbadawszy rzecz na miejscu, przekonali się, że wypada coś zrobić.

— Biedactwo!... — rzekł pan Piotr. — Te kilkaset rubli, ze sprzedaży ruchomości, wystarczą jej najwyżej na pół roku.

— Nawet i na tyle nie wystarczą!... — odpowiedziała pani Piotrowa.

— Trzeba ją wziąć do nas...

— I dać jakieś zajęcie.

— Tak!... Po prostu dla rozerwania myśli — zakończył pan Piotr.

Skutkiem tego, pani Wincentowa, razem z Jasiem, wyjechała na wieś. Państwo Piotrowie mieli troje dzieci i przy nich guwernantkę. Po przyjeździe jednak z Warszawy odprawili guwernantkę, którą zastąpiła wdowa; po prostu dla rozerwania myśli. Ponieważ jednak pani Wincentowa tylko dni przepędzała na nauce dzieci, a ranki i wieczory na złach — krewni więc, dla ostatecznego uwolnienia jej od smutku, odprawili klucznicę.

Istotnie, przy pełnieniu tych podwójnych obowiązków i czuwaniu nad własnem dzieckiem, wdowa nietylko o smutku, ale nawet o samej sobie zapomniała.

Zresztą, było jej tam dobrze, jak w raju. Dla siebie i syna miała jedzenia po uszy.

Do gości wychodziła, ile czas pozwalał i ile też razy chciała. Jako krewna, pensji nie brała żadnej; państwo Piotrowie nigdyby jej w taki sposób nie uchybili. Ale za to, ile razy potrzebowała czy to dla siebie, czy dla Jasia, na sukienkę, koszulę, albo trzewiki, dość jej było powiedzieć tylko słówko:

— Kochany wuju!... Możeby wuj był łaskaw dać mi dziesięć rubli...

— Na co to, kochana Zuziu?... — pytał pan Piotr.

— Chciałabym... — mówiła cicho, ze spuszczonemi oczyma — chciałabym kupić Jasiowi płótna i korciku na ubranie...

— Owszem, kochana Zuziu!... Przecież ty nasza krewna, choć daleka, a on sierota... Ja wprawdzie nie wymawiam, zawsze jednak radziłbym oszczędność. Dlatego zamiast korciku, kup mu barchanu, a i płócienko może być trochę grubsze. Widzisz, ledwie półtora roku upłynęło od śmierci męża, a już wydałaś te kilkaset rubli, którem ci wydreptał... To ile chcesz ile?...

— Dziesięć rubli... — szepnęła, tłumiąc wetschnienie.

— Na co tyle?... Dosyć będzie siedm rubli!... Ja wprawdzie nie żałuję, ale żebyś moje dziecko wiedziała, jak teraz o grosz trudno! — mówił pan Piotr, wydobywając powoli najbardziej zatłuszczone papierki.

Serce człowieka składa się, jak wiadomo, z dwu części: w jednej mieszkają uczucia dla siebie, w drugiej dla bliźnich. Otóż pan Piotr, pomimo wrodzonej dobroci i praktyczności, ową drugą połowę serca miał nieco skostniałą. Z tego powodu kchał własne cnty a nienawidził wad cudzych; czuł głęboko własne

przykrości, lecz o tych, które innym wyrządzał, miał wyobrażenie dosyć słabe.

Pani Wincentowa, poznawszy psychiczną organizację krewnego, straciła śmiałość i przywiązanie do swego opiekuna, a coraz częściej łatała ubranie swoje i syna.

Tymczasem Jaś rósł, i, jak mówił pan Piotr, hartował się i odzwyczajał od zbytków. Miał już lat pięć, chodził w lecie boso, tudzież w barchanowych majtkach, które z kaftanikiem, z tyłu zapinanym, stanowiły jedną całość. Za to w dni świąteczne nosił przykrótkie nieco, ale porządne ubranie po młodszym od siebie synu pana Piotra.

Jaś był dzieckiem potulnem, uczył się i słuchał. Ludzie obcy, jak na przykład goście i folwarczna służba, mniemali, że chłopczyk ten był nierównie lepszy od dzieci pana Piotra i jego małżonki. Na nieszczęście, pan Piotr, odznaczający się, jak wiadomo, trzeźwym umysłem, upatrywał w nim wiele wad. Według jego opinii, Jaś był dziki, bo uciekał przed gośćmi, był skryty — bo niewiele mówił, a choć robił co mu kazano, musiał to zapewne robić niechętnie. Najbardziej potępił go pan Piotr za zaciętość.

— Jeżeli mego chłopca wezmę za ucho, — mówił — to on zaraz krzyczy. Tego nieraz porządnie oćwiczę, a on ani piśnie. Najwięksi zbrodniarze odznaczali się w dzieciństwie takim uporem!...

Najgorszem było to, że Jaś — kłamał.

Pewnego rozu, synek państwa Piotrów przyleciał pędem z obory, wołając:

— Tatku!... tatku!... ja nie byłem w oborze, ja cieląt nie wypuściłem!

— To pewnie Jaś wypuścił — rzekł surowo pan Piotr. — Prawda synku, że Jaś?

Zdziwiony synek milczał.

— No, przyznaj się, synku, — mówił dalej ojciec — prawda, że Jaś wypuścił?

— A Jaś! prosię tatki Jaś! — odparł chłopiec, który przed oczyma duszy ujrzał w tej chwili widmo pięciopalczastej dyscypliny na sarniej nóżce.

Oburzony pan Piotr pobiegł szukać sprawcy złego i znalazł go w ogrodzie pod drzewem, gdzie Jaś spał, albo przynajmniej udawał, że śpi. Ale przenikliwy opiekun zrozumiał podstęp; porwał więc chytrego chłopca za ramię i krzyknął:

— Ty wypuściłeś cielęta?

Zbudzony Jaś szereko otworzył oczy, wybornie udając zadziwienie i przestach. Taka wielka bezczelność w tak małym chłopcu zrewoltowała cnotliwą duszę pana Piotra.

— O, sprawięz ja tobie łaźnię, hultaju! — mówił opiekun, ciągnąc go do swego pokoju.

— Ja nie wypuściłem cieląt!... Ja spałem w ogrodzie!... — wołał Jaś, zanosząc się od płaczu.

Ponieważ pani Wincentowej w tym czasie w domu nie było, a pani Piotrowa nie miała odwagi wstawić się za przewrotnym chłopcem. Jaś więc dostał porządne cięgi. W kilka dni potem okazało się, że nie Jaś, lecz synek pana Piotra cielęta wypuścił, ale — już było za późno.

Małe to, jak mówił pan Piotr, nieporozumienie do reszty zniechęciło biedną wdowę. Stała się ona smutniejszą, niż kiedykolwiek, zzółkła, podupadła na zdrowiu i po całych

dniach myślała o tem tylko, ażeby jak najrychlej wydobyć się z objęć pocziwych krewnych. Między nią, a opiekunem długi czas toczyła się głucha walka, której widocznymi objawami były wybuchy gniewu ze strony pana Piotra i łzy wdowy.

II. Jaś Zostaje Synem Guwernatki.

Częstymi gośćmi w domu pana Piotra bywali państwo Anzelmowie. Widzieli oni, że pani Wincentowa doskonale uczy dzieci, że jest cicha, pracowita i zręczna, i że pan Piotr, pomimo całej dobroci serca i przytomności umysłu, nie należy do smacznych opiekunów. Litowali się oni nad losem wdowy, a ponieważ sami mieli chłopczyka i trzy córeczki, więc umyślili wziąć panią Wincentową do siebie.

Układ zrobiono po cichu. Że jednak pani Wincentowa bała się zawiadomić o nim krewnych, więc wyręczył ją pan Anzelm.

— Cobyś też powiedział, kochany sąsiedzie, — rzekł pewnego razu do Piotra — gdybyśmy ci zabrali twoją kuzynkę?

— Co wam tam po niej — odparł Piotr,, pogardliwie machnąwszy ręką.

— Byłaby u nas tak samo guwernantką, jak i tutaj.

Pan Piotr poprawił wąsa i z pod oka spojrział na mówiącego.

— Ona przecież u nas nie była guwernantką, — rzekł — tylko... krewną.

— Dałbym jej dwieście rubli! — ciągnął dalej Anzelm, nie patrząc na sąsiada.

Pan Piotr oburzył się.

— Próżne gadanie! — zawołał z gniewem. — Onaby od nas nie odeszła za żadne pieniądze...

— Odejdzie! odejdzie!... A zresztą możemy ją zapytać.

— Dobrze... zapytajmy! — odparł zirytowany pan Piotr, trochę bojąc się a trochę nie dowierzając temu, ażeby pani Wincentowa mogła okazać się niewdzięczną.

Niebawem wezwano biedaczkę, która, ku najwyższemu zdziwieniu pana Piotra, wyznała, że dom jego może opuścić.

— Co to znaczy, Zuziu? — krzyknął krewny. — Czy było ci u nas źle?...

— Owszem, dobrze... — odparła zmieszana — ale u pana Anzelma będę mieć pensję...

— No, jeżeli chodzi o stałą pensję, — poprawił krewny — to mogę ci odtąd płacić sto pięćdziesiąt rubli rocznie.

— Bardzo dziękuję wujowi, ale... już umówiłam się z panem Anzelmem...

Ponieważ krewny nie odpowiedział nic, zatem pani Wincentowa pocichutku wysunęła się z pokoju. Wówczas pan Piotr wybuchnął:

— Ślicznie sąsiad postępujesz ze mną! — zawołał. — Godzi się to intrygować między rodziną?... Świetny los robi u sąsiada, że będzie guwernantką...

— Tutaj była guwernantką i klucznicą! — odparł popędliwie Anzelm.

— Co to: klucznicą?... była jak u siebie, panią w domu!... Umarłaby z głodu po śmierci męża, gdybyśmy jej nie przygarnęli... Zmarnowałyby rzeczy, gdybyśmy ich dobrze nie sprzedali!

— Cóż z tego, żeś pan sprzedał rzeczy, kiedy już niema pieniędzy.

Ostatnia uwaga najdotkliwiej zraniła Pana Piotra, który zapominając o prawidłach gościnności, wyszedł z pokoju, trzasnął drzwiami i zostawił sąsiada samego. Pana Anzelma wcale to nie obraziło; siadł w tej chwili na bryczkę i pojechał do domu, myśląc z rozkoszą, że pomógł prawdziwemu nieszczęściu.

Teraz dopiero, wprowadzie na bardzo krótko, zmienił się los wdowy i sieroty w domu krewnych. Pani Piotrowa obsypywała pieśzczołami kochaną Zuzię i Jasia, któremu pan Piotr chciał natychmiast sprawić nowe ubranie, a matce płacić odtąd dwieście rubli. Pocziwy krewny robił to bardziej dla uniknięcia skandalu i zatrzymania pożytecznej Zuzi, aniżeli z uczuciowych powodów.

Ale pani Wincentowa, mimo uległości i szacunku dla opiekunów, oparła się. Widocznie nie umiała ocenić przywiązania krewnych. Po czteroletnim pobycie między nimi, dom ten wydał się jej nieznośnym. Nie było prawie kąta, gdzieby nie płakała nad sobą albo synem; nie było pokoju, w którymby nie widziała kwaśnej miny pani Piotrowej i ponurego wzroku pana Piotra; nie było pola i ogrodu, po którymby Jaś jej bosy nie biegał. Przypominała sobie z goryczą kaprysy dzieci, zuchwalstwo służby, na którą nie było się przed kim skarżyć. Pamiętała gości, przed którymi obdarte i zdziczały Jaś krył się po kątach, i do których ona sama nie zawsze mogła wychodzić, z powodu braku sukni.

To też na próżno pani Piotrowa błagała ją

ze łzami; napróżno dzieci, przez kilka dni, były tak grzeczne, jak cherubiny; napróżno przytomny pan Piotr, zbił dwie służące za hardość. Wdowa wstawiała się za sługami, pieściła grzeczne dzieci, a uprzejmym rodzicom wyświadczała tysiączne usługi. Lecz gdy przyszły konie od pana Anzelma, postanowiła jechać.

Widząc to, pan Piotr rzekł jej na odjezdne:

— Kiedy chcesz, jedź!... Ale od tej chwili — nie znamy się!

Spakowawszy trochę rupieci, siadła pani Wincentowa na bryczkę, zalewając się łzami. Furman podał jej zdziwionego Jasia. Ze dworu nikt nie wyszedł na pożegnanie, tylko w oknach kuchni widać było smutne lub uśmiechnięte twarze służby. Gdy ruszyła bryczka, kilka psów podwórzowych, wśród podskoków i głośnego szczekania, odprowadziło wdowę aż na pole. Nic dziwnego! ona te psy karmiła, a Jaś zawsze bawił się z nimi, nigdy ich nie bił, ani targał za uszy.

Nowi gospodarze, choć obcy, a może właśnie dlatego, że obcy, okazali się nierównie lepszymi od krewnych. Pani Anzelmowa była sobie szczupłą, bladą i chorowitą szatynką. Lubiła czytywać romanse i grać na fortepianie; do gospodarstwa nie mieszała się tak dalece, że nawet służący jej nie umieliby powiedzieć, jak wygląda. Pan Anzelm znowu, niski, przysadzisty, ogorzały i rumiany blondyn, był człeczyna uczciwy z kośćciami. Czytywał mnóstwo gazet i pism rolniczych i prawie połykał artykuły, w których wyrzucano rolnikom ich niedbalstwo, brak nauki i nie-

myślenie o jutrze. Długie te kazania skruszyły z natury już miękkie serce pana Anzelma. Bijąc się w piersi, głośno wyznawał błędy, które mu wytykano, i odtąd począł się tak uczyć, tak dbać o gospodrstwie i myśleć o jutrze, że nie miał czasu ani zajrzeć do stodoły, ani wyjechać na pole. Dawniej także nie zaglądał i nie wyjeżdżał, ale dlatego, że nie czytywał podobnych artykułów.

Zobaczywszy to, sąsiedzi poczęli go nazywać gospodarzem-filozofem. Istotnie, pan Anzelm był filozofem, ale nie z tej szkoły, do której należało Towarzystwo kredytowe, bo pomiędzy nim a zarządem wymienionej instytucji trafiały się częste i ożywione sprzeczki.

Prócz tego pan Anzelm był jowialnym. Lubił się śmiać i opowiadać dykteryjki; gdy zaś usłyszał lub wyczytał nową, powtarzał ją sąsiadom, żonie, guwernantce i ekonomowi, w końcu zaś pytał:

— A co, panie, dobry koncept?...

— Naturalnie!... — odpowiadał zapytany.

— To ja go wymyśliłem!

Młynkiewicz, ekonom Anzelma, który swego chlebodawcę uważał za szczyt ludzkiej doskonałości, dodzierał nietylko "pańskie" suknie, ale i pańskie dykteryjki, w towarzystwie karbowego, gajowego i pisarza. Po każdej zaś powiastce dodawał:

— A co, panie, dobry koncept?... To myśmy go wymyślili z panem Anzelmem!

W takim towarzystwie nie mogło być źle pani Wincentowej. Państwo byli dobrzy, dzieci grzeczne. To też między nimi odżyła biedna kobieta i jej synek.

Zaraz po przyjeździe, pan Anzelm dał nowej guwernantce kilkadziesiąt rubli z góry. Za tę sumę oporządzili się nieboracy i z najlepszą otuchą zajęli swój pokoiczek na pięterku.

Cacko też to było, nie pokoik! Miał czyściuchną podłogę, w kącie piec i białe jak mleko ściany, których jedyną wadą było to chyba, że trochę bielily suknie. Do jednego z okien wspinały się gałązki dzikiego wina, do drugiego przylatywały gołębie, wołając: "Grochu!... grochu!..."

Było tam jeszcze kilka krzeseł wiśniowego koloru, komódka, szafa, szerokie łóżko dla matki, a dla syna rozusuwane łóżeczko—na wyrost. Były i dwa kotki bardzo łaskawe, jeden myszaty a drugi biały, spuścizna... po ostatniej guwernantce, starej pannie.

— Zakociła nam panna Dylska całą okolicę — mawiał neraz pan Anzelm, patrząc pilnie, ażali się słuchacz nie roześmieje, gdy zaś to nastąpiło, dodawał z triumfem: — A co, panie, dobry koncept?... To ja go wymyśliłem!...

Jeżeli guwernantka była zadowolona z państwa, to i oni musieli być z niej kontenci. Okazało się, że pani Wincentowa posiada dużo talentów.

W miesiąc po przybyciu, nauczyła klucznicę wypasać indyki, które dotychczas były chude; jak szczypy. Umiała rurkować falbany u białych spódnic i zakładała firanki jak tapicer, aż ją rozrywali sąsiedzi! Grała przytem mnóstwo tańców na fortepianie, i dlatego nie obszedł się bez niej żaden wieczór. Zwykle zapraszano ją na bal, jako młodą wdówkę, która powinnaby zdobyć męża. Niebawem

jednak wśród prośb i całusów, zasadzano ją do fortepianu, od którego wstawała ledwie nad ranem.

W domu państwa Anzelmów przemieszkała już trzy lata, a czas tam spędzony, uważała za najszcześniejszy w życiu.

III. Jaś Zaczyna Dziwić Matkę

Synek wdowy, wydobywszy się z żelaznych uścisków pedagogiki pana Piotra i włożywszy nowe ubranie, szybko począł się rozwijać. Przy gościach wprawdzie, tudzież w stosunkach z dziećmi pana Anzelma, pozostał i nadal nieśmiałym. Za to jednak, znalazłszy się sam na sam z matką, ciężkiego nieraz nabawiał ją kłopotu.

Miał już skończonych lat siedm, rwał zęby przy pomocy nitki i klamki i dość wprawnie czytał, kiedy nagle—napadła go szczególna mania. Począł on po pokoiku matki chodzić wielkimi krokami, jak pan Anzelm, garbić się i zakładać ręce w tył — zupełnie jak pan Anzelm, nadewszystko — głośno mówić do siebie, czego już pan Anzelm nie robił.

Najciekawsze było to, co mówił:

— Będę miał bas... będę miał bat... będę miał bąk... będę miał dom...

Usłyszawszy to, matka struchlała.

— Co ty wygadujesz, chłopcze?... — krzyknęła, załamując ręce.

— Alb mama nie wie? — odparł. — Przecież bat to się robi z kija i ze sznurka, a bąk to jest taki okrągły, z dziurką...

— No dobrze, ja rozumiem... ale po co ty to mówisz?

Na to już Jaś nie umiał odpowiedzieć. W gruncie rzeczy, gadanina jego była pierwszym brzaskiem budzącej się myśli i wyobraźni. Chłopiec czytał w elementarzu wyrazy dla wprawy, a tam, gdzie zwykle dzieci widzą tylko chaotyczną gromadę czarnych znaków i niezrozumiałych dźwięków, on widział przedmioty i obrazy. To ćwiczenie kielkujących zdolności psychicznych robiło mu wielką satysfakcję, i dlatego, nie zważając na przestach matki, prawił dalej swoje:

— Będę miał bat... będę miał bąk... będę miał...

Nagle urwał i zapytał:

— Proszę mamy, co znaczy: brzdęk?

Tym razem matka nie umiała mu odpowiedzieć.

— Czy to jest drewniane, czy jakie inne?

— Ale gdzież tam!... Ach, jakie ja mam zmartwienie z tobą moje dziecko...

Czekały ją jednak większe zmartwienia, szczególnie z zakresu geografii i astronomii.

Pewnego razu, pani Wincentowa tłómaczyła dzieciom swoich chlebodawców kształt ziemi... Czwororo tych głuptasków, z których jedno patrzyło w sufit, a drugie na podłogę, z najlepszą wiarą i bez żadnych zastrzeżeń, przyjęły do wiadomości zdania, że ziemia jest okrągła, i że się obraca naokoło słońca. Jaś, czem innem zajęty, słyszał to z boku, a gdy wieczorem znalazł się z matką w pokoiku, rzekł:

— To wszystko musi być bajka?!...

— Co takiego? — spytała matka.

— A to, żeby tam ziemia była okrągła — odparł Jaś. — Żeby była okrągła, toby z niej

ludzie pospadali. Wiem przecież, bom nieraz łąził na stóg i zawsze z gniego złatywałem.

— A tyś tam po co łąził, niedobre dziecko? — zgromiła go matka, lecz opamiętawszy się, dodała: — Widzisz, ziemia jest większa... ho! ho!... ile razy większa od stogu...

— Gdyby była większa od stogu, toby ludzi jeszcze prędzej pospadali... hm!... nawet pozabijaliby się.

Na takie dictum umilkło biedne matczyшко, nie mogąc wybrnąć z dziecinnych zarzutów i nie podejrzewając nawet, że to niespokojne i zabawnie rozumujące powątpiewanie okazuje zawiązek niepospolitego umysłu.

Jaś miał nadzwyczaj silną wyobraźnię. Pewnego razu usłyszał od parobków, że na księżycu, w czasie pełni, widać chłopą, który gnój nakłada. Odtąd, ile razy zdarzyła się sposobność, leżał po całych wieczorach na ziemi, z twarzą zwróconą do księżyca. Widywał wówczas mnóstwo rzeczy: raz, że księżyc toczy się jak koło po obłokach, to znowu, że pod powierzchnią jeziora jest drugi księżyc i drugie niebo, to znowu, że z ponad wód i wilgotnych łąk unoszą się jakieś olbrzymie widziadła, w długich powiewnych szatach... Chłopa jednak na księżycu zobaczył dopiero przy końcu lata.

Jednego wieczoru, spacerujący po ogrodzie państwo Anzelmowie usłyszeli krzyk dziecięcy:

— Fornalu! fornalu!... Gospodarzu!...

Zaciekawieni, podeszli w tamtą stronę i zobaczyli Jasia, który zadarł głowę, twarz zwrócił ku księżycowi i wrzeszczał jak opętany:

— Fornalu! fornalu!...

Napróżno jednak zapytywali go: co to znaczy? Zawstydzony chłopak uciekł i dopiero w parę godzin powiedział matce:

— Bo to widzi mama, ja chciałem się tego chłopca zapytać, jak tam jest na księżycu?

Matka westchnęła.

Innym razem rzucił pytanie:

— Moja mamó, dlaczego ja chodzę, a lalka nie chodzi, chociaż ma nogi i jest do mnie podobna?

— A bo widisz, moje dziecko, ty masz duszę, a lalka jej nie ma.

— A co to jest dusza?...

Matka zamyśliła się, i przywoławszy na pomoc katechizm księdza Putiatyckiego, odparła:

— Dusza... dusza jest to, co w twojem ciele myśli i niem rządzi...

— Przecie ja sam myślę, nie żadna dusza!

Pytanie to trapiło go i chciał się koniecznie dowiedzieć: jak wygląda dusza? Szczęściem, nadeszło wkrótce Boże Narodzenie, a gdy Jaś zajrzał do kuchni, gdzie oprawiano ryby, klucznica, podając mu jakiś podwójny pęcherzyk, rzekła:

— Naści, Jasiu, rybią duszę... Strzel sobie z niej!

Jaś miał wielką ochotę włożyć duszę w lalkę; zmiarkowszy jednak, że ryba co innego, a lalka co innego, nacisnął pęcherzyk nogą i strzelił.

Na drugi dzień świąt, przyjechał do państwa Anzelmów miejscowy proboszcz. Siwy, jak gołąb starowina, wzięwszy w lewą rękę

tabakierkę, w prawą ogromny fular, zebrał około siebie dzieci i egzaminował je z religii. Pytał ich: kto stworzył świat?... jak się nazywali pierwsi rodzice?... na co Pan Bóg ludzi stworzył?... Jaś na wszystko odpowiadał najgorzej i najbojaźliwiej; dopiero usłyszawszy frazes: co to jest dusza? — krzyknął:

— Ja wiem!

— Bardzo dobrze!... bardzo ładnie! — chwalił go proboszcz. — No, powiedz już, powiedz... bo ci języczek widzę ucieknie.

Jasiowi oczy świeciły jak węgle.

— Dusza — rzekł z wielką pewnością siebie — to takie, co strzela!

Starowina, usłyszawszy to, podniósł do góry obie ręce z chustką i tabakierką i zdziwiony zawołał:

— Jezus! Marja! A od kogożeś ty się o tem dowiedział?...

— A od klucznicy, proszę księdza proboszcza, jak oprawiała ryby.

— Moje dziecko!... moje dziecko!... — mruczał pocziwiec, kręcąc głową.

Potem zażył tabaki, raz drugi raz, utarł nos powoli i systematycznie, i — dał spokój egzaminowi, ku wielkiej uciesze dzieci.

Pani Wincentowa załamała ręce, ale za to pan Anzelm śmiał się tak, że aż mu oczy na wierzch wychodziły.

— Jaki to będzie facejonista z tego chłopca! — mówił, całując Jasia w jasne kędziory.

Wszystkiego tego nie słyszała jedna tylko pani Anzelmowa. Myślała ona o swoich nerwach i o tem: czy eteryczny Wiesław Różyc ożeni się z Cecylią?

Mimo egzaminowe niepowodzenie, Jaś był ogromnie zdolnym chłopcem. Mając dopiero lat dziewięć, strugał drewniane pałasze i łuki dla synka państwa Anzelmów, tudzież czółenka z kory sosnowej — dla ich córek. Rozumiał budowę młyna, tartaka, i małego, ściennego zegara; tego tylko nie mógł pojąć: z jakiej racji jedna skazówka posuwa się prędzej, niż druga?

W arytmetyce robił zadziwiające postępy: wymyślił bowiem sposób wykonywania trzech pierwszych działań na ziarnkach fasoli, i przy jej pomocy nauczył nawet starszego od siebie Józia niesłychanie trudnej rzeczy: tabliczki mnożenia. Od tego czasu ile razy dzieci nie mogły czego pojąć, pani Wincentowa tłumaczyła naprzód Jasiowi, a on im, za pomocą własnych przykładów, odznaczających się prostotą i jasnością.

To też pan Anzelm nieraz mówił do Jasia:

— Chłopcze! ty będziesz wielkim człowiekiem.

Z pośród małych swoich towarzyszków, Jaś najbardziej lubił Antosie. Bo też w republice dziecięcej, oni oboje najskromniejsze zajmowali stanowiska: Jaś jako syn guwernantki, Antosia — jako najmniej pieszczona przez swoich rodziców.

Pewnego razu, dzieci te prowadziły między sobą nader charakterystyczną rozmowę.

— Czembyś chciała być? — spytał Jaś?

— Chciałabym być Manią! — odparła Antosia. — A ty czem?

— A ja... furmanem!

Mania była siostrą Antosi, najbardziej kochana przez matkę; Jaś znowu, bawiąc się

z Józiem, zawsze pełnił obowiązki konia. Okoliczności te tłómaczą życzenie obojga.

Jaś dostarczał najwięcej zabawek Antosi. Raz nawet zrobił jej kołyskę dla lalki; na nieszczęście, lalka miała pół łokcia długości, a kołyska ledwie kilka cali.

— Trzeba ją zepsuć! — rzekł zmartwiony Jaś, biorąc kołyskę.

— Dajże pokój — zawołała Antosia. — Przecież lalka może mieć dziecko.

— A prawda!...

Istotnie na drugi dzień, przy pomocy służącej, urodziło się dziecko, złożone z mnóstwa gałganków i waty. Jaś pilnie mu się przypatrywał.

— Co to jest? — spytał, pokazując jedną połowę ciała nowonarodzonego.

— To rzecież głowa!...

— Agdzie ręce?

— Ona nie ma rąk, tylko koszulę.

Sprowadzono kołyskę, lecz okazało się, że głowa lalki jest za szeroka. Ponieważ Jaś znowu się zmartwił, Antosia więc zaproponowała mu, aby wyrysował lalce nos i oczy, co też wykonał, mocno przy tej okazji obrażając językiem.

Przyjaźń dzieci była tak wielka, że Jaś postanowił nawet podzielić się z Antosią niesłychanie ważną tajemnicą.

— Chodź, — rzekł do niej — pokażę ci gniazdo.

— Gniazdo?... — zawołała, klasnąwszy w ręce.

— Ale nie powiesz nikomu?... — spytał uroczyście.

— Nie!... jak mamę kocham...

Poszli do ogrodu, gdzie kroplista rosa siedziała na liściach, tworząc mnóstwo tęczy-
wych kręgów. W powietrzu czuć było upaja-
jącą woń, rozlegał się pomieszany świergot
ptaków, a tu i owdzie brzęk pszczoł i cirka-
nie polnych koników.

— Czy to prawdziwe gniazdo? — pyta-
ła zaciekawiona dziewczynka.

— Rozumie się.

— A małe ptaszki są tam?

— Jakżeś chciała?... Muszą być.

W jednym z krzaków zaszeleściło coś.

— Może to tu?... — dowiadywała się
Antosia. — Możeś ty zapomniał?

Jaś, zamiast odpowiedzi, poważnie wsrzą-
snął głowę.

Doszli do klombu rosnącego w końcu
ogrodu. Jaś zatrzymał się, przykląkł, i o-
strożnie odchylając gałązki, szepnął:

— Cicho!...

Antosia schyliła główkę i położyła pa-
lec na ustach.

— Widzisz? — spytał Jaś.

— Widzę, — odparła — ale nie wiem
gdzie...

— Jaś wskazał palcem.

— Ach!... — krzyknęła zachwycona.

O łokieć od niej, na ziemi, leżało szare
gniazdeczko, okrągłe i gładkie jak ulane. W
środku był większy materacyk z końskiego
włosa i z puchu, a na nim maleńki ptaszek.
Był on czerwony i bez pierza, miał zarosłe,
lecz wypukłe i duże oczy, a jeszcze większy
brzuszek. Usłyszawszy szmerk koło siebie,
podniósł główkę, a żółty dióbek otworzył tak
szeroko, jakby chciał połknąć, Antosię.

— Jeść chce! — zauważył Jaś.

W tej chwili, nad głowami dzieci, usiadł ptaszek już dorosły. Poruszył parę razy ogonkiem, popatrzał na ciekawskich naprzód prawem okiem, później lewem, a w końcu zaczął pisać żałośnie.

— Odejdźmy — rzekł Jaś. — Matka przyszła go karmić.

Antosia wracała do domu bardzo zamyślona, a w kilka godzin potem spytała:

— Jasiu! nie możnaby Mani pokazać gniazda?

— A nie!

— A Józiowi także nie?

— Rozumie się! Józioby zaraz zepsuł gniazdo.

Antosia rzeczywiście dochowała tajemnicy, lecz na nieszczęście, postanowiła zaopekować się ptaszkiem. Nic nie mówiąc, wzięła nad wieczorem gaść okruszków chleba i hojnie nakarmiła niemi gołego malca. Skutkiem tego, gdy dzieci na drugi dzień przyszły odwiedzić go, przekonały się, że biedny ptaszek już nie żyje.

— Ach, Antosiu! — zawołał Jaś: — toś pewnie ty temu winna?

Dziewczynka zalała się łzami.

Jaś wziął do ręki martwe pisklę, które było jakieś pomarszczone i zimne, i szepnął:

— Cóżeś ty był nam winien, biedaku!...

W oczach łzy mu się zakręciły.

— Nie mów tak, Jasiu! — prosiła go zmartwiona dziewczynka, po tem dodała prędko: — Możemy mu za to pogrzeb wyprawić...

— Co jemu z tego przyjdzie?

— Ja włożę go w kołyskę tę, którąś mi darował dla lalki... ty zrobisz mu krzyżyk...

— Daj spokój! — przerwał Jaś. — Myśl lepiej o tem, że będziemy mieli zmartwienie.

— Przecież nikt nie wie...

— Nie bój się! Pan Bóg wie dobrze i jeszcze mnie skarze za to, że ci pokazał gniazdo...

Oboje wrócili do domu w nastroju bardzo poważnym. Jasiowi zdawało się, że ktoś za nim chodzi. Antosi znowu, że wszyscy mają twarze zachmurzone i gniewne. Nie mogła biedaczka wytrzymać, powierzyła więc Mani swoje strapienie. Mani również zaciężyła tajemnica, więc szepnęła o niej Józiowi, który z wielkim śmiechem ogłosił to publicznie. Sprawdziła się wówczas przepowiednia Jasiowa o zmartwieniu. Pan Anzelm bowiem, usłyszawszy o co idzie, zrobił ogromny hałas, począł tupać nogami, kazał przynieść siekierę w celu ucięcia głowy Jasiowi i Antosi, a wreszcie — postawił ich w kące.

IV. Jaś z Matką Jadą na Własny Chleb

Po deszczu nastąpi pogoda, po nocy dzień, po zmartwieniu radość, po racy odpoczynek, po dostatku ubóstwo. Wszystko to zależy widać od obrotu ziemi naokoło osi, jak mówił mój wuj, człowiek wielkiego serca i filozoficznego umysłu.

To też, mój przyjacielu, gdy masz zmartwienie, ciesz się: znak to bowiem nieomylny, że wkrótce będzie dobrze, smuć się raczej wówczas, gdy jesteś zupełnie szczęśliwy, bo na świecie niema nic trwałego! Jest to znowu pogląd mojej babki, świątobliwej kobiety, która wiele w życiu zaznała, ba! widziała Napoleona...

Nie myślę ja wam zakócać spokoju, o wy, którzy spoczywacie w odległych grobach! Chcę tylko, aby wiedziano, żem nie zakopał w ziemi, jak bojaźliwy sługa, wdowich groszów, któreście zostawili ku pożytkowi.

Pani Wincentowa za długo była szczęśliwa, bo prawie trzy lata. Rychło też los się odwrócił.

System gospodarki pana Anzelma, oparty na czytaniu artykułów wstępnych, opłakane wydał owoce. Długi rosły, dochody zmniejszały się, aż w końcu zacny facejoniśta, dla zaspokojenia wierzycieli i pozostawienia dzieciom uczciwego nazwiska, sprzedał swój duży majątek, a wziął się do kilkowłókowej dzierżawy.

Smutne były dni, kiedy ze starego dworu, który jeszcze wybudował dziad, poczęto wynosić i wyprowadzać sprzęty do nowej siedziby. Nie było godziny, żeby coś nie zaszło. To opustoszał salon, to pan Anzelm swojej guwernantce zapłacił resztę pieniędzy, to znowu uprosił ją, aby sobie wzięła garnczek masła, trochę mąki i krupek.

O gdybyście wiedzieli jak się też biedaczce ścisnęło serce przy odbieraniu tych żałobnych podarków!...

Nareszcie wyjechała ostatnia fura. Za nią poszły dwa woły, poruszające nieustannie gębami, i psy podwórzowe, z których jednego trzeba było aż w worek włożyć, tak nie chciał jechać. Na folwarku zjawili się ludzie obcy, a przed ganek, zajechała wielka landara i bryczka. Pożegnawszy się kilkakrotnie, wygnańcy poczęli wsiadać. Józio skoczył na kozieł, trzy dziewczynki umieściły się na przodzie landary, a naprzeciw nich pan Anzelm

i jego małżonka z drugim tomem najświeższej powieści, której w domu nie mogła dokończyć.

Do bryczki siadła pani Wincentowa z Jasiem.

Gdy furman strzelił z bata i konie ruszyły, pan Anzelm nagle zawołał:

— Zaczekaj-no!...

Wyskoczył z landary i wbiegł znowu do pustego dworu. Po chwili zobaczono go w kancelarji, w pokoju dziecnnym, w salonie... Zdawało się, jakby czegoś szukał; może szczęścia, które go opuściło?... Ktoś bliżej stojący słyszał, że pan Anzelm coś mówił: może być, że zapraszał cienie przodków, aby opuściły stary dwór dziedziców i przeniosły się z nim razem pod słomianą strzechę dzierżawcy?

Panu Anzelmowi tymczasem zdawało się, że z gładkich, obnażonych ścian wyrastają niewidzialne ramiona, aby go pobłogosławić i uścisnąć na drogę. Wówczas uczuł, że się stąd nie wyrwie, chciał bodaj umrzeć w tych uściskach!... Ale przyszły mu na myśl dzieci, więc — wrócił do landary i kazał jechać.

Przez małą milę biegła bryczka za powozem, i tak dojechali aż do murowanej, wałacej się kapliczki. Tu droga rozwidlała się we dwie odnogi, z których jedna szła ku szosie, wiodącej do Warszawy.

Powóz stanął, i w jednym z jego okien ukazała się okrągła twarz pana Anzelma.

— Hop! hop! — krzyknął. — Bywajcie tam zdrowi!...

— Niech was Bóg prowadzi! — odpowiedziała wdowa.

W landarze zrobił się ruch. Niebawem wygramolił się z niej szlachcic i przybiegł do bryczki.

— Moja pani, — mówi, ściskając wdowę w objęciach, — niech cię Bóg błogosławi! A jeżeli ci tam będzie bardzo źle, to wróć do nas. Znajdzie się jeszcze choć suchy kawałek chleba dla wszystkich.

Następnie zwrócił się do Jasia:

— A ty chłopak, ucz się i słuchaj matki... Jeżeli zostaniesz kiedy wielkim człowiekiem, zrób mię choć stróżem. Będiesz wtedy stawiał mnie w kącie, tak, jak ja ci to nieraz robiłem... A co panie, prawda, że dobry koncept?...

Mówiąc to, śmiał się grubym głosem, a jednocześnie po ogorzałej i zakurzonej twarzy płynęły mu łzy. Tymczasem w landarze Mania narzekała, że jej źle siedzieć; Józio prosił furmana, ażeby mu dał lejce; Antosia, szlochając, patrzyła na bryczkę, a pani Anzelmowa, trzymając na kolanach drugi tom zaczętej powieści przymknęła zapadłe oczy i z błogim uśmiechem rozmyślała: co też robi Ernest, zdradziecko opuszczony przez Łucję?...

Nareszcie ruszył powóz w prawo, a bryczka w lewo. Wdowa i Jaś spoglądali za odjeżdżającymi, których stopniowo zasłaniał długi, wijący się jak wąż, tuman płowego kurzu. W końcu tuman znikł i zostali sami, mając dokoło pola, okryte więdnącym ścierniem i zasnute pajęczyną, a nad sobą — miłosiernego Boga, bez którego woli nie zerwie się ani wąż sieć pajęcza, ani wątłejsze od niej nici ludzkiego szczęścia.

V. Co Się Stało w Warszawie

Pani Wincentowa jechała do Warszawy z najlepszymi nadziejami. W ciągu siedmioletniego pobytu na prowincji zapomniała o doznanych kłopotach i nauczyła się patrzeć na miasteczko nasze przez różowe okulary.

Warszawę, w opinii całego kraju, otacza jakaś aureola pomyślności, oświaty i miłosierdzia. Wiejskie dziady po odpustach z uszanowaniem odzywają się o dziadach warszawskich, którzy według nich, zarabiają tysiące, a niekiedy są właścicielami kamienic. Majętniejszy obywatel ziemski we śnie i na jawie marzy o tem, aby mógł zimę przepędzić w Warszawie, a przynajmniej kształcić dzieci w tamtejszych pensjonatach. Uboższy szlachcic, który usiłuje przytłumić w sobie wstręt do hebla i kowadła, tylko warszawskiemu rzemieślnikowi z ufnością powierza syna.

A cóż dopiero mówić o wszelkiego rodzaju biedakach, poszukujących pracy lub pomocy? Niejeden i niejedna z tych którzy na prowincji łatwo utrzymaćby się mogli, rzuca rodzinny kąt i śmiało jedzie do Warszawy. Nie ma znajomych, ani pieniędzy, wierzy jednak w to, że byle przejechał rogatkę, a bardziej jeszcze — żelazny most, wówczas mnóstwo instytucji i tysiące dobroczynnych osób pośpieszą na wyścigi z protekcją, pieniędzmi i radzą.

Człowiek, który w powiatowym miasteczku, pobierając kilka set złotych pensji, mieszkał obok budowniczego, pewnym jest, że w Warszawie nazwą go technikiem i ofiarują tysiące rubli. Inny, który przez ciąg kilku-

dziesięcioletniego życia nie mógł zrobić ani grosza oszczędności i na starość dotknięty został paralizem, błaga znajomych, aby go wysłali do świętego miasta, gdzie z paraliżu będzie wyleczony i na resztkę dni znajdzie spokojny i wygodny przytułek.

Podobne projekty snuła sobie i pani Wincentowa. Była pewną, że dobrzy ludzie pomogą jej, gdy im opiszę swoje położenie i rzeczywiście niepospolite zdolności Jasia. Przy pomocy nieznanych protektorów i odrobiny własnych pieniędzy, miała zamiar otworzyć magazyn. Ponieważ handel z konieczności (nie wiadomo jakiej?) musiałby jej iść dobrze, wzięłaby więc najlepszych nauczycieli do Jasia, który z kolei rzeczy zostałby znakomitym inżynierem, zrobiłby olbrzymi majątek i tak dalej!

Tak marząc i z miłością wpatrując się w różową twarz i półotwarte usta zadumanego chłopczyny, uśmiechała się biedna matka. Szczęśliwa, że zakryte przed nią były bolesne dzieje, z których ręka przeznaczenia z biegiem czasu odsłaniać miała po jednej głosce.

Zaledwie wdowa stanęła na warszawskim bruku, wnet spotkały ją rozczarowania. Dawni znajomi, z których wielu dorobiło się majątku, z trudnością przypominali sobie jej nazwisko, z lodowatym, choć grzecznym uśmiechem przysłuchiwali się jej projektom, a natomiast wiele mówili o swoich kłopotach i o osobach, które musi się opiekować. Głośni na cały kraj filantropowie byli wiecznie chorzy i zajęci, ci zaś, którzy nie mogli się wykręcić od obietnicy protegowania wdowy, na widok jej kurczyli się, jak ślimak kłuty szpilką.

W końcu, po długiej dreptaninie i wielu upokorzeniach, po zjedzeniu zapasów i wydaniu pieniędzy, zaoszczędzonych na wsi, udało się niebodze wynaleźć kilka rodzin, które powierzały jej robotę do szycia. Praca była ciężka, a zapłata licha. Ażeby zarobić rubla dziennie, należało przez kilkanaście godzin nie wstawać od maszyny lub stolika. Najczęściej też zdarzało się, że damy, mieszkające w wykwinnych salonach, po całych tygodniach i miesiącach nie zwracały jej z takim wysiłkiem zapracowanych kilku rubli. Inne wypłacały ratami, tygodniowo po parę złotych, na które przez długie godziny trzeba było wystawiać w przedpokoju. Jeszcze inne nie płaciły, a nawet wymyślały i zakazywały służbie puszczać do domu natrętnej!...

Mimo to, wdowa nie traciła nadziei, lecz pracowała, pocieszając się myślą, że wkrótce poczne robić oszczędności na najlepszych nauczycieli dla Jasia. On tymczasem od rana do wieczora pisał, uczył się i czytał przy klockie maszyny, a najsmaczniej spał pod wpływem światła lampy i monotonnego łoskotu. Niekiedy oskot ten słabnął, ustawał, znowu się potęgował, znowu słabnął, i wreszcie milknął zupełnie. Wówczas zdziwiony Jaś budził się i przy pomieszaniem światła dogorywającej lampy i wschodzącego słońca, spostrzegał matkę. Siedziała ubrana, z głową zwieszoną i przymkniętymi oczyma. Ręce jej opadły bezwładnie, oddychała szybko, a na twarzy paliły się gorączkowe rumieńce.

— Mamo! — wołał Jaś — dlaczego mama nie śpi?...

Budziła się i odpowiadała z uśmiechem:

— Bo mi się jakoś nie chce...

Omdlałe ręce jej biegły znowu do przerwanej roboty, sztywne nogi poruszały się. Lecz w kilka chwil znowu opanowywało ją znużenie, mocniejsze od widma nędzy i głosu dziecka.

Im gorliwiej pracowała, im dłużej siedziała po nocach, tem bardziej zmniejszały się zarobki. Niekiedy na opędzenie całotygodniowych potrzeb miewała jednego rubla. Wówczas, prócz mleka, które razem z Jasiem piła na niadanie, i talerza zupy na obiad, nie jadła nic więcej. Czasami, przy obiadach, napadała ją wielka ochota na mięso. Zdawało się, że sam widelec pociąga jej rękę do małego kęska pieczeni. Lecz umiała się pohamować.

— Dlaczego mama nie je mięsa? — pytał Jaś.

— Nie mam ochoty! — odpowiadała. — Pewnie musi być twarde i niesmaczne.

— Gdzież tam! jest mięciutkie i doskonałe. Czuje mama, jak pięknie pachnie?...

Czuła ona dobrze zapach mięsa, lecz mimo to nie jadła. Na drugi dzień tę samą porcyjkę odegrzaną, bez żadnej zupy i jarzyny, dostawał Jaś na obiad, który matka zastępowała sobie kawałkiem chleba.

Jaś, widząc to, odkładał widelec i pytał ze smutkiem:

— Dlaczego dziś mam nie je obiadu?...

— Suszę, moje dziecko!

A potem dodawała z uśmiechem:

— Nie na to człowiek żyje, aby jadł, ale na to je, aby żył.

Odtąd Jaś coraz częściej słyszał to przysłowie, a wdowa coraz widoczniej nędzniała

i traciła siły. Nareszcie, pewnego wieczoru, uczuła mocny ból i zawrót głowy, dostała gorączki i położyła się.

Na drugi dzień symptomy chorobliwe wzrosły, i wdowa nie mogła wstać z łóżka. Szczęściem, tego dnia odesłano jej kilka rubli za robotę; za te pieniądze karmiła blisko przez dwa tygodnie Jasia i swoją najemnicę, starą Maciejową. Sama żyła herbatą i wodą.

Choroba ta mniej ją niepokoiła, niżby się mogło zdawać. Dzięki silnej gorączce, wdowa codzień czuła się pozornie zdrowszą i twierdziła, że "jutro" wstanie.

— Tyle mam roboty!... — mawiała nieraz — kiedy ja to pokonczę?...

W rzeczywistości jednak roboty nie było żadnej.

Pewnego dnia, Maciejowa, jak zwykle, przyszła po pieniądze do miasta. Chora wydobyla woreczek z pod poduszki, otworzyła go i poczęła w nim pilnie szukać. Zbliżała go do oczu, zdiwiona, wytrząsała nad kołdrą, lecz stamtąd nie wypadało nic, bo już nie było nic.

Nagle uderzyła się w czoło i zawołała ze śmiechem:

— Ach! jakąż ze mnie gapa... Zapomniałam, że te dziesięć rubli wziął do zmienienia pan Anzelm.

— Pana Anzelma nie było tu... — rzekł przerażony Jaś.

Wdowa uśmiechnęła się i kiwnęła ręką.

— Maciejowo! co mamie jest?... — szepnął bardziej jeszcze strwożony Jaś do wychodzącej najemnicy.

— Majaczy z choroby. To takie planety przechodzą... — odparła staruszka i wyszła.

Chłopiec rzucił się z płaczem do matki.

— Moja mammo!... moja mammo!... — woła, całując po rękę. — Mama taka chora!

— Zdaje ci się tylko!... Byłam trochę ołsabiona, ale wzmocnił mnie ten bulion... Daj mi pić!

Jaś podał szklanke wody.

— Z jakim to sokiem?... pewnie z porzeczkowym... Dyż dyż... gołąbki...

Szklanka z resztą wody upadła na ziemię.

* * *

Tymczasem Maciejowa, w pogadance ze stróżem, powiedziała, że pani jej wpadła w tyfus z głodu, i że w domu niema kawałka chleba. Stróż powtórzył to jednemu z lokajów, a lokaj służącej państwa Karolów, ludzi majątnych i miłosiernych. Państwo Karolowie nie mogli tego przenieść, ażeby ktoś mieszkający z nimi pod jednym dachem, umierał z głodu; złożyli więc naprędce małą radę familijną i postanowili ratować biedaków.

Jakoż w parę godzin po odejściu najemnicy, kiedy zrozpaczony Jaś, klęcząc przy łóżku nieprzytomnej matki, z wielkim płaczem błagał Boga o ratunek, otworzyły się drzwi i do izdebki ich wszedł jakiś poważny jegomość ze służącą. Przybysz uspokoił zdziwionego Jasia, obejrzał i opukał chorą i zapiszawszy receptę, oddał ją służącej. Niezadługo przyniesiono obiad dla Jasia i lekarstwo dla chorej. Na drugi dzień, nieznany dobroczyńca polecił Maciejowej nie odstępować od chorej, zjawiał się znowu poważny jegomość, a potem znowu lekarstwa i jedzenie.

Jaś nie pytał o sprawcę tego wszystkiego, wiedząc, że był nim Bóg, który wysłu-

chał sierocą modlitwę. Choć zatem matka była coraz bardziej nieprzytomna, chłopczyk już się nie martwił.

Jednego dnia obudził się bardzo wcześnie, zaraz po wschodzie słońca. Stara Maciejowa, zmęczona, spała na kuferku, zwinęta w kłębek. Jaś na palcach zbliżył się do chorej, i to co ujrzał:

Matka jego leżała wpół odkryta. Czarne jak węgiel usta jej były otwarte, ręce gwałtownie wyciągnięte nad głową i zaciśnięte pięści...

Na ten straszyn widok. Jaś uczuł dziwne ciepło, szum w uszach i nie wydawszy jęku, zemdlony upadł na ziemię.

VI. Pewien Typ Ludzi Uczciwych.

Pan Karol, wysoki, przystojny brunet, średniego wieku, był tyle majątnym, że z procentu od kapitałów, pomieszczonych w papierach publicznych, mógł utrzymać przyzwoicie swoją rodzinę, używać drobnych przyjemności, pomagać ludziom i jeszcze coś odkładać.

Życie pana Karola, obok żony—ładnej i wesołej blondynki, tudzież dwu synów: Edzia i Tadzia, którzy już byli w drugiej klasie — płynęło bardzo spokojnie. Namietności nie miał żadnych, jego potrzeby zaś (naturalnie w granicach wygód i dobrego smaku) były nader skromne.

Jako jednostka moralna, pan Karol był uosobioną miłością. Kochał on rodzinę, społeczeństwo, naturę i sztukę, a oprócz tego, na szerokiem tle tej ogólnej miłości, umiał się entuzjasmować do pojedynczych przed-

miotów. W ciągu jednego tygodnia pragnął założyć wzorowe pismo, następnie gotów był pomódz jakiejś ubogiej rodzinie, a później — częścią swego majątku przyczynić się do zaprowadzenia kanalizacji w mieście. Za każdym razem entuzjazm jego szybko wznosił się do wyżyn, a następnie zwoła opadał. Pan Karol był idealistą, w duszy więc jego toczyła się nieustanna walka między doskonałymi ideałami a niedoskonałą rzeczywistością.

Dowiedziawszy się o smutnym stanie wdowy, pan Karol pomógł jej natychmiast, projektując sobie, że musi stanowczo zabezpieczyć jej byt. Lecz, że wdowa umarła, szlachetny dobroczyńca uważał za obowiązek wziąć do swego domu Jasia. W tej chwili wolałby stracić połowę majątku, aniżeli pozwolić na to, ażeby miły i nieszczęśliwy chłopczyk znalazł się bez chleba i dachu.

Jakoż w dzień śmierci matki, Jaś znalazł się w mieszkaniu nowego opiekuna. I kiedy pan Karol biegał po mieście w sprawie pogrzebu nieboszczki, pani Karolowa tymczasem własnoręcznie obszywała surdu-cik Jaśia taśmą, a synowie jej w swoim pokoiku układali jego książki, ustawiali kuferek i łóżko.

Gdy Jaś, razem z całą rodziną dobroczyńcy, powrócił z pogrzebu, pan Karol rzekł:

— Moje dziecko! wprawdzie Bóg ciężko cię doświadczył, ale nie opuścił. Straciłeś kochaną matkę, lecz u nas, tu obecnych, zyskałeś nową rodzinę.

Słyszając to, sierota zasłonił twarz rękami i głośno zaszlochał. Wtedy pan Karol

powstał z fotelu i całując go w głowę, uroczysty mgłosem przemówił te słowa:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

Z kolei zbliżyła się pani Karolowa, znowu pocałowała sierotę i powtórzyła za mężem:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

Obecni przy tem chłopcy, znowu po kolei przystępowali do Jasia, i, całując go w oba oliczki, mówili jeden po drugim:

— Jasiu! przyjmuję cię za brata.

Poruszająca ta scena dziwnie oddziaływała na Jasia. Przy pierwszym pocałunku, chciał upaść do nóg panu Karolowi, przy drugim—doświadczył zdziwienia, a przy ostatnim—nagle przestał płakać. Serce i płuca skurczyły mu się tak boleśnie, że nie mógł pochwycić tchu. Każdy następny pocałunek był dla niego szczęściem, które na istotą ludzką spada z tak wysoka, że może ją rozmiążdżyć.

Dokonawszy ceremonii adoptowania nowego członka rodziny, państwo Karolowie sporzeli na siebie z zachwytem, a ich chłopcy ze zdumieniem. Ponieważ jednak oba byli dobrze wychowani, milczeli więc, wierząc, że w ich oczach trafił się fat dobry i uroczysty.

Edzio i Tadzio, a rodzeni bracia, kłócili się z sobą, a nawet niekiedy czubili. Czuli obaj jednak instynktownie, że między nimi, a nowo kreowanym braciszkiem istnieje wielka różnica. Choć więc żaden z nich nie okazywał drugiemu zbyt wyrafinowanej uprzejmoci, Jasia od razu traktowali dziwnie uprzejmie. Przy herbacie, ku wielkiemu zadowoleniu rodziców, służywali mu na wyścigi, a gdy się kładł spać, chcieli go rozebrać

i ułożyli mu rzeczy na stołku, co każdy z nich nawet samemu sobie robił niechętnie.

Około północy, gdy już państwo Karolowie zamyślali o spaniu, w pokoju chłopców rozległ się stłumiony krzyk dziecięcy:

— O mamó! mamó!...

Usłyszawszy to, pani Karolowa wybiegła z sypialni, a pan Karol ze swego gabinetu. Zetknęli się oboje.

— Kto wołał?... czy które z naszych dzieci? — spytała niespokojnie pani.

— Nie... To ten... Jaś — odparł mąż.

— Ach! on...

— On także nasze!... — zauważył z dobrotliwym uśmiechem pan Karol.

Pani Karolowa z rozczeniem spojrzała mężowi w oczy, i objąwszy go rękami za szyję, oparła mu na ramieniu piękną główkę i szepnęła:

— Jakiś ty dobry, mój Karolu!... Jakiś ty szlachetny!

Dziwna rzecz jednak! Ten pełen uwielbienia wykrzyknik obudził w sercu pana Karola uczucie lekkiego kłopotu. Szczerze byłby rad, gdyby mu żona nie wypominała szlachetności. Niesmaczne to uczucie Karol przypisał zmęczeniu i senności.

Kłopot jednak pana Karola zwiększył się w ciągu dni następnych. Dom jego ciągle był pełen gości, którzy ciekawie przyatrywali się Jasiowi i pytali o jego historję. Dowiedziawszy się zaś o przyjęciu sieroty za syna, pod niebiosa wynosili zacność pana Karola i jego małżonki.

— Naturalnie, że odda go pan do szkół? — zapytała jedna z dam.

— No, ale chyba do udziału w majątku nie przypuścisz go; skrzywdziłbyś własne dzieci! — ostrzegała jakaś krewna.

Pan Karol słuchał, milczał, lecz potniał, szczególnie gdy żona, przed bardziej zaufanymi osobami, opisywała wzruszającą ceremonię adoptacji.

Po upływie kilku tygodni odwiedził ich lekarz domowy, który zauważył, że w pokoju dzieciennym jest za ciasno, i że należy usunąć jednego z chłopców. W pierwszej chwili pan Karol chciał Edzia przenieść do garderóbki. Ponieważ była to epoka egzaminów, a Edzio i Tadzio musieli się razem uczyć, przeniesiono zatem Jasia.

Dla Jasia zmiana lokalu była prawdziwym szczęściem. Odtąd mógł on większą część dnia przepędzać w garderóbce i nie kręcić się między osobami, dla których czuł wiele szacunku i wdzięczności, lecz których wstydził się i obawiał. Nie umiał siadać na eleganckich krzesłach, nie umiał chodzić po woskowanej posadzce, często nogi zaplątywały mu się między dywanami, niekiedy coś tłukł, a przynajmniej wywracał. Służba nie wiedziała, jak przemawiać do niego, a on — jak mówić do państwa Karolów. Wizyty przestraszały go, przy jedzeniu tracił apetyt. Słowem, biedny sierota, wśród wszelkich oznak życzliwości, czuł się zgnębionym, nie umiał myśleć, onieśmielał się coraz bardziej i dziczał. Państwo Karolowie dziwili się niejednokrotnie, że chłopiec w jego wieku może być tak roztargnionym i ponurym, i że w najdrobniejszej rzeczy posłużyć się nim niepodobna.

Pewnego dnia przyszedł do pana Karola jego znajomy, człowiek, odznaczający się ironią i czarnymi poglądami na świat.

— Cóż to! — zawołał gość; — niebo, jak słyszę, obdarzyło cię trzecim synem?

— A tak! — odparł ze słabym uśmiechem pan Karol.

— W mieście mówią, że chłopak ładny i bardzo do ciebie podobny...

Pan Karol zarumienił się z oburzenia.

— Mógłbyś nie powtarzać podobnych bredni! — odezwał się do pesymisty.

Nastąpiła chwila milczenia; gość zapalił cygaro i mówił dalej:

— Dobrze jest miosierdzie, mój Karolu, byle nie przesadzone. Żeś wziął chłopca, nic w tem złego, ale w rozpieszczaniu go niema sensu. Gotów w końcu zapomnieć, że jest sierotą, i że potrzebuje sam dbać o siebie.

— Cóż mam robić? — przerwał pan Karol.

— Oddać do rzemiosła! — odparł gość. — Jeżeli chcesz, zarekomenduję ci znakomitego krawca...

Idea ta, bez względu na sposób, w jaki ją podano, podobała się panu Karolowi. Wieczorem rzekł do żony:

— Wiesz, Maniu, że wartoby pomyśleć o przyszłości naszego wychowanka.

— I jak tak sędzę — odpowiedziała pani krótko.

— Jest on ubogi, ze sprzedaży po matce zebrało się ledwie kilkadziesiąt rubli... Z drugiej znowu strony kraj potrzebuje zdolnych rzemieślników...

Pani aż klasnęła w rączki.

— Wyborny projekt! — zawołała.

— Oddamy go — mówił dalej — do uczciwego majstra, zgodzimy nauczyciela, będziemy w święta przyjmowali u siebie. Chłopiec ukształci się i ogłodzi, otworzymy mu na porządnego człowieka, otworzymy mu warsztat...

— Cudownie!... pysznie!... — potakiwała pani.

— Jak nam miło kiedyś będzie powiedzieć sobie, żeśmy społeczeństwu dali użytecznego członka!...

— Ależ tak!... tak!...

— Tylko... — dodał pan — Jaś jest zbyt młody i musi jeszcze jakiś czas pomieszkać u nas.

Pani, nie odpowiedziawszy na to, zapytała po chwili:

— Do jakiego rzemiosła oddasz go?

— Do... do krawca myślę.

Małżonkowie spojrzeli sobie w oczy. Pan Karol wiedział, że krawiec w opinii jego żony był jedną z najniższych istot na świecie, a pani Karolowa przypomniała sobie w tej chwili ceremonię adoptacji. Umilkli jednak oboje i odtąd unikali już rozmowy o Jasiu.

Trafiło się w owej epoce, że jakiś dziennik rzucił projekt utworzenia pracowni rzemieślniczej dla kobiet. Dusza pana Karola, jak bomba, naładowana była gotowością do ofiar i do nowych szlachetnych czynów. Łatwo pojąć, że artykuł o pracowniach dla kobiet spełnił funkcję lontu, i że pan Karol wybuchnął. Od owej pory, zacny filantrop o niczem już nie myślał, tylko o pracowniach dla kobiet. Wszedł natychmiast w stosunki listowne z podobnemi instytucjami za granicą, po całych dniach pisał ustawę pracow-

ni, składał wizyty osobom wpływowym i we własnym domu urządzał sesje, na które schodziło się mnóstwo indywiduów nieznanych, lecz rozumnych i dobro ogólne miłujących.

Wielka idea tak pochłoneła umysł pana Karola, że nawet nie zmartwił się, gdy mu doniesiono, iż jeden z jego synów nie dostanie promocji. Usłyszawszy tę wiadomość z ust żony, pan Karol wzruszył ramionami i nawzajem doniósł jej, że na otworzenie pracowni dla kobiet przeznacza dwa tysiące rubli.

W tych czasach, w sercu dobroczyńcy, zaczęła się reakcja na niekorzyść Jasia. Chłopiec już mu się naprzykrzył. Naprzód dlatego, że pan Karol, myślący o uszczęśliwieniu trzech milionów kobiet, nie mógł jednocześnie zajmować się losem jednego dzieciaka. Powtóre dlatego, że pani Karolowa nieraz zapytywała: co będzie z Jasiem? ... — przerywając tym sposobem panu Karolowi obmyślanie szerszych planów. Po trzecie, że widok Jasia był prawdziwym wyrzutem sumienia. Chłopiec ten wiecznie bał się czegoś, wszystkim ustępował z drogi, wiecznie chciał służyć innym, a robił to bardzo niezręcznie... Pan Karol czuł nieraz wdzięczność dla żony, gdy nie widział Jasia przy obiedzie lub herbacie. Gdy zaś zobaczył go, przychodziła mu na myśl nieszczęśliwa ceremonia adopcji i słowa:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna.

— Jasiu! przyjmuję cię za brata.

Położenie Jasia było tymczasem rozpaczliwe. Nie robił nic po całych dniach, a z chłopcami bawić się nie śmiał. Chętnie zgodziłby się czyścić buty swoim "braciszkom",

lecz na to niktby mu nie pozwolił, jako przybranemu synowi. Synowstwo to nie przeszkadzało jednak, że gdy się zeszło więcej gości do państwa Karolów, wówczas pani wyprawiała Jasia do jego pokoiku, gdzie mu przynoszono jedzenie.

Jaś był prawie bliski obłędu. Z dziecinnych lat zostało mu bardzo przykre wspomnienie domu pana Piotra, którego dziś chłopak żałował. Biegał on tam boso, lecz biegał gdzie mu się podobało. Pan Piotr wybił czasem, lecz za to ucałowała go matka. Miał się też z kim bawić; w najgorszym razie z psami. A tu i psów nie było.

Skutkiem takiego położenia, Jaś stał się chorobliwie drażliwym. To też gdy raz, przy obiedzie, pani Karolowa postawiła przed nim talerz tak jakoś niezręcznie, że się wylało trochę rosołu, sierota wybuchnął płaczem.

Niezwykły ten objaw zwrócił uwagę pana Karola, który zawsze miał dobre serce. Zaczny filantrop utulił płaczącego Jasia, skarcił żonę surowem spojrzeniem, a po skończonym obiedzie, poszedł na gawędkę do pokoiku swego przybranego "syna", co już było wypadkiem nadzwyczajnym. Obejrzał pokój, łóżeczko, parę książek chołpczyny i wreszcie spytał dobrotliwie:

— Nie nudzi ci się?... Cóż robisz, moje dziecko?

Chwila milczenia.

— Czasem czytam, a czasem siedzę...
— wyszeptał Jaś, spuszczaając oczy w ziemię i owijając na palcu połę żałobnego surducika.

— Tęsknisz jeszcze?... — pytał dalej opiekun.

Jaś nie odpowiedział nic, ale na jego wyrazistej twarzyczce widać było taką boleść, że aż pan Karol zesmutniał i mimowoli począł się tłumaczyć:

— Widzisz, moje dziecko, ja myślę o tobie... o! bardzo myślę. Wiem, że masz zdolności i chęć do pracy i żeś przytem dobry... Z takich dzieci, jak ty, wyrastają ludzie użyteczni, i ty będziesz użyteczny pod moim kierunkiem. Pomyślę, żebyś się zaczął czego uczyć; szkoda tylko, że w tej chwili nie mam czasu... Proszę cię przytem, ażebyś się nie poddawał zmartwieniu i ażebyś w każdej wątpliwości życia uciekał się do mnie, jak do... jak do przyjaciela. Świat, moje dziecko, jest polem walki, i szczęśliwy ten...

W tej chwili ktoś zadzwonił. Pan Karol zerwał się i wybiegł, nie dokończywszy swej mówki. Biedny Jaś nigdy się już nie dowiedział, kto jest szczęśliwy na tym świecie.

Z powodu braku nowych wrażeń, chłopczyna począł marzyć i tonąć we wspomnieniach. Niekiedy, szczególnie o szarej godzinie, przemykał oczy i wyobrażał sobie, że jest jeszcze na wsi w pokoiku matki, u pana Anzelma. Zdawało mu się, że przez otwarte okno wieje ciepły wiatr i szeleści wśród gałązek winogrodu. To znowu, że w kącie siedzi jeden z dwu kotków i, oblizując łapę, mruczy pacierz. Za chwilę odległy gwar uliczny rzeniósł go do Warszawy, i wówczas Jaś marzył, że słyszy klekot maszyny, czuje na twarzy ciepło lampy, i że matka siedzi o krok od niego.

— Gdybym tylko otworzył oczy, — myślał Jaś — zarazbym ją zobaczył Ale nie

chę, bo mi się nie podoba, i wolę siedzieć z zamkniętymi oczyma!...

Niekiedy jednak na mgnienie otwierał oczy. Wówczas widział światło w mieszkaniach naprzeciw, a na ciemnej ścianie swego pokoju czarne kontury okiennych ram, podobnych do krzyża, a raczej do dwu krzyżów. Wtedy niewiadomo skąd przychodziły mu słowa: "Kogo Pan Bóg kocha, krzyżyki mu daje..."

— Krzyżyki!... krzyżyki!... — myślał Jaś, i czekał na matkę.

Zdawało mu się, że już idzie po schodach... Idzie minutę... dwie... kwadrans... Widać, że schody urosły, bo takie są długie, jak stąd do nieba, aż matka przejść ich nie może... Jaś jednak czekał cierpliwie, a tymczasem upajał się szelestem jej sukni i cichym stąpaniem.

O matko! dlaczego idziesz tak powoli?... o matko! Śpiesz się i wyrwij syna z sieci szaleństwa, które go otacza ze wszystkich stron!

Niekiedy gorączkowe dumanie sieroty przerywało gwałtowne wejście lokaja i wyrazy:

— Na herbatę!...

Wówczas Jaś wstawał i szedł powoli, noga za nogą, wyobrażając sobie, że gdy wejdzie do jadalnego pokopu, zastanie Antosię, Józia, Manię, że zobaczy jowialną twarz pana Anzelma i usłyszy jego gruby śmiech, że matka każe mu usiąść na wysokim jak drabina krzeselku i poda zwykłą filiżankę leciutkiej herbaty z mlekiem...

Z takimi marzeniami opuszczał Jaś swój ciemny pokoik. Nagle zalały go potoki światła, i ujrzał, zamiast matki, piękną

i surową panią Karolową, a zamiast Anzelma — pana Karola, na którego dystyngowanej twarzy miejsce rubasznego śmiechu szlachcica zajmował wyraz miłości, ogarniającej cały świat, skoncentrowanej obecnie na trzech milionach kobiet, dla których chciał otworzyć pracownię.

Gdy Jaś zobaczył to, zatoczył się jak pijany.

O matko! śpiesz się, bo duch twego syna zbyt często zrywa z rzeczywistością, a w końcu może zerwać z ciałem!

VII. Zmiana Losu.

Nadeszły wakacje, a chociaż Tadzio z trudnością, Edzio zaś prawie cudem dostał promocję do trzeciej klasy, z tem wszystkiem w uroczysty dzień zakończenia roku szkolnego czekała ich w domu niespodzianka.

Gdy chłopcy wrócili ze szkoły i okazali rodzicom cenzury, matka uroniła parę łez radości, a ojciec, ozdobivszy oblicze dobrotliwym uśmiechem, rzekł do nich:

— Moje dzieci! Wiecie o tem, że nauka uczucia człowieka. Wiecie też, że szkoła jest obrazem życia, i że kto za młodu wypełnia gorliwie swoje obowiązki, stanie się z czasem dobrym obywatelem kraju. Nauka i sumienne wypełnianie obowiązków robią człowieka szczęśliwym — i wy też zapewne czujecie w tej chwili, w młodych waszych sercach, słodkie zadowolenie...

— O tak jest, proszę ojca! — wykrzyknął Edzio, przyzwyczajony do ceremonialnych mówek swego życiodawcy.

— Tak jest!... — powtórzył za nim Tadzio, który, jako młodszy, nie umiał w tym wypadku przyoblec się w należytą powagę i z wielką ciekawością zaglądał do drugiego pokoju.

— Wiem, — ciągnął dalej pan Karol — że obraziłbym was jakąś materialną nagrodą za naukę i cnotę... Wszak prawda?...

— O tak, ojczy!... — zawołał znowu Edzio.

— Tak! tak!... — powtórzył za nim Tadzio, niecierpliwie oczekując na zakończenie mowy.

— Z tem wszystkiem, — prawił dalej pan Karol — w zamian za przyjemność, jaką mnie i matce sprawiły wasze promocje, postanowiliśmy dać wam małe upominki...

Teraz nawet Edzio zarumienił się jak wisienka, a Tadzio klasnął w ręce. Tymczasem ojciec wyniósł z drugiego pokoju prześliczny trzykołowy welocyped i fuzję, która strzelała z kapiszonów.

Reszta zupełnie naturalnej powagi opuściła chłopców. Edzio rzucił się ojcu na szyję, Tadzio narzód złapał fuzję, potem ucałował matkę, później — odciągawszy kurek, odziękował ojcu, a nareszcie — chciał usiąść na welocypedzie, który nieszczęściem był już zajęty przez Edzia.

Pan Karol czuł wielką chęć do wypowiedzenia jeszcze kilku kształcących uwag. Chłopcy jednak już go nie słuchali: zaczęli jeździć po wszystkich pokojach, strzelać i śmiać się tak wesoło, że aż Jaś wyszedł ze swego pokoiku i, stanąwszy za fotelem, pożerał wzrokiem ich piękne zabawki. Przypomniał on sobie, że i jemu matka dawała

niegdyś podarunki; raz bęben, drugi raz papierowego konia na kółkach, trzeci raz blaszaną trąbkę... Wprawdzie wszystkie te cacka, razem wzięte, nie były warte welo-cypeda albo fuzji, a jednak... o jakże pragnął, aby się choć we śnie wróciły i owe czasy, i ubogie cacka, i ich kochana dawczyni!

Chłopcy tymczasem, nie zważając na smutnego Jasia, jeździli, strzelali i krzyczeli, zapomniawszy o tem, że są już przecie trzecio-klasistami, a nadewszystko synami ojca, który sieroty w dom przyjmował, myślał o szczęściu całego społeczeństwa i tak budujące mowy prawił im przy każdej sposobności!

Niepomiarkowana wesołość ich nie podobąca się panu Karolowi. Wziął on żonę do drugiego pokoju i rzekł do niej z odcieniem łagodnej goryczy:

— Obawiam się, droga, że chłopcy nasi nie zrozumieli tego, co mówiłem do nich?...

— Ależ Karolu! — Ależ to być nie może!... Oni cię zawsze rozumieją... Oni są rozwinięci nad wiek! Czy nie dostrzegłeś, z jaką uwagą słuchał cię Edzio?... Ten chłopiec każdy twój wyraz pochłaniał... — mówiła pani Karolowa z wielkim zapalem.

Zadumane czoło męża trochę wypogodziło się.

— Zdaje mi się jednak, — wtrącił — że w przyzwoitej zresztą ich zabawie widzę jakiś odcień lekkomyślności...

— Zbyt surowym jesteś, mój drogi!... — zawołała pani. — Oni tym sposobem chcą ci okazać swoje przywiązanie i wdzięczność...

Pan Karol zupełnie się uspokoił i poszedł do swego gabinetu, aby tam, zdala od zgiełku, rozmyślać nad ustawą pracowni dla kobiet; zajęcie to zaczęło go już trochę nudzić. Pani tymczasem, odwoławszy chłopców na stronę, miała z nimi długą konferencję.

Tego samego dnia, po obiedzie, na którym Jaś znalazł się przy ogólnym stole, a każdy z chłopców dostał po pół kieliszka węgierskiego wina — na intencję promocji, zaszedł dosyć szczególny wypadek. W chwili, gdy wszyscy mieli wstawać od stołu, pani Karolowa spojrzała wymownie na synów, Edzio trącił Tadzia kolanem, Tadzio Edzia kułakiem, poczem obaj stanęli przed ojcem, z bardzo urocystymi minami.

— Mamy wielką prośbę do ojca... — odezwał się Edzio.

Chcielibyśmy uczyć Jasia... — zawołał prędko Tadzio.

— Ależ nie tak!... — zgromił go Edzio — ja będę mówił... Chcielibyśmy żeby Jaś bawił się z nami...

— Właśnie, żeby się bawił!... przerwał Tadzio.

— Pozwólże mówić mnie!... — upomniał go znowu Edzio — Chcielibyśmy uczyć Jasia, a jeżeli będzie pilny, bawić się z nim...

Pani Karolowa spojrzała na męża z triumfującym uśmiechem, rozrzewniony zaś pan Karol zabrał głos:

— Bardzo się cieszę, moje dzieci, że macie tak szlachetne popędy. Owszem, uczcie waszego młodego przyjaciela, tym bowiem sposobem od wczesnego wieku przyzwyczajcie się służyć bliźnim!

— A co, czy nie zrozumieli cię?... —
szenięła pani, nachylając się do małżonka.

Pan Karol z uczuciem pocałował ją w rękę.

Edzo zbliżył się do zdziwionego i przestraszonego Jasia i rzekł:

— Dziś dajemy ci jeszcze wakacje, a jutro zabierzemy się do lekcji. Jak się będziesz dobrze uczył, pozwolimy ci jeździć na welocypedzie, albo strzelać z fuzji. Co ci się podoba!

Ponieważ wkrótce potem pan Karol ze swoimi nad wiek rozwiniętymi synami poszedł do znajomych z wizytą. Jaś więc znowu został sam. Był on olśniony, lecz zarazem i zakłopotany. Cieszyło go to, że odtąd będzie miał rówieśników, że będzie się z nimi bawił i rozmawiał. Drżał na myśl, że strzeli z fuzji, i upajał się nadzieją jazdy na welocypedzie. Pytał też ciekawie: czego mnie oni będą uczyli? — i z góry cieszył się pochwałami za pilność. Może i państwo Karolowie, widząc jego pracę i grzeczność, pogłaszczą go kiedy, a może i ucałują, tak serdecznie, jak ta, która go od kilku miesięcy opuściła. Trzeba bowiem wiedzieć, że Jaś miewał czasami dziwne pragnienia: oto chciał kiedy przyjść znienacka do pani Karolowej, położyć głowę na jej kolanach i ucałować jej suknię. Gdyby zamknął oczy, gdyby uczuł jej delikatne ręce na swoim czole i włosach, wówczas zdawałoby mu się, że wróciła do niego na chwilę matka, którą często widywał, lecz nigdy nie mógł dotknąć spragnionemi ustami. Miał on wprawdzie wszystkie wygody; pokoik cieplejszy i jedzenie

lepsze, lecz brakło mu znajomej twarzy, głosu, pieśczot...

Z drugiej jednak strony, na dnie pięknych nadziei, Jaś czuł jakiś niesmak. Nie mógł on zrozumieć: skąd dwaj chłopcy tak nagle zapragnęli zająć się jego nauką?... Zdawało mu się, że w obietnicach Edzia i Tadzia brzmiał ten sam ton, podobny do zgrzytu piasku na szybie, jaki słyszał niegdyś w wyrazach:

— Jasiu! przyjmuję cię za syna... Jasiu! przyjmuję cię za brata...

Jego sieroctwo sprawiło, że mimo wiedzy i woli stał się podejrzliwym, i że bardziej, niż dawniej brutalnego gniewu pana Piotra, lękał się obietnic wszystkich członków tej miłosiernej rodziny.

Niebawem dostał się Jaś w ręce nowych opiekunów i nauczycieli. Chłopcy, według wskazówek ojca, podzielili się pracą: Tadzio uczył go czytać i pisać Edzio arytmetyki i geografii. Od wykładów podobnych niech Bóg wszystkie dzieci zachowa!

Edzio kształcił Jasia w ułamkach, lecz ponieważ sam ich dobrze nie umiał, biedny więc jego uczeń z nudnych tych prelekcji zapamiętał dwa tylko twierdzenia: pierwsze, — że jest głupi, a drugie — że jest osieł. Tadzio znowu, widząc, że jego wychowaniec w warunkach zwykłych czyta lepiej od niego, wpadł na oryginalny pomysł i kazał uczniowi swemu czytać z książki, przewróconej do góry nogami!...

Pani Karolowa przypatrywała się niekiedy tym pedagogicznym ćwiczeniom, lecz uważając je za zabawkę, śmiała się z nich

i tała je przed mężem. Już to wogóle Jaś nie cieszył się jej względami!

Znudziwszy się wykładem arytmetyki i czytaniem, obaj chłopcy zarzucili je i wzięli się do łaciny. Zadawali Jasiowi do wyuczenia się na pamięć całą deklinację, albo kilkanaście i kilkadziesiąt słówek od razu. Nie dość na tem; chcieli, aby się wyuczył ich w ciągu pół godziny.

Pan Karol tymczasem, w ciszy gabinetu pracował nad ustawą warsztatów kobiecych, a pani Karolowa mówiła do chłopców z uśmiechem:

— Nie męczcie się tak, moje dzieci, przecież to wakacje!...

— Musimy, mamó! — odpowiadał wtedy Edzio. — Cóż z niego będzie, jeżeli w młodym wieku nie przyzwyczai się do pracy?...

Wtedy pani Karolowa, głaszcząc nad wiek rozwiniętego synka, myślała:

— Jacy oni podobni do ojca!... On wyznaje takie same zasady!

Nie poprzestając na nauce, młodzi nauczyciele stosowali jeszcze do swego wychowanka środki represyjne. Zrobili mu dziennik i zapisywali w nim bardzo szczegółowo: jak się sprawował, jak się uczył, czy był pilny i ile opuścił lekcji?... U domu każdodziennego raportu podpisywali się obaj własnoręcznie.

Pewnego razu, młodzi pedagogowie, wyczerpawszy "wszelkie środki łagodności", poszli do matki z prośbą: aby Jasiowi niedała obiadu za lenistwo. Prośba ta nie podobala się pani Karolowej. W łagodny, lecz stanowczy sposób upomniała ona chłopców, aby się z Jasiem mniej surowo obchodzili, i

odebrała im przy tej sposobności pewną "oślą czapkę," którą Jaś prawie ciągle nosił na głowie.

Innego dnia, pan Karol, już zupełnie znudzony się ustawą pracowni kobiecych, zapytał swoich chłopców:

— No, moje dzieci, jakże się tam spisuje wasz uczeń?

Chłopcy podali mu dziennik. Pan Karol przejrzał go i zapytał w obecności Jasia:

— Cóż to znaczy?... widzę tu same złe stopnie.

— Ha! cóż robić, proszę ojca, kiedy się źle uczy... — odparł Edzio.

— Czy nie ma zdolności?

— I zdolności nie ma, i trochę nie chce..

Słyszając to, Jaś oblał się ponsem.

— Czy to prawda Jasiu? — zwrócił się do niego pan Karol?

Jaś milczał, spuściwszy oczy; wyręczyła go jednak pani Karolowa, mówiąc:

— Oni nad nim bardzo wiele pracują, sama to widzę!... Ponieważ zaś są złe rezultaty, musi mieć zatem niewielką ochotę do książki.

Jaś wpił sobie paznogie w ręce i pierwszy raz w życiu uczuł to, co ludzie dorośli nazywają: brakiem szacunku dla starszych. Pan Karol tymczasem, przybrawszy surowy wyraz twarzy, mówił spokojnie i sucho:

— Mój Jasiu! zrobiłeś mi wielką przykrość. Przypuszczam, że nie masz zdolności, lecz obok tego widzę ze smutkiem, że brakuje ci ochoty. Ponieważ zaś każdy czyn niedobry musi być zmazany przez pokutę, my więc jutro wyjeżdżamy na parę dni na wieś, a ty zostaniesz w domu!

Na drugi dzień państwo Karolowie wyjechali na wieś z dziećmi, a Jaś został sam. Nowe wrażenia dostarczyły mu obfitego materiału do medytacji.

Zrozumiał dwie rzeczy: naprzód tę, że nauka, udzielana mu przez chłopców, była złośliwym udręczeniem — a powtóre tę, że pan Karol postąpił z nim niesprawiedliwie — Jaś przecie uczył się niegdyś arytmetyki i pojmował ją doskonale; łatwo też domyślił się, że Edzio nie musiał być tęgi w ułamkach. Uczył się także czytać, lecz nigdy nie słyszał, aby ktoś czytał z książki, przewróconej do góry nogami. Uczył się wreszcie obcych języków, lecz nie tak, jak łaciny.

Przypomniał on sobie, w jaki sposób matka zaznajamiała go z wyrazami francuskimi. Ile razy wyszli na spacer, i Jaś zobaczył nowy przedmiot, wówczas matka tłumaczyła mu jego znaczenie, opowiadała mnóstwo ciekawych szczegółów i w końcu nazywała przedmiot ten po francusku. Tym sposobem, bez wysiłku, wśród zabawy, chłopiec wyuczył się mnóstwa obcych wyrazów. Umiał on nazwać: niebo, obłoki, ptaki, staw, młyn, ryby, łąkę i zwierzęta, które się na niej pasły. Wkrótce też począł układać małe zdania.

Odtąd, ile razy spojrzał na znany przedmiot, przychodziło mu zaraz na myśl jego francuskie nazwisko, gdy zaś usłyszał wyraz, wnet przypominał sobie zapach siana, klekot młyna, ryby, wyskakujące na powierzchnię wody, szelest trzciny na stawie, słowem, całą piękną wiejską naturę. Nudna zwykle nauka słówek dla niego była przy-

jemną i podniecającą rozrywką; nie dziw też, że uczył się chętnie.

Obok tego łatwego i poetycznego wykładu, jakże ponuro wyglądała łacina! W umyśle Jasia była ona podobna do strasznej jaskini, wśród której ani kroku nie mógł postąpić naprzód i w której nieustannie brzydkie sowy i nietoperze uderzały go w głowę, wrzeszcząc: mądrość — sapientia, bocian — ciconia, okręt — navis, rocznik — annalis!... Nad tą obmierzłą czeredą unosiły się jeszcze dwa smoki: pierwsza i druga deklinacja, których nie mógł ani zrozumieć, ani zapamiętać.

I otóż za to, że czuł wstręt do straszyleł, które wypuścili na niego równieśnicy, zato, że się nie chciał błąkać wśród ciemności, — pan Karol nie wziął go na wieś zabraniał mu patrzeć na niebo, wody i lasy, upajać się powietrzem lat dziecinnych. A któż wie, czy w czasie wieczornej przechadzki ciepły wiatr nie przyniósłby mu dawno już nie słyszanych wyrazów: “Jasiu!... Jasiu!... wracaj do domu, bo się zaziębisz...”

A dziś, gdzie ten dom i gdzie ta, która go tak niespokojnie wzywała?

Wyjazd państwa Karolów obudził w sercu Jasia niepokonaną tęsknotę do wsi. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć szare stodoły, kryte słomą, dwór, wyglądający z poza ciemno-zielonych liści, a w końcu Antosię, pana Anzelma i całą ich rodzinę. Zdawało mu się, że po śmierci matki oni jedni pozostali tylko na tym świecie. Przypomniał sobie rozstajne drogi, rozwaloną kaplicę i pożegnanie pana Anzelma. Wszakże od tych rzeczy nawet rok nie upłynął!

Myślię te obudziły w nim, jak na jego wiek, bardzo dziwne postanowienie, i otóż — zapragnął do pana Anzelma napisać list. Pamiętał nazwisko poczty, z której pan Anzelm odbierał pisma i wiedział, że przy bramie ich kamienicy wisiała pocztowa skrzynka. Dwu tych szczegółów było dla niego dosyć. Wziął więc papier, poliniował go i zaczął:

“Kochany panie:

“Mama chciała pisać do pana, ale już umarła...”

Przeczytawszy te wyrazy, rzucił pióro i zalał się rzewnymi łzami. “Już umarła!...” Jakie straszne słowo, i to on sam je napisał!

Odtąd po kilka razy zasiadał do rozpoczętego listu, na którym duże i nieforemne litery niejednokrotnie rozpływały się w łzach. Wreszcie, po kilku dniach, rzucił zaadresowany list do skrzynki, a wkrótce potem przechodzący przez pocztę, w szafce nieopłaconych korespondencji, widzieć mogli między innemi adres,, pisany ręką dziecinną:

“Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce, żeby prędko doszedł.”

Zabawny ten adres był mimo to dokładnym; na nieszczęście jednak, na kopercie nie było marki!... List musiał przepaść, choć kto wie, czy od nego nie zależała przyszłość, a nawet życie Jasia.

Gdy rodzina filantropijna wróciła ze wsi, pan Karol dostrzegł w Jasiu zmianę. Chłopiec patrzył na wszystkich śmiało, lecz ponuro. Gdy Edzio i Tadzio zaczęli opowiadać mu o konnej jeździe, pływaniu czółnem i wdrapywaniu się na drzewa, przerwał im, mówiąc:

— Znam ja to lepiej od was!

I wyszedł, nie wysłuchawszy końca ich opowiadań.

Na domiar złego, do książki siadał niechętnie, a gdy mu improwizowani nauczyciele wyrzucali lenistwo, odpowiadał:

— Żebym ja was tak uczył, wypędzilibyście mnie z domu!...

Zdarza się, że owad, schwytany przez dziecko, traci na chwilę przytomność i zachowuje się tak, jak rzecz martwa. Dopiero gdy go wsadzą na szpilkę, poczyną się więc i usiłuje kąsać. Jaś już się wił. Słabszy charakter w jego położeniu uległby i do śmierci pozostał zabawką dzieci i dorosłych; Jaś nie uległ, i to go zgubiło. Pan Karol bowiem, widząc nieustanne rozdrażnienie sieroty i grzeczność swoich synów, posądził Jasia o złośliwość.

— Tyle miałem sympatji dla tego chłopca — mówił raz do żony — ale on nie umie tego ocenić, i jak uważam, nie lubi, ani nas, ani naszych dzieci.

— Tak zawsze bywa z cudzem pisklęciem!... — odparła żona, całując męża w zadumane czoło.

Wkrótce pan Karol znowu zapomniał o sierocie, a nawet o ustawie, pracowni dla kobiet. W tym czasie bowiem, ruchliwy i wiecznie na usługi społeczeństwu oddany umysł jego zajął się kwestją budowania blaszanych śmietników dla miasta. Odtąd pan Karol począł naradzać się z technikami, blacharzami, kołodziejami — i ze swych nowych marzeń ocknął się nie prędeż, aż w domu wybuchnął skandal.

Pewnego dnia, Jaś, jak zwykle, w pokoju chłopców uczył się łaciny i, jak zwykle, nauka szła mu niesporo.

Na pozór był on sam, właściwie jednak było ich dwóch: to jest on i welocyped, który stał pod piecem. Ile razy chciał Jaś skupić uwagę nad książką, tyle razy przeszkadzał mu niepoczciwy jego towarzysz. Zdawało się Jasiowi, że welocyped to rusza kółkiem, to pochyła się, jak pijany, to znowu ma taką minę, jakby się oglądał i dawał mu znaki. Gdy Jaś położył książkę, welocyped stał spokojnie jak trusia, lecz gdy znowu wziął się do roboty, welocyped znowu rozpoczynał figle, niekiedy bardzo pocieszne. Widocznie kusił chłopca.

Ponieważ pantominy te zniecierpliwiły Jasia, zbliżył się więc do sprytnej maszynki i począł ją oglądać. Potem wsiadł na nią i... ostrożnie przejechał po pokoju.

W chwili, gdy jeździec i koń zawrócili się z powrotem do pieca, skrzypnęły drzwi, i do pokoju wpadli obaj chłopcy.

— Czy widzisz?... — krzyknął do brata rozgniewany Edzio: — On jeździ, zamiast się uczyć!...

— Złaż zaraz, ty ośle... — zawołał Tadzio, i porwawszy Jasia za ramiona, gwałtownie pochylił go w tył.

Szarpnięcie było tak bolesne, że Jasiowi świeczki stanęły w oczach. Broniąc się, machnął tak nieszczęśliwie ręką, że uderzył Tadzia w twarz.

Rozpoczęła się krótka, lecz gwałtowna walka, w ciągu której Jasiowi krew popłynęła z nosa, a obaj chłopcy mieli popodbiżane oczy. Na odgłos bitwy wpadła do poko-

ju pani Karolowa, przed którą Edzio i Tadzio usprawiedliwili się bardzo prędko, oskarżając Jasia, że ich zbił pięściami i powydzie-rał im włosy z głowy.

Pani Karolowa znalazła się przy tej sposobności jak lwica w obronie tłwiątek. Nozdrza się jej rozděły, oczy zaszyły łzami... Nie pytając o powód kłótni, ani patrząc na nos Jasia, krzyknęła drżącym z gniewu głosem.

— Precz mi stąd!... nie godzien jesteś bawić się z memi dziećmi, niewdzięczniku!...

Wzburzony Jaś pobiegł do swego pokoiku i upadł tam na łóżko. Niezadługo usłyszał nowy hałas: to synowie i matka oskarżali go przed panem Karolem. Biedny chłopiec był już przygotowany na plagi; szczęściem, wkrótce wszystko ucichło.

Upłynęła godzina jedna i druga. Gniew Jasia ochłonał, lecz za to wrócił niepokój.

— Co oni myślą robić ze mną?... — szeptał przerażony.

Nadeszła pora obiadowa, i milczący lokaj przyniósł Jasiowi do pokoju jedzenie; lecz chłopiec niczego nie dotknął, myśląc ciągle: co z nim będzie?...

Po upływie dwudziestu czterech godzin, służący wezwał Jasia do gabinetu pana. Sierota zastał Karola, jego żonę, obu synów, a na biurku mały model blaszanego śmietnika, nad którym obecnie pracował filantrop.

— Jasiu! — zaczął pan Karol bez żadnej oznaki gniewu. — Przyjąłem cię do domu, w nadziei, że potrafisz być wdzięcznym, a przynajmniej znośnym. Ty jednak byłeś skrytym, upartym, leniwym, nie okazywałeś nam żadnego przywiązania, a w do-

datku, wczoraj skrzywdziłeś moich synów. Ponieważ w społeczeństwie złe postęпки nie mogą być przepuszczane bezkarnie i ponieważ sprawiedliwość wymaga przede wszystkim usunięcia przyczyn złego, jestem więc zmuszony oddać cię z mego domu. Pójdiesz do rzemiosła!...

Jaś stał nieporuszony; pan Karol mówił dalej:

— A teraz, kiedy sprawiedliwość już wymierzona, my przebaczymy ci wszystko złe, któreś nam wyrządził... Tadziu, podaj rękę Jasiowi!

— Ojcie! — odezwał się w tej chwili Edzio; — mój brat nie może podawać ręki temu, który go uderzył w twarz!...

Na te słowa, myślące oblicze pana Karola rozjaśniło się. Rzekł więc:

— Moje dzieci! Jakkolwiek zawziętość jest wadą, cieszę się jednak, że umiecie szanować swoją godność...

I powiedziawszy to, znakomity filantrop spojrzał naprzód na swoich synów, potem na model śmietnika, a wreszcie pocałował żonę w rękę i szepnął jej do ucha:

— Jest to jeden z piękniejszych dni w mojem życiu!...

W parę godzin potem wezwano Jasia powtórnie do gabinetu. Sierota zobaczył pana Karola na fotelu, a przy drzwiach jakiegoś człeczynę z czerwonym nosem.

— Jasiu, — rzekł pan Karol — oto jest twój nowy opiekun, który cię dziś weźmie do siebie. Upakuj rzeczy.

Gdy Jaś wrócił do pokoju, nieznajomy udał się za nim i biorąc poufale chłopca za klapę surduta, zapytał:

— Ten surdut to chyba nie w Warszawie robiony?...

— W Warszawie, panie!... — odparł Jaś bojaźliwie.

— Jak się pouczysz u mnie, mój mały, ze sześć lat, to będziesz lepsze robił!... — mruknął nieznajomy opiekun, który był krawcem.

Pożegnanie sieroty z panem Karolem i jego żoną było oziębłe. Gdy Jaś wyszedł już na schody, wybiegła za nim stara kucharka i wsuwając mu w kieszeń kilka dziesiątek, szepnęła:

— Bywaj zdrów, moje dziecko!... Może się ludzie lepiej na tobie poznają.

Jaś, który nigdy nie rozmawiał z tą kobietą, spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak! tak! — mówiła dalej. — Dobrze z ciebie dziecko i zdatne, tylko zwyczajnie sierota!...

Jaś rozplakał się i pocałował ją w rękę. Z ust tej kobiety pierwszy raz dopiero usłyszał serdeczne słowo w domu grzecznych, moralnych i miłosiernych marionetek.

VIII. Nowy Przyjaciół.

Pan Kalasanty Durski, majster krawieckiego kunsztu, mieszkał w okolicach Starego Miasta, gdzie w pewnej kamienicy na dole posiadał sklep z żoną, a na drugim piętrze warsztat z odpowiednią liczbą chłopców i czeladników. Był to człek starej daty; nosił na grzbiecie surtdut z długim stanem, a pod czerwonym nosem wąsy, które skutkiem podgolenia przypominały wycior do cybuchów. Grywał przytem niekiedy na basetli

i miłował swoją rodzinę, tudzież krajowe trunki.

Z takim opiekunem szedł Jaś na nowe mieszkanie, a choć droga była niewielka, zjadła im jednak dużo czasu. Na każdej ulicy pan Durski zostawiał Jasia na flizach, a sam "wstępował za interesem." Chłopiec dostrzegł, że interesa te zawsze przypadały w cukierni lub bawarii, i że musiały iść dobrze, ponieważ pan Kalasanty stawał się coraz rzeźwiejszym.

Nareszcie opiekun i wychowawiec dosięgli "magazynu ubiorów męskich," w którym znaleźli chudego i zaspanego chłopca imieniem Jędrus i bardzo otyłą damę — samą panią Durską. Wobec damy tej Jaś złożył ukłon, a pan Kalasanty, stanawszy na rozkraczonych nogach, zawołał:

— A co! szanują nas ludzie! Oto jest — mówił, wskazując Jasia — ten chłopak, co nam go dali w opiekę. Tamci go, panie, wzięli, ale że był niewdzięcznik, uparty i kawalerów trochę w zęby poszturgiwał, więc go, panie, oddali do mnie, do Durskiego!... U mnie, panie, czysty dom poprawy... Wszystkich łajdaków mi oddają z całego świata! Cóż ty na to, Franiu?...

Otyła dama bacznie przypatrywała się Jasiowi. Widząc to, pan Kalasanty zadarł mu głowę do góry, uszczypnął w policzek i mówił podniesionym głosem:

— Powiadam ci, Franiu, że to chłopak z edukacją, tylko trochę łajdak, i dlatego do mnie go oddali... do Durskiego! Ale jak ja mu, panie, przyfastryguję kilka rzemieni pod sprzążkę, to wyrośnie z niego anioł...

jak Jędrus!... Daj-no Franiu, złotówkę, muszę iść do miasta.

— Przecieżeś dopiero wrócił z miasta... — odparła dama niechętnie. — Poszedłbyś lepiej na górę, bo tam stają na łbach...

— A ja po co na górę?... — oburzył się majster. — A od czego ja trzymam Panewkę?... A kto będzie za interesami chodził?... Daj, Franiu złotówkę!...

Pyzata i jakby nalana twarz damy ożywiła się.

— Patrzcie go śmirusa, on mi tu będzie interesami zawracał... — krzyknęła dama. — Nie dam nic... siedź w domu!... Nie bój się, nie zbankrutują bawarie, jak dziś nie pójdziesz.

— Jakie znów bawarie? — Muszę przejść po dłużnikach, bo mi pieniądze przepadną. Dajże choć dwadzieścia groszy.

Dama, znudzona, wydobyła z kantorka dużą dziesiątkę i wręczyła ją mężowi, który wyszedł ze sklepu, mruczając:

— Każdy umie brać na kredyt, a za pieniędzmi sam lataj!...

— Jędrus!... rzekła majstrowa do chudego chłopca — a wyjrzyj-no oknem, dokąd pan poszedł?...

Chłopak stanął przy szybie, i popatrzasz jakiś czas, parsknął śmiechem.

— Cóż tam znowu!... — zapytała dama.

— A bo, proszę pani majstrowej, pan majster pokazuje, że mi da kopsa! — odparł chłopak, zatykając rękami usta.

— A dokąd poszedł?

— Jużci, że do dziurki!... Tam teraz przywieźli świeże piwo.

— Śmirus!... wałkoń!... — lamentowała dama. — Żeby on tak często chodził do kościoła, jak na bawarie, toby go żywcem do nieba wzięli...

Skończywszy te sentencje, ziewnęła, zamysliła się, a potem zawołała na chłopca:

— Jędre!...

— Słucham pani majstrowej?...

— A skocz-no po kufelek piwa i rachuj który, bo oni nas zawsze okpiwają.

Gdy chłopiec przyniósł piwo, pani majstrowa wypila je duszkiem, i zamknawszy oczy, przesiedziała tak z pół godziny. Potem zaś, zwróciwszy się do Jasia, mówiła zwolna:

— Tak! tak! mój kawalerze... choć masz edukację, oddali cię do rzemiosła. Ze mną było to samo; mogłam wyjść za urzędnika, a wyszłam za krawca... Siedzę też teraz za kontuarem i świecę ludziom oczyma... Tak to, tak!... Jędrus!...

— Słucham pani majstrowej!... — odparł drzemiący chłopak.

— Skocz-no po kufelek piwa!... A który to idzie?...

— Dziewiąty, proszę pani majstrowej.

— Jak to dziewiąty?... liczyłam przecież po szybach, i jeszcze mi jedna została.

— Ale dziewiąty, proszę pani majstrowej!... — twierdził zuchwale chłopak, choć w tej chwili miał bardzo czerwone uszy i ponure wejrzenie.

Do takiego to majstra wszedł Jaś "na poprawę." Z początku trzymano go w sklepie, później jeden dzień siedział w sklepie, drugi na górze w warsztacie. Głównem zajęciem jego było: chodzenie za sprawunkami

i odnośnienie posylek. Niekiedy kazano mu przyszywać metalowe guziki do tej części ubraia, którą brzydzili się sankiuloci; niekiedy polecano bawić dzieci, których państwo Durscy mieli dwoje. Że zaś jedno z nich nazywało się Jasiem, naszego więc małego przyjaciela dla odróżnienia nazwano Jaśkiem.

Sierota prędko zniechęcił do siebie całe otoczenie. Według zwyczaju, pan majster, zamiast śniadania, dawał chłopcom po sześć groszy. Chłopcy pieniądze te składali razem i kupowali wódkę i bułki, a ponieważ Jaś nie chciał pić wódki, terminatorzy znienawidzili go "za ambitność."

Znacznie gorsze było to, że nie lubiła go majstrowa. Wszyscy chłopcy, za obiady i kolacje, całowali ją w rękę; chudy Jędrus robił to częściej nawet niż inni, Jaś—tylko się kłaniał.

— Jaki mi... z pańskiej psiarni!... — mawiała często majstrowa. — Dlatego, że niby to uczył się po francusku, to mnie już nie może pocałować w rękę... Fąfel!...

Potem zaś, wysapawszy się, wołała:

— Jędre!

— Słucham pani majstrowej! — odpowiadał chłopak, przecierając oczy.

— Skocz-no po kufelek piwa... A tylko dobrze rachuj, bo oni strasznie oszukują.

U majstra Jaś także nie miał łaski.

— Co on sobie myśli, ten błazen?... — oburzał się nieraz pan Durski. — U niego czeladnik pan, ja — pan i wszyscy panowie... Jakby był udziałnym księciem, nie przybłędą!

I często gromił Jasia, a jak obecnie — Jaśka, któremu znowu tytuły: "pan majster"

i "pani majstrowa" — z trudnością przechodziły przez gardło.

Pan Kalasanty nietylko nie lubił, ale nawet z pewnego rodzaju wzgardą spoglądał na sierotę. Majster miewał ciągle interesa do miasta, skutkiem czego ciągle trzeba było szukać. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wszystkie sprawy, mające na celu podniesienie krajowego przemysłu, koncentrowały się w pobliskiej bawarii, gdzie chłopcy z całą łatwością odnajdowali swego przewodnika i chlebowawcę, zawsze przy tym samym stole i kuflu.

Pewnego dnia, Jaś był delegowany do sprowadzenia z bawarii pana Durskiego. Chłopiec poszedł tam i znalazł opiekuna w wesołym towarzystwie ludzi statecznych.

— Oho, patrzcie! — zawołał majster, ujrzawszy go. — To ci, panie, chłopiec!... On ci, panie, nawet po francusku gada, kiedy chce, a przecież do mnie oddali go na edukację.

— Fiu!... fiu!... — zagwizdał jeden z obecnych, który miał minę senatora, a wyglądał na rzeźnika.

— Nie wierzycie?... — spytał majster, usiłując utrzymać się na krzeselku z godnością. — Powiedz zaraz chłopak, jak się mówi po francusku: piwo, wódka, albo surdut?

Gdy zawstydzony Jaś wyraził te przetłómaczył, majster zapytał z kolei:

— Pocóż tu przyszedł?

— Pani prosi pana do sklepu.

— Nie głupim!... — odparł skwaszony nieco pan Kalasanty. — Powiedz, że ja odejść nie mogę, że mam tu interesa... że tu jest

jeden kupiec z Petersburga, co robi u umnie obstalunki!...

Obecni buchnęli śmiechem, pan majster zaś rzekł, podając Jasiowi kufel:

— No! masz... napij się, a gadaj, jak ci powiedziałem.

Jaś podziękował za piwo, a pan majster aż skoczył ze zdziwienia.

— Nie pijesz piwa?... — krzyknął. — Hej... Zośka!... daj-no temu małemu kieliszek anyżówki! Dopiero pozna co to smak...

Jaś i za anyżówkę podziękował i prędko wrócił do sklepu, gdzie pani majstrowa z łatwością wybadła go, że jej mążonek pije piwo, i że zasłania się jakimś petersburskim kupcem.

Pan Durski, dowiedziawszy się o tem, plunął z gniewu.

— Nic z niego nie będzie! — mrucał. — Nie zna się na piwie i roznosi plotki!...

Wśród zgrai niechętnych, Jaś znalazł przyjaciela, w osobie czeladnika Panewki. Pan Ignacy Panewka był to człeczyna młody, przysadzisty, niezgrabny, z wielką głową, ozdobioną włosami prostemi, jak druty, pałkowatym nosem i wypukłemi oczyma. Pracował okrutnie, i on to utrzymywał warsztat Durskiego, a że krajał jak nikt w Warszawie, śpiewali więc o nim chłopcy:

Pan Panewka,
Psia podszewka,
Kraje jak Szabu,
A głupi jak but.

Ponieważ rodziny nie miał (przed dwudziestu kilku laty spadł z deszczem około szpitala Dzieciątka Jezus), przywiązał się

więc do swego majstra, i, pomimo częstych kłótni, siedział u niego od kilku lat. Dzień, w którymby Ignacy na dobre rozdzielił się z Durskim, byłby ostatnim dla warsztatu, sklepu i reputacji znakomitego krawca.

Ten Panewka był osobliwym człowiekiem. Nie miał ani rozumu, ani ukształcenia, lecz jakiś dziwny instynkt, który go popychał do sympatyzowania i naśladowania tych, których uważał za doskonalszych od siebie. Na nieszczęście, ideały owe były mniej, niż skromne. Jeden z nich nosił włosy rozpołowione na przodzie i rękawiczki wątrobiastego koloru, i otóż pan Ignacy nie używał od tego czasu innych rękawiczek i nie czesał inaczej głowy. Ktoś drugi imponował mu siłą i awanturniczym duchem: wnet zatem Panewka zapragnął mu dorównać; porwał się na jakiegoś drągala, był przez niego sromotnie pobity i w dodatku — poszedł do kozy na parę dni.

Ponieważ Durski miał przysłowie: “panie” i mógł wypić od razu kilkanaście kufli, więc i Panewka mówił: “panie” i przepijał cały zarobek. Usłyszawszy raz, że ktoś tam zjadł dwanaście jaj na twardo, idealista postanowił spróbować tej samej sztuki i dostał zapalenia kiszek, z którego ledwie wylizał się po kilku miesiącach.

Na tej nierozwiniętej, a gwałtownie wydzierającej się ku lepszemu duszy sierota zrobił ogromne wrażenie. Panewka znowu zapragnął go naśladować. Ponieważ Jaś był ładny, pan Ignacy zatem całe godziny spędzał przed lustrem, badając: o ile jego pałkowaty nos, szerokie usta i kanciaste policzki czynią go podobnym do miłego chłopczyzny?

...Jaś nosił włosy krótkie, i wnet Panewka ostrzygł głowę przy samej skórze, uwydatniając tym sposobem wielkie i odstające uszy. Jaś — Durskiego tytułował tylko: "panem" i otóż Ignacy począł mówić: "panie" i "pani" zamiast jak dotychczas "panie majstrze" i "pani majstrowo". Że jednak reformy te szły mu niezgrabnie, wyśmiali go więc wszyscy, nieboraka, a Jaś od pana Kallasantego dostał za uszy.

"Szukajcie królestwa Bożego", — mówił Pan; Ignacy szukał go, lecz nie umiał znaleźć. Czuł on, że jaja na twardo nie zrobiły go doskonalszym, ani ostrzyżenie włosów podobnym do Jasia. Co gorsza, nie wiedział nawet, jakie przymioty chłopca czyniły go tak sympatycznym?

Pewnego razu, gdy byli sami, zapytał sieroty:

— Widziałeś ty kiedy człowieka uczciwego na świecie?... — Ale takiego, że nu!...

— Oj oj! — odparł Jaś potakująco.

— Kto on taki?

— A pan Anzelm i... moja mama... — dodał ciszej.

— Cóż oni takiego zrobili?...

— Oni wszystko dobrze robili!... — odpowiedział chłopiec.

"Wszystko dobrze robili!..." W tem to i sęk. Panewka też dobrze robił — krawieczkę; ale o reszcie dobrych czynów nie wiedział. W pierwszej chwili chciał nawet pytać Jasia: co to znaczy robić dobrze? Ale przyszło mu na myśl, że jest przecież czeladnikiem, a Jaś terminatorem, dał więc spokój. Odtąd jednak coś go trapiło we wnętrzu, i czy się ubierał, czy krajał, czy pił, za-

wsze myślał; co to znaczy robić dobrze, ale tak dobrze, że to nu!... Był on ziemią, która oczekiwała niebieskiej rosy.

Innym razem słyszał Panewka, jak Jędrus mówił do chłopców:

— Ten podły Jasiek psuje nam interes! Nie chce nic brać od kundmanów za odoszenie, a jak co wytarguje na mięsie, to oddaje majstrowej... Lizus!...

Błyskawica oświeciła ciemny umysł Panewki; przeczuł on, że oddawanie pieniędzy majstrowej należeć musi do czynów dobrych.

Ponieważ na drugi dzień przypadała niedziela, więc pan Ignacy (który nie mieszkał u Durskiego), wybrał się z wizytą do Jasia. Zastał go na strychu, gdzie wszyscy terminatorzy sypiali.

Po krótkiej pogadance, która się ciągle urywała, czeladnik nagle zapytał chłopca:

— Dlaczego ty sobie nie bierzesz koszykowego, głupi?... Miałbyś przecie trochę własnych pieniędzy...

— Ja nie chcę kraść! — odparł z oburzeniem sierota.

— Głupi! głupi! — mruczał zmieszany Panewka, usiłując nadrobić miną. — Przecież co utargujesz w jatce, to twoje.

— Co to, to chyba nie! — odpowiedział Jaś. — Jeżeli się potrzeba z czem kryć, to już jest źle.

Ignacy oparł wielką głowę na rękę i po długim milczeniu zapytał:

— No, a jeśliby kto brał tak: guziki, igły, nici, albo kawałek aksamitu, to także źle?...

— Rozumie się! przecież to złodziejstwo.

Czeladnik wyprostował się jak sprężyna; przeszedł się parę razy po strychu i począł mówić:

— Głupstwo!... Jak będziesz brał choćby igły i nici z warsztatu, to ci fuszerka taniej wypadnie, i możesz pójść czasem na Pragę, a czasem do teatru. A jak nie będziesz brał, to i nic nie zarobisz, i jeszcze cię inna czeladź nazwie durniem. Co ci z tego przyjdzie, że majstrowi jakiś tam kawałek podszewczy, albo kortu zostanie?...

— Będę wiedział o tem, że robię dobrze... Inni niech gadają, co chcą! — odpowiedział Jaś krótko.

Nowa błyskawica oślniła Ignacego. Do tej pory sądził on, że tylko to jest dobre, co ludzie chwalą; teraz poznał, że nad opinię ludzką istnieje wyższy probierz: przekonanie o dobrem. Nie można powiedzieć, aby o probierzu tym nie słyszał nigdy; dziś jednak, pod wpływem przywiązania do sieroty, poczuł i zrozumiał jego wartość.

Odtąd, był to już inny człowiek, a w ciągu następnych kilku tygodni pan Durski przekonał się, że mu w warsztacie wychodzi mniej materiału.

Innej niedzieli, pan Kalasanty znowu wyszedł za "interesem", a pani Kalasantowa znowu wysłała Jasia, aby poszukał jej męża. Chłopiec udał się do bawarii i przy zwykłym stole zobaczył Panewkę i Durskiego, który zawzięcie dysputował z jakimś nieznanym jegomością.

— Stawiam w zakład dziesięć kufli piwa, że prawda!... — woła zaperzony majster.

— Trzymam! — odparł z uśmiechem jegomość.

W tej chwili pałające spojrzenie Durskiego padło na Jasia, więc krzyknął:

— On nam powie!... to chłopak z edukacją!... No, powiedz mi zaraz, tylko nie zeżłyj, czy do Ameryki można dojechać końmi?...

— Ale gdzież tam! — śmiało odparł Jaś.
— Przecież Ameryka leży za oceanem. A...

Nie dokończył, bo majster schwycił go za kołnierz i wyrzucił za drzwi, mruczając:

— On mi tu jeszcze będzie gadał!... Przecież nieraz czytałem o herbacie lądowej; a gdyby Ameryka...

Ale i on nie dokończył, przerwał mu bowiem kipiący z gniewu Panewka:

— Co pan majster będziesz chłopaka wyrzucał za drzwi, jak psa?... Co to! czy on pański syn?

I pogroził mu pięścią.

Podchmielony nieco majster otrzeźwiał.

— A ty mi jakim prawem będziesz wygrażał?... — krzyknął.—A tyś co za jeden?... Skórka na buty!... he?...

Niewiele już brakowało, żeby się chwycili za krawaty. Szczęściem, rozbrojono ich i odprowadzono na bok rozjuszzonego czeladnika, który wciąż wołał:

— Już ja u ciebie, śmirusie, robić dłużej nie będę!... A jak mi chłopca skrzywdzisz kiedy, to cię tak wystębnuję, że z ciebie nawet kotletów nie wykroją!...

Był to dzień fatalny, pan Durski bowiem nie tylko przegrał dziesięć kufla piwa, ale jeszcze — miał stracić czeladnika, swoją prawą rękę w warsztacie i handlu! Myśl ta

otrzeźwiła go zupełnie, zawrócił więc do domu smunty i położył się spać.

W poniedziałek Ignacy od rana nie przyszedł do roboty, majster więc musiał go zastępować na górze, upomniawszy żonę, aby dała mu znać natychmiast, skoro się zjawi Panewka. Nareszcie, tak niecierpliwie oczekiwany czeladnik przybył około dziesiątej, żądając ukończenia rachunków i dziękując uroczyście za miejsce.

W tej chwili Jędrak poleciał do warsztatu, a pani Durska odezwała się płaczliwym głosem:

— Co też to znowu panu Ignacemu do łba strzeliło?... Rzucać nas, takich przyjaciół, takich... co to żebyś pan z latarnią szukał, nie znajdziesz na całym świecie!

Panewka milczał.

— No, panie Ignacy, szoruj pan na górę!... stary kazał na przeprosiny kupić pół kwarty anyżówki, no!...

Ponieważ w tej chwili usłyszano jakiś krzyk w podwórzu, więc majstrowa i czeladnik wyszli do sieni. To Durski wołał z ganku drugiego piętra:

— Ignaś!... Ignaś, psia wiaro!... Kim na górę!... Palniemy sobie po kieliszku...

— Nie chcę!... — odpowiedział tym samym głosem czeladnik, otrząsając się gniewnie:

— Aaa!... Jakież z ciebie Ignac, mój ty Ignaś! — wołał znowu majster. — No, chodźże do mnie!... Ja już zeszedłem na pierwsze piętro, chociażem majster i mógłbyć być twoim ojcem... Chłopcy! a weźcie się do niego!...

Po tych słowach, zbiegli ze schodów z wielkim łośkotem dwaj najsilniejsi terminatorzy, a jednocześnie z ganków i okien poczęli wyglądać lokatorowie. Lecz choć chłopcy wzięli go pod oba ramiona, a otyła Durska poczęła z całych sił rękami i głową podpierać mu plecy, uparty Panewka ani drgnął. Dopiero gdy Jaś przybiegł do niego i szepnął słówko, czeladnik zmiękł od razu i milcząc poszedł do roboty.

Teraz już poznali wszyscy, jak wielką władzę ma nad Ignacym sierota, i — znienawidzili Jasia jeszcze bardziej.

IX. Figiel Poczciwego Jędrusia

Po owej awanturze z majstrem Panewka jeszcze bardziej zbliżył się do Jasia, coraz częściej składał mu wizyty lub zapraszał do siebie. a jednej z takich wizyt zapytał sieroty:

— Skąd ty wiesz, że Ameryka jest za morzem?

— A z książek — odparł Jaś.

— Książki! — mruknął czeladnik, skrobiąc się w głowę. — Diabło to droga rzecz...

— Nie bardzo. Za kilka złotych można mieć wcale porządną...

Panewka zamyślił się, a potem rzekł nagle:

— Gdybym ja tak nie pijał piwa, to wiele możnaby mieć książek na rok?

— Eh! — zawołał Jaś — chyba ze sto!

Ignacy złapał się za głowę; następnie zaś, z wielkiem zakłopotaniem, począł mówić:

— Bo to widisz, jabym tak chciał wiedzieć jedno i drugie, alem... trochę słaby w

czytaniu, i w pisaniu nie tęgi. Żebym miał przy kim przypomnieć sobie...

Jasiowi zamigotały oczy.

— Ja pana nauczę... wszystkiego nauczę! — krzyknął, chwytając czeladnika za rękę.

I stanął układ. Panewka zarzucił piwo, wyrzekł się teatru, a natomiast począł kupować książki, które dawał Jasiowi. Jaś za to uczył go czytać, pisać, trochę rachunków, a nadewszystko opowiadał mu mnóstwo ciekawych rzeczy.

Odtąd, każdy świąteczny dzień, od rana do nocy, spędzali razem. Lekcje trwały krótko, lecz za to — prawie końca nie było czytaniu. Jaś pełnił obowiązki lektora, a czeladnik słuchał i pożerał wzrokiem chłopca.

Czy Jaś rozumiał swój wpływ na czeladniku i jego niezmierne przywiązanie?... o tem godzi się wątpić. Chłopiec lubił go, lecz bardziej jeszcze książki, których mu dostarczał Ignacy. Czuł on, że między nimi istnieje niezapełniona przepaść, jaka istnieć może między dwoma umysłami: czynnym i biernym, tudzież między dwiema osobami, z których jednak jest tępą, flegmatyczną i szorstką, druga zdolną, ognistą, wrażliwą i dobrze wychowaną. W tym więc czasie, gdy Panewka nie mógł prawie żyć bez Jasia, Jaś obywatł się bez niego doskonale, a nawet niekiedy nudził się z nim. Istotnie, owe wiekuiste a nie zawsze rozsądne pytania, owe wpatrywanie się w oczy, ślepa wiara we wszystko, co wychodziło z ust chłopczyny, mogły zaciężać nawet wytrawnemu człowiekowi. Bezmierne przywiązanie zawsze na-

kłada pewien rodzaj pęt na osobę ukochaną, i dlatego łatwo może się sprzykrzyć.

Z rodziną pana Karola stosunki Jasia zerwały się zupełnie. Będąc już w terminie, sierota odwiedził ich kilka razy. Za pierwszym razem pani pogadała z nim w przedpokoju i nakarmiła w kuchni. Za drugim razem pan Karol palnął mu długą mowę, w której radził kochać, szanować i słuchać majstra, i — zarabiać na przychylność kolegów. Za trzecim razem — zamknięto chłopcu drzwi przed nosem. Odtąd ani razu nie poszedł tam i począł uczuwać w sercu niechęć do znakomitego filantropa, którego rady, w oczach Jasia, nie miały sensu. “Słuchać majstra” — a więc pić piwo i wódkę, pochlebiać i niekiedy kłamać! “Zarabiać na przychylność kolegów?” — a więc kraść i znowu kłamać!... Rozmyślając nad tem kazaniem, Jaś wzruszył ramionami, choć miał dopiero lat jedenaście.

Wśród takich wypadków minęło lato, jesień, a nawet i Boże Narodzenie. Jaś na kolędę dostał od majstra nową kamizelkę, a od pana Karola następujący liścik, zaadresowany na imię Durskiego:

“Jasia nie proszę na święta, ponieważ prawdopodobnie sam nie będę w domu. Z pieniędzy pozostałych po nieboszcze, a ulokowanych przeze mnie w kasie oszczędności, posyłam rs. 10 na zakupienie rzeczy dla Jasia potrzebnych. Przypominam mu też, aby był dobrym i westchnął niekiedy za duszę matki. Uniżony sługa Karol.”

Pan Kalasanty list ten odczytał głośno, wobec wszystkich terminatorów i czeladników, szczególny kładąc nacisk na wyrazy:

“Wielmożny pan Durski” i “uniżony sługa”, — a potem dodał do siebie:

— O widzisz!... Mać być dobrym i wzdychać czasem za duszę matki... “Uniżony sługa...” To jakiś porządny, panie, człowiek z tego Karola!...

Jaś, wysuchawszy, ścisnął pięści. Czuł on, że pan Anzelm nigdy nie napisałby podobnego listu.

Przez całe święta państwo Durscy hulali jak para aniołów. Po świętach, na Jana Ewangelistę, zamknęli sklep z okazji imienin swego synka, a na Młodzianków, otworzyli sklep, lecz, zostawiwszy w nim Jasia i Jędrusia, sami wyszli do miasta. Przypomniała sobie pani Durska, że naprzód, dziś wypadają urodziny stryjecznej siostry jej ciotki po ojcu, a powtóre, że jutro będą musieli oboje siedzieć w domu, ponieważ Panewka chce wyjść za interesami.

Z dwu chłopców, pilnujących sklepu, Jasia już znamy, warto więc poznać i Jędrusia. Jędrus było to pocziwe dziecko, jak mówili państwo majstrowie. Robić wprawdzie nie lubił, ale za to mógł cały dzień—siedzieć i drzemać. Był też niesłychanie przywiązany: za byle co całował majstrową w rękę, a majstra nigdy z żadnego sekretu nie wydał. Doskonały ten chłopiec posiadał przecież dwie wady: miał tępą głowę do rachunków i nie miał szczęścia do świata.

Jeżeli był posłany z rublem do miasta, a zrobił sprawunek za sześć złotych, wówczas przynosił szesnaście lub ośmnaście groszy reszty. Gdy go pytano: gdzie cztery grosze? — dziwił się, płakał, całował po rękę,

twierdząc jednak uparcie, choć łagodnie, że przyniósł reszty rychtyg tyle, ile było trzeba.

— Oto ci dopiero zakuty łeb! — krzyczał majster, z lekka targając go za uszy.

Niekiedy bywało gorzej, i trafiało się, że jaki łotr na ulicy wydierał pocziwemu Jędrusiowi po kilka złotych z ręki, a nawet raz wyrwał mu ktoś nowe spodnie, które odnosił. Wówczas pan majster chciał mu koniecznie „przyfastrygować kilka rzemieni pod sprzążkę”, lecz broniła go majstrowa.

— Daj spokój — mówiła tłusta dama: — czyż się godzi bić za nieszczęście? To bywają tacy ludzie! Jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą.

Wyznać jednak należy, że pocziwemu Jędrusiowi — szydła goliły zbyt często.

Otóż w dzień Młodzianków, gdy majstrów już od kilku godzin nie było w domu, a z gości nikt nie przychodził, pocziwy Jędrus odezwał się do Jasia:

— Przyniósłbyś tam jaką książkę do cytania, bo się okropnie nudzi.

Usłyszawszy to żądanie z usta zawołanego próżnika, Jaś zdziwił się, lecz mimo to pobiegł na stryszek. Zabawił z dziesięć minut. a wróciwszy, dostrzegł, że pocziwy Jędrus jest ogromnie zmieszany, i że mu drżą ręce. Nie zastanawiając się jednak nad tem głębiej, otworzył książkę i za chwilę utonął w czytaniu.

Tego samego wieczoru, pani Durska, odsunawszy sklepowy kantorek, zapytała męża:

— Czyś ty brał pieniądze, niedołęgo?...

— Nie... albo co?

— To, że nam brakuje kilkanaście rubli, ty pijaku!... — zawołała oburzona dama.

— Jezus! Maria!... — krzyknął zupełnie już trzeźwy pan Durski. — Pewnie nas kto okradł!

— Jużci że okradł, a ja nie wiem nawet, czy dziś czy wczoraj!...

Za szafami rozległ się szelest, na który jednak małżonkowie nie zwrócili uwagi. Po chwili namysłu majster rzekł:

— Nie gadajże nic nikomu... Jak jutro chłopcy będą w warsztacie, zrewiduję ich kuferki. Czy pamiętasz, jakie były pieniądze?

— Był jeden papier dziesięciorublowy... był znowu trzyrublowy sklejony, i tenbym poznała. Także srebrna pięciozłotówka i dwuzłotówka...

— Znajdzie się to! — mówił majster — tylko siedź cicho. Dzięki Bogu jeszcze, że się do grubych pieniędzy nie dobrał!...

W tej chwili uchyliły się po cichutku drzwi od strony podwórza, i z poza szaf sklepowych wyśliął się ostrożnie jakiś cień, skurczony i drżący. Ale majstrowie i tego nie zauważyli.

Okolo północy, na strychu, gdy wszyscy chłopcy pogrążeni byli we śnie głębokim, ten sam cień przypełzał do pościeli Jasia, począł przysłuchiwać się jego spokojnemu oddechowi, a wreszcie wyszeptał głosem, przypominającym syk węża:

— Jasiu!... Jasiu!...

Szept ten nie rozbudził sieroty; lecz podsunął mu marzenie. I otóż śniło się Jasiowi, że jest w nieznanym sobie ciemnym pokoju, z którego ktoś ukryty w sąsiedniej izbie usiłuje go wywabić, szepcząc:

— Jasiu!... Jasiu!...

Chłopiec znał skądś ten głos, lecz go się lękał. Zdawało mu się, że osoba, ukryta za drzwiami, musi być przebrana w stare i zleżałe kobiece suknie i że jest straszna. W niepojęty sposób odgadywał wysoki wzrost, widziadła, szkaradne rysy i fałszywy uśmiech, i czuł, że mu włosy powstają na głowie. Począł się lękać nie tylko tej osoby tajemniczej i złowrogiej, lecz i tych pustych pokojów i mroku, który je zapełnia... Chciał uciekać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa... Chciał krzyknąć, lecz głos mu zamarł... A tymczasem drzwi wpół otwarte skrzypnęły z lekka i przez szczelinę, między niemi, a futryną, zobaczył wyraźniej stare i zleżałe suknie, fałszywy uśmiech i martwe oczy widma...

Zerwał się z jękiem, i zdawało mu się, że dostrzegł ludzką postać, która zamknęła szybko jego kuferek i ukradkiem, przy ziemi, poczołgała się ku pościeli Jędrka. Widzenie to jednak Jaś policzył na karb snu i znowu padł na twardą poduszkę.

Z rana, gdy chłopcy zasiedli do roboty, pocziwy Jędrus zszedł do sklepu, a Jaś udał się za sprawunkami do miasta, pan Kalasanty, w towarzystwie jednego z czeladników, zrewidował kuferki na strychu, celem wykrycia wroczajszej kradzieży. Poszukiwania te trwały z godzinę, dobry jednak skutek musiał je uwieńczyć — pan majster bowiem wydając okrzyki podziwu i klnąc na czem świat stoi, szybko zbiegł do sklepu, aby złożyć raport żonie.

Tu zastał Jasia, który w tej chwili wrócił z miasta. Zobaczywszy go, prawie sza-

lony z gniewu, Durski schwycił chłopca za rękę i wrzasnął:

— A tuś mi, złodzieju!... Za to, żem cię na naukę przyjął, żem cię jak własnego syna pielęgnował, tyś mnie na podziękowanie okradł?... Poczekaj!...

Jaś osłupiał, a zdumiona majstrowa zawołała gniewne na męża:

— Czyś oszalał, stary?... Co ty wygadujesz?

Majster ochłonął nieco i rzekł:

— Gadam to, że on nas okradł. Ot, patrzaj co w jego kuferku znalazłem!...

I pokazał żonie sklejoną trzyrublowy papierek, tudzież pięcio i dwuzłotówkę srebrną.

Pani Durska aż usiadła na krześle.

— Chryste elejson!... — mruknęła:— jaki to teraz świat przewrotny!...

Majster znowu zwrócił się do Jasia podniesionym głosem zawołał:

— Gadaaj... kiedyś ukradł!... gdzie jeszcze dziesięć rubli?...

Jaś schwycił majstra za rękę i patrząc na niego z wyrazem rozpacz, zalany łzami, drżący mówił wśród łkań, któreby zmiękczyły najtwardsze serce:

— Panie!... panie!... co też pan mówi?... Jaby panu wziął pieniądze?... Ja?!...

— Gdzie dziesięć rubli?... — wrzasnął nieubłagany majster, uderzając go w twarz. — Gadaaj, bo oddam cię na policję!...

Jaś zaniósł się od płaczu i rozdzierającym głosem zawołał:

— Panie!... ja nie wziąłem... jak matkę kocham!...

I załamiał ręce.

Na tłustem obliczu pani Durskiej znać było powątpiewanie i litość, ale zacieklej jej małżonek nie miał zwyczaju ulegać podobnym słabościom, a widząc, że nie skutkują jego wrzaski, ani bicie, zniżył nagle głos o całą oktawę, i już niby spokojnie rzekł:

— Jędre! — zawołaj stójkowego.

Uczciwy chłopak powoli wyszedł, a Jaś oprzytomniał. Teraz dopiero zrozumiał swoje położenie; posądzono go o kradzież!... W tej chwili stanęły mu w myśli nauki matki, własny jego wstręt do podobnego występku, a wreszcie — widziany przez kilku laty obraz grupy ludzi, okutych w łańcuchy i otoczonych przez wojsko. Byli to zbrodniarze, do których obecnie zaliczono jego!...

Coś zamigotało mu w oczach, zaszumiało w głowie... Usłyszał brzęk kajdan i krzyki ulicznych tłómów... Rzucił się ku drzwiom i wybiegł na ulicę...

— Łapaj!... — zawołano.

Jaś wpadł do przechodniego domu, z niego na drugą ulicę i znikł wśród tłumu przechodzących.

Około południa do sklepu majstra Durskiego zeszło się mnóstwo osób. Byli tam terminatorzy, czeladnicy, sąsiedzi, którym pan Kalasanty, po raz dwudziesty z rzędu, opowiadał o tem; jak go Jaś okradł, jak dzieściu rubli nie oddał i jak wreszcie uciekł z domu, niewiadomo dokąd.

W tej chwili wszedł nieobecny dotychczas Panewka, stęskniwszy się widać do roboty, a może i do Jasia.

— Aha!... Jak się masz, panie Ignacy?... Dobrze się popisał twój metr!... —

zawołał majster, i znowu ze wszelkimi szczegółami opowiedział mu o kradzieży, o rewizji, o braku dziesięciu rubli i o ucieczce sieroty.

Panewka słuchał go skameniały. Nagle potoczywszy zwrokiem po obecnych, pochylił się naprzód. Oczy jego przybrały zielonawo-żółty kolor, a z poza bladych warg ukazały się rzadkie i krzywe zęby.

Zdziwiony majster przerwał opowiadanie, między obecnymi rozległ się szmer, a w tej chwili czeladnik — rzucił się na pocziwego Jędrusia i schwycił go za gardło.

Dobry chłopiec zsiniał, przykląkł i stłumionym głosem (choć go nie pytano) wybełkotał:

— Ja!... ja!...

Zaległa cisza, wśród której słyszeć było rozmowę na dwa szepty:

— Kiedyś podłożył pieniądze Jasiowi?

... — pytał czeladnik.

— Dziś w nocy!... — odpowiedział dobry Jędrus.

— Jakim sposobem ukradłeś?...

— Otworzyłem wytrychem...

— Gdzie reszta?...

— W mojej kamizelce...

Nigdy jeszcze nie widziano tak spokojnego badania i tak szybkiego wyznania. Czładnik po ostatnich wyrazach Jędrusia poszarpał na nim kamizelkę i z za podszewki wydobył zmiętoszony dziesięciorublowy papier.

— Czy to ten?... — spytał majstra, rzucając banknocetel na kantorek.

— Jużci, że ten! — odparł nie żartem przełęczony Durski.

— Niechże was Bóg skarże... za to posądzenie... was i dzieci wasze!... — krzyknął Panewka.

Potem, nie patrząc na nikogo, wyszedł ze sklepu, a za nim chyłkiem powysuwali się obecni, przejęci zgrozą.

W sklepie zostały trzy osoby: państwo Durscy i poczciwy Jędrus. Majster, który nigdy nie odznaczał się zbytkiem rozumu, teraz zgłupiał zupełnie. Przeszedł się parę razy po sklepie, marszcząc brwi i stukając w palce, a wreszcie, stanąwszy przed swoją większą połową, zawołał:

— Wiem, co zrobię!

Pani majstrowej źle jakoś z oczu patrzyło w tej chwili, lecz niezrażony majsterrek mówił dalej:

— Oto pójde ich poszukać i obu sprowadzę do domu: Panewkę i Jaśka... Frańciu! daj złotóweczkę...

Panią Durską, gdy usłyszała to, według jej własnego zapewnienia, jakby paraliż tknął. Jak się tedy nie zerwie, jak nie hopnie majsterka — raz z lewej strony, jak nie poparwi drugi raz z prawej — aż się zatoczył nieboże!... Potem, nie czekając na złotówkę, ani na dalszy ciąg poprzedzającego, schwycił Jędrusiową czapczynę, która mu zasłaniała tylko wierzch głowy, wypadł do sieni z wielkim impetem i oparł się dopiero w bawarii, jeneralnej poceszycielce strapionych. A pan Durska tymczasem biadała:

— Ach, nieszczęśliwa ja sierota!... Ach, pocóżem ja wyszła za tego birbanta!... Ach, nie lepiej mi było wyjść za urzędnika poczciwego?... Miałabym już do tej pory ze dwanaścioro dzieci, a tak dwoje, i to lichych,

krawieckich!... Ach, matko moja, pocóżeś ty mnie niebogę na ten świat wydała?... Jędrus!...

— Słucham pani majstrowej — mruknał podły chłopiec, wyłaząc jak wilk z poza szafy.

— A skoczno mi po kufelek pi...

W tej chwili spojrzenie jej padło na nikczemnego intryganta. Przypomniała sobie jego zbrodnię, straszną klątwę Panewki, i pochwyciwszy ze wściekłością nożyczki, rzuciła niemi w przewrotnego wyrostka. Ale chłopiec zręcznie się uchylił, a narzędzie śmierci albo kalectwo, z brzękiem odbiwszy się od ściany, utkwiło ostrzem w podłodze. Majstrowa zaś oparła na kantorku tłuste ręce, na nich głowę i poczęła znowu lamentować:

— Ach, skrzywdziłam sierotę!... Ach, skarże Bóg mnie i moje dzieci!... Czy zwaśniował Panewka, żeby tak strasznie przeklinać?...

A tymczasem Jaś biegł, sam nie wiedząc gdzie. Zdawało mu się, że ulice, sanki, ludzie, nawet niebo uciekają przed nim. Dotknięty zarzutem kradzieży, czuł swoją niewinność, a mimo to wstydził się, lękał i rozpaczał. Któż mu uwierzy, choćby przysiągł? On sam zresztą nie rozumiał, jakim sposobem w jego kufrze znalazły się pieniądze... Gdy nadejdzie noc, gdzie głowę przytuli, czem zaspokoi głód, który go już zaczął trapić?... Do jednej tylko istoty poszedłszy on śmiało, nawet takim obarczony zarzutem... Gdyby jej upadł do nóg i powiedział: "Mamo! ja jestem niewinny!..." — uwierzyłaby mu, a może i ocaliła od kajdan, których złowrogi

brzęk nieustannie rozlegał się w jego duszy... Ale matkę przyciska w tej chwili grób; a choć pasuje się z nim, choć radaby biedz na ratunek sierocie, nie puszczają jej napół zgniłe deski trumny i ścięty mrozem kopiec ziemi. Bezsilna wówczas, gdy jej syna w imieniu prawa ścigać ma całe społeczeństwo!

X. Dzieje Listu.

Powiadasz, mój przyjacielu, że Pan Bóg jest najlepszym dramaturgiem, ponieważ zawsze daje najmniej spodziewane rozwiązanie. Masz rację, i na dowód tego opowiem ci następującą historję.

Nieopatrzony marką list Jasia dość długo wisiał w pocztowej skrzynce, choć był bardzo a bardzo pilny. Przechodziło tam tedy mnóstwo dam, które bawią się tylko dla otarcia łez cierpiącej ludzkości, i z których każda jest tak świątobliwa, że po śmierci wprost z karawanu pierwszej klasy będzie wzięta do własnego pałacu w królestwie niebieskiem. Żadna z nich jednak nie raczyła spojrzeć na biedny liścik, który w niebogłosy zdawał się krzyczeć, ażeby go wysłano do Wólki! Przechodziły panny piękne jak jagody, a takie dobre, niewinne, miłosierne i wogóle tak doskonałe, że zjawienie się ich robiło dystrakcję wygłodzonym kancelistom pocztowym, że na ich widok, pocztylioni i bryftrygierzy zegnali się, jak przed cudownemi obrazami... Lecz i z nich żadna nie zainteresowała się liścikiem.

Przechodzili tamtędy panowie, starzy i młodzi, w futrach i paltotach, w płytkich i głębokich kaloszach. Ten miał złote okulary,

inny laskę z kością słoniową, ów częstował znajomych kilkuzłotowemi cygarami, tamten posiadał kamienicę, a jeszcze inny najlepsze serce w świecie. Wielu z nich było członkami Towarzystwa Dobroczynności, albo Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Wielu troszczyło się o paralityków. Ale list Jasia, od dawna leżący w skrzynce, żadnemu nie przyszedł na myśl.

Nareszcie i on zwrócił na siebie uwagę.

Przez dziedziniec pocztowy przesuwiał się codziennie jegomość chudy i łysy, w długim granatowym płaszczu. Zły to był i chytry starzec!... Ilu on panów, co powozami jeździli, wykierował na dziady; ilu kupców wsadził na Leszno; ile zgubił wdów i sierót; ilu młodzieńcom olbrzymiemi procentami zwichnał kariery, — o tem dopiero dowiemy się w dzień sądu ostatecznego.

Ponieważ staruszek przez całe życie pisywał listy na koszt, z obawy więc; czy i teraz do którego nie zapomniał przylepić marki, i czy mu go nie odrzuciła poczta, — często zaglądał do szafki. I otóż, w czasie jednych z takich odwiedzin, przeczytał adres:

“Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce, żeby prędko doszedł.”

Zobaczywszy to, stary aż się zatrząsł z gniewu i uderzając laską w kamienie, mruknął:

— A to dopiero oślisko jakiś!... Chce, żeby mu list prędko doszedł, a marki nie przylepia...

—Z temi słowy szybko pobiegł do bramy, lecz tu nagle się zatrzymał i znowu mruknął:

— Dobrze mu tak niech się pilnuje!...

Ale na środku ulicy Nowo-Senatorskiej znowu stanął i, jakby kłócąc się z kimś, mówił gniewnie:

— A to co nowego?... Ja... ja mam marki kupować dla jakichś tam hołyszów, urwipałów?... Zjesz diabła, czy ci się uda!

Daremnie się jednak wykręcał, daremnie kłął i usiłował biedz naprzód! Schwyciła go za kark potężna prawica Boża i już z Placu Teatralnego zawróciła na pocztę. Ale lichwiarz jeszcze ne dawał za wygraną i począł tłómaczyć płaczliwym głosem:

— Pewnie już niema urzędników na pocście... Oniby też czekali dla głupiego listu! A czy lichy nadało z tą kanalią?... A czy nie mógłby tego samego zrobić jaki bogaty człowiek?...

Mimo to wracał, choć stękał, i zaszedł do biura, gdzie sprzedają marki. Ach! jakże mu trudno było znaleźć woreczek z pieniędzmi, jak mu się trzęsły ręce, jak ciężko żałował dziesiątczyn... Mimo to — musiał zapłacić, i list poszedł.

Dziwne rzeczy wyrabiasz, o Panie! że, pominąwszy tyle zacnych i wykwinnych osób, do spełnienia sierocej woli użyłeś lichwiarza w wytartym i zabłoconym płaszczu!...

Z tem wszystkim zdawało się, że jakaś klątwa ciąży nad biednym liscikiem Jasia. Po wysłaniu go z Warszawy, zajechał na inną stację, znowu wrócił, i dopiero po Bożem Narodzeniu, doszedł do właściwych rąk. Akurat w dzień św. Szczepana, około 10-tej

wieczorem, gdy dzieci już spały, pani zaczęła nową powieść, a pan Anzelm myślał o niektórych dyspozycjach na jutro, do niskiej jego izdebki wszedł Młynkiewicz, który w tej chwili powrócił z miasteczka.

— Cóż, są pisma?—spytał pan Anzelm.

— A są, i jeszcze list jakiś — odparł ekonom, kładąc na stole sporą paczkę.

Szlachcic wziął przedewszystkiem list do ręki, a przeczytawszy adres, wybuchnął śmiechem:

— Także koncepcista jakiś? — zawołał.

— A może to nasz Jaś — wtrącił półgębkiem ekonom.

— Zapewne, że on!... to tak jakby jego charakter — mówił szlachcic, szybko rozrywając kopertę.

A potem zaczął głośno czytać:

“Kochany panie! Mama chciała sama do pana napisać, ale już umarła...”

— O nieszczęście! — mruknął pan Anzelm.

Szlachcic utarł nos, zaczął szybko mrugać powiekami i stłumionym głosem czytał dalej:

“Już w końcu była nam taka bieda, że strach!... a mama przed samą śmiercią ciągle wspominała o panu. Teraz jestem u pana Karola, który mię wziął z łaski. Dobrze mi tu, ale tęskno, bo nieraz nie ma człowiek do kogo gęby otworzyć, choć ijeść i pić jest co. Z początku mieszkałem z chłopcami, ale potem dali mi osobny pokoik i do stołu nie zawsze wołają, to też mi bardzo smutno. Od wakacji wzięli mię chłopcy uczyć, ale więcej tam klęczenia i łap dawania, niż tego, co potrzeba. Mają oni fuzję i welocyped, ale mi

tego do ręki nie dają, choć ja i niewiele o to dbam, bo wolałbym się uczyć z kim starszym. Najgorzej mi tylko żal, że naskarżli na mnie z panią przed ojcem, że leniwy i próżniak. Za to pan Karol rozgniewał się i mnie w domu zostawił, choć wszyscy wyjechali na wieś, aż mi się płakać chce...

“Mój kochany panie, niech się pan nie gniewa na mnie za takie brzydkie pismo, ale to nie z lenistwa i próżniactwa, tylko przez złe pióro... Mój kochany panie, co ja mam z sobą robić, kiedym już tak sam został na świecie? Trzebaby mi pójść na własny zarobek, ale nie śmiem podziękować panu Karolowi, bo on zawsze taki, jakby chorował, i ciągle się tylko za głowę łapie. Może jabym się tam na wsi przydał do czego, to już i nauce dałbym spokój, aby tylko stąd wyjść.

“Całuję ręce i nogi panu i pani, całuję także Antosię i Józia i Manię i Kazię; panu Młynkiewiczowi się kłaniam i Wojciechowi, jeżeli jest, i niech mi pan odpisze, jak się tam powodzi i czy wszyscy zdrowi.”

Następował podpis imienia i nazwiska, tudzież adres.

Szlachcic, skończywszy czytać, stanął przed ekonomem i rzucił mu jedno tylko pytanie:

— Hm?...

— Wola pańska — odparł osiwiały ekonom, kłaniając się. — Musi tam być chłopcu okrutnie źle...

— Wydobędziemy go!... — rzekł jakby do siebie Anzelm, i począł wielkimi krokami chodzić po pokoju, rozmyślając.

— Potrzebuję z pięćset rubli...—szep-

nał — Trzeba chłopca tu przywieźć i od wakacji odać do szkół.

— Ładny grosz! — mruknął ekonom.

— Mamy przecież trochę zboża na sprzedaż? — pytał pan Anzelm.

— Tak zboże jest, ale o kupca niełatwo, a przytem to eksraordynaryjny wypadek... Zresztą i Józia czasby już do szkół...

— Tępy chłopiec! — odpowiedział szlachcic. — On się jeszcze i za dwa lata nie przygotowuje.

Nastało znowu milczenie, które przerwał ekonom:

— Jeżeli taka wola pańska, to pieniądze się znajdą. Przecież tydzień temu pan Adam za cugowe konie dawał akurat pięćset rubli z czemś...

Słowa te podziały na pana Anzelma, jak kubeł zimnej wody. Przez chwilę jeszcze się wahał, lecz w końcu rzekł już innym głosem:

— Niech Młynkiewicz idzie spać.

Potem znowu począł rozmyślać:

— Żal mi wprowadzie chłopca, no! ależ i ja mam obowiązki... Od kwartału jest w domu nauczyciel do Józia, mógłby się więc przy nim trochę poduczyć, ale — ze szkołami ciężka sprawa... Szkoda chłopca!...

Co prawda, pan Anzelm wstydził się nawet przed sobą wyznać, że mu trochę żal było pary cugowych koni, które stanowiły pamiątkę lepszych czasów. Długów teraz nie miał, lecz dla edukacji Jasia musiałby się przez lat parę ograniczać w wydatkach. Rok obecny był wyjątkowo pomyślny i pozwolił mu nawet na kupno żniwiarki, lecz czy tak zawsze będzie?...

Ale z drugiej strony pan Anzelm wiedział, że Jaś ogromnie obiecujący, i domyślał się, że pozostając nadal w dzisiejszych rękach, zmarnować się może.

— Szkoda chłopca! — szepnął wzruszony. — No, ależ i ja mam obowiązki, i to ciężkie...

— Podołasz im! — odezwał się jakiś głos.

— Zapewne! — odpowiedział szlachcic; — ale w takim razie wolę poprawić byt własnej rodziny. Edukacja chłopca może kosztować z parę tysięcy rubli, lepiej więc to odłożyć dla swoich...

— A co zrobisz dla kraju? — szepnął głos.

Szlachcic, na środku swej izdebki stanął struchlały, i jakby pragnąc odegnąć trapiące go myśli, spojrzał dokoła siebie. Tym razem wzrok jego padł na trzy odwieczne portrety. Jeden z nich wyobrażał jakiegoś rycerza w zbroi, drugi starca, trzeci matronę.

I otóż zdarzyła się rzecz niesłychana. Portrety te ożyły i poczęły mówić:

— Ja wygrywałem bitwy, a w ostatniej z nich położyłem głowę... — odezwał się rycerz.

— Założyłem szpital i szkołę, w której uczyło się kilka pokoleń... — mówiła matrona.

— Założyłem miasteczko i kilkanaście wsi... — odezwał się starzec.

— A wy coście zrobili?... — pytał głos. — Twój ojciec, goniąc za tytułem hrabiego po niemieckich oberżach, strwonił prawie cały majątek, a ty resztę!...

Anzelmowi kroplisty pot wystąpił na czoło. Odwrócił się od obrazów i chciał usiąść przy biurku, na starym, żelaznym fotelu, obitym skórą. Nagle cofnął się: w tej chwili, pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl, że nie godzien jest siadać na tem krześle, które zajmowali niegdyś znakomici obywatele kraju i święte matrony.

Tymczasem portrety mówiły znowu.

— Dom mój był przytułkiem inwalidów... — szepnął wojownik.

— Do mego stołu zasiadały sieroty... — mówiła matrona.

— W złych czasach kilka tysięcy ludzi uratowałem od głodowej śmierci i dałem krajowi kilkunastu rzemieślników — odezwał się starzec.

— Twój ojciec wykształcił na pożytek ogólny kilkunastu żokiejów i psiarczyków... a ty — furmana i kuchtę, który cię okradł — uzupełnił głos.

— Żoikejów i psiarczyków... furmana i kuchtę!... — powtórzył z goryczą pan Anzelm. — Wartoż było dla tak nędznych rezultatów strwonić majątek, rodzić się z bohaterów, nosić odwieczne nazwisko i mieć pretensję do tytułu członka klasy przodującej?... Nie byłem jednak gorszym od innych — szepnął szlachcic, jakby tłumacząc się przodkom, którzy w tej chwili spoglądali na nego martwemi oczyma.

Myśli jego znowu skierowały się do sieroty.

— Dobrze, — mówił — więc sprzedam cugowe konie, ograniczę się jeszcze bardziej, spadnę do klasy dorobkiewiczów, ale któż mi zaręczy, że cała moja praca nie pójdzie na

marne, że chłopiec nie umrze, albo nie zepsuje się?

— Czyń to, co przypada na ciebie, a o reszcie nie myśl!... — mówił głos.

I otóż szlachcic zdecydował się. Postanowił powiększyć rodzinę o jednego członka, który go miał najwięcej kosztować. Robił to bez fałszywego entuzjazmu, na zimno, czując, że spłaca dług, nieuiszczony w pomysłniejszych czasach.

Jeżeli mu się Jaś nie uda, wówczas czeka go zawód, pośmiewisko ludzkie, a kto wie nawet, czy nie wyrzuty ze strony własnych dzieci. Ale jeżeli się uda?...

Było to duże ryzyko, lecz nie on pierwszy ryzykował. Jego pradziad kilkanaście razy grał o życie, a choć w końcu przegrał, zostawił dobre imię. Jego znowu ojciec grał także raz... w djabełka o dwie wsie!

Wybiła trzecia rano, gdy pan Anzelm siadł do pisania listu, a siadł na żelaznym fotelu, który niegdyś zajmowali wojownicy, znakomici obywatele i święte matrony. Czuł on, że jest im równy, choć składa w ofierze tylko ostatnią parę cugowych koni!...

Około czwartej wszedł Młynkiewicz.

— Trzeba odesłać ten list i konie panu Adamowi — rzekł szlachcic.

— Wola pańska!... — odparł ekonom. A potem spytał:

— To pojedzie pan do Warszawy?...

— Pojutrze! — odpowiedział pan Anzelm.

Ekonom pokręcił głową i wyszedł.

Gdy szlachcic znowu został, sam, już śmiało spojrział na portrety przodków. I on także umiał poświęcić dla ogólnego dobra

choć część skromnych resztek, i on do stołu swego prowadził sierotę, aby przygotować społeczeństwu obywatela.

XI. Opuszczony

Jaś, uciekwszy od majstra, opamiętał się dopiero na Placu Teatralnym. Zmęczenie pohamowało go w biegu, powietrze orzeźwiło. Spojrzał dokoła i zobaczył ludzi zamyślonych, rozmawiających lub uśmiechniętych, którzy szli za swojami interesami, nie mając zamiaru łapać go, ani zakuwać w kajdany. Zrobiło mu się jakoś rzeświej i bezpieczniej. Czuł, że w tem miejscu, wobec tylu osób łagodnych, pięknych i dobrze ubranych, majster nie śmiałby go bić i nazywać złodziejem. A zresztą niechnoby spróbował! ...Jasiowi przyszedł na myśl goniony przez oprawcę pies, którego uratowali przechodnie. Mielizby ci sami przechodnie być mniej litościwymi dla niego?...

W Saskim Ogrodzie śmiałość jego spotęgowała się jeszcze bardziej. Kto go tu zechce chwycić?... Czy ten siwy a rumiany pan, któremu z niebieskich oczu patrzy uczciwość?... Czy ta w aksamitnej okrywce dama, której prześliczna twarz tchnie dobrocią?... Czy może ci mali chłopcy, którzy wyglądają tak, jakby się z nim chcieli bawić?... Niepodobna, aby kto zapragnął go skrzywdzić, tu, wobec pogodnego nieba, drzew szronem okrytych, wiecznie zadumanych posągów, i ludzi, przynajmniej na pozór, szczęśliwych!

Obszedłszy parę razy ogród, Jaś wy dobył się za Żelazną Bramę. Myśli jego uległy

zmianie. W miarę oddalenia się od eleganc-
kiej części miasta, spotykał coraz więcej
ludzi skromne, a nawet nędznie ubranych.
Twarze były blade i smutne, spojrzenia dzi-
kie. Jaś uczuł głód, a jednocześnie począł
się lękać. Zdawało mu się, że każdy prze-
chodeń patrzy na niego dopejrzliwie i gniew-
nie, że wielu ogląda się za nim i wskazuje go
palcem. Bez uzasadnionej przyczyny obawa
jego przeszła w trwogę, w paniczny strach,
w rozpacz... Przyśpieszył kroku; serce po-
częło mu gwałtownie bić, nie odróżniał już
przedmiotów, a instynkt począł go naglić do
ucieczki. Szczęściem, ostatnie błyski roz-
sądku powstrzymały go, szedł więc zwolna
jak automat, potracając ludzi i ocierając się
o ściany domów.

— Patrzcie! — zawołała jakaś kobieta:
— ten chłopiec musi być pijany, albo ślepy!

— Jasiowi, gdy to usłyszał, zdawało się,
że go coś dusi za gardło; lecz i tym razem
nie przyśpieszył kroku i po upływie kilku
minut znalazł się na mniej ludnej ulicy. W
jednej z bram spotkał chudą dziewczynę z
konewką wody i rzekł:

— Pić!...

Dziewczyna napoiła go i coś mu odpo-
wiedziała z uśmiechem, lecz nie zrozumiał
jej. Gdy poszła dalej, podniósł głowę ma-
chinalnie i zobaczył szyld z napisem:

OCHRONA

Był to przytułek dla dzieci biednych, jak
onł. Jaś wiedział o tem, zawrócił się więc
i powędrował dalej. Dokąd?...

Na Placu Wareckim stanął przed ogrom-
nym szpitalem. Tu chronili się ci, nad któ-
rymi ciążyła ręka śmierci. Ponieważ jednak

nad nim ciążyło tylko sieroctwo i zarzut kradzieży, spuścił więc głowę i znowu poszedł dalej.

Ponieważ wiał mu w oczy wiatr, chłopiec skręcił na lewo i dostał się na uliczkę pustą i spokojną. Stracił już wątek myśli, władzę nad sobą i stał się podobnym do rzeczy martwej, której lada powiew nadaje nowy kierunek.

Na Nowym Świecie zbudził go niezwykle hałas; to gromada ludzi otaczała dwa indywidua, prowadzące pod ramiona obdartego biedaka.

— Co to jest? — spytał Jaś na los szczęścia.

— Pijanego prowadzą do cyrkułu — odpowiedział ktoś z tłumu.

Chłopiec począł znowu myśleć. Ubogie dzieci mają przytułek w ochronach, chorzy w szpitalach, pijaki w cyrkułach...

Ale gdzież on się pomieści, on, najuboższe dziecko na świecie?... chyba w więzieniu!

Jaś był bardzo zmęczony; nogi pod nim drżały i uginały się, ręce ciążyły mu w bolesny sposób. Czuł głód, lekkie mdłości, morzył go sen, potrzebował spocząć na chwilę, lecz, nie miał gdzie. Miejsca w ochronach, szpitalach i cyrkułach były zajęte przez innych, a do więzienia nie chciał iść.

W takim stanie umysłu, idąc ciągle naprzód i potykając się na nierównym chodniku, sierota zwrócił oczy na środek ulicy, po której mnóstwo sanek i powozów przebiegało, i — poraz pierwszy w życiu, mając dopiero lat jedenaście, uczuł pociąg do samobójstwa. W tej chwili wyobraził sobie ból,

jakiby mu sprawiły uderzenia końskich kopyt, usłyszał głuchy chrzęst własnych kości, lecz nie czuł trwogi, podobnie jak człowiek, który cierpiąc na ząb, raczej z rozkoszą aniżeli z przestachem myśli o wyrwaniu go.

Tymczasem powozy i sanki roiły się jak muchy wśród lata, Jaś stanął. Jeden z przechodniów zepchnął go ze środka chodnika na krawędź, drugi—z krawędzi na ulicę. Z daleka nadjeżdżały wielkie sanie, ciągnione przez cztery konie. Chłopiec posunął się krok naprzód, machinalnie odwrócił głowę i — ujrzał nad sobą olbrzymią postać obarczonego krzyżem Chrystusa, który pochylił się i wyciągnął ku niemu rękę, jakby mówiąc:

— Co ty robisz?...

Jednocześnie, u stóp męża boleści, który tak dziatki miłował, sierota dostrzegł otwarte drzwi; cofnął się z ulicy i wszedł do podziemnego kościoła. Siedziba umarłych przygarnęła zmęczone dziecko.

Minawszy wązki korytarz, Jaś dostał się do piwnicy; wyszukał w niej najciemniejszy kącik, usiadł na stopniu zepsutego katafalku i oparł głowę o ścianę. W podziemiu było kilka trumien ze zmarłymi różnej płci i wieku. Najbliżej sieroty leżała jaka kobieta, nieco dalej mała dziewczynka. Jasnowi przyszły na myśl: matka i Antosia, lecz tylko na chwilę. Wspomnienia te nużyły go teraz, nie miał sił ani chęci zajmować się nimi; natomiast czuł z rozkoszą, że siedzi i że mu jest ciepło. Niebawem zasnął.

Gdy się obudził, uczuł pod palcami ręki, opartej na skraju paltota, jakiś przedmiot mały, płaski i okrągły. Ognie uderzyły mu na twarz, odgadł bowiem, że to musi być

pieniądz. Istotnie, między syberyką i podszewką znalazł pięć groszy, które Bóg wie odkąd leżały tam, aby zjawić się wówczas właśnie, gdy ich potrzebował najbardziej.

Na dworze zapadał już mrok. Jaś kupił trzy podługowate bułki, zjadł je, popił wodą z wodociągu i znowu poszedł na wędrowną.

Zrobiło mu to dobrze. Był wyspany i najedzony, dla rozrywki więc począł oglądać sklepy. W jednym widział eleganckie stroje, w innych biżuterie, owoce, zabawki... Najdłużej zatrzymał się przed pewnym handlem korzennym, w którego oknie siedział porcelanowy Chińczyk, kiwający głową i wywieszający język.

Cacko to podobało mu się i począł rozmyślać: jaki mechanizm jest we środku?... Nagle usłyszał śmiech:

— He! he! he!

Za nim stał wynędzniały robotnik, który utkwivszy obłąkane oczy w twarz Chińczyka, śmiał się—ale tak dziwnie, tak strasznie, że Jaś pędem uciekł od okna.

— Dlaczego tylko jemu i mnie podobała się ta zabawka? — myślał chłopiec. — Dlaczego jest tak nędzny, a śmiech jego tak okropny?... Co on dziś jadł? czy także tylko bułki?... Gdzie będzie spał?... O Boże! a gdzie ja?...

I znowu począł się tułać. Stopniowo zamykano sklepy, ruch na ulicach słabnął, światła gasły. Niekiedy na przestrzeni kilkuset kroków słychać było szybki chód jednego tylko przechodnia, lub ziewanie stróża. Turkot dorożek dolatywał z miejscowości bardzo odległych. Wreszcie wszystko uciuchło. Na dalekiej wieży wybiła pierwsza,

na całej ulicy świeciło się tylko w dwu oknach.

— Co ja tu pocznę? — szeptał sierota.
— Co ja tu pocznę?

Wzniósł oczy do nieba, które w połowie lśniło się jeszcze od gwiazd, a w połowie gęstymi pokryło się chmurami. Sąd to te same gwiazdy, które widywał niegdyś?

Wielkie i ruchliwe miasto budzi właściwy sobie rodzaj przestachu w czasie nocy. Jaś uelgł tej trwodze tak dalece, że nie śmiał się ruszyć z miejsca; własne kroki przerażały go. Oparł się o słup gazowej latarni i załamawszy drobne rączyny, wyjąkał:

— Jestem sam!...

Przesadzał: w tej chwili bowiem doleciał go jakiś szelest. Szelest ten stopniowo zbliżał się, a niekiedy ustawał... Jaś wyteńczył wzrok i dostrzegł — psa, biegnącego środkiem drogi.

Za owym psem, który szukał żeru wśród nocnej pomroki, Jaś przeszedł jeszcze parę ulic. Ściemniło się zupełnie, a chłopca ogarnęła senność. Fizyczne i moralne jego cierpienia dosięgły szczytu; najstraszliwszem z nich było uczucie zupełnej samotności. Wiedział, że nietylko był sam, ale że nadto nie ma już chyba na świecie tak nędznej, jak on, istoty.

Lecz omylił się i tym razem. O kilkanaście kroków dalej, przy migotliwym świetle latarni, dostrzegł cień przytulony do muru. Podszedł tam ostrożnie i na schodkach sklepu zobaczył siedzącą kobietę.

— Kto tu?... — zapytał.

— To ja z dzieckiem!... — odparła przestraszona. — Ja nic złego nie zrobię...

— Nocujecie tu?...

— Tak... odpoczywam. Do domu daleko.

— Panicz z tej kamienicy? — zapytała kobieta.

— Nie! — odparł zakłopotany, cichym głosem.

— Może panicz się spóźnił na kolej?... Chłopiec nie odpowiedział nic.

— Jakoś ciepło na dworze — rzekła znowu, a potem oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

Dziecko spało ciągle. Jaś dotknął jego nagiej rączki i wstrząsnął się. Było ona tak pomarszczona i chłodna, jak to pisklę, które niegdyś z jego winy straciło życie.

Teraz przyszło mu na myśl, że go Bóg skarał za śmierć ptaszka. Przypomniawszy sobie piękne, okrągłe gnazdeczko i mimowoli porównał je z gniazdem łachmanów, na których spoczywało pisklę rodu ludzkiego.

* * *

Wkrótce, wśród miasta, na schodach, okrytych zmarzłym błotem, miłosierny sen, lekarz cierpiących, ukołysał trzy istoty, pozbawione dachu nad głową.

Ten, który sobą wypełnia nieskończoność...

I On także nie ma nad głową dachu.

* * *

Rzecz dzieje się na drugi dzień w południe. Bliżej Wisły, wśród zbiorowiska drewnianych domów, na wielkim podwórzu, widzimy dwie osoby; pewną panią Weronikę i niejakiego Antka.

Panią Weronikę, według jej własnych zapewnień, Bóg stworzył na wielką damę, lecz piorun losu, z wyżyny salonów strącił na skromne stanowisko śmieciarki. Zgodnie z tem ostatniem powołaniem, 50-letnia Weronika dźwigała na plecach wór z konopnego płótna, a w rękę piastowała drewniany ożóg, zakończony wyiętem żelazem, w formie haczyka lub siódemki. Dodajmy do tego wysoki wzrost przy pochylonej postaci, oblicze, noszące ślady walk z przeciwnościami, kilka kosmyków siwiejących włosów i garderobę, z której zańb czasu porobił szmaty, — a mieć będziemy dokładny wizerunek damy, wołającej obecnie na podwórzu sopranem, który przypomina operę włoską:

— Kości!... kości kupuję!...

Antek, stojący o kilkanaście kroków od niej, jest młodym mężczyzną, mogącym mieć od szesnastu do dwudziestu lat wieku. Posiada on ex-wojskowy mundur, któremu można zarzucić zbytek dziur w miejscach niepoplamionych, tudzież brak guzików, kołnierza i jednej poły. Głowę wdzięcznie przystraja mu fantastyczny garybaldyjski kapelusz, lewą nogę kamasz, prawą but z cholewą. Antek prócz tego jest bardzo mały, chudy i żółty na twarzy, posiada niewiele włosów, nos jak wiśnię i minę — skończonego łajdaka. Był niegdyś na dobrej drodze i roznosił pisma po domach; od czasu jednak, jak na własny rachunek sprzedał kilka egzemplarzy, a kilkadziesiąt rzucił w rynsztok... literatura straciła w nim pracownika.

Od kilku godzin przyjemny Antek nudził się; naprzód bowiem coś go ckliło we wnętrzu, a powtóre pozbawiony był towarzystwa.

Ponieważ duża śmierciarka miała w sobie coś pociągającego, zbliżył się do niej i płaczącym głosem począł mówić:

— Moja pani!... moja złota pani...

Lamentując tak, trzymał ręce w dziurach, pełniących funkcję kieszeni i czochał się plecami o biodro wielkiej damy.

— Czego ty chcesz, śmieciugo? — zapytała dobrotliwie dama. — A gadaj w lewe ucho, bo na prawe nie dosłyszę!

Gdy się schyliła, Antek począł wrzeszczeć na całe gardło:

— Niech mi też pani da tabaki!... moja pani, w złoto okuta!

— A tobie na co tabaki?...

— Bo widzi pani, jak przechodzę koło siódemki, to mnie zaraz kręci w nosie, a nie mogę kichnąć! — wrzeszczał chłopiec, i znowu otarł się o nią plecami, jeszcze poufalej, niż poprzednio.

Na taką impertynecję pani Weronika zakipiała z gniewu i podniosła do góry haczyk, wołając:

— Bodaj cię przejechali! bodajżeś zmarniał, ty zdrajco!... kapeluszniku!

— Ihii! — krzyknął przeraźliwie łobuz, usuwając się na bok i nie wyjmując rąk z kieszeni.

— Siódemka ci w nosie kręci? — mówiła oburzona pani. — A czy ty wiesz, że gdybyś cały leżał w śmietniku, tobym cię jeszcze nie podniosła, łachmanie jakiś!...

— Jaka aksamitna!... — odparł chłopiec, pogardliwie plując przez zęby.

Zobaczywszy to, dama krzyknęła w najwyższym gniewie:

— O Boże miłosierny! a czy już sprawiedliwości niema na tym świecie, żeby taki ochłap uczciwych ludzi zaczepiał na ulicy i jeszcze pluł przez zęby!... Poczekaj, zobaczę ja cię na Starem Mieście, jak cię będą piętnowali, jeżeli cię za młodu psy nie zjedzą!...

Tak odgrażając się, obrażona dama poszła ku śmietnikowi, Antek zaś, zobaczywszy dużą bryłę piaskowca, usiadł na niej i począł ostrzyć nóż, z wyrazem takiej obojętności i znudzenia, jakiej pozazdrościćby mogli najwięksi panowie.

W tej chwili wszedł na dziedziniec Jaś. Rozejrzał się bojaźliwie dokoła, a spostrzegłszy śmieciarkę, zbliżył się do niej i cichym głosem przemówił parę wyrazów.

— A nie pójdziesz mi tu! — wrzasnęła nieuspokojona jeszcze dama, rzucając się na sierotę. — Dam ja ci tabaki, aż zgubisz łeb, że ci go nie odszuka sama "Gazeta Policyjna!..."

Przestraszony Jaś począł uciekać, co widząc Antek zawołał:

— Hej tam!... A chodź ino tu!

Jaś niepewnym krokiem zbliżył się do ulicznika i stanął opodal.

— Czego ty chcesz od tej sałaciarki, co jej mąż był maszynistą u Bergera? — spytał go Antek.

— Chciałem prosić, żeby mi dała jaką robotę — odpowiedział Jaś po chwili wahania.

— A skądęś ty się tu wziął? — badał Antek, podejrzliwie patrząc na dość przyzwoite ubranie sieroty.

— Z miasta.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, pytał bowiem dalej:

— Co tobie po robocie?

— Jeść mi się chce.

— Fiu! fiu! — gwizdnał łobuz, a potem dodał: — Mógłbyś przecie sprzedać ten rajtrok, tobyśmy oba mieli jedzenia na jaki tydzień.

— Ja tam wolę robić — szepnął Jaś.

Antek włożył swój nóż do kieszeni i zamyslił się.

— A możebyś ty do mnie poszedł w służbę? — rzekł nagle Antek, patrząc ostro na Jasia.

Zadarł przytem głowę do góry, ponieważ był od niego niższy.

— A boś ty co za jeden?... — spytał zdziwiony Jaś, uśmiechając się, choć miał ochotę do płaczu.

Pytanie to ubodło widać ulicznika; podrapawszy się bowiem w okolicach kołnierza, odparł z godnością:

— Wiesz ty, sałato, że przez moje ręce przeszło już z dziesięciu takich jak ty durniów? Co ty sobie myślisz?... Tylko się do mnie zgódź, a dam ci jedzenie i takie spanie, że się będziesz pocił w trzaskające mrozy!

— Ha! spróbuję... — rzekł Jaś po krótkim namyśle.

— No, to daj rękę na zgodę! — zawołał ulicznik, i, uderzywszy go w dłoń z całej siły, dodał: — Chodź ze mną, a dopiero poznasz, com ja za jeden!...

Wyszedszy stamtąd i wyminawszy kilka niezabudowanych uliczek, dotarli do lepianki, otoczonej zrujnowanym parkanem.

Tu Antek kazał zatrzymać się Jasiowi, a sam wszedł na podwórko.

Na podwórku stał wózek, leżała spora kupa piasku, a bok niej, jak żołnierz na warcie, spacerował barczysty mężczyzna, z rude mi włosami, w półkożuszku i z wyrazem filozoficznego spokoju na twarzy, nie odznaczającej się zresztą inteligencją.

Antek skradał się jak wilk, mając widocznie powody unikania tego zbudowanego mężczyzny. Niebardzo też zagłębiając się w podwórze, stanął przy furtce i krzyknął:

— Panie Marcinie!... Bondziur!...

Drab z wolna odwrócił się, uważnie popatrzał na ulicznika, i przesunawszy czapkę od tyłu głowy krzku przodowi, odparł:

— Na jeden bok!...

— A oddał panu ten Walek, złodziej, woreczki? — pytał Antek.

— Tyś sam złodziej! boś mu worki sprzedał za kieliszek wódki, choć były nie twoje.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, który począł ostrożnie zbliżać się ku środkowi, mówiąc:

— Łże, jak pies!... — żeby mię Matka Boska skarala... Sam mi wyrwał worki i jeszcze mię tak strzelił pod oko, że musiałem chodzić do doktora... Żeby mię tak choroba tłukła!

Słabo rozwinięty pan Marcin nie wiedział, czy wierzyć, czy nie wierzyć tej dziwnej historii. Antek tymczasem zbliżył się do kupy piasku i, uderzając ją nofą, rzekł z westchnieniem:

— Żebym jak tak miał worki... Eh! w mielibym panu sprzedał tę kupkę.

— Daj co w zastaw, to ci worków pożyczę.

— Uu! także się pana Marcina żarty czepiają! — mówił Antek, drepcząc w miejscu i wsuwając ręce w rękawy. — Ja nie mam koszuli, a panu się zastawu żądzi!

— A gdzieżeś ją podział? — spytał ciekawie Marcin.

— Zgubiłem na Krakowskiem. Jakiem, mówię panu, zdjął paltok, tak ci psia kość spadła na ziemię, żem jej nie mógł napowrót odrychtować. Niech ją choroba tłucze!

Pan Marcin, podrapawszy się w głowę, rzekł:

— Phy!... i workibym ci dał i piasku zakredytował, gdybym wiedział, że mi nie ukradniesz...

— A mój honor to pies?... — krzyknął Antek. — Cóż to, czy ja ne miałem interesów z ludźmi porządnymi? O! i jeszcze z jakimi!

— No! no!... — mruknął Marcin i poszedł ku lepiance.

— A i z powróż niech pan wytaszczy, bo przecie w pysku nie będę nosił...

— To, ty, gnacie, nawet powroza nie masz? — dziwił się Marcin, kręcąc głową.

— Skądże mam mieć?... — odparł ledaco. — Przecie jeszcze nie było licytacji w lombardzie.

W kilka minut potem, pan Marcin, naładowawszy dwa worki piasku, przywiązał je do pleców Antka, którego pożegnał temi słowami:

— A zaprzepać mi co, albo kupuj od innych łobuzów piasek, nie ode mnie, to ci

tak podziękuję, że ci zęby za uszami wyrosną!...

— Iiii! — wrzasnął łotr na odchodne, dając jednocześnie hasło Jasiowi.

Gdy tym sposobem wezwany sierota przybiegł, Antek przełożył na niego swoje worki, mówiąc:

— A co, może nie będzie interesu?... Sam diabeł nie odejmie ci tego, co przy mnie zarobisz!

— Cóż ja mam z tem robić? — spytał zdziwiony Jaś, oglądając się niespokojnie na swoje obciążone plecy.

— Jakto co?... Będiesz ze mną piasek nosił, a ja będę krzyczał i jeszcze — będę się frasował o ciebie.

Wkrótce na podwórzach domów, w okolicy Nowego Światu i Alei Jerozolimskiej, słyszano przeraźliwe wołanie Antka:

— Ho — pia!... pia — łego!... wiślanego!

I niepewny głos Jasia:

— Piasku białego!...

Takie były owoce edukacji miłosiernego pana Karola.

W godzinę po odejściu Antka, na Marcinowe podwórze wbiegł jakiś człowiek zziębnięty, rozgorączkowany i stłumionym ze wzruszenia głosem począł wypytywać piaskarza:

— A nie widzieliście, człowieku, takiego chłopca w czarnym paltocie i w czapce z daszkiem?

— Nie widziałem! — odparł Marcin, robiąc na niego wielkie oczy.

— Ładny taki chłopiec, powiadam wam, cichy... Oj, jakże mi dech zapiera... Jaś mu na imię...

— Ani mi się śniło o takim! — mruknał niechętnie Marcin.

— Jak to może być?... — ciągnął dalej błagalnym głosem przybysz. — Ludzie przecież spotkali go... Tułał się w tych stronach... Alboż ja wiem, może i w Wisłę wpadł!

— Co miał wpaść? Przecież teraz Wisła stoi.

— To prawda! — mówił przybysz. — Pozwólcie mi tu spocząć trochę. Jak to może być, żebyście go nie widzieli?... przecież to taki znaczny chłopiec... Powiedział majster, że go okradł, a onby mu nawet krajki nie wziął... O jakżem się zmęczył... Jakby tu przyszedł to spytajcie: czy on Jaś? — i powiedzcie, że to Jędrzek ukradł, i że ja go szukam po całej Warszawie.

— Musi mieć kiepsko we łbie! — pomyślał Marcin, który sam przecież nie odznaczał się geniuszem.

— Powiedzcie mu to, a Bóg wam wynagrodzi...

Z temi słowy zerwał się znowu i pobiegl, jak pies, szukający zgubionego pana. Opuściwszy podwórze, zatrzymał się jeszcze i przez parkan zawołał:

— A nie zapomnijcie, com wam mówił... Jaś mu na imię!...

* * *

Nakrzyczawszy się aż do chrypki i nasprzedawawszy piasku co niemiara, Antek i Jaś, jego oficjalista, kupili sobie nad wieczorem flaszkę piwa, pełne kieszenie bułek,

pół funta salcesonu i weszli w ustroną uliczkę, celem zjedzenia kolacji. Słuszność nakazuje wyznać, że Antek, choć mały, wziął sobie znacznie większą częsteczkę, oddając Jasiowi resztki. Na deser zaś, począł sierotę obełgiwać:

— Wiesz ty łobuz — mówił — że Marcin, jak się dowie o tem, żeśmy od innych piasek brali, to nam będzie chciał lanie zrobić?... Ale się nie bój, ja w tem jestem!... Ho! ho! mówię ci, że jakbym ja się wziął do niego, toby się jeszcze nie obejrzał, a jużby na ziemi leżał. Ho! ho! ja, mówię ci, tom w bitwie taki zawzięty, jak Żyd w tańcu, a taką, mówię ci, mam moc, żebym zmógł żołdatę z karabinem i z pałaszem.

— To czemu ty sam piasku nie nosisz? — spytał Jaś.

— Eh!... bo ja tylko w bitwie taki. A wreszcie, mówię ci, że ja byle jakiej roboty nie lubię się podejmować. Kiedym pisma nosił, to neraz gadali: "Gdybyś ty, Antek, nie był taki złodziej, toby z ciebie było co dobrego!" — alem puścił pisma w trąbę!... To czas zabiera. No, chodźmy na spacer!

I poczęli włóczyć się po mieście. Nagle Antek stanął przed kantorem wekslarza i wskazując garstkę złota za oknem, rzekł:

— Wiesz ty, łobuz, że to wszystko moje?

— At! — odparł Jaś z uśmiechem. — Roi ci się co po głowie i tyle.

— Ma się wiedzieć, że moje, bo jak zechce, to ci nie dam patrzeć.

I powiedziawszy to, Antek odepchnął swego oficjalistę od okna. W Jasiu zawrzała krew, tak więc cinsął za kark swego pana,

że ten aż się w kłębek zwinał, a uwolniwszy się z trudnością, gniewnie zawołał:

— Uhu!... to z ciebie taki zuch?... Spróbuj się ty tak ze mną jeszcze raz, a dam znać o tobie do cyrkułu, psiawiaro!

Jaś, usłyszawszy to, struchlał. Czuł on, że bezsilny ten chłopiec pobił go dyplomacją, i że wobec niego niczem jeszcze byli: pan Piotr, pan Karol, a nawet majster Durski!

Około dziesiątej wieczorem, dwaj chłopcy poszli znowu ku nadwilśańskiej dzielnicy. Tam przeleźli jakąś dziurę w parkanie i o kilka kroków od niej ujrzeni wielką beczkę po cukrze, która leżała poziomo.

— A co?... to ci spanie!... — szepnął Antek, włączając pierwszy do tego osobliwego buduaru.

— Bój się Boga! — odezwał się drżący Jaś — a jak nas tu kto złapie?

— To i cóż?... nic nie ukradłem, niko go nie zabiłem... Cóż mi kto zrobi? — odparł Antek.

Z ciężkiem sercem Jaś wgramolił się za nim i utonął w starej, napół przegniłej słomie, pośród której znajdowało się wiele innych rzeczy, stanowiących to, co zwykli ludzie nazywają śmieciami.

Wkrótce zmęczenie pokonało wstręt, i Jaś zasnął w barłogu tak spokojnie, jak niegdyś w rozsuwanem łóžeczku, ukołysany szmerem matczynej modlitwy.

Na drugi dzień, jeszcze szaro było na dworze, gdy obaj chłopcy wymknęli się przez ten sam otwór w parkanie, który służył im za wejście. Idąc pustemi ulicami, Jaś mówił pacierz, a pod wodociągiem umył się; Antkowi wystarczyła czystość — duszy. Po-

tem, ta ksamo jak wczoraj, Jaś nosił piasek, a przedsiębiorca Antek kupował towar, lub brał go na kredyt ze składów, omijając jednak lepiankę barczystego Marcina.

— Nie chcę się wadzić z Marcinem! — objaśniał Antek.

Po posiłku wieczornym, złożonym z chleba, wędzonki i dwu butelek piwa szlacheckiego po pięć groszy, dwaj mali tułacze zetknęli się z innym chłopcem, Walkiem, który zawołał:

— Chy!... Antek... żebyś wiedział, jak się na ciebie Marcin wygraża!... Mówi, żeś wczoraj wymanił od niego powróż i worczki, że bierzesz piasek od innych, i że ci tak mordy nakuje, aż wyplujesz parę!...

— Co on tam szczeka! — mruknął pogardliwie Antek, poruszając plecami tak, jakby go przeszły ciarki.

Potem włączyli się we trzech, a gdy zapadła noc, Antek, odzyskawszy dobry humor, krzyknął:

— Chodźta, kundle, na bal do resursy!

— Na jaki bal? — spytał Jaś.

— O Jezu!... — pochwycił Walek — jaki on głupi!... Patrzy na haleganta, a nie wie, że dziś Sylwester.

Gdy stanęli pod resursą, Antek, przysłuchując się dźwiękom muzyki, uрониł następną uwagę:

— To tak na nas tańczują! Żeby nie my, toby w Warszawie nie było żadnego balu.

Powiedziawszy to, schwycił Walka za ramiona i przy melodii kontredansa, począł wywijać szota. Zrobił się rozgardiasz, chłopcy bowiem potracili jakąś staruszkę, sami o mało nie wpadli koniom pod nogi, i— dostaw-

szy pięścią od milicjanta, a batem od dorożkarza, zabrali Jasia i poszli spać na zwykłą kwaterę... W drodze, jeden z nich zarzucił drugiemu niezręczność w tańcu, w następstwie czego pochwycili się za szupryny. Aż Jaś musiał ich rozbroić.

Gdy doszli do swego podwórka i beczki, Antek pierwszy wsadził tam głowę i ze zgrozą spostrzegł parę zabłoconych butów. Wypadek ten takim gniewem napełnił ulicznika, że, zapominając o potrzebie ostrożności, wrzasnął:

— Co tu jest?... Wyłaż stąd, łobuzie...

— Cicho! cicho!... — ostrzegł go Walek.

— Co mam być cicho?... — krzyczał ulicznik. — Skąd on się tu wziął?... Jak się rozgniewam, to pójdę na policję, żeby do cyrkułu zaprowadzili tego złodzieja.

Para butów poruszyła się leniwie, a w głębi beczki rozległ się głos:

— Nie zaczepiaj, pókim dobry!...

— To pijak!... — szepnął Walek.

— Co z tego, że pijak!... Niech nie zabiera cudzego mieszkania, złodzieisko!—mówił Antek, chwytając najeźdźnika za nogi.

W tej chwili jeden z ogromnych butów, zakreślając w powietrzu łuk, otarł się o wyszarpany surdut Antka tak energicznie, że chłopiec zatoczył się.

— To ci go przeżegnał, o Jezu!... — mruknął Walek.

W beczce wciąż chrapało. Antek odprowadził Walka na bok i szepnął mu coś do ucha. Potem obaj zbliżyli się ostrożnie do beczki, schwycili ją za krawędzie i z ogromnym wysiłkiem podnieśli ją do góry.

Śpiący najeźdnik znalazł głowę swą w pozycji, w której zwykli ludzie utrzymują nogi.

— Ollaboga! — stęknęło w beczce, a jednocześnie dwa urwisy poczęli drzeć w niebogłosy:

— Złodziej!... złodziej!...

Z beczki wtórował im gruby głos:

— Ollaboga! Ratunku!...

Teraz trzech chłopcy uciekli za parkan. W lepiance zapłonęły światła, a na podwórze wybiegli ludzie z kijami, dążąc ku beczce, z której ciągle rozlegały się okrzyki i kołatania.

Noc tę, pełną wrażeń, Jaś i jego towarzysze spędzili pod jakąś szopą, na belkach.

— To tak jakbyś spał w karecie! — mówił Antek.

Nadszed ranek Nowego Roku. Antek, który równo ze świtem zapomniał o bezsenności i trudach, utworzył radę wojenną:

— Oto co dziś, to użyjemy — mówił. Będziemy chodzili z powinszowaniem. Ty Walek pójdz ze mną, a ty Jasiek daj mi swój paltok i czapkę...

— A w czymże ja zostanę? — spytał oburzony Jaś.

— W moim surducie! Cóż to, może nie porządny? — ciągnął dalej, wskazując cały rękaw. — No, zdejmuj, bo jak nie, to... pójde do cyrkułu i zaraz powiem, coś ty za jeden!

Napróżno biedny Jaś groził i prosił! Nie pomagało nic. Nikczemny Antek zdarł z niego prawie gwałtem palto, spodeńki i buciki i ze złośliwym śmiechem rzucił rzewnie płaczącemu swoje ohydne łachmany. W końcu

zapowiedział mu, aby nad wieczorem czekał go na Oboźnej ulicy, obok szynku.

Leniwie i wśród najczarniejszych myśli zeszedł nieszczęsnemu sierocie smutny dzień, w którym za cały pokarm miał zeschniętą skórkę chleba. Na umówionem miejscu Antek zjawił się dopiero około siódmej, a choć nic Jasiowi do jedzenia nie przyniósł, sam jednak był nadzwyczaj wesoły, ba! nawet dobrze pijany.

— Mówię ci, — prawił ten łotr -- poszło mi jak po mydle!... Wszędziem gadał, żem z "Kuriera..." Bo widzisz, zabrałem ci na drodze jednemu łobuzowi powinszowania... Mam nawet jeszcze...

Nie dokończył, w tej chwili bowiem dwie jakieś olbrzymie ręce chwyciły go i uniosły w powietrze.

— Gwałt! ratuj, Jasiek!... — wrzeszczał Antek.

— Oj, damże ja ci teraz! — mówił napastnik.

— Mój panie Marcinie! mój święty panie Marcinie! — wołał łobuz, zanosząc się od płaczu.

— A masz worki!... a masz powróż!... a masz piasek!... A nie mań ludzi uczciwych!... a nie kradnij, co nie twoje!...

Każdemu z tych wysoce moralnych napomnień towarzyszył świst jakoby rzemienia i klaśnięcie podobne do tego, jak gdyby rzemień stykał się ze skórą Antka. Trwało to dobry kwadrans, z niewielkimi przerwami.

Tymczasem Jaś, zobaczywszy o co chodzi i poznawszy, w jaki sposób wałę piaskarze, uciekał pędem w stronę Krakowskiego Przedmieścia, wyprzysięgając się służby u Antka,

noclegu w beczce, a nawet swego ubrania. Teraz już nie wiedział, co się z nim stanie, lecz wolał raczej więzienie i śmierć, aniżeli stosunki z indywiduami podobnemi do Antka.

Od kilku dni termometr trzymał się powyżej zera, na dworze było dość ciepło, śnieg i lód stopniał. W tej samej godzinie, w której Jaś uciekł od Antka, na miasto opadły kłęby par. Światła latarni wśród wilgotnej i niebieskiej mgły podobne były do zawieszonych w powietrzu czerwonych płomyków, a przechodnie wyglądali jak cienie. Na ulicach, z powodu Nowego Roku, ruch był niewielki i jeszcze się zmniejszał.

Około dziesiątej mgła podniosła się do góry, a jednocześnie zaczął padać deszcz, który stopniowo stał się bardzo obfitym i gwałtownym. Rynsztoki nabrzmiały, i niebawem całą szerokością ulic zaczęły płynąć strumienie rzadkiego błota. Ludzie najedzeni i dobrze ubrani czas ten nazywali szkaradnym—dla obdartych i głodnych był on strasznym.

Od początku deszczu Jaś dostrzegł, że kapelusz i surdut Antka, jakieś twarde dotychczas, robiły się coraz miększymi. Z pogiętego ronda woda zaczęła mu spadać na ramiona. Nagle uczuł na karku wielką kroplę deszczu, a gdy się wstrząsnął i ścisnął łopatki, kropla ta spłynęła mu na plecy. Z drugiej strony, mokre ubranie przylgnęło mu do całego ciała, a dziurawe buty napełniły się błotem.

Wtedy przebiegł go lekki dreszczyk...

Deszcz tymczasem wzmaczał się ciągle, wiatr miotał nim na wszystkie strony; na kamienicach od dachów do podstaw porobiły się wilgotne smugi, ulice znowu opustoszały

i zamarły. Jaś począł biegać od bramy do bramy, od framugi do framugi, szukając schronienia przed deszczem, który prześladował go z zaciętością żywej i złośliwej istoty.

— O Boże! ratuj mnie... — szepnął chłopiec, zakręcił się parę razy w kółko i znowu popędzi naprzód.

Zdawało mu się, że po tem, czego dotychczas doświadczył, nie spotka już rzeczy gorszej od wszystkich poprzednich. Nie chodziło już o ucieczkę przed ludźmi, lecz przed naturą. Biegł, nie wiedząc dokąd, ścigany od deszczu, głodu i niedospanej nocy.

Okolo pierwszej zmordowany bezużyteczną gonitwą, rzucił się na jakieś schodki. Trapiło go takie zimno, że zębami szczekał, a głowa mu pałała. Uczuł zawrót, ociążałość i wpadł na chwilę w stan bezwładu, środkującego między snem a zemdleniem.

Gdy wrócił do przytomności, zdziwił się poznawszy, że cierpienia jego ustały. Miał tylko język suchy i bardzo spieczone usta, lecz zarazem czuł jakiś błogi spokój i swobodę umysłu. Chwilami nie wiedział gdzie jest, chwilami sądził, że jest jeszcze w domu matki. Maszyna znowu jak niegdyś turkotała, i lampa świeciła jak dawniej.

To nie lampa, tylko latarnia uliczna; to nie turkot maszyny, tylko hałaśliwy szmer wody, spadającej do kanału!

Jaś przetarł oczy, patrzył z uśmiechem na padający deszcz, na bystre potoki wody, i znowu począł marzyć. Zdawało mu się, że słyszy klekot młyna i przypomniał sobie, że w jednym z ogrodowych krzaków ma schowaną wędkę.

— Pójdę łapać ryby do stawu... — rzekł.

Świadomość znowu ostrzegła go, że to nie młyn klekoce. Lecz gorączka pokonała świadectwo zmysłów. Otóż i ogród: jak tu pachnie!... Wszystkie drzewa okryte są kwiatami, a ścieżki suchym żwirem. Słońce pali tak, że Jaś jest cały mokry i musi oczy zamykać przed blaskiem...

Gdy się ocknął, dostrzegł gazową latarnię i przekonał się, że migotliwy jej płomień drażni go. Zdawało mu się, że się cofa przed nim i kryje w lochu, w którym gospodyni utrzymywała mleko w hładyszkach. W piwnicy tej znalazł wszystkie dzieci: Antosię, Manię, Kazię, i Józia. Ucieszył się tak, że aż klasnął w ręce, lecz przekonał się, że go nie widzą.

— No, nie udawajcie... nie sprzeciwiajcie się! — zawołał. — Lepiej dajcie mi trochę mleka, bom ogromnie zmęczony!...

Ale dzieci nie słyszały go i wybiegły z lochu, a on za nimi. Obojętność ich tak go rozzaliła, że się chciał poskarżyć przed matką: począł więc jej szukać, wołając:

— Mamo! mamó!

Ale i matka uciekała przed nim i kryła się, że jej żadną miarą nie mógł dostrzedz. Gonitwa ta wprawiała go nieledwie w szal; wyciągnął ręce i rzucił się naprzód.

Gdy mu wróciła przytomność, poznał, że jest na ulicy, i że deszcz cokolwiek się zmniejszył. Przypomniawszy sobie marzenia, lecz nie mógł pojąć co to znaczy, ani zrozumieć, czy jest tym samym Jasiem, który biegał niegdyś po ogrodzie i łąkach, uciekł od Durskiego i został obdarty przez Antka? Czuł,

że stało się z nim coś nadzwyczajnego, i że grozi mu jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Nagle przyszedł mu na myśl wyraz: śmierć...

Śmierć w nocy, wśród pustego miasta, pod chmurnym niebem, na błocie, zdala od wszelkiej żyjącej istoty, z którą mógłby się pożegnać, lub przynajmniej rzucić na nią ostatnie spojrzenie, jakąż to straszna rzecz! Dokoła niego jest tylu ludzi, a żaden ani pomyśli o tem, że o parę kroków nędzne dziecko ma umrzeć!...

Ogarnęła go rozpacz: chciał pukać we drzwi i wołać: "Zlitujcie się!..." Po chwili jednak uniesienie przeszło, a Jaś ruszył dalej i począł mówić podniesionym głosem:

Kto się w opiekę poda Panu swemu...

Stracił on już poczucie bytu. Myśl zwróciła się ku Bogu i matce, a sztywniejące nogi niosły go kędyś... Dokąd?... Zapewne do ciemnej krainy, z której nikt nie wraca.

Bez planu i wiedzy znalazł się w Alejach Jerozolimskich i szedł środkiem drogi, ku Wiśle.

Zdawało się, że niebo leje łzy nad tym żyjącym atomem, który, jak umiał, polecał Stwórcy duszę, pełną żalu i niewymownej trwogi.

XII. Przyjaciół

Pan Anzelm stanął w Warszawie w wigilię Nowego Roku. Wynajął pokój w hotelu Poskim i nie tracąc ani chwili czasu, poszedł do domu, w którym, według słów Jasia, powinien był rezydować opiekun sieroty.

— Czy tu mieszka pan Karol—zapytał szlachcic stróża, zatrzymując się w bramie.

— Tu, na pierwszym piętrze, ale pewnie go niema, bo dopiero co wyszedł.

Szlachcic sięgnął do portmonetki, a stróż zdjął czapkę.

— Nie wiesz, mój przyjacielu, — mówił dalej szlachcic — czy u pana Karola jest taki mały chłopiec, Jaś?...

— Aha!... to ten, co mu matka w lecie z głodu umarła?... Był on tu, ale teraz jest u krawca, u Durskiego, i nawet nigdy u pana nie bywa.

Usłyszawszy o śmierci z głodu, pan Anzelm wstrząsnął się. Potem zapytał stróża o adres krawca, dał mu dwa złote, i gniewny, kazał się wieźć w okolice Starego Miasta.

W magazynie ubiorów męskich znalazł tylko jejmość panią Durską. Gdy ją zapytał o Jasia, tłusta dama, załamując ręce, krzyknęła:

— Ach, mój panie serdeczny! także pan trafił... Imaginuj pan sobie, że ten łajdak Jędrek, o ten, co się za szafę chowa, okradł nas, a mój stary — posadził Jasia! No, i wyobraź pan sobie, że biedny chłopiec uciekł!... A takem go kochała! Przepadałam za nim, mówię panu!...

— Mniejsza o to, — przerwał szlachcic, oblewając się rumieńcem, — ale gdzie on jest teraz?

— Otóż to, że nie wiemy, drogi panie! — jęknęła przestraszona majstrowa. — Albo ja wiem?... może się zabił, a może się zastrzelił?!...

— A do stu tysięcy diabłów!... krzyknął rozgniewany szlachcic, tupnąwszy nogą. — To wy się tak opiekujecie sierotami w Warszawie?...

— Ach, dobry panie! ach, szlachetny panie!... — lamentowała biedna majstrowa, patrząc z trwogą na sękaty kij gościa.—Ach, to ten mój... niby mąż winien, a nie ja nie-szczęśliwa!... Z innej ja pochodzę kondycyj, drogi panie, i mogłam wyjść za urzędnika...

— Gdzież więc mąż pani?! — wrzasnął szlachcic, uderzając kijem o podłogę.

— Ach!... pobiegł przecie szukać Jasia i tego łajdaka Panewki... Jędre! a skoczno po kuf... po pana, chciałam powiedzieć...

Łotr szybko rzucił się do drzwi, i za chwilę sprowadził majstra, który stawiał nogi w sposób bardzo niepewny, miał niezwykle bladą twarz i jak zwykle nos amaran-towego koloru.

— Gdzie Jaś?... — zapytał krótko pan Anzelm.

Durski spojrział na wyleknioną żonę, zachwiał się na nogach jeszcze bardziej i odparł z rezygnacją:

— Uciekł, panie! choć go kochałem, jak rodzonego syna... Teraz szukam go, panie, po całych dniach, ale... że trzech kupców petersburskich spotkało mnie tu, naprzeciw w bawarii, więc...

— Zapłacę ja wam, poczciwi opiekunowie! — mruknął Anzelm i wybiegł ze sklepu, trzaskając drzwiami.

— Spóźniłem się!... Bóg widać pogardza moją ofiarą! — szeptał szlachcic, biegnąc do ratusza.

Gdy przybył tam i zażądał, aby szukano Jasia, jeden z urzędników rzekł:

— Chłopca tego już szukają. Wczoraj był tu jakiś Panewka i zostawił szczegółowy rysopis. Twarz okrągła, włosy blond... U-

brany był w czarne palto, czapkę z daszkiem... Znaków szczególnych nie miał żadnych.

— Mnie tam nie chodzi o znaki szczególne, tylko o chłopca!... — odparł szlachcic, i obiecawszy nagrodę temu, kto znajdzie Jasia, poszedł dalej, mruczając: — Ciekawym, kto jest ten Panewka?... Jakiś z niskiej klasy, ale uczciwy.

Z kolei, pan Anzelm począł obchodzić kościoły, żądając, ażeby z ambon ogłoszono zaginięciu chłopca imieniem Jaś, ubranego w czarne palto i czapkę z daszkiem. Księża z uprzejmością uwzględnili to żądanie, dodając od siebie, że już o to samo byli proszeni przez jakiegoś niskiego człowieka z wielką głową.

— To musi być sprytny człowiek! — myślał pan Anzelm o Panewce, nie wiedząc, że ten człeczyna — kraje jak Szabu, a głupi jak but!...

Wróciwszy do hotelu, pan Anzelm rzucał się na łóżko zmartwiony. Czuł on, że po nitce litości wkradło się do jego serca wielkie przywiązanie do sieroty.

Drugiego Stycznia, około jedenastej w południe, dano znać panu Anzelmowi, że Jaś znalazł się, i że jest w ratuszu. Szlachcic w parę minut stanął w kancelarii.

Tu zastał jakiegoś robotnika, starą kobietę, komisjonera i stójkowego, którzy otaczali chłopca ubranego w czarny paltocik. Anzelm spojrzał mu w oczy i osłupiał:

— Jak ci na imię? — spytał to indywiduum.

— Jaś, proszę pana... żeby mię tak cholera zatłukła!... — odpowiedział chłopiec z wiśniowym nosem i kilku sińcami na twarzy.

Szlachcic nie wiedział co myśleć. W tej chwili jednak zbliżył się do ulicznika jakiś stary policjant, popatrzał mu bystro w twarz, a następnie, odchyliwszy kołnierz paltota i przeczytawszy na podszewce etykietę: "Kasanty Dureski w Warszawie," rzekł:

— No, gadaj prawdę, tyś okradł tego małego!...

Anzelm upadł na krzesło, a tymczasem chłopak wrzaskliwym głosem odpowiedział:

— Nie okradłem!... jak Boga kocham! On mi sam ten paltok darował... żebym tak w ziemię wrósł!... On przecie służył u mnie, niech sam powie... Karmiłem go, jak własnego syna... Ale jakeśmy się pobili z Marcinem, wczoraj w wieczór, tak on, psia kość, wziął i uciekł!... Żebym tak skonania nie doczekał!...

— No, a dlaczego ty się Jasiem przezywasz, kiedy ty jesteś Antek? — badał dalej policjant.

— To też Antek!... przecie mówiłem, że Antek.

— Co ty tu będziesz łgał, łotrze!... — wszyscy słyszeli, żeś się nazywał Jasiem!...

— Ehe!... — odparł zadziwiony ulicznik — kiedy tak, to pewnie musiałem zapomnieć!...

Ponieważ Antek był dobrze znany policji, przyniesiono więc jego stan służby, z którego dowiedziano się, że ulicznik był już kilkanaście razy pod aresztem. Raz — za to, że dmuchał w rurki wodotrysku przed pocztą; drugi raz, że wybił kamieniem szybę w omnibusie; dalej za to, że okradł pudła; zabrał mu obrożę i kaganiec; potem za to, że się nieobyczajnie zachowywał na ulicy, że ukre-

ca mosiężne klamki, i że z jakimś żołnierzem zrobił awanturę w szynku... Panu Anzelmowi stanęły włosy na głowie, gdy porównywał mały wzrost ulicznika z ogromem jego występków!

Skutkiem tego, robotnik, stara kobieta, komisjoner i stójkowy, którzy znaleźli ulicznika, odeszli z kwitkiem.

Prawie w tej samej chwili, przyniesiono panu Anzelmowi dwie wiadomości. Pierwszą, że pocziwy Jędrus, terminator Durskiego, oskarżony o okradzenie majstra, zajął już w ratuszu łóżę obywatelską, od strony Daniłowiczowskiej ulicy. Druga wiadomość była gorsza: ktoś bowiem doniósł, że Jaś musiał się utopić, ponieważ w tym czasie, kiedy pękły lody na Wiśle, słyszano krzyk.

Na prośbę pana Anzelma, celem sprawdzenia wieści, rozesłano telegramy na wszystkie strony miasta, i okazało się: że lody na Wiśle pękły pomiędzy Warszawą a Pragą, i że o tej samej porze usłyszano krzyk za Wolskimi rogatkami. Sprawdzono też, że krzyk ów nie pochodził z ust topiącego się Jasia, lecz z piersi niejakiej Magdaleny Robaczek, pobitej przez męża Walentego Robaczka, wyrobnika, który odznaczał się zamięłowaniem w nietrzeźwości.

Gdy wszelkie wątpliwości były rozjaśnione w zadowalający sposób, zdesperowany szlachcic opuścił ratusz i bez celu tułał się kilka godzin po ulicach. Przeszedł Stare Miasto, był na Nowym Zjeździe, zwiedził warszawski brzeg Wisły, a wreszcie, około szóstej wieczorem, zawrócił do hotelu.

Gdyby w tej chwili uważniej spojrzeć dokoła siebie, dostrzegłby wynędzniałego

chłopczyńę, który drepzcząc nogami i chuchając w skostniałe ręce, zabiegał mu to z prawej, to z lewej strony i zaglądał w oczy, z wyrazem nieopisanego niepokoju.

Ale pan Anzelm nie uważał i zamyślony szedł dalej. Wyminął kilka ulic, dotarł do hotelu, wdrapał się chwiejnym krokiem na schody i otworzył swój numer.

W chwili, gdy zapaliwszy świece, zwrócił się ku otwartym drzwiom, aby je przymknąć, zobaczył jakąś kupę drżących łachmanów, które padły na ziemię i oplątały mu nogi. Jednocześnie uczuł, że ktoś całuje mu kolana, i, wśród jęku i szlochań, usłyszał wyrazy:

— Panie mój!... panie!...

Szlachcicowi serce bić przestało. Porwał dziecko w objęcia, podniósł je do góry, przypatrzył się mizernej twarzyczce i zawołał:

— O dziecko, ileś ty mi narobił zmartwienia!

Jaś to był, obdarty, zmęczony i głodny. Lecz kto go aż tu doprowadził?...

Chyba Ten, który przylatującym bocianom i jaskółkom wskazuje niezawodną drogę.

* * *

Trzeciego Stycznia, jeden z terminatorów Durskiego spotkał na ulicy Panewkę w stanie opłakanym. Czeladnik był pijany tak, że ledwie się trzymał na nogach.

— Co panu jest?... — krzyknął zdumiony chłopiec, ujrzawszy go.

— Idź do diabła! — mruknął Ignacy.

— A pan wie, że Jaś się wczoraj znalazł?

— Co ty gadasz?...

— A tak, znalazł się i jest u jednego szlachcica w hotelu Polskim — odparł terminator.

Panewce zabłyszczały oczy. Otrzeźwiało, wyprostował się i pędem pobiegł do hotelu, a spotkawszy przed bramą szwajcara, rzucił się do niego z pytaniem:

— Gdzie Jaś?... gdzie ten chłopiec, co go tu wziął jakiś szlachcic?...

— A acanu co do niego?...

— Powiedźcie: gdzie on?... — błagał Panewka, chwytając szwajcara za rękę.

— Już wyjechali na pocztę z tym panem! — odparł obrażony oficjalista, chcąc jak najprędzej uwolnić się z uścisków niezwykłego interesanta.

Czeladnik pędem ruszył przez ulicę Miodową. Gdy wszedł na Kozią, usłyszał za sobą dźwięk trąbki. Obejrzał się. W tej chwili przejechała pocztowa karetka, w której głębi zobaczył — bladą twarz Jasia.

Teraz Ignacy zebrał wszystkie siły i począł biedz cwałem; odtąd już odległość między nim a ciężkim powozem nie zwiększała się, w każdym jednak razie wynosiła kilkadziesiąt kroków.

— Nie dognam go! — mruknął Panewka, czując, że lada chwila padnie.

Przy moście, z powodu ścisku, karetka zwolniła bieg. Panewka zbliżył się do niej na kilkanaście kroków i zawołał z całej mocy:

— Jasiu! Jasiu!...

— Nie potrzebnno krzyczeć po ulicy! — ostrzegł go jakiś urzędowy głos.

Czeladnik wpadł na most i jeszcze przez kilkanaście sekund pędził, wołając:

— Jasiu! Jasiu!

Nagle karetą ruszyła prędzej. Panewka stracił siły, i zziębnięty, patrzył na oddalający się powóz.

— Nawet nie spojrział na mnie... — szepnął z żalem.

On także był sierotą.

STARA BAJKA

Kiedy ś. p. p. sędzia Furdasiński przeniósł się tam, gdzie, wedle słów proboszcza, miał pobierać wiekuiste czynsze z kapitału swoich cnót i zasług, na Furdasówce nie było ani grosza długu.

Nie podobało się to jednak synowi i dziedzicowi zmarłego, który zawsze mawiał, że w tych czasach tylko Żydzi i mechesy nie mają długów, i — hipoteka zaczęła się obciążać.

Zresztą młody pan Furdasiński był poczciwy chłopak. Wstawał o szóstej i, jako rolnik z krwi i kości, hasał konno po polach do ósmej. Nieraz w tych wycieczkach upatrzył sobie ładną dziewczynę, której w najbliższe święto kupował gorset i chustkę, a nawet czasem, po upływie roku, dawał jej krowę i paręset złotych gotówką.

O ósmej pił śniadanie, potem uczył swego szpaka gadać lub gwizdać, koło południa jadł drugie śniadanie, po śniadaniu trochę drzemał, o czwartej spożywał obiad, a po obiedzie, albo znowu uczył szpaka i rozmawiał z ekonomem, albo jechał do sąsiadów na partyjkę. Regularny tryb życia łamał się parę razy na rok, mianowicie w czasie karnawału i w czasie wyścigów; wtedy bowiem pan Furdasiński zabierał karete, cztery konie, furmana, lokaja i chłopca i jechał na cały miesiąc do Warszawy.

Niekiedy po upływie miesiąca dwór sam wracał na wieś. Był to znak, że pan Furdasiński udaje się za granicę.

Marszaek Mazaajło-Skrobejko, najbliższy sąsiad, który miał trzy dorosłe córki, przez przyjaźń dla ś. p. sędziego często upominał dziedzica, radząc mu, aby się jak najrychlej ożenił.

— Myślę o tem — odparł pan Furdasiński. — Właśnie kupiłem meble.

Marszałek spojrział z pod oka na fotele, obite amarantowym aksamitem, i na fortepian Bechsteina, okryty warstwą kurzu, i rzekł:

— No tak, meble!... Ale niepotrzebnie karmisz tyle służby w domu.

— A cóż, mam ich wygnać? Przecież na nas, na obywatelstwie ciąży obowiązek dostarczania ludziom pracy, ażeby nie kradli.

— Te wędrówki do Paryża także na nic — mówił marszałek.

— Co też marszałek baje! Cóżbym ja był za Polak, żebym choć raz na kilka lat nie zajrzał do Paryża?... Paryż to jak Warszawa i Kraków.

— Wiedeńska wystawa także zjadła sporo grosza....

— Obywatel u nas nie może być tylko rolnikiem — odpowiadał pan Furdasiński. — Musimy badać przemysł.

— No, ale Monaco...

— Wszystko na świecie trzeba poznać! — przerwał mu młody dziecic, i zbliżywszy się do okna, w którym wisiała klatka ze szpakiem, zagwizdał walca Straussa.

Pojętny ptak pochwycił natychmiast melodię, lecz urwawszy ją w połowie, odśpiewał kilka taktów: "Rachelo, kiedy Pan..." a zakończył: "Gdyby rannem słońkiem."

Ponieważ młody dziedzic nie zmieniał trybu życia, więc majątek topniał z godną podziwu szybkością. Nawet marszałek stracił serce do syna swego przyjaciela i oświadczył publicznie, że nigdy nie miał zamiaru przyjąć go za swego zięcia, a jeżeli wstępował do Furdasówki, to tylko przez pamięć dla ś. p. sędziego. Przytem robił coraz surowsze wymówki młodemu panu i co kilka zdań powtarzał:

— Diabli wzięli Furdasówkę!...

Przyszła nareszcie chwila, że pan Furdasiński nie obsiał pól, nie zapłacił procentów wierzycielom, ani rat w Towarzystwie kredytowem. Cugowe konie schudły, służba rozbiegła się, sąsiedzi zerwali stosunki, a młody dziedzic — nie miał mięsa na obiad.

Otyły marszałek, usłyszawszy o tem, dosta małego ataku apopleksji. Tydzień leżał w łóżku, wreszcie pojechał do pana Furdasińskiego z ostatnią wizytą.

Właśnie dziedzic uczył swego szpaka arii: "La donna e mobile", kiedy zasapany marszałek wbiegł do salonu, i rzuciwszy się na kanapę, zaczął:

— Cóż to, subhastują cię?...

— Podobno.

Marszałek wzruszył ramionami i podniósł oczy do nieba.

— A ileż ci zostanie z majątku, jeżeli wolno spytać?... — rzekł.

— Ze dwadzieścia tysięcy rubli...

— Te te te!... Towarzystwa masz dziesięć tysięcy. Długów hipotecznych...

— Parę tysięcy rubli.

— Parę?... — spytał oburzony marszałek. — Jest przeszło piętnaście tysięcy rubli zapisanych... A rewersy?

— No, tych śmieci będzie może na kilkaset rubli.

— Kilkaset? — krzyknął marszałek. — Wszyscy Żydzi lamentują, żeś bankrut, i że im nie zapłacisz!... Posłuchaj — dodał, usiłując zapanować nad sobą — Przez pamięć dla ś. p. ojca obrachowałem twoje długie i wartość majątku, nie wyłączając powozów i mebli. Otóż mówię ci: nie masz nic!... Grosza stąd nie wyniesiesz, jeszcze ci masa długów zostanie, bo za te grunta dadzą najwyżej po dwa tysiące rubli za włókę... Czeka cię nędza.

— Wszystko na świecie trzeba poznać! — odrzekł spokojnie pan Furdasiński.

Marszałek podniósł się z łoskotem.

— Władku! — rzekł — czy przez pamięć dla twego ś. p. ojca mogę co zrobić dla ciebie?

— Owszem — odpowiedział. — Może pan zechce przyjąć ode mnie na pamiątkę ten fortepian. Pyszny!... koncertowy Bechstein: ani razu na nim nie grałem...

Twarz marszałka zrobiła się fioletową. Zacisnął pięści i wrzasnął:

— Smar... Smaku nie masz acan!

Wybiegł z pokoju, a za chwilę przyszedł furman po czapkę, której wzburzony pan zapomniał.

Od tej chwili aż do dnia licytacji pan Furdasiński był już sam, jak palec. Nie

tracąc jednak humoru, chodził po pokoju i palił fajkę, a jego szpak gwizdał kawałki rozmaitych melodii, albo wołał:

— Diabli wzięli Furdasówkę!

Pan Furdasiński oburzył się.

— Wołaj, — rzekł do szpaka — ośle jakiś, to, czegom ja cię uczył: “Złodzieje! Żydy!...”

— Diabli wzięli Furdasówkę!... — odpowiedział szpak, pilnie przypatrując się swemu panu.

Był pewien, że mówi dobrze.

Licytacja majątku przyniosła cały szereg niespodzianek. Naprzód majątek poszedł nie po 2,000, lecz po 2,500 rubli włóka, skutkiem czego, dołączywszy sprzedaż mebli i zbytecznej garderoby, pan Furdasiński nie tylko co do grosza spacił najmniejsze nawet długi, ale jeszcze sam wziął do ręki około tysiąca rubli gotówką. Powtórę majątek kupił chłop z tej samej wsi, Kuba Grzyb, i odrazu na stół położył 38,000 rubli.

Widząc, że chłop z siwemi włosami, nastroszonemi jak szopa, wydobywa z kobieli storublowe bankocetle, pan Furdasiński odezwał się:

— I wy, Kubo, naprawdę kupujecie folwark?

Stary zdjął czapkę i pochylił mu się do nóg.

— Patrzyłby mi się — rzekł — folwark choćby za pięćdziesiąt tysięcy, bo mam kupę hołoty, ale, za pozwoleniem jaśnie pana, wezmę i ten, bo zawdyk lepi, coby się swoje zostało przy swoich. Nowe pomiary to ta będą jeszcze nieprędko, więc trza kupić, kiej się nadarza okazja.

— I sami będziecie gospodarowali?...
— spyta pan Furdasiński.

Stary znowu schylił mu się do kolan, aż siwemi lokami dotknął ziemi.

— A bo ja głupi, jaśnie panie, — odparł — rwać się do tego, czemu jaśnie pan nie wydołał?... Ja tam, już do wezwania Boskiego zostanę chłopem, a na ten folwark sprowadzam se wokumona aż z pod Kalisza, tego Bydłoskiego, co go jeszcze jaśnie wociec za czasu pańszczyzny miał pisarzem prewentowym.

— A cóż to bliżej nie mieliście kogo?

— Dopraszam się łaski jaśnie pana, to było tak — mówił chłop. — Jak ino Żydy wzięły gadać, co Furdasówkę zlicytują, to zaraz mój najstarszy zakłada se, żeby jaśnie pana uprosić na rządcego...

— No, ja nie... — przerwał Furdasiński, rumieniąc się.

— Waśnie też tak rzekła moja baba, że jaśnie panu nijako być u chłopu w obowiązku, a jeszcze ja se pomyślałem, że kiedy on niebożę na swoim nie mógł wydołać, to mu na cudzem będzie gorzej...

Pan Furdasiński zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Więc wtedy — mówił chłop — rzekłem: basta! i zaraz se pomyślałem o Bydłoskim.

— Żeście o nim nie zapomnieli! — wtrącił były dziedzic: — boć on u nas nie mieszka już ze dwadzieścia lat.

— O, ja jego dobrze pamiętam, — rzekł chłop — bo on przecie nas bijał. I tak było, że raz jaśnie wociec kazał nam kilku wyasygnować po dziesięć witek za to, żeśmy

trochę zaniedbali sianokos. I kiedy na mnie przyszła kolej, Bydłoski prawi: "Naści, chłopie, dziesięć letkich witek za pańskie siano, co zgniło. A tera, ino se wciąż ligaj, dołożę ci piętnaście mocnych za twoje zgniłe siano." — "Ha! — mówię — panie pisarzu, co prawda, to prawda: zepsułem se siano przez jarmark!" A on jak mi nie sypnie!... Aż, z przeproszeniem jaśnie pana, w nosie mi zakręciło... Zara se wtedy zmiarkowałem, że człek sprawiedliwy — kończył chłop. — I rzekłem teraz do baby: Bydłoski będzie u nas gospodarował, bo już wtedy on dbał o nasze, kiedyśmy jeszcze sami nie dbali...

Wysłuchawszy z oznakami niecierpliwości rozwlekłej mowy chłopca, pan Furdasiński cofnął się do dworu. Chodził po pokoju, dumając i paląc fajkę, a szpak wrzeszczał:

— Diabli wzięli Furdasówkę!...

Pan Furdasiński z początku tylko chrząkał, a w końcu gniewnie zawołał:

— Dobrze zrobili, że wzięli!

Istotnie, czuł tu jakąś dumność, może dlatego, że właśnie zbliżała się pora letnich wycieczek, a może z innych powodów.

Nad wieczorem zobaczył przez okno nastroszoną siwiznę Grzyba.

Stary chłop cierpliwie stał przed gankiem, trzymając czapkę w ręku. Pan Furdasiński prędko wyszedł do niego.

— A czego to chcecie, Kubo? — spytał.

Chłopu trzęsła się głowa. Nagle podbiegł do byłego dziedzica i objął go za nogi.

— Ostańcie z nami, jaśnie panie—mówił stary. — Chleba nam tu nie zbraknie, a pół dworu oddam wam do śmierci.

Pana Furdasińskiego tak zamdliło w sercu, jakby przed śniadaniem. Zaczął mru-gać, ale cofnął się do ganku i odparł:

— Nie mogę... Nie wypada...

— Zaznacie wiele biedy na świecie — mówił stary.

— Wszystko trzeba poznać...

Stary podbiegł ku wrotom, i machając czapką, wołał:

— Dzieci, żono, a chodźta zwawo, bo mnie nie słucha!...

Wtedy przed ganek wypadła gromada starszych i młodszych chłopów i kobiet, wielkim głosem zaklinając jaśnie pana, ażeby został.

Rzewnie zapłakał pan Furdasiński, ale zarazem oświadczył, że jeszcze dziś chcejechać do kolei.

— Chowajcie mi tu szpaka, — prosił — dopóki miejsca nie znajdę... Potem go odeszlecie...

Grzyb poznał, że pan zaciął się.

— Ha! — rzekł — kiedy tak, to jedźcie, jaśnie panie. Ale, jeżeli wam bieda dokuczy, jak Bóg w niebie, dajcie mi znać. Zawdyk my, choć chłopi, wam najbliżsi...

Gdy wzeszły na niebie gwiazdy, najstarszy syn Grzyba zajechał przede dwór porządnym wasągiem.

Pan Furdasiński wyniósł nieduży tłumoczek i z zapalonem cygarem siadł na wóz. Szpak, zbudzony światłem, ocknął się i krzyknął:

— “Diabli wzięli Furdasówkę!”

Małe, lecz silne koniki w parcianej uprzęży ruszyły z miejsca. Pana nie miał już

kto żegnać, tylko głodne od kilku dni psy podwórzowe, skomlać, podskakiwały do wozu; ale od gościńca wróciły znowu do dworu, pilnować reszty dobytku. Myślały, że i dzisiaj ich pan wyjechał tylko na partyjkę w sąsiedztwo.

Szlachcic siedział ostro na wozie, w sławuckiej burce, w granatowej czapce z daszkiem na bakier, czerstwy, wyprostowany. Czasami, gdy wyjrzał na drogę, która ginęła we mgle nocnej, chwycił go za gardło jakby strach i żal. Ale wtedy mocno odchrząknął, głębiej zaciągnął się dymem cygara i mruczał:

— Wszystko na świecie trzeba poznać.

W Warszawie stanął w hotelu Europejskim, sprawił nowy garnitur i starał się odświeżyć zeszło roczne znajomości. Spostrzegłszy jednak po tygodniu, że wydał kilkaset rubli i stracił serca swoich, wyniósł się do hotelu Saskiego. Po kilku tygodniach wyprowadził się na Dziekanę, a stamtąd aż na Nowolipki, widząc z przerażeniem, że pieniądze uciekają mu jak woda ze spaczzonej konewki.

Dużo też myślał o przyszłości. Z początku miał zamiar ożenić się z córką jakiego milionera, kupić parę domów i — mieszkać za granicą. Potem zdecydował się przyjąć jakąś posadę, choćby dyrektora kolei albo cukrowni. Lecz w tydzień później już zdziwiłby się, gdyby kto chciał utrzymywać, że jemu, Furdasińskiemu, żadną miarą nie wypada zostać plenipotentem lub rządcą jakiegoś majątku. Zaś w kilka dni zgodziłby się i na posadę kasjera lub sekretarza przy jakiejś miejskiej instytucji.

W końcu, z resztek pieniędzy zostało mu niecałe trzysta rubli. Mieszkał już w brudnym zajeździe na Nowolipkach, jadał pięćdziesięciogroszowe obiady i odłożył dwa ostatnie sturublowe banknoty do oddzielnego przedziału w pugilaresie, że ich nie wyda.

Jednocześnie dał do Kuriera ogłoszenie “o obywatelu ziemskim w sile wieku i kawalerze, który posiada kaucję i poszukuje odpowiedniego zajęcia” — i pilnie zaczął śledzić część dzienników, zatytułowaną “Posady i pracę.”

Gdy, oprócz dwu owych sturublówek na kaucję, miał niecałe dziesięć rubli majątku, wpadło mu w oczy ogłoszenie:

“Do biura informacji potrzebny inkasent z kaucją. Pierwszeństwo mają kawalerowie, znający prowincję.”

Pan Furdasiński zarumienił się z radości. Była to posada widocznie dla niego, gdyż jakkolwiek nie wiedział dobrze, co znaczy inkasent, lecz był kawalerem i znał prowincję... Ba! znał Paryż...

Ponieważ ogłoszenie to przeczytał w cukierni, więc kazał zaraz podać, zamiast czystej herbaty, filiżankę kawy i kieliszek arbricotiny; wypił to duszkiem i pobiegł pod wskazany adres. Idąc, kupił jeszcze cygar po 20 kopiejek, ale tylko pięć sztuk dla oszczędności.

W kantorze znalazł parę czarno lakierowanych stołów, na których leżały stosy aktów, kasę ogniotrwałą i obok niej, na ścianie, kilka pęków kartek, zapisanych liczbami. Wszystkiego pilnował człowiek, który siedząc na fotelu, skórą obitym, czyścił sobie paznokcie.

Na widok pana Furdasińskiego, człowiek z kantoru zerwał się na równe nogi. Był to jegomość dziwnie ruchliwy, z nadzwyczaj bystremi oczyma, źle uczesany, nie dbale ubrany, ale bardzo grzeczny.

— Czem szanownemu panu mogę służyć? — zapytał, nisko kłaniając się i podsuwając panu Furdasińskiemu fotel, jedyny sprzęt na którym można było usiąść.

Szlachic zmieszał się i rzekł prawie pokornie, choć chciał nadrobić miną:

— Czytałem ogłoszenie o... tym inkansencie...

— Aha! tak — przerwał gospodarz, i prędko usiadłszy na fotelu, zaczął znowu skrobać paznogie.

Po chwili, z pod oka patrząc na suplikanta, zaczął pytać:

— Jakie pan ma kwalifikacje?

— Miałem wieś Furdasówkę...

— Fiu! — gwizdnął gospodarz. — Ale ja się pytam o kwalifikacje naukowe?...

— Byem w gimnazjum... Także za granicą... Umiem nieźle mówić po francusku — dodał nieco głośnie pan Furdasiński.

— Fiu!... a jaką kaucję pan ma?

— Dwieście rubli...

— Mało. U mnie, panie, robią się interesy na setki tysięcy rubli. Można mieć dochody, ale — potrzeba złożyć kaucję. Nieraz będziesz pan musiał podnieść z banku jakieś kilkanaście tysięcy... Muszę mieć pewność.

Pan Furdasiński, znękany przez widmo nadciągającej biedy, stał jak uczeń na egzaminie.

— Widzi pan, — rzekł zawstydzony — chwilowo nie mogę...

— Aha!... no!... — przerwał właściciel kantoru. — Pańskie szczęście, że mi się podobasz. Siadaj więc i napisz swoje curriculum vitae, wymieniając osoby, które pana znają. Ale poważne osoby!...

Wstał z fotelu i przysunął niedbale panu Furdasińskiemu papier i kałamarz, w którym atrament zgęstniał jak smoła, zapewne z ciągłego użycia.

— Ale, ale, — dodał — ja teraz muszę odnieść pewną sumę do banku handlowego i na pół godziny zostawię kantor pod pańską opieką. Woźny ma dziś pogrzeb...

Otworzył z ogromnym trzaskiem kasę ogniotrwałą i począł z niej wydobywać koperty, napełnione różnokolorowemi wartościami, mruczając:

— Bank polski 3,000... jutro o dziesiątej... Bank dyskontowy 2,800 jutro... O! jest bank handlów i...

Nagle zwrócił się do pana Furdasińskiego.

— Nie możesz mi pan zmienić 250 guldenów na ruble?

— A ileż to trzeba? — odparł zapytany, gryząc pióro.

— Dwieście rubli z czemś... Zresztą daj pan tymczasem dwieście.

Pan Furdasiński wydobył dwie ostatnie tęczówki, a właściciel kantoru, odwróciwszy się do kasy, liczył guldeny.

— Pięćdziesiąt... sto... sto-pięćdziesiąt... Zmienisz pan to u wekslarza obok. Ale... A po ile pan weźmie za guldena? — rzekł nagle, i lekko wysunawszy z ręki panu

Furdasińskiemu sturublówki, z szybkością magika schował je do swej koperty.

— Czy ja wiem, ile mi dadzą — odparł pan Furdasiński.

— Wyborny inkasent! — zaśmiał się właściciel kantoru. — Tym sposobem straciłbyś pan pół kopiejki na rubu, czyli rubla na dwustu — i, po kilku podobnych operacjach stopniałaby kaucja. Bo ja za pańskie omyłki płacić nie myślę. — No dodał — ale na pierwszy raz mniejsza o to. Sam, jak będę wracał, wymienię panu u wekslarza guldeny. Teraz niech pan szybko pisze swoje curriculum vitae, a gdyby przyszedł jaki interesant, proszę powiedzieć, że wrócę z banku dopiero za pół godziny.

Zamknął kasę, ogromną kopertę wziął pod pachę i wybiegł.

Pan Furdasiński zaczął pisać:

“Urodziłem się w Furdasówce...”

Przekreślił i zaczął nanowo:

“Przyszedłem na świat w majątku dziedzicznym Furdasówka...”

Więcej nie umiał dodać, ani wyrazu. Wziął więc pióro w zęby i zamyślony oparł głowę na rękę.

W tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi.

— Ha! mam cię, oszuście!...

Pan Furdasiński zerwał się na równe nogi i stanął oko w oko z jakimś zaperzonym człowiekiem, który trzymał potężny kij w garści, widocznie gotując się do zadania nim ciosu.

Obaj panowie patrzali na siebie przez kilka sekund zdziwieni.

— Przepraszam! — bąknął gwałtowny przybysz. — Ale... gdzie jest ten oszust?...

— Jaki oszust?...

— Ten.. ten dyrektor kantoru... Dyrektor!... Hultaj, który kradnie uczciwym ludziom kaucję i fałszuje weksle...

— On kradnie kaucje? — spytał przerażony pan Furdasiński.

— Czy może i pana naciągnął? — spytał naodwrot popędliwy nieznajomy.

— W tej chwili wziął ode mnie dwieście rubli...

— Cha! cha!... — zaśmiał się przybysz. — To on tu już nie wróci. Ale ja znajdę go w knajpie...

I wybiegł, wywijając kijem w sposób znaczący.

Pan Furdasiński stał odurzony. Był już nędzarzem, miał niecałe dziewięć rubli... Nim jednak zdążył zebrać myśli, wbrew przewidywaniom człowieka z dużym kijem, ukazał się — właściciel kantoru. Uśmiechnięty, nucił co pod nosem.

— Cóż curriculum vitae skończone? — zapytał pana Furdasińskiego. — Musisz pan zaraz objąć swoje obowiązki i posiedzieć tu do trzeciej, gdyż wypadł mi nagły interes do hipoteki.

— A moje dwieście rubli? — rzekł ostro pan Furdasiński.

— Pójdą na kaucję — odparł najspokojniej dyrektor kantoru.

— Bóg zapłać! — odparł pan Furdasiński — Był tu dopiero ktoś u pana także po kaucję... Szuka pana po całym mieście i nazywa oszustem... Oddaj mi pan moje dwieście rubli, to ostatni grosz...

Dyrektor oburzył się.

— Słowo honoru daję, że to jakiś intrygant chce mi oficjalistę zbałamucić. Ale nie wierz pan tym plotkom!... Słowo honoru...

— Żądam moich dwustu rubli — mówił do głębi wstrząnięty pan Furdasiński. — Jeżeli mi nie oddasz, zawołam policji...

Dyrektor odrazu zmienił ton.

— Fiu! kochanku — zawołał — toś i ty taki dobry, jak inni! Masz niby to pocziwą minę, a grozisz policją?... A gdzie dowód, żeś mi dał pieniądze?... Jeżeli ja jestem łotrem, który nie zasługuje na ufność to trzeba mieć kwit...

— Ja nie mówię, że panu nie ufam... przerwał pan Furdasiński, łamiąc sobie palce w bezsilnym gniewie.

— A, jeżeli mi pan ufasz, więc oddam ci pieniądze za parę dni...

— Chcę zaraz!...

— Niema głupich.

— Zrobię panu awanturę... pójdę do prokuratora!... — wołał pan Furdasiński, nie wiedząc już co mówi.

— Kochany panie — odparł dyrektor chłodno. — Mnie już robili awantury, nazywali oszustem, skarżyli... To dla mnie chleb codzienny. Ale, jeżeli ty chcesz awantury ze mną, więc dobrze. Nie oddam ci pieniędzy, dopóki nie pokażesz kwitu, żeś je wziął, a jak będziesz robił wrzaski, każę cię zaprowadzić do cyrkułu.

Panu Furdasińskiemu zaczęło mącić się w głowie. Dyrektor tymczasem usiadł na fotelu, i wydobywszy z kieszeni pilniczek, zaczął znowu skrobać paznogie.

Wszelako osobliwy ten kantor był domem niespodzianek. W tej bowiem chwili weszła tu sędziwa kobieta, z włosami białymi jak mleko i niezwykle piękną twarzą. Gdyby nie zaczerwienione od płaczu powieki i usta drgające jakimś wielkim żalem, możnaby myśleć, że to nie osoba żyjąca, lecz ubrany czarno posąg Nioby.

Staruszka ruchem pełnym godności skinęła głową panu Furdasińskiemu i szybko zbliżyła się do dyrektora, który zerwawszy się z fotelu, stał zmieszany.

Dama, z trudnością hamując wybuch płaczu, mówiła do dyrektora:

— Coś ty znowu zrobił, nieszczęsne dziecko?... Przed godziną wpadł do mnie jaki awanturnik i lżył cię... tak strasznymi wyrazami, że... zemdlałam z bólu...

I chwytając go za rękę, dodała błagalnym tonem:

— Czy to może być prawda, dziecko, co on mówił?... Tu coś dzieje się, o czym ja muszę się dowiedzieć, chociaż... bodajbym pierwszej była w grobie...

Płakała cicho, zasłaniając chustką usta. Dyrektor ze czcią posadził ją na fotelu i otarł pot, który mu wystąpił na czoło. Był prawie tak blady, jak staruszka. Zwrócił się na chwilę do pana Furdasińskiego i szepnął:

— Wyjdź pan stąd...

Pan Furdasiński nie ruszył się. Widmo nędzy zrobiło go brutalem.

Staruszka mówiła półgłosem:

— Tamten... awanturnik... twierdzi, żeś wziął od niego jakąś kaucję... Krzyczał, że ty... o mój Boże!...

— Kochana mamó, — odparł dyrektor — czy mama nie rozumie, że to są figle moich współzawodników?... Podkopują mi kredyt i burzą domowy spokój...

— Pokazywał mi twój kwit — szepnęła matka.

— No, wielka rzecz! Więc oddam mu pieniądze za pół roku, bo taki jest termin na zwrot kaucji. Był to niesumieny oficjalista, którego musiałem oddalić.

— Oddajże mu dziś choć trochę.

Dyrektor zawahał się.

— Zresztą, — rzekł niecierpliwie — dam mu jakieś a conto w tych dniach.

— To może i mnie odda pan dwieście rubli? — odezwał się pan Furdasiński.

Staruszka zatrzęsła się i, ze wstrętem odwracając głowę od nieznanego sobie człowieka, zapytała gwałtownie syna:

— Dziecko, co to jest?... Co on mówi?

Ale cyniczny właściciel kantoru tym razem milczał. Głowa zwiśla mu na piersi, i opadły ręce.

Pan Furdasiński pochwycił:

— Ostatnie dwieście rubli wziął ode mnie syn pani i mówi, że ich nie odda, bo... nie mam jego kwitu!...

Staruszcze łzy obeschły.

— Dziecko, — zapytała — czy to prawda?

Dyrektor ukradkiem rzucił groźne spojrzenie na pana Furdasińskiego, ale milczał. Był bardzo zmieniony.

Staruszka wstała z fotelu i głosem spokojnym a stanowczym rzekła:

— Trzeba zaspokić tego pana.

— Nie mam pieniędzy — szepnął syn.

— Więc daj mu rewers i płac ratami, ale spłacać go... Spłacać ich wszystkich, bo...

Nie dokończyła, i nie spojrzawszy na syna, wyszła z kantoru.

Była chwila ciszy. Przerwał ją dyrektor, chwytając gniewnie za papier i pióro. Napisał kwit i podał go panu Furdasińskiemu.

— Masz pan — rzekł — kwit na twoje dwieście rubli. Nikt ci nie da dziś za to ani grosza, ale ja go spłace, po pięć rubli tygodniowo, począwszy od listopada. Teraz... sam nie mam nic... Ale — dodał, topiąc w ni mspojrzenie drapieżnego ptaka — domu pan nie nachodź... matki mi nie dręcz... Bo przysięgam ci, będziesz tego żałował!

Wskazał mu drzwi i mruknął:

— Pierwsza rata w listopadzie...

Pan Furdasiński wyszedł odurzony. Nie wiedząc dlaczego był pewny swoich dwustu rubli, ale — w ratach tygodniowych i dopiero w listopadzie. Teraz, przy końcu wrzenia, był nędzarzem.

Na myśl o tem ciarki go przeszły, nie tracąc jednak humoru, rzekł do siebie na cay głos:

— Wszystko na świecie trzeba poznać!

Aż obejrzały się dwie idące przed nim ładne panienki.

Jeszcze kilka dni mieszkał na Nalewkach. Rano i wieczorem pijał herbatę w swoim zajeździe, a na obiad kupował w mieście kilka bułek i serdelków. W tej epoce można go było spotkać w Saskim ogrodzie, gdzie chodząc po głównych alejach, z kwiatkiem w dziurce od guzika, napozór przypatrywał się swoim kolorowym kamaszom i

nucił kilka wyrazów z arii "Łaski!" — ale duszę miał pełną rozpaczy.

Jednego dnia gospodarz zajazdu podał mu rachunek. Należało się siedm rubli. Pan Furdasiński z miną Rotszylda zapłacić pięć rubli, a na dwa kazał poczekać, gdyż obecnie nie ma drobnych. Żyd zgodził się bez trudności, wiedząc, że ma w swej mocy tłumoczek i pasport lokatora.

Pan Furdasiński wyszedł na miasto. Maszerował krokiem austriackiego porucznika; ustępując damom, wyginał się w sposób pełen wdzięku; obracał w rękę laseczkę, jak Kupido. Ale w głowie nie mógł powiązać dwu myśli. Chwilami zdawało mu się, że tam już nic niema, tylko rozlegają się echa hucznego miasta. Czasami rzucał się nagle w bok, jakby chcąc gdzieś uciec, bo przywidziało mu się, że za nim chodzi wielki wstyd, przebrany za zwykłego człowieka.

On, który przed trzema miesiącami spłacił wierzycielom 38,000 rubli, dziś niema czem spłacić dwu rubli za hotel!... Z całej ojcowskiej fortuny został mu tłumoczek w zastawie u Żyda i—dwie dziesiątki gotówki.

Chcąc mieć jeszcze drobniejszą mone-tę, wszedł do sklepiku i rzek:

— Chciałbym kupić bułkę... dla pie-ska... Może mi pani wyda dwugroszniakami.

Sklepiarką, wydawszy mu pożądane dwugroszniaki, pomyślała, że elegant ten musi mieć dobre serce, bo gdy mówi o buł-ce, to się jakby zachłysnął, pewnie z wielkiej litości nad pieskiem.

Jedną noc przepędził spacerując po głównych ulicach miasta. W dzień drzemał parę godzin, rozparty jak księżę, na ławce w

Saskim ogrodzie, zjadł swoją bułkę i, z miną bardzo wspaniałą, kazał sobie podać kufel wody ze studni, ale nic nie zapłacił. Drugą noc przepędził również na spacerze, a o wschodzie słońca zasnął tak twardo na ławce w alejach Jerozolimskich, że go ledwie obudził milicjant, śmiejąc się z tego: "co pan tak wiele wypił..."

Potem już stracił rachubę czasu, trapiła go bowiem senność i gorączka, przy której nawet zapomniał, że mu się jeść chce.

Chwilami, kiedy z zadartą głową, w pomiętym kapelusiku na bakier i z miną wielkiego zarozumialca, przechodził między tłumem ładnych kobiet i ludzi sytych, zajmujących legalne mieszkania, budziła się w nim świadomość losu. Wówczas zręcznie obraca między palcami czarną laseczkę, ozdobioną biustem gołej panny, i mruczał:

— Wszystko na świecie trzeba poznać!

Nareszcie, pewnego wieczoru, idąc Nowym Światem do placu Aleksandra, ażeby stamtąd wrócić Nowym Światem na Krakowskie Przedmieście, uczuł, — że trzeba umrzeć. Nie było to uczucie przykre, ale takie, jakiego człowiek doświadcza naówczas, kiedy nagle zechce mu się iść do teatru, albo na spacer. W paroksyzmach gorączki zdawało mu się, że jest małym chłopcem, i że, jak dziecko, tęskni już do swojej matki i ojca.

Wymijając boczną ulicę, usłyszał jakiś łoskot, dzwonienie i poświstywanie i — całkiem nieprzytomny wyobrażał sobie, że to śmierć daje mu znać o sobie. Byłby nawet przysiągł, że jakieś głosy potężne i niecierpliwe wołają prędko:

— Tu jestem... Tu jestem... Tu jestem!...

Skręcił w lewo i biegł ulicą na dół, a nogi mu się plątały. Z granatowego nieba wychylały się do niego figlarne gwiazdy.

Nagle pociemniało mu w oczach, uderzył o coś głową i już nic nie widział.

Był dzień, kiedy się ocknął. Leżał na tapczanie, w obszernej izbie, po której chodzili ludzie o surowych twarzach, z zawiniętymi rękawami, usmoleni jak kominiarze. Tapczan i ściany drżały, w powietrzu rozlegał się huk, dzwonienie, poświstywanie i hałaśliwe głosy, wołające:

— Tu jestem... Tu jestem...

Do pana Furdasińskiego zbliżył się mężczyzna nieusmolony i w surducie. Wziął go za puls, popatrzał bystro w oczy i kazał mu połknąć kieliszek lekarstwa, które wyglądało na bardzo mocną wódkę.

Chory oprzytomniał, a wówczas surdutowy jegomość rzekł:

— Zdaje mi się, że pan Furdasiński?

— Tak.

— No, to jesteście szkolni koledzy. Ale musiałeś pan przynajmniej tydzień nie jeść. Co to znaczy?...

Chory przypomniał sobie wszystko. Usiadł na tapczanie, i schwyciwszy jegomościa za rękę, szepnął:

— Jestem w bardzo złym położeniu... Szukam zajęcia...

— Znajdziemy. Jakiego pan chcesz?

Stróżem zostanę...

— No, nie. Zostaniesz pan, na początek, magazynierem w tej fabryce. Tymczasem pójdiesz pan do szpitala.

W parę tygodni później pan Furdasiński zajmował już nową posadę. Obeznał się z obowiązkami bardzo prędko i — otrzymał trzydzieści rubli pensji miesięcznej. Zaraz napisał na wieś po swego szpaka, którego mu odesłano, a przy okazji i fajkę na krótkim cybuszku, której zapomniał we dworze.

Pierwszego listopada stawił się w jego izdebce dyrektor kantoru informacyjnego. Doniósł mu, że już zupenie zbankrutował i — wypłacił pierwszą ratę w kwocie pięciu rubli.

Odtąd odnosił mu należność co tydzień i w krótkce tak polubił pana Furdasińskiego, że mu raz powiedział:

— Wiesz pan co? Ciśnij do licha fabrykę i uformujmy spółkę. Ja mam zdolności do interesów, a pan taką pocziwą minę, że się na nią każdy złapie...

A gdy pan Furdasiński milczał, ex-dyżrektor, gwałtownie ściskając go za rękę, zawołał tonem głębokiej wiary:

— Pomyśl pan o tem... Przysięgam ci, że okpimy całą Europę!...

Ale pan Furdasiński nie zgodził się na zawiązanie spółki z niezwykłym przedsiębiorcą. Biega więc po fabryce od szóstej rano do dziesiątej wieczorem, a gdy znajdzie kwadrans wolnego czasu, wymyka się do izdebki. Tam z wielkiem zadowoleniem pali swoją fajkę na krótkim cybuszku i przypatrzuje się szpakowi, który zagwizdawszy kilka wyjątków z oper, wrzeszczy:

— "Diabli wzięli Furdasówkę!..."

— Cha! cha! — śmieje się jego pan — ale nas zostawili!...

WIEŚ I MIASTO

I.

W Stodole

Folwark Wilczołapy był wasnością męża pani Euzebii z hrabiów Patykowskich, Jana Chryzostoma Letkiewicza, dziedzicznego dobrodzieja swej parafii, której w ciągu piętnastu lat ofiarował bezinteresownie furę chróstu na płot cmentarny i dwa nowe powrozy do dzwonów.

Budynki dominium, o którym mowa, razem z nieoddzielnem od nich podwórzem, formowały kwadrat, mający około 509 kroków wszerz, i takież wzdłuż. Na północnym boku kwadratu figurowała stodoła ze spiłchrzem, dolną młocarnią, młynkiem polskim i amerykańskim, tudzież z maneżem vel kieratem. Na przeciwnym krańcu dziedzińca, a więc na południe od stodoły, znajdował się dwór parterowy, murowany, pod gontem, a obok niego lodownia. Na zachód leżały: obora i stajnia dla koni fornalskich, tudzież wozownia i stajnia cugowa. Wreszcie na wschód stał budynek, mieszczący pańską kuchnię, izbę czeladnią, na facjacie zaś małą izdebkę, niegdyś mieszkanie ekonoma, a obecnie kurnik. Do budowli tej przytykały chlewki.

Jeżeli dodamy teraz, że na środku wielkiego dziedzińca znajdowała się studnia z korytem, to już chyba najzacieklejszy zwo-

lennik szczegółów topograficznych nie zarzuci nam niesumienności, lub (czego Boże broń) lekceważenia czytelników.

Tyle o miejscu; z kolei należy powiedzieć coś i o czasie.

Dzień, w którym za osobliwą łaską nieba mieliśmy honor dotknąć stopą wilczołapskich gruntów, był zimowy i zimny. Okolica, z powodu grubej warstwy śniegu, była podobna do olbrzymiego płaskiego talerza. Śnieg leżał na ziemi, okrywał dachy, starał się utrzymać równowagę na płotach i zwieszał się niby puch łabędzi z gałązek kilkunastu drzew, które dwór otaczały. Nad dworem, stodołą, stajnią i tak dalej, niby klesz nad butersznitami, rozciągało się niebo, koloru, który nazwać było można płowym, zielonawym, lub niezdecydowanym, lecz w żadnym razie błękitnym. Kolor to był chorobliwy, przypominający mieszaninę żółtaczki z bladaczką; dni zimowe miewają niekiedy podobną cerę.

Było południe. We dworze państwo zajmowali się śniadaniem, w kuchni czeladź obiadem, w stodole robotnicy wypoczynkiem. Na kwadratowym podwórzu nie słyshałeś głosów ludzkich, ani jękliwego warczenia młocarni. Słowem, na folwarku panowała zupełna cisza, na której tle kiedy niekiedy rozlegał się skrzyp sanek, jadących gościńcem, lub krakanie stada wron, sejmiujących na polnej gruszy.

Przy stodole widzieć można było ludzi. Jeden z nich, o twarzy żółtej i przedwcześnie pomarszczonej, w brudnym, połatany kożuchu, starej czapce i nie nowszych od niej butach, stał oparty o ścianę maneżu, ze

skrzyżowanemi nogami, i rękami za pazuchą. Był to parobek, w lecie pomocnik pastucha, w zimie specjalista od młócenia.

Towarzysz jego miał minę, gospodarza na dwudziestu morgach i kandydata na urząd wójta gminy. Wysoka barania czapka, brunatna sukmana i świeżo wysmarowane tłustością buty były nowe. Szeroki skórzany pas ściskał mu biodra. Mierny nos, niezbyt wielkie usta i siwe oczy zdradzały pewność siebie i intelegencję. Czowiek ten trzymał pod pachą gruby kij z rzemykiem, w rękę zaś płócienny worek, w którym mieścił się jakiś przedmiot wielkości bułki chleba.

— Nie uważaliśta, Jakóbie, — mówił dostatni gospodarz do ubogiego parobka — czy nie był jeszcze pan na dziedzińcu?

— Kto go tam wie! — odparł parobek. — Może jeszcze i nie wstał, a jeżeli wstał, to pewnikiem szwargocze z Joskiem, albo z tym Miemcem, co łońskiego roku las kupił.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której apatyczny specjalista od młocarni przełożył nogi i poczochnął się plecami o ścianę maneżu. Potem spytał gospodarza:

— Cości to wam pilno, Wojciechu, musi być do pana, kiejście tyle drogi na taki, ziąb przeharowali? Musi wam być co winien?...

— Winien — nie winien!... Chciałem się go ino tylko rozpytać, co to jest o to... Może wy wieta?...

Z temi słowy gospodarz rozwiązał torbę i wydobył z niej przedmiot formy nieregularnej, wielkości średniej bułki chleba, koloru brudno-żółtego.

Nie wyjmując rąk z za pazuchy i nie przekładając tym razem skrzyżowanych nóg, Jakób pochylił głowę i dość obojętnie przypatrywał się przedmiotowi.

— Toście znaleźli?

— A znalazłem — odpar Wojciech.

— Zwyczajnie żywica! — mruknął Jakób.

— Ale!... Nie byłoby takie twarde.

— Jużci nie ta żywica, co kapie prosto z drzewa, ale taka topiona, co to nią smyki smarują.

— Ale! ale!... Przecie ja się pytałem skrzypka Józwa, a on powiedział, że to nie żywica, ino burstyn, taki, jak dziewczuchy na paciorkach miewają.

— A tu w nim robak, widzę, jest... Oho! i jakieś liście we środku? — mówił Jakób, patrząc na bryłę, której kawałek w jednym miejscu był nieco przezroczystszy, niż w innych.

— To co jest, to ja i sam widzę, — odparł Wojciech — ale nie wiem, co to warto. W tem interes!

— Co warto! Tyle, co żywica z robakami i z liśćmi.

— Zawdy ja się dziedzica spytam; on mądrzejszy.

— Mądrzejszy do szwargotania z Miemcami.

— Zawdy ma lepszy rozum od nas.

— Żeby on ta miał lepszy rozum, toby mu rzeczy nie spisywali, a jabym miał kożuch calszy — odpowiedział niechętnie Jakób i kiwnąwszy gospodarzowi głową, leniwie powlókł się do kuchni.

— Widzieliście go, jaki mądrala, a ni-
by pastuch! — mruknął do siebie Wojciech,
patrzając za odchodzącym z pogardą.

Potem splunął, związał swój worek i
wszedł do otwartej stodoły.

Tu było gwarno, jak w ulu; korzystając
z obiadowej przerwy w młóćce, dzieci i do-
rośli robotnicy, zamiast wypoczywać, bawili
się na rozgrzewkę. Dwa barczyste chłopcy,
Szymek ze wsi i Walek ze dworu, zrzuciwszy
kożuchy i czapki, w koszulach i płóciennych
spodniach, schwycili się wpół rękami i wo-
dzili po klepisku od jednej bramy do drugiej,
tak, aż im się ze łbów kurzyło. W zapolu
Magda goniła Paraskę, skutkiem czego obie
między snopami upadły; z dwójki tej nie-
bawem utworzył się cały stóg ciał ludzkich,
na to samo bowiem miejsce skoczyło kilkoro-
dzieci z belek; śmiechom i krzykom ich wtó-
rował świergot wróbli, które kręciły się nie-
spokojnie pod szczytem dachu.

Prawie w tej samej chwili, gdy Woj-
ciech stanął w bramie, Szymek przewrócił
Walka, co zobaczywszy, leżącą w zapolu gro-
mada, z większym jeszcze hałasem zerwała
się i pobiegła na klepisko.

— Rozdzielta ich! — wołały starsze
dziewuchy.

— Daj mu suję, Walek, to cię puści!
— r a d z i ł zwyciężonemu kilkunastoletni
berbeć, mający więcej słomy, niż włosów na
głowie.

— Widłami go!... — krzyczał inny.

Tymczasem zapaśnicy, wytarzawszy się
i wysapawszy na klepisku, weszli z sobą w
układy.

— No! puszczaj, głupi Szymek! — mówił Walek. — Udało ci się, jak ślepej kurze ziarno...

— Ale!... — odparł Szymek, klękając na jedno kolano. — Jabym takich dwóch chuchraków, jak ty, zmiętosił!

Walczący wstali i poczęli skromnie swoje garnitury porządkować w sposób bardzo wprawdzie stanowczy, lecz niedość salonowy. Patrząc na to dziewczęta zasaniały oczy i śmiały się, jak opętane.

Nareszcie zmiękczony Walek, znalazłszy i wytrzepawszy swoją czapkę, okrył nią głowę, włożył lewą rękę za pas i rzekł:

— Co się ty, głupi Szymku, puszysz? Obaliłem się, boś mnie wziął pod siłę, jeszcześ mi nogę podstawiał...

— Zawdy Szymek mocny — wtrącił jeden z chłopaków: — bierze korczyk pszenicy, jakby nic.

— Dla mnie i dwa korczyki także nic — dorzucił Szymek.

— No, słuchaj! — ciągnął Walek: — choć ty niby taki mocarz to przecie nie zrobisz tego, co ci powiem. Siądź w kuczki na hań tej ławie, a ja ci dam w gębę. Jeżeliś siłacz, to nie zlecisz i jeszcze dostaniesz kwartę wódki ode mnie.

— Oj, chyba zleci! — mówiła z powątpiewaniem jedna z dziewczuch.

— Co ma zlecieć? — przerwał jej z oburzeniem chłopak z partii Szymka. — Bo to jemu pierwszy raz, czy co?... Jabym sam nie zleciał.

Zaczęły się rozprawy bardzo zwawe. Jedni dowodzili, że Szymek na ławie nijak

nie usiedzi; inni twerdzili, że choćby ze sto razy nawet dostał, to jeszcze nie spadnie.

Szymek tymczasem, nie powiemy: namyślał się, — ale słuchał. Niski, lecz barczysty człeczyna, o ciemnych kudłatych włosach, z twarzą bladą i jakby nabrzmiałą, silny być musiał w pięści, ale w głowie diabelnie słaby biedaczysko!

To też, wysłuchawszy zdań swoich stronników i przeciwników, rozgrzany pochwałami jednych, a żartami innych, w odpowiedzi na wszystko usiadł w kuczki na ławie i rzekł do Waleka:

— A wódka będzie?

— Ma się wiedzieć!

— Cała kwarta?...

— To się wie!

— No, to próbuj!

Walek uśmiechnął się, odgarnął konoپیastych włosów, poprawił czapki, plunął w lewą rękę i "spróbował" tak, że głupi Szymek razem z ławą runął na ziemię.

Gromadka widzów aż się zanosila od śmiechu.

— Żydzie! — krzyknął rozdranżony Szymek, zrywając się z ziemi i podnosząc ławę. — Mańkutem mnie palnął i dlatego zleciałem, ale spróbujemy się jeszcze raz!

Z temi słowy usiadł znowu w kuczki na ławie, odgrazając się, że teraz dopiero pokaże, co umie.

Walek, któremu oczy paliły się jak węgle, plunął znowu z zamiarem powtórnego "wypróbowania" sił Szymkowych, gdy w tem na środek klepiska wystąpił Wojciech, mówiąc:

— Wstydzilibyście się, Szymonie, żeby

was tak poniewierali! Czy to nie widziecie, że się wszyscy śmieją z was, z gospodarza!

Zmieszany Szymek skoczył z ławy, a nie mając żadnego argumentu na razie, mruknął!...

— Jaki ja tam gospodarz!...

— Zawdy macie chałupę i trzy morgi, żonę i dzieci, i wamby to przystało kogo bić w gębę, nie samemu brać...

— Dobrze południe panu Wojciechowi! Jak się mata, Szymonie!... A wa! jakie zimno...

Z tem powitaniem wszedł do stodoły Jasek, wędrowny handlarz i faktor jaśnie wielmożnego Letkiewicza. Przybysz był o-
dziany w długą zabłoconą i zatłuszczoną kapotę, miał bał w ręku, na głowie watowaną czapkę, na niej dużą chustkę, która ochraniała mu nie tylko głowę, lecz i szyję, krzyżowała się na piersiach i ścisnęła w pasie kapotę.

— Takie zimno, co strach! — mówił Jasek, ocierając wąsy i brodę, okryte szronem. — Kubali pozdychały dziś w nocy, szczenięta w stodole, a na drodze do Wólki zmarzała jednak boieta! Strach, co się dzieje!

Zakomunikowawszy to obecnym, zwrócił się do Wojciecha:

— Co pan Wojciech tu robi we dworze? Może panu Wojciechowi co w lesie dworscy zabrali?...

— Nic mi ne zabrali— odparł niechętnie gospodarz.

— Może pan Wojciech chce u jaśnie pana naszego co kupić?...—badał dalej Jasek z odcieniem ironii w głosie. — Szkoda

czasu! bo nasz jaśnie pan nie ma nic do sprzedania...

W czasie tej gawędy Wojciech starał się ukryć swój worek przed oczyma przybyłego. Handlarz jednak dostrzegł to i ze śmiechem zawołał:

— Ny, ny!... wiem już, wiem! Pan Wojciech przyniósł swój skarb do dworu! Pan Wojciech myśli, że oni tu kupią, a oni nie kupią, bo im się to na nic nie zda i pieniędzy nie mają.

— Kupią nie kupią, ale zawsze powiedzą, co to warte — rzekł Wojciech.

— Co to warte?... Ja już wam powiedziałem, że daję dziesięć rubli, tylko dla was. Taki bursztyn z robakiem i z liśćmi w środku, co on może być wart?...

— A mnie się widzi, że wy dacie i więcej, Josku; a nie wy, to kto inny.

— Co tu dużo gadać! — odparł handlarz. — Dam dwanaście, rubli i ani grosz więcej, a boicie się, żebym was nie oszukał, to spytajcie się jaśnie pana. Tylko... że on z wami pewnie gadać nie będzie.

— Co nie ma gadać? — przerwał oburzony gospodarz. — Gada z Żydami, ba! z Miemcami, a nie gadałby ze swojakiem i katolikiem?...

Przez czas rozmowy Joska z Wojciechem, gromada rozbiegła się po zapolu. Został tylko Szymek, który skrobał się w głowę i patrzył na handlarza z bardzo zakłopotaną fizjognomią.

Josek, wysłuchawszy odpowiedzi gospodarza, odwrócił się tyłem do niego i zaczął Szymka.

— Szymku, Szymonie! — rzekł. — Ja mam do was interes, chodźcie-no!

I wyszedł na dziedziniec, a za nim głupi Szymek z miną jeszcze bardziej zafrasowaną.

Gdy odsunęli się o kilkanaście kroków od stodoy, Jasek zaczął:

— Jak to będzie, Szymku, z moimi pięciu rublami?... Dwa lata trzymacie, mieliście na nowy Rok oddać, to już trzy tygodnie po Nowym Roku, a wy jeszcze nie oddajecie?...

— Mnie ta ludzie gadają że wam już ze trzy razy oddał te pięć rubli — odparł Szymek, patrząc w ziemię.

— Gwałt! — krzyknął handlarz. — Trzy razy, czy choć kto, aby jeden raz widzia jakście oddali?...

— Dałem wam już parę korcy pszenicy, żyta, też cielę, gęsi troje, wozilem was i wasze towary także nieraz i nie dwa, a wy mi ciągle te pięć rubli wymawiacie.

— Skąd ja ta wezmę! — mruknął chłop — machając ręką.

Handlarz zamyślił się.

— Jak nie macie teraz, Szymku, to ja wam mogę jeszcze do lata pofolgować, ale procent odbiorę.

— To i dobrze.

— Jak dobrze, to mi dacie ćwiartkę żyta.

— Sam nie mam.

— Przecie żyto młócicie tutaj?...

— Ja tam kraść nie będę! — odparł Szymek, bystro spojrzawszy na handlarza.

— Ny, nie macie żyta, to mi dacie gęs.

— Sam mam dwie całe gęsi.

— To mi też dacie jedną, a nie, to pójdę do gminy.

Chop zacisnął pięści, lecz uspokoił się i rzekł:

— Dam ci gęś, dam!...

Po tej konkluzyj podali sobie ręce na znak zgody i rozeszli się; handlarz do dworu, a Szymek ciężkim krokiem do stodoły.

Tu usiadł na ławie, oparł łokcie na kolanach, twarz na szerokich i spracowanych dłoniach, i tak siedział aż do rozpoczęcia nowo młocki.

A gospodarz Wojciech stał sobie tymczasem ze swym kijem, ze swym workiem i bursztynem wielkości bułki chleba. Widział on i odgłądał rozmowę handlarza z Szymkiem, widział jego frasunek, przypomniał sobie jego zakład z Walkiem i pomyślał:

— Oj ten Szymek! mocny bo mocny, ale głupi taki, że pożał sie Boże!... żeby go kto namówił, toby człowieka zabił...

A potem, patrząc w stronę dworu, szepnął:

— Hej, ty Żydzie, nie okpij mnie, bo cię nieszczęście spotka!...

I ściśniętą pięść wyciągnął z gestem groźby.

Tymczasem dwaj mali chłopcy zaprzęgli do maneżu dwie pary wysokich i chudych koni i poczęli je poganiać, gwizdząc i strzelając z batów.

W stodole rozległy się krzyki podających snopy do młocki, maszyna warczała i jęczała, a Wojciech wciąż myślał:

— Ten Szymek to taki głupi, żeby nawet Joska zabił.

II.

WE DWORZE

Jednym wady, innym zalety bokiem wy-
łazą — państwo zaś Letkiewiczze, dobrodzieje
swej parafii tudzież dziedzice dóbr w tem
właśnie znajdowali się położeniu.

Najważniejszą zaletą Jana Chryzosto-
ma było to, że pragnąc rozwinąć i uszlache-
tnić swego ducha, wyrzekł się całkiem pracy
fizycznej, tak dalece, że w pierwszych la-
tach gospodarki nie czesał się nawet sam,
tylko poziomą tę czynność ustąpił nadwor-
nemu fryzjerowi. Ze swej znowu strony,
pani Euzebia uważała się za kapłankę idei
piękna, i dlatego zerwawszy z hodowaniem
kur i sadzeniem kapusty, uprawiała forte-
pian i rysunek, a naturalne wdzięki własne
podniosła za pomocą najświeższych i najko-
sztowniejszych wytworów przemysłu ludz-
kiego, które moda przyjęła do swych usług.

Drugą zaletą tego wzorowego małżeń-
stwa była chlubna ciekawość poznania świa-
ta, skutkiem czego dziedziczni dobrodzieje
swej parafii większą część lat wspólnego po-
życia i nudów przepędzili za granicą. Dzięki
tej szlachetnej namiętności, przedystylowa-
li z kraju i z własnej kieszeni z górą trzy-
kroć sto tysięcy złotych.

Dodajmy do tego że oboje byli towarzy-
scy lubili liczną i wymusztrowaną służbę,
ładne konie, eleganckie meble i powozy; po-
wiedzmy, że niezależnie od tego, pani po-
święciła się balom, a pan "faraonowi" — a
mieć będziemy dokładną hypotekę moral-

nych kapitałów właściciela Wilczołapów i jego małżonki.

W chwili, gdy młode stadło ślubowało sobie dozgonną miłość i wierność, majątek pana w dobrach i gotowiźnie wynosił dwakroć, pani — pięćkroć. Kilkunastoletnie jednak i zobopólne kształcenie wyższych stron natury ludzkiej sprawiło, że w roku, w którym rozegrały się opowiedziane przez nas wypadki, stan finansowy małżonków był następujący:

Wilczołapy — razem z budynkami, inwentarzami narzędziami, powozami i meblami — warte były dwakroć długi zaś państwa hipoteczne i osobiste przenosiły sto ośmdziesiąt tysięcy. Całe ich szczęście, a może nieszczęście, było to, że ani na lekarstwo nie mieli dzieci, co ich jednak nie trapiło, pani bowiem chciała być wiecznie młodą, pan zaś chciał całe życie być wolnym od kajdan rodzinnych.

Podobny skład rzeczy pesymista nazwałby opłakany, oboje jednak Letkiewiczowie byli dobrej myśli. Silna imaginacja podszeptowała im, że wcześniej lub później muszą dostać spadek po jakimś nieznanym krewnym, który dotychczas przynajmniej nie figurował na ich drzewie genealogicznem, lecz w każdym razie posiadać musiał nadwątłone zdrowie i milionowy majątek. Jedno ich tylko martwiło, to mianowicie, że domyślny krewny nazbyt długo nie umierał, a tym sposobem nie pozwalał im przystąpić do budowy pałacu z dwiema wieżami i kuchnią w suterrenach, o którym oddawna marzyli.

W oczekiwaniu na pałac z paryskimi meblami i z angielską służbą, przepędzali

czas w kaducznie podszarzanym Wilczołapskim dworze. Wprawdzie na podłogach jego sterczały drazgi, ze ścian tynk oblatywał, okna w kredensie zalepione były papierami; prawdzie połowa drzwi nie domykała się, klamki były poukręcane, portiery i meble spłowiały, dywany mole stoczyły, — lecz na drobiazgi te nikt nie zważał. Dusze obojga państwa mieszkały w pałacu z dwiema wieżami i kuchniami w suterrenach, a cielesne ich oczy nigdy nie zniżały się do rozpatrywania rzeczy nieestetycznych.

Dnia dzisiejszego o godzinie dwunastej, oboje państwo byli razem, ona w bieli, on w pięknym niegdyś szlafroku z popielatego sukna, z ponsowemi wyłogami. Jedli śniadanie, przyczem mniej pobłażliwy obserwator łatwo mógłby dostrzedz, że cera pani nie o wiele była jaśniejszą od mlecznej kawy, i że pan nie ma zębów, ani sztucznych, ani naturalnych, lecz natomiast posiada coś nakształt bardzo naturalnej łysiny.

— Czy ten von Oschuster nie raczy przyjść do stołu? — spytała po francusku pani Euzebia, rzucając z poza filiżanki omdlewające spojrzenie na swoją męską połowę.

— A nie raczy, niestety; udaje bardzo zajętego, a podejrzewam, że się poprostu żenuje nas — odparł w tymże języku pan.

Nawiasowo dodajmy, że państwo Letkiewiczowie tylko po francusku rozmawiali z sobą; ordynaryjną polszczyznę posługiwali się w stosunkach z drobną szlachtą, lokajami i innem prostactwem.

— Cóż on robi? — spytała znowu pani.

— Taksuje nas!... według demokratycznych zasad — odpowiedział pan.

— Jakże obecnie stoją twoje układy?

— O za Wilczołapy daje dwakroć...

— Wcale mało! — odparła dama z grymasem.

— Istotnie mało! — potwierdził pan. — Tembardziej, że są jeszcze jakieś tam długi.

— Ach, te długi! — przerwała pani takim tonem, jakby ją wspomnienie długów do ziewania pobudzało. — Ciekawam bardzo, — dodała — ile też ich być może?

— Przyznam ci się, duszko, że sam nie wiem! Musi być naturalnie trochę Towarzystwa, jest jakaś tam suma tego kupca Szafranowicza, jest trochę długów hipotecznych żydowskich, no i nieco osobistych.

Wielka dama ani na chwilę nie przypuszczała, ażeby długów takich, które komornik mógł wyciskać, było aż sto ośmdziesiąt tysięcy.

W tej chwili wszedł do pokoju lokaj, młody chłopak z włosami podobnemi do drutów i głupowatą, lecz przebiegłą fizjognomią. Dźwigał on na sobie liberyjny frak, posiadający około trzech metalowych guzików, ponsową kamizelkę, na której widać było ślady świec i szuwaksu, tudzież kamaszę, które starały się przekonać świat, że ich obecny właściciel posiada u każdej nogi po pięć palców.

Chłopak ten trzymał w ręku tacę, pamiętającą bardzo dawne czasy, a na niej list.

— Kto przywiózł? — zapytał pan, nie patrząc nawet na służącego.

— Josek, proszę janie pana!

Ddziedziczny dobrodziej swojej parafii wziął list, obejrzał adres i pieczętkę, a następnie, rzuciwszy kopertę na stół, szybko przebiegł go oczyma.

— Awantura! — zawołał pan. — Wyobraź sobie, że nas gwałtem proszą na bal składkowy do powiatowej mieściny...

— Któż za nim będzie? — spytała nie-dbale pani.

— Gospodyniami będą panie: Kukalska i Gęgalska...

— Ach! Gęgalska... wiem! spokrewniona z hrabią Wyporkiem.

— A przez niego z Wiktorem Emanuelem — dodał uroczyście Jan Chryzostom.

— Trzeba być, kiedy Gęgalska!.... — szepnęła zamyślona pani.

— Składka dziesięć rubli — rzekł jakby do siebie pan. — A przytem toaleta!....

— To najmniejsza! pošlemy po nią do Warszawy — odpowiedziała pani, pragnąc widocznie pocieszyć i uspokoić małżonka.

Usłyszawszy to, Jan Chryzostom oparł głowę na rękę i począł palcami bębnić w czoło. Ludzie złośliwi sądzićby mogli, że z tego czoła nic się już nie wybębni nawet obuchem; stało się jednak inaczej. Zafrasowany Letkiewicz widocznie jakiś plan musiał wystraszyć ze swej głowy, rozakazał bowiem lokajowi wezwać Joska do gabinetu.

Potem wstał i pełnym szacunku pocałunkiem pożegnał swoją żonę, która w tej chwili zapewne myślała o śmierci nieznanego krewnego, o pałacu z kuchniami w suterenach i o stopniu pokrewieństwa, istniejącego pomiędzy panią Gęgalską a Wiktorem Emanuelem.

Przechodząc do gabinetu przez salon, dziedzic dóbr znalazł w nim pochylonego nad księgami gospodarskimi i mapą Gotlieba von Oschuster. Młodzieniec ten, który z całego zarostu posiadał tylko ostrą bródkę, był z powołania agronomem, a zarazem agentem jakiejś berlińskiej spółki, która na drodze wykupowania dóbr i wypędzania ich właścicieli, pragnęła uszczęśliwić i ucywilizować barbarzyńską okolicę. . . .

Specjalność von Oschustra na ciernistych niekiedy stawiała go drogach. Nie każdy dziedzic zmuszony był sprzedawać swój majątek, gdy się zaś trafił jaki skorzy nieco do handlu, wówczas poczynął traktować z agentem, lecz w końcu majątek sprzedawał włościanom, niekiedy nawet za niższą cenę. Stosunki tego rodzaju i cierpkie zdania, jakich niekiedy pan Gotlieb wysłuchać musiał o cywilizacyjnej misji Niemiec, ostatecznie zniechęciły go do miejscowego elementu. To też ze wstrętem do półdzikich mieszkańców obrabianej przez niego okolicy von Oschuster bynajmniej się nie krył.

Gdy dziedzic dóbr wszedł do salonu, zbliżył się do Gotlieba i rzekł z protekcjonalnym uśmiechem:

— Cóż, mamy dużo roboty nad temi szpargałami?

— Tak! — odparł agent. — Ja mam dużo roboty! Straszny tu nieład.

— Co pan chcesz, z takimi łotrami, jak nasi oficjaliści?...

— Tak! — potwierdził Gotlieb. — Tu wszyscy albo osły, albo łotry.

Ostatnia uwaga, pod tak ogólnym wyprawiona adresem, wywołała lekką zmarsz-

czkę na czole Jana Chryzostoma. Starał się ją jednak połknąć, ponieważ agent o dwadzieścia tysięcy dawał za majątek więcej, niż inni.

Pragnąc jednak zatrzeć przykre wrażenie, spytał znowu Gotlieba:

— Czy nie będziesz pan w naszym miasteczku na balu składkowym?

— Ja? — spytał zdziwiony agent, podnosząc głowę.

— Wyrobię panu zaproszenie! — zauważył dobrotliwie dziedzic dóbr.

— Zaproszenie? Ja do Torunia nie pojechałem na bal, choć mnie tam sami zaprosili.

— Nie dziwię się; Toruń przecież dalej...

— No tak! — przerwał agent. — Ale w Toruniu jest towarzystwo, w którym ja mogę być na balu.

Teraz Letkiewiczowi przyszło na myśl, że jego sąsiad, pan Anastazy Paliwoda, za podobną odpowiedź z pewnością wyrzuciłby agenta za okno. Przez chwilę, sam on miał chęć wyrzucić go przynajmniej za drzwi; barbarzyńskie te jednak zachcianki szybko przeszły, gdy przypomniał sobie, że von Oschuster ofiaruje mu za majątek dwadzieścia tysięcy więcej, niż inni. Skończyło się więc na tem, że młcząc poszedł do gabinetu.

Tymczasem, wezwany przez służącego do jaśnie pana Josek włożył swojej dziesięciorublowej kobylinie worek sieczki na łeb, a idąc do dworu, rzekł do lokaja:

— Słuchaj ty Ignac! chcesz ty ode mnie dostać paczkę papierosów?

— Cobym nie miał chcieć!

— Nu, to idź ty do Wojciecha do sto-
doły i zapytaj go się: czego on chce? A jak
on ci powie, że chce gadać z jaśnie panem,
to ty jemu powiedz, że jaśnie pan powie-
dział, co on z taki mciarachem nie gada.

— Pójdę — odparł lokaj — ale dacie
dwie paczki.

— Ny, ny!

W kilka minut potem markotny Woj-
ciech, po krótkiej rozmowie z lokajem, wra-
cał do wsi, klnąc na czem świat stoi—jaśnie
wielmożnego Letkiewicza, jego małżonkę,
ich służbę, tudzież cały ruchomy i nieru-
chomy majątek. Jasek zaś, zgięty w pałąk,
jak etykieta nakazywała, wszedł do gabine-
tu przyszłego właściciela pałacu z dwiema
wieżami i kuchniami w suterrenach.

— Kłaniam jaśnie panu! co jaśnie pan
Joskowi rozkaże?

— Potrzebuję czterystu do pięćciuset
rubli na jutro.

— Aj waj!

— Głupiś — rzekł jaśnie pan, otacza-
jąc się kłębamii dymu i opierając głowę na
tylnej poręczy fotelu.

— To prawda, jaśnie panie, że Jasek
głupi, ale skąd ja wezmę? Żeby jaśnie pan
wszystkich Żywów z miasteczka pod magiel
kazał włożyć, to jeszczeby z nich na jutro
pięćciuset rubli nie wymaglowali.

— Potrzebuję na jutro pięćciuset rubli!
— odpowiedział mu stanowczo dziedzic.

Handlarz poskrobał się w głowę, pomy-
ślał i rzekł:

— Ja jaśnie panu co powiem: Ja dla
jaśnie pana sprzedałbym moją żonę i dzieci,
no i ja na jutro będę miał pięćset rubli. Ale

jaśnie pan da na zastaw srebra i pierścionki i może kolczyków z parę, bo widzi jaśnie pan, ja pieniądze będę miał od kasjera...

— Mniejsza o srebro. Pieniądze zwrócę ci za miesiąc, a kosztowności przez ten czas mogą u kasjera poleżeć.

— Może miesiąc... może rok... — odparł handlarz. — Ale jaśnie pan da rewers na siedemset rubli i Joskowi co za fatygę.

Po tych słowach, otrzymawszy pozwolenie odejścia, handlarz wysunął się z gabinetu, minął pokój środkowy i wszedł do salonu.

Tu szepnął do Gotlieba:

— Panie, siedms et rubli za pięćset; srebra na zastaw... Josek dostanie pięćdziesiąt rubli faktornego?

— Na kiedy? — spytał agent, nie podnosząc głowy.

— Na jutro.

— Dam. Jakże z długiem Szafranowicza?

— Ciężka sprawa! Szafranowicz chce go ustąpić Żabickiemu.

— Głupiec! Postąp jeszcze.

— Żabicki także postąpi — odparł handlarz.

— Łotry! No, a jakże z Żydami?

— Oni także panu niedowierzają.

Von Oschuster podniósł głowę.

— Cóż to znaczy?... — spytał zdumiony.

— Co pan chce?... Pan myśli, że u nas wszystkie Żydy takie dobre, jak ja?... Oni mówią...

— Mówią z przeproszeniem, że jak się tu Niemców nalezie, to i Żydów diabli wezmą!

— Dam ja im! — mruknął, zabierając się znowu do przeglądania papierów.

Handlarz spojrział na niego ukosem i śmiejąc się wyszedł z pokoju. Na podwórzu zatrzymał się, popatrzał w okna salonu i szepnął:

— Dam ja im?... Aj waj!... On nam da, a co on nam da? On sobie myśli, że kupi Wilczołapy i będzie kopał, a nie wie, że pan Żabicki z Szają już obstalowali torfiarkę. Aj waj! jaki on głupi.

Wkrótce potem pani Euzebia z okien buduaru mogła widzieć Joska, podrygującego na swej biedce, w kierunku najbliższej miejsciny. I widziałyby go niezawodnie, gdyby marnej figury Żyda i jego suchotniczej kobyliny nie zasłaniało widmo konającego krewnego milionera i pani Gęgalskiej, kuzynki Wiktora Emanuela.

Tymczasem Jasek w połowie drogi spotkał zafrasowanego Wojciecha z jego kijem, workiem i bursztynem; zwalniając bieg szkapy, rzekł:

— Wojciechu! panie Wojciechu!... jedno słowo, dam wam piętnaście rubli za bursztyn.

— Dacie i więcej, a nie wy, to kto inny — odparł zacięty wieśniak.

— Czego wy tak zhardzieli teraz, Wojciechu? Z wami nawet gadać nie można!... Żebym ja wam powiedział sto rubli za ten bursztyn, tobyście także chcieli więcej. Powiedzcie ostatnie słowo?

— Ja tam z wami gadać nie chcę! — odmruknął Wojciech.

— Wolna wola... bywajta zdrowi!

— Jedźta z Bogiem!

Handlarz zaciął chudą szkapę i pojechał naprzód, Wojciech zaś skręcił na drogę boczną do wsi, ciągle myśląc o głupim Szymku, który zdecydowany był na wszystko, o na wszystko! bo niczego dobrze nie rozumiał.

III.

W RESTAURACJI

Pierwszorzędna restauracja w mieście powiatowem... nie różniła się niczem od innych tego rodzaju zakładów. Posiadała bufet ze wszelkimi przynależnościami, między którymi ser szwajcarski, sardynki i wieszadła na paltoty najwydatniejsze zajmowały miejsca. Miała salę główną i parę bocznych gabinetów, w których obok stołów znajdowały się krzesła i spluwaczki, obok oliwy i pieprzu podarte i zabrukane dzienniki, a obok luster, bitwy pod Wagram i koronacji Napoleona I-go, wizerunki dzikich kaczek, zajęcy i raków.

Tego rodzaju instytucje cieszą się wogóle popularnością, do jakiej po wsze czasy napróżno wzdychać będą biblioteki, muzea itp. spiżarnie wiedzy. W restauracji pokrzepia nadwątłone siły obywatel ziemski, który przyjechał do powiatu w celu wydobycia się z sekwestatorskich szponów. Tu zabijają reszkę dnia różni sekretarze, pomocnicy i adwokaci, czujący wstręt do zajęć umysłowych. Tu prowincjonalny poeta czycha na ofiarę, którejby mógł, za cenę kilku butelek piwa Drozdowskiego, odczytać najświeższy

swój utwór. Tu spotykają się sąsiedzi, godzą nieprzyjaciele, waśnią dobrzy znajomi i zbierają wiadomości nieurzędowi reporterzy, niesłusznie nazywani plotkarzami.

W dziesięć dni po zaciągnięciu przez pana Letkiewicza pięciusetrublowej pożyczki od Joska, w tejże restauracji, około pierwszej w południe, w oddzielnym gabinecie siedziało kilku młodych mężczyzn z warstwy "inteligentnej". Był tu p. Scyzorski lekarz, p. Sontag asesor sądu, p. Goldcweyg adwokat, a w końcu korespondent do dzienników, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego, pan Bąkowski, który drogi czas swój obracał na zbieranie wiadomości bieżących, zasiewanie idei postępowych i kwestowanie prenumeraty.

— Oto są, panowie, najświeższe wiadomości o naszym balu—mówił korespondent. — Pani Letkiewiczowa wykreśliła z listy zaproszonych osób panią Szafranowiczową, dlatego, że jej mąż pieprzem handluje, a dwie panny Sonabend dlatego, że ich ojciec jest piwowarem!

Powiedziawszy to, znakomity Bąkowski spojrział po obecnych z miną generała, który wygrał kawałek bitwy.

— Oszalała baba! — mruknął lekarz.

— Niedość tego — ciągnął korespondent: — pani Gęgalska najzupełniej potwierdziła jej wyrok i odwołała zaproszenia wysłane do tych dam. Może mi da który papierosa, bom nie wziął?

—Masz, doktorze, zjednoczenie warstw, zbliżenie wsi i miasta!... — wtrącił Sontag.

Korespondentowi poczerwieniała twarz, a oczy wyszły z orbit.

— Panowie! — zawołał ten niepospolity człowiek. — Idee liberalne to dzieci mego ducha, to wieniec mojej zasługi, to wyraz, który każę sobie wyryć na kamieniu grobowym. Gazeta, którą podpieram, w pieluchach jeszcze służyła tym ideom, a jakże ją ogół przyjął!... Ale, ja bez względu na niechęć i ciemnotę mas, pozostanę wierny moim zasadom. Szacunek dla wszystkiego, co wielkie i piękne, równość wszystkich użytecznych członków społeczeństwa, bez względu na tytuły i nazwiska—oto mój program!... Garson, błażnie, podaj jeszcze dwie butelki piwa.

Uważnie przysłuchujący się wspaniałej mównicy Sontag miał wszelkie prawo sądzić w tej chwili, że garsoni nie należą do użytecznych członków społeczeństwa.

Gdy nowe butelki przyniesiono, zabrał głos Goldcwejg:

— Summa summarum, uważam, moi panowie za właściwe wycofać się z waszego balu. Jadam wprawdzie wieprzowinę, kocham wszystkich braci moich bez względu na stan i religię; ale skandalu wywoływać nie myślę. Jeżeli pani Letkiewiczowa nie chce tańczyć obok pani Szafranowiczowej, to któż mi zaręczy, że godny jej małżonek nie zechce mnie, Żyda, wyprowadzić z salonu?

— Albo sam wyjść, przy pomocy którego z lokajów — wtrącił Szyszorski.

— Kochany Henryku! — nie bądź-że dzieckiem! — zawołał roznamiętniony korespondent. — Letkiewiczowa miała za sobą przynajmniej cień słuszności w podstępowa-

niu z temi damami, one bowiem pochodzą z Niemców. Ale tyś przecie Żyd, tyś nasz.

Z temi słowy wielki człowiek schwycił za ramię Goldcwejga i targnął nim tak silnie, jakby miał zamiar wytrząsnąć z adwokata wszystkie artykuły prawa o dłużnikach.

— Rozumiem! — odezwał się Sontag. — To ja właściwie nie powinienem być na balu, ponieważ z Niemców pochodzę

— Przebóg! — wrzasnął Bąkalski. — Ja przecież nie mówiłem o takich, zacnych obywatelach kraju, jak ty i tobie podobni, którzy macie tylko obce nazwiska, ale raczej o tych, którzy przychodzą do nas z felejzami na plecach, dorabiają się tu majątku i nie umieją nawet języka miejscowego.

— Mój stary ojciec — odparł spokojnie Sontag — przybył także do kraju z feleją, tu dorobił się majątku i do dziś dnia nie mógł się jeszcze nauczyć języka.

— Bronisławie! — zawołał znowu Bąkalski. — Czy możesz sądzić, abym ja miał na myśli twego czcigodnego ojca, zacnego producenta wyrobów fajansowych, człowieka, który dał zajęcie tysiącom rąk...

— Jego ojciec ma sześćdziesięciu robotników, dał więc zajęcie tylko stu dwudziestustu rąkom — wtrącił Scyzorski, którego rozmowa ta w wysokim stopniu gniewała.

— Nie przerywaj Kaziu! — ofuknął go korespondent, a potem dodał: — Panowie! jak szanuję ojca naszego Bronisława, człowieka, który chce dać na otworzenie polskiego pisma; jak czczę starego Sontaga; jak uwielbiam tych wszystkich dzielnych ludzi, którzy z felejzami na plecach przycho-

dzą do nas z odległego Zachodu, aby wychować takich synów. Bronisławie! Sontagu młodszy! daj pyska...

— Jakkolwiek ostatnie zdania utalen-
towanego Bąkalskiego, zestawione z poprze-
dnem, dowodziły pewnego zamętu w proce-
sach psychicznych, biesiadnicy nie zważali
na to jednak, znając go już oddawna.

— Wierzę ci, mój redaktorze — odpo-
wiedział Sontag; — z tem wszystkiem jed-
nak na balu nie będę. Przy zaletach, któ-
rych ci nie odmawiam, jesteś tylko trąbą o-
pinii publicznej, a to, coś powiedział, jest jej
głosem.

— Zgadzam się na wniosek Sontaga; ja
też nie będę! — dorzucił Goldcwejg.

W tej chwili ciemniej się zrobiło w po-
koju, we drzwiach bowiem ukazała się czer-
wona twarz, wielkie niedźwiedzie i jeszcze
większe szpakowate wąsy Żabickiego.

— Dość tych bredni! — huknął przy-
były. — I Goldcwejg, obaj musicie być na
balu.

Wychudłe i wybladłe mieszczuchy spo-
korniały odrazu wobec olbrzymiego i tak
dobrze utrzymanego wieśniaka; kilka minut
upłynęło nim najśmielszy z nich, Goldcwejg,
ochłonął i rzekł:

— Nie możemy być, panie, nie chcemy
bowiem psuć zabawy i narażać się na szy-
kany.

— Cicho mi bądź, ty, niedojrzały szpa-
ragu! — przerwał Żabicki. — Jestem gospo-
darzem balu, a kto wam uchybi, ze mną mieć
będzie do czynienia.

Jasny blondynek Sontag i nierozumiany
przez ogół apostoł liberalnych idei Bąkalski

z respektem spojrzeli na ogromne dłonie wieśniaka, prosząc w duchu Boga, aby ich na zatargi z Żabickim nie narażał.

— Zwracam jednak pańską uwagę, że na balu jest gospodynią pani Gęgalska, a większość na nim stanowią będą obywatele ziemscy.

— Jeżeli chodzi o herby, — przerwał Żabicki — to mój jest taki dobry, jak i wszystkich Gęgalskich. Jeżeli zaś chodzi o rozum, to czy sądzisz, mój adwokacie, że prawnicy i redaktorowie wszystek już rozum wzięli w arendę, tak, że dla nas, obywateli ziemskich, nic nie zostało?

— Podoba mi się ten hreczkosiej! — zawołał Bąkowski. — Również idee liberalne! oto rezultat oddziaływania mojej gazety, którą podpieram, na zacofanych wieśniaków. To moja myśl, to moje zasady!

— Egzażerujesz, kochany panie — odparł chłodno Żabicki. — Jeszcześ kotom pęcherze do ogonów przywiązywał w owej epoce, kiedyśmy znali i praktykowali zasady, które dziś swoim wynalazkiem nazywasz. Ale nie o to tu chodzi. Rozsądny ogół nasz nie zna wieśniaków, ani mieszczan. Żydów ani Niemców, tylko obywateli więcej lub mniej ukształconych i zdolnych do towarzyskiego życia. Z tych tedy powodów, jeszcze raz powtarzam, że nie tylko Sontag i Goldcweyg, ale nawet pani Szafranowiczowa i panny Sonabend muszą być na balu. W przeciwnym razie cofnę się ja i trzydziestu moich sąsiadów, to jest prawie wszyscy wieśniacy.

Po tej odezwie, pogadano jeszcze o polowaniu, o wyższości win węgierskich nad

francuskiemi, tudzież preferansa nad diabełkiem, poczem towarzystwo rozeszło się. Został w gabinecie tylko Sontag, do którego niebawem przysunął się Gotlieb von Oschuster, od kilku dni nieobecny w Wilczołapach, a od kilku godzin przebywający w mieście X.

— Dobrze, żem pana znalazł? — rzekł agent po niemiecku: — ponieważ chciałbym panu przedstawić pewien projekt.

— Słucham pana — odparł obojętnie Sontag, który będąc figurą sądową, nienajlepszą miał opinię o siewniku cywilizacji zachodniej.

— Uważa pan, — ciągnął Oschuster — w mieście tem znajduje się kilkanaście rodzin naszych, dla których dobra chciałbym zaożyć nasz klub...

— Nie rozumiem pana...

— No, klub, w którym moglibyśmy mieć nasze książki, rozmawiać własnym językiem, ogrzewać serca rodzinnymi ideami, wzmocnić węzły, łączące nas z odegłą ojczyzną, a nadewszystko wspólnie przepędzać czas, aby tym sposobem uniknąć obmierzłych stosunków... Zrozumiałeś mię pan?

— Zrozumiałem! — odparł drżącym z gniewu głosem Sontag, któremu krew do głowy uderzyła. Zrozumiałem, i na dowód tego proszę pana, w imieniu mego ojca, siostry, a wreszcie mojem własnem, abys przestał bywać w naszym domu!

To powiedziawszy, wstał i chwycił za kapelusz.

— Co, to znaczy, panie Sontag? — zawołał przerażony agent.

— To znaczy, panie von Oschuster, że rodziny nasze mają stanowczy zamiar unikać obmierzłych stosunków.

I wyszedł, przyprawivszy o mocny zawrót głowy agenta spółki berlińskiej.

W tej samej restauracji, lecz w innym gabinecie, rozprawiali także o mającym nastąpić balu, panowie: Anastazy na Fucharach Fujarkiewicz, Mączarski z Mączar i wynędzniały tak pod względem fizycznym, jak i umysłowym, jedyny syn Gęgalskich, Fonsio, którego najpobłażliwsi przyjaciele domu nazywali “nierozwiniętym Fonsiem.”

— Bądź co bądź, ja jednak myślę, że pani Letkiewiczowa bardzo dobrze zrobiła, odpraszając te damy — mówił pan na Fucharach. — Inaczej bowiem do przyzwoitego towarzystwa wdaroby się mnóstwo różnego rodzaju procederzystów i tym podobnej kanalii.

— Tak! kanalii. Moja mama mówiła to samo, słowo honoru daję! — wtrącił nierozwinięty Fonsio.

— Ależ sąsiedzie, — odparł pan Mączarski — my, rolnicy, jesteśmy także procederzystami, a z drugiej znowu strony, między mieszczuchami znajduje się bardzo wielu ludzi ukształconych, dobrze wychowanych, a nadewszystko zacnych.

— No!... słowo honoru daję! z ust mi pan wyjął to zdanie. Ja zupełnie to samo chciałem powiedzieć — odezwał się Fonsio.

— Przyznaj jednak sąsiad, — bronił się Fujarkiewicz — że te, jak ich nazywasz mieszczuchy, są nieznośnymi zarozumialcami, za wiele gadają o swoim rozumie, a za mało cenią zasługi nasze.

— Słowo w słowo to samo mówi moja mama, a ja nie waham się przyznać racji panu Fujarkiewiczowi — dorzucił Fonsio.

— Mój sąsiedzie, — odparł Mączarski każdy ma swoje wady i zalety. Ten jednak, mojem zdaniem, stoi najwyżej, kto siebie pilnuje, innymi nie pomiata i nie mnoży szkodliwych waśni. Pamiętajmy o tem, mój sąsiedzie, że czasy się zmieniły, i że wreszcie tak ci, którzy rano, jak i ci, którzy nad wieczorem przyszedli do winnicy Pańskiej, jednakową otrzymali zapłatę.

— O właśnie! zupełnie to samo mówi mój wuj hrabia Wyporek. Ja zawsze utrzymywałem, że się czasy zmieniły, i że jak tylko chłopci przestali odrabiać pańszczyznę, natychmiast wszystko zdrożało... Słowo honoru daje, że takie jest zdanie mego wuja hrabiego i moje.

W taki to sposób ludzie rozprawiali o balu w mieście powiatowem, i takim był Fonsio Gęgalski, dziedzic pięknego imienia, obszernych dóbr, a zarazem przyszły filar społecznego gmachu, przyszły działacz na arenie pracy obywatelskiej.

IV.

JOSEK TRIUMFATOR

Siedział sobie Wojciech gospodarz w szopie i ciosał dyszed do wozu, kiedy najmłodszy syn dał mu znać, że jacyś Żydzi przyszedli do chaty.

— A nie gadali czego chcą?

— Nie gadali, ino kazali matusi, żeby im pokazali tego robaka.

— Jakiego robaka? — spytał ojciec, ująwszy się pod boki ze zdumienia.

— A hań tego, co leży w skrzynce z tym kamieniem!

— Jaki tam robak, to przecie bursztyn! — objaśnił chłopca poraz setny ojciec, naciągając na rękawy sukmanę.

Zamknawszy szope, skierowali się do nowej i obszernej chaty, minęli sień jej, w której napróżno szukałbyś prosięcia lub krowy, i weszli do izby. Izba ta, oprócz półek przepełnionych garnkami i misami, pod którymi siedziały łyżki drewniane i blaszane, oprócz ławy, stoła na koziołkach i skrzyni w kwiaty, posiadała jeszcze malowany stół, także łóżko i parę prostych krzesełek. Okna były tu sześćcioszybowe i otwierane, na ścianach zaś wisiało kilkanacie obrazów za szkłem.

Dwaj Żydzi, przybyli z miasteczka, stojąc pod ogromnym glinianym piecem, uważnie oglądali bursztyn i szwargotali coś między sobą. Gdy wszedł Wojciech, nastąpiły powitania, poczem jeden z przybyłych rzekł:

— Ładna sztuka! my tokarze znamy się na tem. Czy to do sprzedania?

— Juści, że tego w chałupie trzymać darmo nie będę. A cobyśta dali?

Poszwargotawszy znowu ze współnikiem Żyd odpowiedział:

— Dziesięć rubli.. może jedenaście...

— I! nie zawracalibyśta głowy! — odparł oburzony gospodarz. — Mnie Jasek już dawał za to piętnaście rubli... może nie prawda, Małgoś, co?

Zdrowa i hoża kobiecina, którą za spódnice trzyma silnie syn najmłodszy, odpowiedziała twierdząco.

— Piętnaście rubli to jeszczeby można dać, choć ze strachem, — powiedział drugi Żyd — ale dla nas to wielkie ryzyko. Jeżeli chceta, zarobić więcej to porąbcie go na kawałki, a wtedy lepiej wam wypadnie, bo każdy będzie mógł kupić. No, Wojciechu, chcecie piętnaście rubli?

— Nie chcę.

— A nie macie czego innego do sprzedania?... może skóry?

— Może żyto? — dodał drugi Żyd.

— Nie, mam nic, idźta z Bogiem!

Gdy Żydzi wyszli, Wojciech po namyśle zwrócił się do żony:

— Słyszysz, Małgoś, co te pary gadają, żeby bursztyn potłuc?

— Co nie miałam słyszeć. Jużci to prawda, że choć niedowiarki, dobrze radzą.

— Ale! — wtrącił Wojciech, drapiąc się za ucho.

— Miarkujże sam — ciągnęła żona: — jak jest głowa cukru, to jej byle kto nie kupi, ino pan albo proboszcz; a jak sprzedają kawałkami, to kupi nawet chłop, a zawdy Żydy na tem nie tracą, ino jeszcze zarobią.

Uderzony trafnością tej uwagi, Wojciech pomyślał, obejrzał naprzód na wszystkie strony bursztyn, potem tasak znowu pomyślał, znowu obejrzał i w końcu zabrał się do łupania. Urzeczywistniwszy ten świetny pomysł, wsypał kawałki do worka, worek zaś zamknął w skrzynię, a sam wrócił do szopy ciosać swój dyszeł i myśleć o interesie, jaki zrobił.

Ukończywszy robotę, zjadł w chacie misę barszczu, zaprawionego mlekiem i cebulą, drugą misę kartofli, trzecią kaszy ze słoniną, przyłożył to wszystko kilku kawałkami chleba, a wreszcie zapalił fajkę i rozparł się na krześle, czekając na kupców.

Istotnie czekał niedługo; nie upłynęło bowiem i pół godziny, gdy zjawił się Jasek.

— Nie żartujcie, gospodarzu, — zaczął handlarz — ino naprawdę zróbie ze mną handel na bursztyn.

— A za ile chceta? — spytał wieśniak, zaciągając się tak mocno, że aż mu fajka niby klarnet zagrała.

— Za ile ja chcę? — spytał z uśmiechem handlarz. — Jabym nawet wziął za rubla!

— Małgoś! dobądźta worek i daj mu ta za rubla kawałek! — rozkazał mąż, rozparł się jeszcze mocniej i zagrał na fajcie jeszcze głośniej.

Posłuszna kobieta, w towarzystwie najmłodszego syna, który ją ciągle trzymał za spódnice, wydobyła i rozwiązała worek. Jasek, zobaczywszy kawałki, wybuchnął śmiechem tak gwałtownym, że aż usiąść musiał na ławie.

— Czego się ta paraś mieje! — spytał zaniepokojony nieco Wojciech.

— Jak ja się nie mam śmiać, — odparł handlarz — kiedyście takie głupstwo zrobili! — Za ten bursztyn, póki on był cały, toście mogli drugie tyle gruntu kupić, ile macie, a za te kawałki to wam i trzydziestu rubli nikt nie da.

To powiedziawszy i śmiejąc się ciągle, wybiegł Jasek z chaty. — Siadając do bied-

ki, syszał lament Małgorzaty, krzyk dziecka i klątwy Wojciecha, co go jeszcze do większej wesołości pobudziło.

Teraz dopiero tak haniebnie oszukany wieśniak przypomniał sobie, że niedaleko stąd mieszka pewien nadleśny, człowiek rozumny i uczciwy, do którego cała wieś miała zwyczaj chodzić po radę, lecz z którym Wojciech niezbyt dawno pokłócił się o drzewo. W tej chwili jednak niechęć mu znikła, a przerażony gospodarz zaprzągnął drżącemi rękami konia do sanek i pojechał na leśnictwo, razem ze swym bursztynem.

Przybywszy tam, zastał szczęściem nadleśnego w domu, uściskał go parę razy za nogi, nazwał wielmożnym i dobrodziejem, a wreszcie opowiedział całą historię ze swoim skarbem i Joskiem.

Nadleśny wysuchał opowiadania, obejrzał kawałki i powiedział Wojciechowi, że podobna bryła bursztynu z zawartemi w niej liśćmi i robakiem, warta była kilkaset rubli, lecz że w obecnym stanie bez porównania mniejszą wartość posiada.

Blady jak trup Wojciech, ledwie stojący na nogach, wysłuchał opinii nadleśnego. Potem jeszcze raz go uściskawszy i utytoławszy, wsiadł na sanki z powrotem.

Przejeżdżając przez las, zauważył w nim pewną dziką jabłonkę, przy której się zatrzymał. Potem urznął kozikiem kawałek lejców, przywiązał je do drzewa, mając widoczny zamiar obwiesić się ze zmartwienia.

W ostatecznej jednak chwili przyszła mu na myśli żona, dzieci, gospodarstwo, a wreszcie i owe kawałki bursztynu, które bądź co bądź, warte były jeszcze kilkadzie-

siąt rubli. Zmienił więc zamiar i odwiązał powróż od drzewa.

Teraz jednak nowa go oczekiwała niespodzianka; zwawy bowiem i dobrze wypasiony konik jego, nie czując lejców, począł klusem pomykać przed siebie. Napróżno Wojciech krzyczał: "Trr! maluśki! stój, gniady!" Gniady bowiem, widocznie obawiając się smarowania, biegł jeszcze prędzej i zgubił drogę, zmusiwszy tym sposobem niedoszłego wisielca do odbycia dwumilowej pieszej podróży z szybkości, której nie powstydziliby się nawet zbiegowie umykający z ogólnej porażki.

Tymczasem intrygant Jasek zajechał do wilczołapskiego dworu i zameldował się jasnie panu.

Dziedziczny dobrodziej swojej parafii w tej chwili znajdował się w piekelnym humorze; dziś bowiem zrana miał bardzo ożywioną rozmowę z Gotliebem von Oschuster, który mu wprost powiedział, że Wilczołapy wystawi na licytację, a co gorsza, że nawet szanownego właściciela ich, przy pomocy swego sprzymierzeńca Joska, wpakować może do aresztu!...

To też zaledwie Jasek, ze zwykłym ukłonem, stanął w progu, Jan Chryzostom napadł na niego, jak huragan:

— Nędzniku jakiś — krzyczał dziedzic dóbr: — oszukiwałeś mnie! Nie dość, żeś mnie na każdym kroku wyzyskiwał, ale jeszcze wszystkie moje tajemnice zdradził przed tym łotrem Oschusterem!...

— Czego się janie pan tak gniewa z przeproszeniem? — spytał handlarz, więcej zdziwiony, niż przerażony. •

— Nie mów do mnie, ty jaszczurko! Nikczemny sługo dwóch panów!

— Jakich dwóch? — spytał znowu handlarz, patrząc mu w oczy z niesłychaną czelnością.

— Jakto jakich, zmijo? Naprzód służyłeś mnie, a później temu przybłędzie, i naturalnie oszukiwałeś obu.

— Ja jednego tylko pana mam — odparł Żyd spokojnie. — A wie jaśnie pan którego?... Oto pana Żabickiego.

Jaśnie pan, usłyszawszy to, stanął jak piorunem rażony, a Jasek mówił dalej:

— A wie jaśnie pan, dlaczego?... U jaśnie pana Jasek zawsze stał na progu i nazywał się: "głupi Jasek", albo: "gałgan Jasek," a u pana Żabickiego Jasek mógł nawet usiąść na krzeselku i nazywał się: "mój ty kochany Jasek..." Jaśnie pan psy swoje głaskał, a nawet całował, a Joska jak się raz pan dotknął, to zaraz kazał sobie podać wody do mycia. Ale pan Żabicki nie brzydził się Joska poklepać po ramieniu i pozwalał nawet, ażeby go Joskowe dzieci w rękę całowały... Jakem ja zachorował, to pan Żabicki posłał swoje konie po doktora i dał mojej żonie pieniędzy na jedzenie i na lekarstwo. A jaśnie pan powiedział wtedy: "Niech sobie zdycha, ja na jego miejsce będę miał stu faktorów!..." Jak kto Joskowi, tak Jasek komu. Ja jaśnie pana okpiwałem i tego gałgana Oschustra okpiwałem, ale pana Żabickiego nie okpię. Niech on żyje sto lat! a jeżeli kiedy Pan Bóg biedę na niego zesłał, to Jasek odda mu swój dom, swój majątek, a nawet ostatnią koszulę!

— Jak możesz, Jasiu, słuchać podobnego zuchwalca? Wypędź go zaraz! — zawołała pani Euzebia, ukazawszy się nagle we drzwiach drugiego pokoju.

Handlarz mruknął, a dziedzic odparł z uśmiechem:

— Nie irytuj się, duszko! Musiałem wysłuchać, ażeby zebrać materiały do zde-maskowania tego intryganta Żabickiego...

Taki tylko sens moralny ze słów Żyda wycisnął dziedzic Wilczołapów!...

V.

NA BALU

Bez względu na to, że w atmosferze wisiała gęsta mgła, a na ulicach powiatowego miasta leżało rzadkie błoto, bez względu na to, około dziesiątej wieczorem, naprzeciw wspaniałego hotelu "pod Gadającą Papugą," tłoczyła się gromadka gapiów, zbrojnych w parasole, kije, a nadewszystko w cierpliwość, pewna liczba biedaków płci obojej, którzy na bal składkowy mogli ofiarować najwyżej zdrowe nogi i dobre chęci, a nie będąc w stanie przyjąć fizycznego udziału w zabawie, postanowili przynajmniej nasycić wzrok widokiem skaczących cieniów, a słuch niewyraźnemi odgłosami muzyki.

Całe pierwsze piętro hotelu było zajęte na rzecz uczestników balu. Oprócz sali jadalnej, gdzie wyfrakowana służba ustawiała stoły w podkowę, znajdował się tam ubrany kwiatami gabinet dla dam, pozbawiony kwiatów, lecz za to ozdobiony butelkami gabinet dla mężczyzn, i obszerniejszy salon do

odrobienia przyjętej zwyczajem liczby tańców. Rozkoszny ten przybytek był oświecony za pomocą kilkunastu kinkietów i dwu wieloramiennych pajaków, z których widocznie jeden był tylko przyrodnim bratem drugiego. Całe umeblowanie salonu stanowił długi rząd kanap i krzeseł, stojących pod ścianami, tudzież wielki malowany parawan, który zasłaniał jeden róg przybytku muz i dźwigał na sobie wizerunki Japończyków łapiących ryby, Japończyków pijących herbatę i Japończyków siedzących w altanie.

Oprócz lokajów, w salonie znajdowało się jeszcze pięć osób; gospodynie: panie Kukalska i Gęgalska w bardzo ogoniastych sukniach; gospodarze: panowie Żabicki i hrabia Wyporek, w czarnych jak węgle frakach i białych jak śnieg krawatach, a wreszcie jeden i jedyny uczony mąż, korespondent gazety... pan Bąkalski.

Szczupłe to grono w niewesołym widocznie znajdowało się usposobieniu; damy bowiem razem z hrabią Wyporkiem ziewały, korespondent zwany redaktorem niespokojnie zaglądał do gabinetu z butelkami, a Żabicki mruczał:

— Niech ich lichy porwie! Mieli być punkt o dziewiątej, a jeszcze niema żywej duszy.

W tej chwili z ulicy doleciał turkot. Żabicki i Bąkalski poskoczyli do otwartego lufcika.

— Cóż to za procesja po drugiej stronie ulicy? — zapytał Żabicki.

Bąkalski wysunął głowę tak, że mało nie wyleciał za okno; włożył na nos binokle, a potem zawołał:

— Ach, to idzie jeden pan Donerstag starszy z jedną panią Donerstagową starszą i cztery panny Donerstag młodsze z czterema panami Donerstagami, jeszcze młodszy mi od nich.

— Oczywiście błogosławieństwo Boże— mruknął Żabicki. — Ale cóż ten powóz tak zwolna się zbliża?

— Pewnie Żydzi wiozą wodę, albo państwo Letkiewiczowie jadą swoim ekwipażem.

Niebawem, naprzeciw bramy hotelu zatrzymała się liczna rodzina Donerstagów, prawie jednocześnie z karetą Letkiewiczów, ciągnioną przez cztery szkapy, kwalifikujące się raczej do transportowania karawanów.

Euzebia z hrabiów Patykowski wychyliła głowę z okna karety i rzekła do lokaja:

— Spytaj się, czy już kto na bal przyjechał?

— Jeszcze nikt! — odpowiedziano z bramy.

— Niech stangret zawróci! — krzyknęła dama. — Nie jesteśmy piwowarami, a żebyśmy pierwsi mieli przyjeżdżać na bal.

Landara zwolna potoczyła się naprzód.

— Co to u diabła znaczy? — krzyknął stojący już w bramie Donerstag. — To widocznie umyślna szykana! Dzieci, zawracajmy do domu!

Po tej komendzie przednia straż batalionu Donerstagów ukazała się na ulicy.

— Czyś pan oszalał, panie Donerstag! — krzyknął z lufcika Żabicki. — Co za dziwne grymasy!... Chodźcie natychmiast na górę.

— Ależ pan chyba nie słyszałeś, że nam wymyślają od piwowarów! — odparł z ulicy Donerstag.

— Przecież pan nie jesteś piwowarem, tylko garbarzem? No, chodźcie!... Nie psujcie zabawy.

Nastąpiła na dole krótka rada familijna, po której w kilka minut weszli do salonu czterej panowie Donerstagowie młodszy w czarnych garniturach, prowadzący cztery panny Donerstag młode, w zielonych sukienkach. Założyciele tej pięknej rodziny maszerowali w ariergardzie.

Po takim początku, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, sala poczęła się napełniać. Widziano tam panią Wietrznicką, obywatelkę ziemską z małżonkiem, który, zaplątawszy się w ogon żony, o mało że nie runął na ziemię. Widziano pana Frejtaga z piękną jedynaczką Halką, na którą ogormnie z ukosa spoglądał młody, lecz zadłużony dzierżawca Birbantowicz. Widziano Fonsia Gęgalskiego, asesora Sontaga, adwokata Goldcwejga, Scyzorskiego lekarza, Pieprzowskiego kupca, Bursztynowicza księgarza, tudzież mnóstwo innych wiejskich i miejskich obywateli, w towarzystwie żon, sióstr i córek.

Słuszność nakazuje wyznać, że piękna ta całość rozbiła się na dwie gromady; hreczkosiejów i mieszczan. Żabicki, kilku lekarzy i Bąkalski starali się utrzymać między nimi jakąś łączność.

— Tęgi chłop ten Kukalski! — mówił Birbantowicz do redaktora.

— Ale pani Kukalska jeszcze tęższa. dźwiga bowiem na uszach ze sto korcy pszenicy.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że jej kolczyki tyle są warte; nie zrozumiałeś pan?

Rozpromieniony dzierżawca pobiegł czemprowadz do pani Kukalskiej i rzekł:

— Wie pani, co, że ta panna Frejtag to jest tęższa od swego ojca?

— Dlaczego? — spytała zdziwiona dama.

— Bo nosi aż czterech Żydów na plecach!

— Co to znaczy? — przerwała pani Kukalska, patrząc mu ostro w oczy.

— To znaczy, że u jednego Żyda kupiła muślin, u drugiego wstążki...

Wielka dama zerwała się z krzesła i z szelestem odeszła na drugi koniec salonu.

Birbantowicz nie posiadał się z radości.

— Panie Wietrznicki! — zawołał: udał mi się piekelny koncept!

— Jakież tam znowu?

— Spytaj się pan pani Kukalskiej — odparł triumfująco zadłużony dzierżawca.

Wietrznicki odszedł, lecz za chwilę powrócił.

— Cóż panu powiedziała? — zawołał Birbantowicz.

— Powiedziała, żeś pan dudek.

Już obrażony dowcipniś chciał wyzwać na pojedynek Wietrznickiego, gdy nagle salon zatrzęsł się od śmiechu.

W otwartych drzwiach ukazał się jakiś blady, długowłosy mężczyzna, w wypukłych szafirowych okularach, który oprócz czar-

nego fraka, miał na sobie inne, bardzo wąskie ubranie w czarne i białe kraty.

— Bójcie się Boga, nie śmieJCie się!— woła zrozpaczony przyszedł redaktor. — To mój człowiek!... To mój reporter!... nasz znany poeta, pan Gwazdalski.

Tymczasem, źle ubrany, a jeszcze gorzej karmiony człowiek Bąkaskiego, wszedł spokojnie do salonu, i zobaczywszy swego chlebowawcę, szepnął mu do ucha z miną bardzo uroczystą:

— Zrobiłem wrażenie, co?

W tej chwili z za parawanu, pomalowanego w japońskie figury, odezwały się uroczyste dźwięki poloneza, wykonanego dość zgodnie przez flet, trąbkę, skrzypce i basettę.

Żabicki podał rękę najstarszej wiekiem księgarzowej Bursztynowiczowej, garbarz Donerstag pani Kukalskiej, i sznur obejmujący przeszło pięćdziesiąt par posunął się dookoła sali.

Niestosownie ubrany reporter i poeta, któremu poczucie osobistej godności nie pozwalało tańcować, ze dziwieniem zauważył, że każda z dam, przechodzących obok japońskiego parawanu, zasłaniała twarz chustką. Uspokoił się jednak, pomyślawszy, że to była figura poloneza. Lecz tańczący z panną Pieprzkowską Goldcwejg innego był zdania, zwróciwszy się bowiem do Scyzorskiego, rzekł półgłosem:

— Za tym parawanem muszą być moi współwyznawcy, czuję bowiem cebulę.

Szary koniec wybuchnął śmiechem.

Polonez ukończył się nadspodziewanie prędko, a zaczerwieniony z gniewu Żabicki pobiegł do parawana, wołając:

— Co wy tu wyrabiacie, hultaje?!

— To nic, proszę jaśnie pana, — odpowiedział trębacz — tylko mnie się trochę jeść zachciało i dobyłem z kieszeni śledzia. Alem go nawet nie skosztował, na moje sumienie!

Drobny ten wypadek nie zepsuł jednak zabawy. Dzięki energii Żabickiego i Bąkałskiego, obie grupy, wiejska i miejska, poczęły się zlewać.

— Panie Alfonsie, — mówił do Gęgałskiego korespondent — wejdź-no pan do mieszkańskiego kółka, potańcuj z naszymi paniami!... Cóż to przecież pan jesteś arystokratą liberalnym.

— Liberalny, słowo honoru! — zgadłeś pan — odparł Fonsio i począł hulać po kolei, naprzód z córką garbarza, później z żoną piwowara, a następnie z siostrzenicą kupca korzennego.

— Panie Birbantowicz, — mówił znowu Żabicki — daczego pan nie tańczysz z panną Frejtag? Toż to dziewczyna, jak jagoda!

— Rozumie się, żebym tańczył, ale się boję jej ojca, któremu winien jestem trzysta rubli.

— Ożeń się pan z nią, to dostaniesz te trzysta rubli w posagu.

— A wiesz pan, że to znakomita myśl! — odparł Birbantowicz, któremu szkliły się oczy, skutkiem zbyt długiego oglądania pewnej wysmukłej flaszki.

Za chwilę potem odświeżył znajomość ze starym mydarzem Frejtagiem, przetań-

czył z jego córką walca, potem wpadł do męskiego gabinetu (na ochłodzenie,) znowu z tą samą panną przeańczył polkę, (znowu się ochłodził), a nareszcie siadł przy Frejtagu i rzekł:

— Wiesz pan co, że z satysfakcją starałbym się o panną Halinę.

— Już się o nią postarał pan Golski! — odparł surowo mydlarz i przeszedł do innego towarzystwa.

Zaperzony Birbantowicz złapał Bąkalskiego.

— Mój kochany, — rzekł — kto to jest ten pan Golski?

— Czeladnik Frejtaga — odparł Bąkalski.

— A niechże go diabli porwą!... złapał mi pannę z przed nosa... Ale zaklinam cię na honor, nie mów o tem nikomu, bo mnie skompromitujesz.

Bąkalski przyrzekł jak najuroczyściej zachować milczenie do grobu; mimo to jednak, w pięć minut niespełna, wszyscy już wiedzieli, że w wyścigach matrymonialnych zadłużonego dzierżawcę czeladnik mydlarski pobił na głowę.

Tymczasem cztero-instrumentowa muzyka grała, rozochoceni wieśniacy i mieszczanie hulali tak, że aż się dom trząsał, a ceniący swoją godność poeta i reporter Gwazdalski rozmawiał w kącie z jakąś tyle chudą, ile wydekoltowaną starą panną z złotem piórkiem na głowie.

— Czy pan lubi wieś? — pytała niefortunna piękność źle ubranego poetę.

— O pani! ja lubię wieś, ja kocham wieś tak, że chętnie dla niej zamieniłbym

moje dzisiejsze, wpływowe stanowisko, nawet na nic nie znaczącą posadę rządcy.

Dama z złotem piórkiem westchnęła, a stojący obok Goldcweyg rzekł do poety.

— W każdym razie awansowałbyś pan.

— A to jakim sposobem? — spytał z namarszczeniem wieszcz prowincjonalny.

— Bardzo prostym — odparł uszczypliwy adwokat: — na wsi byłbyś pan ekonomem, a tu jesteś tylko pisarzem u Bąkałskiego.

Szczupła piękność udała, że nie słyszy, sądząc zapewne, że ujęty tą dobrocią poeta zechce, może jeszcze w bieżącym karnawale, uwolnić ją od ciężkiego brzemienia samotności.

Nieszczęściem jednak, na jasnym widnokręgu sali balowej ukazał się punkt czarny.

Powiedzieliśmy, że obywatelski syn, Fonsio Gęgalski, tańczył z hożemi mieszczankami tak, jak gdyby zamiast być strażnikiem hrabiego, był co najwyżej płatnym od sztuki dependentem młodego adwokata. Liberalna ta i wysoce obywatelska jego działalność zniknęłaby może w tłumie jej podobnych, gdyby nie to, że Fonsio był ogromnie kontent i ukontentowanie swoje manifestował skokami tak gwałtownymi, że aż zwróciły uwagę mamy Gęgalskiej.

— Fonsiu! — rzekła dama surowo — dlaczego tańczysz z temi nieznanemi osobami, skoro masz swoje towarzystwo?

Zmydlony Fonsio postanowił od tej pory tańczyć tylko ze szlachciankami co najmniej od sześciu pokoleń.

Ubytku Fonsia nie dostrzegło kółko mieszczańskie; zastąpili go bowiem dwaj ubodzy urzędnicy, niezmordowani bracia Pietruszkiewiczze, z których każdy tańczył tak zapamiętale, jak gdyby od czynności tej zależał pokój Europy, zachowując przytem powagę karawaniarzy, eksportujących nieboszczyka pierwszej klasy.

Lecz jeżeli niestrudzona działalność braci Pietruszkiewiczów wystarczyła w walcach, polkach i kontredansach, to nie mogła jednak wystarczyć w mazurze. Wprawdzie dwaj ubodzy bracia hulali tak, że aż jeden z nich o mało, że nogami nie potargał włosów drugiemu, nie mniej jednak czuć było potrzebę tancerzy.

W takich to okolicznościach, asesor Sontag, trzymając pod rękę dwie miłe panienki pochodzenia mieszczańskiego, zbliżył się z niemi do Fonsia i rzekł:

— Przepraszam pana, ale ja tu mam swoje towarzystwo!

— Przecież tu nie owczarnia! — odparł Sontag i poszedł do kogo innego.

— Wuju, hrabio! — wołał zaprezony Fonsio do hrabiego Wyporka.

— Czego chcesz?

— Nie wiem co mam robić... pan Sontag ubliżył mi... powiedział mi, że jestem z owczarni.

— Uspokój się, drogi Fonsiu, — wtrącił słuchający tego Bąkalski — przecież nie nazwał cię owczarzem.

— No, to prawda! ale chciał mi dać przez to do zrozumienia, że jestem baranem!

Wuj hrabia zieleniał i darł rękawiczki, inni zaś śmiali się jak opętani, słuchając tej

jedynej w swoim rodzaju rozmowy. Niewiadomo, do czego by przyszło, gdy w tem gości ruszyli do sali jadalnej.

Każdy usiadł przy stole w towarzystwie swej damy. Gwazdalskiemu przypadła w udziale pełnoletnia piękność z złotem piórką, Bąkowski zaś, który usiadł naprzeciw niego, zamiast jednej damy miał przy sobie dwu przyszłych prenumeratorów i dwie butelki, nie licząc trzeciej pod stołem.

Przy kolacji wystąpiło na jaw szczególnego rodzaju współzawodnictwo. Wieśniacy starali się przejeść i przepić mieszczan, mieszczenie usiłowało przejeść i przepić wieśniaków. Z drugiej znowu strony, wieśniaczki chciały mniej jeść od mieszczanek, a mieszcżanki jeszcze mniej od wieśniaczek.

Słuszność nakazuje wyznać, że redaktor, w tej walce pragnień i apetytów, prześcignął wszystkich; lecz biedny jego współpracownik najniezawodniej umarłby z głodu, gdyby nie poświęcenia osoby z złotem piórką. Nieszczęśliwy poeta najgorzej wyszedł przy rybach; Bąkowski bowiem, wzięwszy sobie karpia, jemu oddał głowę szczupaczą tak wielką, że się już nic obok niej na talerzu pomieścić nie mogło.

Rozpoczęto wnosić toasty, między którymi Żabicki odezwał się z następującym:

— Damy i panowie! ten kielich piję za zdrowie naszego znakomitego kierownika opinii publicznej — Bąkowskiego!

— I jego człowieka! — odezwał się głos z tłumu.

W odpowiedzi na to, naczelny korespondent wspomniał o wynalezionych przez siebie ideach liberalnych, a także o stu pięć-

dziesięciu tysiącach prenumeratorów gazety, którą swym talentem podpiera. W końcu zaś rzekł:

— A teraz damy i panowie! wnoszę toast na cześć naturalnego przewodnika naszej wiejskiej inteligencji, mecenasa literatury, hrabiego Wyporka!

— Zapłaciłem mu! — dodał mówca, siadając. — Trzeba wam wiedzieć, że ten hrabia nie prenumeruje żadnego pisma krajowego i nigdy w ręku nie miał mojej gazety!

Z kolei podniósł się blady jak śmierć hrabia Wyporek i uрониł te pamiętne słowa:

— Miło mi jest, damy i panowie! będąc w tak nobliwym towarzystwie. Flatuję sobie, że na rok przyszedł nie ominiemy powtórzenia sobie tę przyjemność.

Wszyscy dali brawo, choć nikt nic nie rozumiał.

— No, i mówić tutaj, że hrabia nie harmonizuje z mieszczaństwem! — szepnął ktoś do Bąkalskiego.

— Z mieszczaństwem — nie wiem, ale że nie harmonizuje z gramatyką, to jest więcej, niż pewne! — odparł oburzony Bąkalski, a potem, zwracając się do swego reporter, dodał drżącym z gniewu głosem:

— Panie Gwazdalski! słyszałeś te językowe herezje? Zróbże mi pan z tego artykułu, — tak na sto wierszy, zerznij na sieczkę, a jeżeli jędrnie napiszesz, dam ci po ...półtora grosza od wiersza.

Goście wstali od stołu i zaczęły się tańce nanowo, z większą jeszcze werwą, niż poprzednio.

Koło trzeciej rano, postanowiono odtańczyć lansjera mieszanego; wiejsko-miejskiego.

Już grupy wystąpiły na środek, już rozległy się dźwięki tego eleganckiego tańca, już pan Donerstag ukłonił się pani Kukalskiej, a pani Kukalska panu Donerstagowi, gdy w tem...

— A waj! Fueuer!... — ryknął jakiś nieludzki głos zza parawanu, poczem japoński parawan runął na ziemię, na niego krzeselko z basetlistą i z basetlą, a na basetlę pierwszy skrzypek.

Jednocześnie usłyszano w całym salonie silny śwąd.

Wszczął się straszliwy popłoch. Herbowni i nieherbowni jak stado owiec zbili się w jeden kąt. Czterej bracia Donerstagowie tubalnemi głosami poczęli krzyczeć: "Wody!..." Dwaj ubodzy bracia Pietruszkiewicz uciekli do przedpokoju, wołając: "Gdzie nasze paltoty! gdzie kalosze!" Nierozwinięty Fonsio rzucił się do okna, chcąc wyskoczyć na ulicę, a interesująca dama z żółtem piórkim padła w objęcia zagłodzonego poety.

Powoli jednak rozjaśniła się sytuacja. Przekonano się, że podczas kolacji czterej muzykanci, zjadłszy trzy śledzie, zaczęli palić papierosy przy otwartym piecu. Gdy goście wrócili do salonu, flecista, rzuciwszy w piec niezagaszzonego papierosa, nie zamknął drzwiczek, przy których usiadł pierwszy skrzypek i zapalił sobie połę surduta. Dopóki tlił się surrut, a dym szedł do luftu, wszystko było bardzo dobrze, lecz gdy ogień zbliżył się nieco do doczesnej powłoki pierwszego skrzypka, artysta ten, z okrzykiem:

“Feuer!” — skoczył jak szalony na basetlistę i zaalarmował towarzystwo.

Gdy wyniesiono parawan, uspokojono damy i muzyków, przerwany wiejsko-miejski lansjer zaczął się nanowo, lecz szedł nieosobliwie, pierwszy bowiem skrzypek co chwila grę przerywał.

— Grajże porządnie, hultaju jakiś! — rzekł do niego Żabicki.

— Kiedy tak mnie boli, jaśnie panie! ...odparł płaczliwym głosem artysta.

Wkrótce, najlepszy grajek stał się kompletnie niezdolnym do użycia, a błaża ta na pozór przyczyna sprawiła to, że bal się przerwał i okoo czwartej goście rozejść się musieli do domów, z wielkim żalem czterech panien Donerstag i piątej damy z złotem piórkiem, która nie zdążyła jeszcze podbić serca melancholicznego Gwiazdalskiego.

VI.

NIECO TRAGEDII

Nadszedł wielki post, epoka ogólnego upamiętnienia. Po karnawałowych szaleństwach młodzi mężczyźni wrócili do rozwagi i nanowo poczęli wygrzewać miejsca przy zielonych stolikach, albo dreptać około bilardów. Zdesperowani ojcowie, straciwszy nadzieję wyprawiania wesel swoim córkom, jeszcze niżej niż w adwencie opuścili głowy i nosy. Młode panny wreszcie, przestawszy wzdychać po “tańczących” wieczorach, poczęły z kolei wzdychać do majówek, podprawionych kwaśnem mlekiem, rzewnym śpie-

wem słowika i jeszcze rzewniejszym gruchaniem elegantów, którym szczupłe dochody nie pozwalają zostać twórcami domowych ognisk.

Krótko mówiąc, towarzyski ruch osłabł w całej okolicy, z wyjątkiem wilczołapskiego folwarku, w którym naodwrot znakomicie się ożywił. Na wszystkich drogach, wiodących do majątku państwa Letkiewiczów, widziano mnóstwo nieznanych osób. Czyby mieszczenie, ujęci uprzejmością dziedzicznych dobrodziejów parafii, składali im wizyty? Czy może umarł, na jakimś nieznanym punkcie ziemi, ów domyślny krewny milioner, napędzając tym sposobem tłumy pochlebców na progi swoich sukcesorów? Gdzie tam! gdzie tam!... Owe osoby nieznane byli to wierzyciele, komornicy i woźni, którzy połączonemi siłami pod kierunkiem Gotlieba von Oschuster wydzielali Letkiewiczom ich ostatnie schronienie!

Nareszcie, pewnego dnia oznaczono stanowczo termin licytacji, a państwo Letkiewiczowi znaleźli się bez dachu i bez grosza.

W tej to krytycznej chwili, po raz pierwszy i ostatni, zajechały na podwórze ich niegdyś folwarku wygodne kryte sanie, z których wysiadł pewien czerwony, tego zbudowany szlachcic ze straszliwemi wąsami. Przybysz, nie meldując się, wszedł do pokoju i rzekł do wywłaszczonych:

— No i cóż, wszystko skończone, sąsiedzi?... —

— Wszystko, panie Żabicki!... — odparł, załamując ręce, Letkiewicz. — Zgubił nas ten łotr von Oschuster!

— Damy i jemu radę, — odparł Żabicki (on to był bowiem)—a tymczasem siadajcie i jedźmy.

I otóż stało się, że dwoje tych zepsutych dzieci, starych sierot, znalazło na resztę dni przytułek w domu uczciwego i rozumnego człowieka. Z wielkiego majątku nie wzięli biedacy z sobą prawie nic, oprócz wspomnień lepszych czasów, francuskiego języka, tudzież trójguzikowego fraka, ponsowej kamizelki i podartych kamaszy swego ostatniego lokaja.

Śmieszne i bolesne pamiątki!

Tymczasem we wsi z niemałym zdziwieniem dostrzeżono, że bogaty Wojciech brata się ciągle z trzymorgowym biedakiem, głupim Szymkiem. Ciągle widywano ich razem, a każdej prawie niedzieli Szymek upijał się za Wojciechowe pieniądze.

— Ho! ho; mądry chłop z tego Wojciecha! — mówili sąsiedzi. — Zachciało mu się być wójtem, to i zaczyna pomaluśku ludziom fundować.

Ale dwaj nowi przyjaciele nigdy z sobą nie gadali o wójtowstwie, tylko o Josku i jego fliglach. Wojciech przypominał ciągle bursztyn. Szymek procenta, jeden i drugi zaś utyskiwania swoje kończyli pobożnem życzeniem:

— Oj! żeby temu Żydowi już raz gdzie diabli kark skręcili!

Pewnego śnieżnego i wietrznego dnia, przyjechał Jasek do wsi i zapowiedział Szymkowi, że pojedzie z nim po towary.

— A ile zapłacita? — spytał Szymek.

— Co wy gadacie, Szymku? — krzy-

knął zdziwiony handlarz. — Ja wam będę płacił, a co się stanie z moim procentem?

Szymek począł się skrobać w głowę.

— No, no! — ciągnął dalej Jasek. — Nie marudźta, ino koniom podsypta obroku. Ja u was dziś przenocuję, jutro skoro świt wyjedziemy, a na wieczór wrócicie do chałupy.

— Markotny Szymek poszedł do Wojciecha na radę.

— Wojciechu! — rzekł — pożyczta mi pięć rubli dla tego Żyda... Znowu mnie goni po towary.

— Skąd jabym wziął pięć rubli? — odpar chytry Wojciech. — Żeby tak na mnie —dodał — tobym się z nim w oczy-mgnienu sprawił!

— Jakżebyśta się sprawili?

— Jak?... A zagłobiłbym psiawiare i basta!

— A bo to tak można? — spytał z powątpiewaniem Szymek.

— Co nie ma być można? Kiedy nocuje w stodole, tobym go oprawił na miejscu, a potem zawlókł do lasu. Niechby tam wilki dokończyli!

— Zawdy to grzech! — wtrącił nieśmiało Szymek.

Wojciech oburzył się.

— O dla Boga! jaki grzech? A toż ci on gorszy zbój, bo nietylko was kudła, ale i mnie jeszcze oszwabił!

Na tem skończyła się rozmowa, po której Szymek wrócił do chaty i aż do wieczora w ponurem zamyśleniu pod piecem przesiedział. Gdy noc nadeszła, zjawił się handlarz i zajął przeznaczone mu miejsce w stodole.

Okolo północy powstała gwałtowna zawieja. Wiatr wył, szumiące drzewa gięły się ku ziemi, a cały widnokrąg zapełniła gęsta kurzawa śniegu. Uboga Szymkowa chata trzęsła się w posadach, skrzypiały ściany, trzeszczał dach, a na kominie śnieg resztę żaru zagasił.

— W Imię Ojca i Syna... a to złe tańcuje na dworze! Pewniakiem ktoś się powiesił! — mówiła Szymonowa kobieta, obudzwszy się ze snu.

Mąż jej drgnął, lecz nie odezwał się ani słowa.

— A czemu ty się, stary, nie kładziesz? — zapytała znowu.

— Muszę jeszcze wóz opatrzyć i koniom obroku dosypać — odpowiedział Szymek i wyszedł z izby.

W sieni, potykając się i zataczając, wyszukał po omacku siekiery i z nią wysunął się na dwór.

Kiedy otworzył drzwi, zawieja była tak straszna, że nie mógł nic widzieć na długość własnej ręki. Przez chwilę zdawało się Szymkowi, że mu jakaś nadludzka siła nie daje progu przestąpić; to wiar wpychał go na powrót do chaty, to śnieg bił po twarzy i oślepiał.

— Doszedłszy do środka podwórza, Szymek nagle stanął. Zdawało mu się, że wichry gwarzą z sobą nad jego głową i radzą, aby go porwać.

Znowu począł iść naprzód, lecz bardzo powoli. Przerażał go skrzyp śniegu pod nogami, jak złodzieja, który do cudzej komory wchodzi.

Nagle, wyciągnięta przed siebie ręką uderzył o coś; były to drzwi stodoły. Szymek przeżegnał się i wszedł.

Głośnie chrapanie wskazało mu dalszą drogę. Szymek wszedł na środek stodoły i nagle zatrzymał się. U nóg jego, twardym snem ujęty, leżał handlarz.

Chop pochylił się nad nim, targnął go parę razy za ramię i rzekł:

— Wstawaj, żydu!

— Kto to jest? — spytał rozmarzony Jasek, siadając na swem lichem posłaniu.

— No, ja...

— Jakie ja?

— No ja, Szymek!

— Czy już pora jechać? — spytał handlarz.

— Pora ci jechać na kirkut!

Jasek zupełnie oprzytomniał.

— Co wy gadacie? Zwariowaliście, Szymku, czy co?

— Com miał zwariować?... Zapłacę ci twoje pięć rubli, nie bój się!

— Ja się nie boję! ja nie chcę pięć rubli! na co takie żarty?... Przez wasze głupstwo, to mi tak serce bije, że strach!

— Ja tam nie żartuję, ino naprawdę przyszedłem ci tu śmierć zrobić, bestio!

— Aj waj!

— Cicho żydu! — przerwał Szymek, potrącając go ręką w głowę. — Pomodliłbyś się lepiej w tej ostatniej godzinie.

— Będę się modlił! — odparł handlarz, trzęsąc się jak galareta. — Aj waj! niech Pan Bóg da zdrowie panu Szymonowi za jego żarty takie.

— Ty nie żartuj, paro, ino śpiewaj majufes, póki czas!

— Już będę śpiewał!—odparł handlarz.

Istotnie zaczął śpiewać, naprzód zwolna i cicho, potem coraz prędzej i coraz głośniej.

— Nie drzyj się tak! — ostrzegł go Szymek.

— Już się nie będę darł! — odparł handlarz i począł śpiewać jeszcze głośniej.

Oryginalna to była sytuacja! Na dworze jęczał żałośnie wicher, a w stodole jeszcze żałośnie jęczał modlący się Jasek. Szymon z uwagą przysłuchiwał się jednemu i drugiemu, instynktem przeczuwając, że położenie jego staje się coraz bardziej kłopotliwe. Nagle, nad jękiem wiatru i śpiewem Joska wziął górę jakiś trzeci głos, śpiewający prawie tuż obok stodoły, następną zwrotkę:

A trząchnijże, dziewczko, sobą,
Bo mi źle tańcować z tobą!
Skikasz ino kole boku,
Niby torba od obroku.

— Gwałt!... — rozbójstwo!... zabiwanie!... — wrzasnął handlarz, usłyszawszy tę zwrotkę i zerwał się na równe nogi.

Najpierwsza tancerka warszawskiego baletu pozazdrościłaby mogła Joskowi skoków, jakie od tej chwili w ciemnej stodole wyprawiać począł. Nie przestając krzyczeć w niebogłosy i wymyślać Szymkowi na czem świat stoi, przestraszony Żydek biegał po całym zapolu, pięściami i nogami bił w ścianę, zsunął się z dużej sterty słomy, a wreszcie cudem jakimś dosięgnął ręką strzechy.

Schwycił się za krokiew, lecz ta pękła, a Jasek spadł na głowę Szymkowi i przewrócił go na ziemię.

Leżąc na klepisku, zobaczył przypadkiem, u dołu bramy wychodzącej na pole, dość wielki otwór, przez który chciał się wysunąć.

Krzyki Joska usłyszeli powracający z karczmy włościanie, i przystąpiwszy do bramy, zapytali:

— A co się tam wyrabia, hej!

— Rozbójstwo! — krzyczał uwięziony w bramie Jasek. — Wyciągnijcie mnie stąd, moi złoci.

Włościanie, zobaczywszy głowę i ręce handlarza, szarpnęli go do siebie, a jednocześnie Szymek pociąga go za nogi, do stoły. Bóg wie, jak długo trwałaby ta walka, gdyby nie interwencja Szymonowej, która usłyszawszy hałas, wpadła na pole bitwy i odprowadziła męża do chaty.

Jasek, wydobywszy się z nieszczęścia, pędem pobiegł do karczmy, gdzie przez całą noc trzeźwiono go i uspokajano, Szymek zaś na drugi dzień był aresztowany i odstawiony do miasta.

Nadeszły dla nieboraka przykre chwile, był bowiem oskarżony o chęć dokonania zabójstwa na osobie "niewinnego i skądinąd uczciwego handlarza Joska."

Bronił Szymona Goldcwejg. Wymowny adwokat zauważył przedewszystkiem, że "niewinny i skądinąd uczciwy" jego współwyznawca Jasek był wielkim intrygantem i nicponiem, który przyczepiwszy się do ciemnego i nierozwiniętego wieśniaka, wysysał go jak pijawkę. Że powtóre, nękany przez

handlarza Szymek powziął nierozsądny zamiar nastraszenia go wśród nocy. Że wreszcie, o usiłowaniu zabójstwa mowy nawet być nie może, nikt bowiem, chcąc kogoś zamordować, nie budzi go, a tem mniej nie daje czasu do odśpiewywania modlitw.

Najważniejszą jednak obroną była z jednej strony głupota Szymka, z drugiej zaś przestach Joska i ciemna noc, skutkiem czego handlarz zapytywany: jaką bronią chciał go zabić obwiniony? — raz odpowiadał, że drągiem, drugi raz, że fuzją, trzeci — że siekierą.

Skończyło się więc na tem, że Szymek posiedział parę miesięcy w kozie, a nastraszony Josek, w swoim i swoich następców imieniu, wyrzekł się lichwiarskich procentów, a nadewszystko stosunków “z ordynaryjnymi chłopami.”

• VII.

ZAMKNIĘCIE

Tak tedy w sprawie wilczołapskiego majątku, panem sytuacji pozostał von Oschuster. On przejął znaczną część długów, urządził licytację i rozporządzał znakomitemi funduszami. Do walki z nim stawiała spółka: Żabicki obywatel ziemski, Sonabend piwowar i Szaja Morgenbrot kapitalista.

Walka miała być zacięta, spółka bowiem berlińska chciała wejść do kraju, spółka miejscowa, nie chciała jej dopuścić; prócz tego, obu stronom chodziło o eksploatację węgla, którego znaczne pokłady znajdowały się w Wilczołapach.

Wyznać należy, że Żabicki i Sonabend powątpiewali o zwycięstwie, wiedząc, że więcej, niż dwakroć za majątek dać nie warto, i że z drugiej strony von Oschuster w interesie swoich mocodawców licytować będzie jak najwyżej. Na obawy ich jednak Szaja odpowiedział uśmiechem, twierdząc, że agent do licytacji nie stanie.

Na dwa dni przed stanowczym terminem, Szaja, nie uprzedzając o tem nikogo, udał się do mieszkania von Oschustra. Rozdrażniony, a pewny swego agent przyjął Żyda, z nietajonym gniewem i pogardą. Sędziwy jednak kapitalista nie zrażał się tem; choć nieproszony, spokojnie usiadł na krześle i rzekł:

— Nu, jakże będzie z naszym interesem?

— Chcecie zapewne, odstępnego? — spytał agent.

— Nie, my tylko chcemy, ażebyś pan do licytacji nie stawał — odparł Szaja.

— Tam!... — krzyknął agent, wskazując drzwi Żydowi.

— Jak ja pójdę tam, to pan pójdiesz tam!... — odpowiedział Żyd, wskazując okno, za którem w pewnej odległości widać było więzienie.

— Co to znaczy? — spytał zmieszany Von Oschuster.

— To znaczy, że ja znam pańskie interesa z naszą okowitą i pruskiemi materiałami. Nu, a kto teraz pójdzie tam?...

Agent spuścił głowę i szepnął:

— To jest niegodziwość!

— To nie jest niegodziwość, tylko porządek rzeczy. Cały interes jest w tem, że

my mamy grunt pod nogami, a pan go nie masz.

- Jakoż stało się według zapewnień Szai. We dwa dni von Oschuster był już gdzieś około Berlina, a Żabicki, Szaja i Sonabend stali się właścicielami Wilczołapów i jeszcze w tym samym roku przystąpili do eksploatacji węgla, a który im i całej okolicy duże zyski przynosi.

* * *

Pozostaje nam jeszcze kilka słów do powiedzenia o innych osobach.

Dzięki Żabickiemu, państwo Letkiewiczowie uratowali kilkanaście tysięcy ze swej fortuny; z tych pieniędzy, mąż, ulegając duchowi czasu, otworzył w mieście powiatowym sklep produktów wiejskich. Znękana pani Euzebia Letkiewiczowa, po krótkim oporze, zgodziła się na to wysoce demokratyczne stanowisko; nie przestała jednak marzyć o paacu z dwiema wieżami i kuchniami w suterrenach, a najszcześniejszą jest wtedy, gdy komuś z nowych znajomych pokazać może trójguzikowy frak, ponsową kamizelkę i zdezelowane kamasze swego ostatniego lokaja.

Mody Sontag ożenił się z panną Scyzorską, i dziś mają już chłopca, dużego jak strucla, a krzykliwego, jak pierwszy tenor opery włoskiej. Goldcweyg jednak nie żeni się, twierdząc, że jeżeli dziś jest przyjmowany wszędzie, to jednak gdyby wszedł w związki małżeńskie, wówczas przed nim i jego żoną mogłoby się zamknąć drzwi wszystkich domów.

Czy może być prawdą, ażeby wszystkie drzwi i serca zamknęły się przed nimi?

Bąkalski dla swojej gazety doczekał się już kilka prenumeratorów; szczepi po dawnemu idee liberalne i postępowe, i mimo swych dziwactw, cieszy się ogólną sympatją. Jego zaś człowiek i gubernialny poeta Gwazdalski, dowiedziadwszy się, że pełnoletnia dama z złotem piórkiem może mieć około trzydziestu tysięcy posagu, myśli na serjo o sakramencie małżeństwa i na tę uroczystość, celem uznania swoich zasług pisze sobie bardzo długą odę.

Spis treści:

Antek - 5

Cienie - 44

Co to jest blaga - 45

Kamizelka - 51

Katarynka - 65

Lektor podłozze - 83

Michałko - 105

Na wakacjach - 133

Omyłka - 139

Płesń święta - 227

Sen - 231

Stercza dół - 253

Stara bańka - 379

Wreszcie radość - 401

